Oscary
Hollywood odkrywa inne kolory
▸30

Rower w wielkim mieście
Dobrymi chęciami ścieżka jest wybrukowana ▸4

WYSOKIE OBCASY
Sanna Marin
Czego Finka uczy córkę

FOT. LEE CELANO/AFP/EAST NEWS

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Istnieje lepsza Ameryka

CARNEY i TRUDEAU VS. TRUMP

▸10

FOT. LEON NEAL, HARRY HOW/GETTY IMAGES, MONTAŻ: MARIUSZ ROSA, JAKUB PIOTROWSKI

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 11>

Mazzini na Kubie
Byłem w kraju z listy ofiar Trumpa ▸14

Sposób na dzietność
Nie spodoba się prawicy ▸26

Poczucie winy
Kogo wykończy, komu pomoże ▸23

Kto ty jesteś? Dobry człowiek
W co wierzy mały Rosjanin ▸40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 14-19 marca 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 61.11160, 1 Nakład 73 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 8024f7c131

Agnieszka Kublik

Zmiana ustroju bez zmiany konstytucji

Karol Nawrocki chce osiągnąć to, co się Jarosławowi Kaczyńskiemu nie udało się przez osiem lat – trwale zmienić ustrój bez zmiany konstytucji. Prezydent chce jeszcze więcej władzy, niż pragnął prezes PiS. I chce ją zagarnąć natychmiast.

Świadomie postponuje gabinet Donalda Tuska na każdym kroku i jawnie dąży do jego obalenia, jednocześnie oczekuje uległości, podporządkowania, posłuszeństwa i pokory.

I robi to arogancko. Gdy przesłał do Sejmu swój projekt „SAFE zero procent" – który Tusk słusznie nazywa „SAFE zero złotych" – publicznie chciał zobowiązać posłów i senatorów, by go natychmiast przegłosowali. Samemu nie wykazując grama chęci współpracy. I nie przypadkiem projekt wypichcony z prezesem NBP wpłynął do Sejmu, gdy Nawrocki gościł w Pałacu Prezydenckim Tuska.

Profesor Antoni Dudek, wybitny historyk i ceniony komentator polityczny, przed pierwszą turą wyborów prezydenckich nie gryzł się w język. Oceniał, że lekceważony przez wielu Nawrocki to „jeden z bardziej niebezpiecznych ludzi, jacy się pojawili w polskiej przestrzeni publicznej". Kreślił portret człowieka bezwzględnego, bez skrupułów, który skopie konstytucję z przyklejonym uśmiechem. No i kopie.

Oby gabinet Tuska zdołał zablokować prezydenta, który jest przekonany, że wolno mu najwięcej

W sędziów. Już w orędziu inauguracyjnym obiecał, że „nie będzie awansował ani nominował tych sędziów, którzy godzą w porządek konstytucyjno-prawny RP". Słowa dotrzymał – nie awansował sędziów, którzy kwestionowali zmiany ustrojowe wprowadzone przez Kaczyńskiego wbrew konstytucji i europejskiemu orzecznictwu.

W ambasadorów. Od miesięcy blokuje nominacje, bo, jak uważa, niektóre osoby „nie gwarantują należytej reprezentacji interesów państwa". Kilka dni temu Radosław Sikorski apelował do Nawrockiego, by zmienił zdanie, bo wciąż nie mają nominacji kandydaci na ambasadorów w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i w Iraku. W sumie w aż 67 krajach Polski nie mamy ambasadorów, tylko charges d'affaires.

W służby specjalne. Od listopada blokuje awanse w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służbie Kontrwywiadu Wojskowego.

W naukowców. Wiele wskazuje, że Michałowi Bilewiczowi prezydent nie wręczy, kontynuując tradycję Andrzeja Dudy, decyzji o nadaniu profesorskiego tytułu, bo nominowani „nie mogą ulegać światopoglądowym modom czy politycznej codzienności". A Bilewicz na swoje nieszczęście analizuje, oprócz antysemityzmu, język nienawiści.

W rząd i posłów. Oczekuje od nich nie tylko, by błyskawicznie uchwalali jego projekty, ale by swoje pomysły to z nim najpierw konsultowali. W ten sposób nie będą tracić czasu i pracować nad prawem, które czeka prezydenckie weto.

Wszystko tak, jak to przepowiedział profesor Dudek. Oby gabinet Tuska zdołał zablokować prezydenta, który jest przekonany, że wolno mu więcej niż więcej. Najwięcej. ●

Izrael
Koszty wojny wyzwoleńczej

FOT. PAP/EPA/ABIR SULTAN

Tel Awiw, plażowicze w schronie podczas alarmu bombowego. – Izrael stara się wyzwolić Iran z teokratycznego reżimu – zwrócił się do Irańczyków premier Netanjahu. Odwet Teheranu zabił co najmniej kilkunastu Izraelczyków. Według danych reżimu zginęło co najmniej 1172 irańskich cywilów. W izraelskich nalotach na Bejrut śmierć poniosło ok.300 osób, a co najmniej 400 tys. uciekło z południa Libanu. Izrael zakazał zgromadzeń powyżej 50 osób.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

DART
Udało się uratować Ziemię

Na razie „na sucho" – niemniej po raz pierwszy człowiek zmienił orbitę ciała niebieskiego wokół Słońca.

Przez dekady obrona Ziemi przed asteroidami była domeną Hollywood. Aż do września 2022 r., kiedy sonda DART uderzyła w Dimorphosa – księżyc asteroidy Didymos. Chodziło o sprawdzenie, czy z pomocą kosmicznego pocisku, tzw. impaktora kinetycznego, zdołamy zmienić trajektorię ciała niebieskiego. Teraz poznaliśmy efekty. „Science Advances" podaje, że skutki testu znacznie wykroczyły poza oczekiwania.

Masa sondy była mikroskopijna w porównaniu do masy układu, a sam cel – Dimorphos – był 200-krotnie lżejszy od Didymosa. Spodziewano się, że uderzenie wywoła jedynie mierzalną zmianę okresu orbitalnego księżyca.

A nie tylko skróciło okres obiegu Dimorphosa wokół Didymosa o 33 minuty, ale zmieniło orbitę układu wokół Słońca. Prędkość układu na jego orbicie różniła się o około 11,7 mikrometra na

FOT. NASA/JOHNS HOPKINS APL/STEVE GRIBBEN

sekundę. Trwający 770 dni czas obiegu układu skrócił się o zaledwie 150 milisekund, a orbita słoneczna zacieśniła minimalnie, o 360 metrów. – Ale z czasem tak drobna korekta może urosnąć do znaczącego odchylenia od pierwotnego toru – wyjaśnia Thomas Statler z NASA.

O ile zostanie zainicjowana wcześnie – dlatego NASA buduje teleskop NEO Surveyor, pierwsze narzędzie kosmiczne wyłącznie do obrony planetarnej. Ma wykrywać „ciemne" asteroidy i komety, które odbijają bardzo mało światła widzialnego i są niewidoczne dla tradycyjnych teleskopów. ● **Piotr Cieśliński**

Andrzej rysuje

Cytat tygodnia

To, że tam pojechałyście i nie zaśpiewałyście hymnu, to szczyt hańby. Społeczeństwo i urzędnicy powinni traktować te kobiety jak zdrajców wojennych

Prezenter reżimowej telewizji o cichym proteście irańskich piłkarek przed meczem Pucharu Azji

Liczba tygodnia

1 RAZ

FOT. MICHAEL DWYER/AP/EAST NEWS

IgNoble – słynne nagrody dla badań naukowych „za to, co najpierw nas śmieszy, a potem każe myśleć", nie zostaną rozdane w ich ojczyźnie. Po 35 latach ceremonia przenosi się do Europy. „Nie możemy z czystym sumieniem prosić laureatów czy dziennikarzy, by przyjechali do USA" – wyjaśniają organizatorzy. Pogranicznicy potrafią deportować z lotniska naukowców przybywających na staże czy konferencje za krytyczny wobec administracji Trumpa wpis w serwisach społecznościowych.

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

SAFE, nasze być albo nie być

Nie mamy waszego F-35 i co nam zrobicie

Szkoda, że nikt w Pałacu Prezydenckim nie przyjrzał się liczbom, które o wojnie w Iranie publikuje rząd USA

Mazzini

Gdy Karol Nawrocki rozważał weto dla SAFE, nikt w Pałacu Prezydenckim nikt nie przyjrzał się liczbom, które publikuje Departament Bezpieczeństwa i dyrektor wywiadu USA. Statystyki odnoszą się do wojny z Iranem, ale pierwszy lepszy analityk wyczyta z nich, co czeka klientów polegających na zakupach w Ameryce.

Z punktu widzenia Waszyngtonu rozpoczęta 28 lutego wojna z Islamską Republiką Iranu – choć trafniej byłoby mówić o dołączenie na całego do pełzającej izraelskiej ofensywy – jest całkowicie opcjonalna, tak samo, jak wejście do Iraku 23 lata temu. Iran nie stanowi dzisiaj bezpośredniego zagrożenia dla bezpieczeństwa terytorium USA.

Reżim w Teheranie nie jest w stanie skonstruować pocisków międzykontynentalnych zdolnych do uderzenia we wschodnie wybrzeże Ameryki – co wielokrotnie potwierdzały raporty amerykańskich służb, również w czasie drugiej kadencji Trumpa. Iran nie ma też pełnej ofensywnej zdolności nuklearnej i od czasu ubiegłorocznej tak zwanej Wojny Dwunastodniowej nie jest w stanie rozwijać technologii balistycznych we wcześniejszym tempie.

Oczywiście zarówno irańska elitarna Gwardia Rewolucyjna, jak i formacje od niej zależne – Hezbollah, jemeńscy Huti czy zwykli komercyjni podwykonawcy, najemni terroryści – byliby w stanie przeprowadzić atak terrorystyczny w USA, kiedyś mieli zresztą w planach nawet zabicie Trumpa czy jego doradcy do spraw bezpieczeństwa, Johna Boltona, ale trudno ryzyko terrorystyczne nazwać „zagrożeniem dla państwa". Przecież podobne cele – uderzyć w Amerykę tak boleśnie, jak tylko się da – deklaruje tuzin grup i formacji terrorystycznych na całym świecie, a mimo to Pentagon nie decyduje się bombardować dzisiaj Kamerunu, Nigru, Somalii czy Filipin, choć wszędzie tam znaleźć można kogoś, kto z kałasznikowem w ręce wykrzykuje „Death to America".

Zagrożenie dla bezpieczeństwa istnieje, owszem, ale w przypadku Izraela. Sekretarz stanu Marco Rubio przyznał zresztą otwarcie, że USA dołączyły do tej wojny, bo wiedziały, że ofensywę szykuje premier Benjamin Netanjahu. Po ataku Izraelczyków Iran odpowiedziałby i kto wie, czy nie zaatakowałby amerykańskich bazy w Zatoce Perskiej. Co ostatecznie i tak robi.

Taka logika też jednak nie tłumaczy, po co Trump trzyma dzisiaj na Bliskim Wschodzie połowę siły ognia amerykańskiego lotnictwa i jedną trzecią potencjału ofensywnego marynarki. Bazy USA są doskonale wyposażone, poza tym jako wysunięte elementy architektury obronnej w tak niestabilnym regionie są niejako z definicji narażone na atak, przez cały czas. Nawet bojąc się ewentualnego odwetu Teheranu, nie trzeba na pomoc wysyłać im lotniskowców.

Żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, warto przejrzeć źródła eksperckie. Arms Control Association, istniejąca od 1971 roku niezależna organizacja badająca potencjały militarne na świecie, już po rozpoczęciu tej wojny opublikowała raport z jednoznaczną konkluzją: Iran nie miał i nie ma „balistycznej zdolności międzykontynentalnej". Biuro Dyrektor do spraw Wywiadu USA (DNI), kierowane przez nominatkę Trumpa Tulsi Gabbard, do tych samych wniosków doszło w ubiegłym roku. Dokumenty zamieszczone na stronie Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DHS), jeszcze do ubiegłego tygodnia kierowanego przez ulubienicę prezydenta Kristi Noem, potwierdzały te same ustalenia. W dodatku amerykańska administracja sama przyznawała, że wprawdzie Iran rozwija program balistyczny, ale sam pilnuje nałożonego w rozmowach z Waszyngtonem z 2015 roku limitu zasięgu dwóch tysięcy kilometrów. Stworzenie pocisku zdolnego dolecieć do terytorium Stanów Zjednoczonych zajęłoby Teheranowi jeszcze prawie dekadę.

Tymczasem Amerykanie dołączyli do wojny, która, wbrew triumfalistycznym ogłoszeniom prezydenta w serwisach społecznościowych i telewizyjnych wywiadach, okazuje się nie dość, że trudna, to, co gorsza, niewyobrażalnie droga w prowadzeniu.

Tylko w pierwszych pięciu dniach konfliktu zużyli 800 pocisków wystrzelonych z wyrzutni systemu Patriot – więcej niż Ukraina miała do dyspozycji przez cały okres pełnoskalowej wojny z Rosją. Jeśli dodać do tego pociski przechwytujące wystrzelone przez państwa Zatoki – na podstawie danych publikowanych przez ministerstwa obrony tych krajów, a także analizy think tanku Soufan Center – sojusznicy dochodzą już do czterocyfrowych liczb zużytych Patriotów.

Warto doprecyzować, jak taka obronna akcja przechwytująca wygląda. Na każdy irański element zagrożenia: pocisk czy drona, głównie taniego Szahida zużywa się co najmniej dwa pociski Patriot, żeby mieć możliwie największe szanse unieszkodliwić cel. Ale nawet przy dwóch pociskach nie zawsze się udaje, więc trzeba wystrzelić kolejną parę.

Soufan Center, bazując na danych DNI i DHS, a więc na informacjach od rządu USA, szacuje, że na jeden irański pocisk ofensywny przypada w tej wojnie średnio dwa i pół pocisku przechwytującego. Łącznie, według dostępnych informacji, Iran wystrzelił na państwa sprzymierzone z USA co najmniej 771 sztuk pocisków i rakiet, nie licząc dronów. Skonsumowało to niemal dwa i pół tysiąca pocisków przechwytujących. Nie wszystkie były Patriotami, bo kraje Zatoki mają też do dyspozycji inne systemy, ale nawet jeśli co drugi pochodził z amerykańskiej wyrzutni, wychodzi ponad tysiąc pocisków.

To jedna z kluczowych statystyk tej wojny. Bo pokazuje gigantyczną asymetrię kosztów i zużywanych zasobów po obu stronach. Produkcja Szahida kosztuje Iran między 20 a 40 tysięcy dolarów. Ich najpopularniejszy, najczęściej używany w tej wojnie pocisk, Fattah-2, to koszt 200 tysięcy. Natomiast jeden wystrzał z Patriota kosztuje 3,87 miliona dolarów, jak wylicza Instytut Współczesnej Wojny na West Point, najlepszej i najważniejszej amerykańskiej uczelni wojskowej. A trzeba to pomnożyć razy dwa, bo strzela się nimi w parach, więc amerykańską armię jedno przechwycenie Szahida albo Fattah-2 kosztuje 7,74 miliona dolarów. Państwa Zatoki płacą jeszcze więcej, bo ceny Patriotów dla wojska USA są niższe niż na tych eksport. Zewnętrzni klienci płacą średnio 6,25 miliona dolarów za pocisk – czyli 12,5 miliona za wystrzał. Sześćdziesiąt dwa razy więcej niż koszt broni ofensywnej, którą neutralizują.

Tak wygląda w praktyce bycie państwem, którego cała strategia obronna opiera się na kupowaniu uzbrojenia z USA. A mowa tylko o pieniądzach, pełne koszty i ryzyko jest dużo wyższe. Bo polegając wyłącznie na amerykańskich gwarancjach bezpieczeństwa, jest się skazanym na łaskę amerykańskich decydentów politycznych i, co gorsza, na moce przerobowe amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. W tej chwili, jak wynika z informacji DNI – czyli rządu USA – producent systemu Patriot, Lockheed Martin, jest w stanie dostarczyć na rynek 625 pocisków rocznie. To oznacza, że samo uzupełnienie strat w wyniku wojny w Iranie – całkowicie opcjonalnej, nie obronnej, egzystencjalnej czy jakoś strategicznie istotnej – potrwa 15 miesięcy. A mowa tylko o potrzebach armii amerykańskiej.

12,5 mln dolarów za jednego zestrzelonego drona. Tak wygląda wojenna rzeczywistość państwa, którego cała strategia obronna opiera się zakupach uzbrojenia od Amerykanów

Przemysł nie nadążał zresztą już wcześniej. W ubiegłym roku Center for Strategic and International Studies opublikowało raport, z którego wynikało, że zasoby pocisków przechwytujących w USA są poniżej jednej czwartej tego, czego Pentagon potrzebowałby do realizacji wszystkich planów militarnych. To akurat skutek decyzji administracji Bidena, która wiele tych pocisków przekazała Ukrainie – ale też awanturnictwa Trumpa, który wystrzelał część z nich w ubiegłym roku w czasie wojny 12-dniowej.

Problem nie dotyczy tylko Patriotów. Braki są również w systemie THAAD, który ma większy zasięg i przechwytuje rakiety na kilkukrotnie większej wysokości. Tych pocisków Amerykanie produkują zaledwie kilkanaście rocznie, a eksportowa cena każdego to 11 milionów dolarów.

Co gorsze, zaczyna ich już brakować nawet na Bliskim Wschodzie. „The Washington Post" poinformował w środę rano, że krótka wojna z Iranem zmusiła Pentagon do decyzji o relokacji części zasobów systemów THAAD z Korei Południowej do Zatoki Perskiej, a Patrioty przerzucane są tam z obszaru Indii i Pacyfiku.

Krótko mówiąc, Stany Zjednoczone już teraz znacząco ograniczają swoje zdolności militarne na obszarze strategicznie kluczowym, bo koniecznym do powstrzymania ofensywnych zapędów Chin. Nie wspominając już, że wystrzeliwując się z własnych zapasów, doprowadzają do opóźnień w realizacji kontraktów z krajami, które kupują od nich broń.

W serwisie POLITICO już w ubiegłym tygodniu kilkunastu dyplomatów z krajów sojuszniczych USA w Europie i Azji mówiło to samo – że znaleźli się w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia. Najpierw amerykańscy oficjele wywierali na nich gigantyczną presję, by ich państwa robiły dwie rzeczy jednocześnie: zwiększały budżety na obronność i wydawały je u amerykańskich producentów. Dość przypomnieć, że w tym samym POLITICO 23 lutego list otwarty krytykujący program SAFE, czyli instrument finansowy rozwijający europejską produkcję zbrojeniową, napisali Andrew Puzder i Matthew Whitaker – czyli amerykańscy ambasadorzy przy Unii Europejskiej i NATO. A teraz kraje, które ugięły się, żałują. Amerykańskie koncerny w pierwszej kolejności zaspokoją potrzeby armii amerykańskiej, potem Izraela, następnie bogatych krajów Zatoki Perskiej, Tajwanu – a dopiero potem Waszyngton weźmie pod uwagę potrzeby państw europejskich. Czyli dostarczy opłacony towar.

Amerykański sektor obronny jest w tej chwili na tyle niewydolny, że nie potrafi zaspokoić nie tylko całego globalnego zapotrzebowania na jego produkty, ale nawet dostarczyć już zamówionych. Jednocześnie amerykańska administracja robi wszystko, żeby przymuszać kolejne kraje do zakupów właśnie w USA – i najlepiej nigdzie indziej.

Przykłady, że prawie nikt nie ma gwarancji dostawy, można znaleźć właściwie wszędzie. To nie tylko Patrioty czy THAAD, ale też inny sprzęt premium z USA – F-35, których łącznie europejskie państwa NATO i Szwajcaria zakontraktowały ponad 660 sztuk. Problem w tym, że, jak wyliczają analitycy z West Point, każdy taki myśliwiec zawiera około 420 kilogramów metali ziem rzadkich. A aż 70 procent wszystkich tego typu surowców Stany Zjednoczone importują z Chin. W przypadku F-35 jest nawet gorzej, bo żeby ten samolot powstał i oderwał się od ziemi, potrzeba metali, które Ameryka z Państwa Środka importuje w stu procentach.

Łatwo sobie wyobrazić, co stanie się z dostawami i naprawami tych zamówionych przez Europę, w tym Polskę, myśliwców, jeśli Chiny zaatakują Tajwan, a Amerykanie będą jednak chcieli wyspy bronić.

Wszystkie te dane są publicznie dostępne. Wnioski nie wymagają analitycznego geniuszu. A jednocześnie właśnie teraz, kiedy Stany Zjednoczone nie nadążają z produkcją, a ich obietnice zbrojeniowe przypominają zamki na piasku, prezydent Polski i stojąca za nim opcja polityczna robią wszystko, by Polska kupowała sprzęt wyłącznie zza oceanu.

Nietrudno zgadnąć, jakie będą tego konsekwencje i kto je poniesie. A jeszcze łatwiej, kiedy je poniesiemy – nawet jeśli wojna z Iranem wkrótce się zakończy, to i tak szybciej, niż się komukolwiek wydaje. ● **Mateusz Mazzini**

eprasa.pl 8024f7c131

WAŻNY TEMAT

Ścieżka przez mękę

Rowerzyści na Moście Poniatowskiego w Warszawie (22.09.2025)

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak ułatwić życie kierowcom, utrudnić rowerzystom i móc pochwalić się nowoczesnym, przyjaznym miastem

Bartosz Wrześniewski

Limowe poranki rzadko kiedy bywają przyjemne. Wstajesz, gdy jest jeszcze ciemno. Za oknem breja. Huczy wiatr, pada deszcz, czasem śnieg. Szare niebo, mgła. Możesz zapomnieć o słońcu ogrzewającym twarz w drodze do pracy. Ale schodzisz wąskimi i stromymi schodami. Rower przypięty łańcuchem do barierki ginie wśród setek innych podobnych gratów, ale masz wprawę i bez trudu go odnajdujesz. Odpinasz kłódkę, zawijasz łańcuch wokół sztycy i ruszasz. W mgnieniu oka dołączasz do tłumu takich samych jak ty. Dzień jak co dzień w Amsterdamie.

Gdy skręcasz w Wibautstraat, tłum zmienia się w istną lawinę. Wzdłuż ruchliwej arterii wyznaczono oddzielny pas dla cyklistów. Szeroki, asfaltowy, z oddzielnymi światłami oznaczonymi ikoną roweru. Jest tak gęsto, że trudno kogokolwiek wyprzedzić.

Gdy kręcę się po Amstelveen, willowej dzielnicy dla bogatych Holendrów z równo przystrzyżonymi trawnikami, niemal pod każdym domem obok wypasionego Mercedesa lub Volvo stoi równie wypasiony rower. To styl życia. Powód do dumy. Większość jednośladów to konstrukcje miejskie rodzimej produkcji: Batavusy, Gazele, Uniony. Jedne stare lub w stylu vintage, inne ultranowoczesne, z futurystycznym designem i najdroższym osprzętem. Czasem trafi się kolarzówka, rzadziej „góral", już prędzej rower transportowy z wielkim koszem z przodu, w którym można przewieźć dziecko, a nawet małą lodówkę. Rowerowy mini van, równie zresztą kosztowny.

To dawniej mocno odróżniało Holandię od Polski. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu u nas rower górski był jedynym słusznym wyborem, jeśli chodzi o wypasiony – czytaj, lifestyle'owy – sprzęt, mimo że mało kto po górach na nim jeździł. Tak zwana koza albo „holender" – czyli właśnie rower miejski – zarezerwowana była dla ludzi starszych lub z prowincji i kojarzona bardziej z obciachem niż atrybutem hipstera. Bo przecież o hipsterach nikt wtedy jeszcze nie słyszał. Tak samo o Shimano Nexus, czyli bezobsługowych przekładniach, dynamie i hamulcach ukrytych w piaście koła. Miejski jednoślad to bida i nuda: rozklekotany peerelowski składak, którym emerytowana osiedlowa „złota rączka" turla się od niedrożnego zlewozmywaka do zepsutego domofonu, pod miastem przerdzewiała „ukraina" objuczona siatą z bazarowymi sprawunkami. Rowery szosowe, choć nie tak drogie, jak dziś, były zarezerwowane dla zawodowców i pasjonatów i mało kto poza robiącymi kilka razy w tygodniu po 100 kilometrów się nimi interesował.

To wszystko się zmieniło w okamgnieniu. Zaczęło się od mody na ostre koło i single speed, czyli jednobiegowe niby-kolarki, od których w pierwszej dekadzie nowego stulecia zaroiło się w większych miastach, zwłaszcza pod uczelniami. Wkrótce wybuchł szał na gravele, czyli mniej lub bardziej uterenowioną „szosę". A zapoczątkowane przez warszawskie Veturilo miejskie wypożyczalnie rowerów oswoiły ludzi z rowerami miejskimi czy użytkowymi i nikogo nie dziwi, że za taki z wyższej półki można zapłacić kilka, a nawet kilkanaście tysięcy. Nie mówiąc już o elektrykach!

Na ten rozwój kultury rowerowej od lat nakłada się i jednocześnie go napędza europeizacja miast. Ścieżki rowerowe samorządowcy z początku traktowali jako wyznacznik nowoczesności i coś, co wypada mieć tak jak zrewitalizowany deptak oraz aquapark. Gdy sieć ścieżek zaczęła się rozrastać, okazały się naprawdę potrzebne, zachęciły do przesiadki na rower, a rosnący ruch rowerowy sprawił, że w myśleniu urbanistów i urzędników stały się oczywistym elementem miejskiej infrastruktury, takim samym jak oświetlenie uliczne czy chodnik. Gminy i firmy poszły krok dalej i zaczęły uruchamiać parkingi rowerowe, co jeszcze uatrakcyjniło ten środek transportu.

Skutek: dawniej rower był traktowany głównie jako weekendowa forma atrakcji – pojechać z dziećmi do lasu w niedzielę albo zrobić formę w ramach przygotowań do maratonu MTB. Ktoś, kto dojeżdżał w ten sposób do pracy, był uznawany za dziwaka. Dziś, choć zdarza się, że jakiś kierowca jeszcze zatrąbi albo na forum ponarzeka „na tych cholernych rowerzystów", jeżdżenie rowerem do pracy czy po dzieci do szkoły stało się czymś przezroczystym.

I tu zaczynają się schody. Bo jeśli coś nie nadąża za tą trwałą już chyba zmianą nawyków i upodabnianiem się naszych miast do Amsterdamu, Berlina czy Londynu, to paradoksalnie właśnie podstawowy element rowerowej infrastruktury, od której boom się zaczął: ścieżki rowerowe.

„Od kiedy spłynęły śniegi, w mieście roi się od ekip sprzątających. Zamiatają chodniki, krawężniki, obrzeża jezdni. Po ulicach krążą myjki. A drogi rowerowe pokrywa warstwa piachu, liści lub kleistej mazi. Nie tylko te na peryferiach, rzadko uczęszczane. Wiadukty w sercu miasta, łączące centrum z Wolą, Żoliborzem, Bielana-

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

mi, eleganckie, jezdnie rowerowe wzdłuż Łazienek, Parku Saskiego, rowerostrada nad Wisłą wzdłuż Wisłostrady – nawet kluczowe trasy wyglądają jak lokalna wiejska droga, którą z pól kursują traktory. Wystarczy odrobina wilgoci, by rowerzysta zerkał na kierowców w korku z zazdrością. Bo oni jadą czystym, gładkim asfaltem – a jego pojazd i ubranie pokrywa wilgotny brud. Ale kiedy świeci słońce, nie jest lepiej. Bo piach zgrzyta w trybach, łańcuchu, sypie się do butów. Gdyż nie mówimy o paru ziarenkach, co spłynęły ze śniegiem z chodnika czy prysnęły z pobocza, tylko o grubej warstwie panierki. Efekt – po każdej podróży do pracy, szkoły czy na uczelnię i z powrotem, wypadałoby umyć i nasmarować rower, wyczyścić buty, wyprać spodnie. To tak, jak gdyby użytkownik samochodu musiał codziennie myć go i zmieniać olej.

Mijają tygodnie albo i miesiące, nim syf sam spłynie z deszczami. A już od października zabawa zaczyna się od nowa, ścieżkodrogi zaczynają pokrywać się cienkim, śliskim filmem z wilgotnego ulicznego pyłu, brudu spływającego z chodników, liści" – wylicza redaktor „Wyborczej" w felietonie „Przyszła wiosna, więc przesiadam się z roweru do samochodu".

„Bo ścieżki nie są robione po to, żeby nimi jeździć. Świadczy o tym i konstrukcja tych tworów, i sposób ich traktowania. Jest to robione tylko po to, aby rowerzyście nie przeszkadzali na ulicach kierowcom i żeby się pochwalić w mediach. Brak jakiegokolwiek utrzymania – zamiatania, odśnieżania, służą za parking, miejsca na składowanie wykopanej ziemi przy robotach drogowych". „Ja wolałem czasy, gdy nie było dróg rowerowych. Drogi ogólne są zawsze odśnieżane, sprzątane, a skrzyżowanie można pokonać na jednym cyklu świateł" – to czytelnicy w komentarzach. Ewidentnie weterani poruszania się rowerem po mieście.

•

A to tylko sezonowy wycinek kłopotu. Bo problem nie tylko w tym, jak ścieżki – formalnoprawnie zwane DDR-ami, od „droga dla rowerów" – są utrzymane (często zgodnie z zasadą – to kolejny czytelnik: „Ma być zbudowane, ale czy będzie użyteczne i używane, to nikogo nie obchodzi"), ale też, jak są zaprojektowane.

Jeśli chodzi o liczby, nie ma się do czego przyczepić, wręcz przeciwnie. Od 2011 do 2021 w miastach powstało ponad 2000 kilometrów dróg rowerowych, co oznacza wzrost o 143 procent – z 1430 do 3480 kilometrów. Najwięcej oddano do użytku w Kielcach, Katowicach i Opolu, a największą, najbardziej rozgałęzioną i najdłuższą siecią ścieżek rowerowych – obecnie ponad 800 kilometrów – może pochwalić się Warszawa. Która jest również najbardziej przyjaznym miastem dla rowerzystów według rankingu „TOP 9 rowerowych miast Polski" sporządzonego przez CentrumRowerowe.pl. Ale czy za ilością idzie jakość?

Oczywiście w centrum stolicy oraz w większości miast wojewódzkich na jakość infrastruktury rowerowej narzekać nie można. Ścieżki w większości są szerokie, odpowiednio oznakowane i wyraźnie oddzielone od chodnika. Niestety, im dalej od centrum, tym gorzej, a i w nim zdarzają się wpadki. Jak choćby na Dolnym Mokotowie, zresztą w okolicach siedziby „Wyborczej". Ulica Czerniakowska między Gagarina a Chełmską. Z jednej strony wygodna ścieżka rowerowa, a z drugiej... Do niedawna chodnik i parking, więc nie bacząc na intensywny ruch, rowerzyści jechali jezdnią. Trzy pasy – wszyscy się zmieszczą. Ale od zeszłego roku nie mogą, bo oto dostali ścieżkę rowerową. Z dnia na dzień. Jak relacjonuje znajomy rowerzysta: „Chodnik z koślawych płytek, przystanek, dziury, ludzie plączący się tam, z powrotem i w poprzek, bo dojścia z bloków, kiosk, parkujące samochody, cofający kurierzy, wyjazdy z biurowców. Ale ścieżka jest, czyli jedź, rowerzysto, kuriozalnym torem przeszkód". Ścieżka powstała z dnia na dzień – poprzez wbicie palików ze znakiem „ciąg pieszo-rowerowy".

To wyjątkowe kuriozum, ale na DDR-ach zbudowanych zgodnie ze sztuką też diabeł tkwi w szczegółach. Teoretycznie wszystko jest, jak trzeba: wydzielony pas, świetna nawierzchnia, śluzy rowerowe, wyraźne oznakowanie, sygnalizacja. Ale dziwnym trafem tam na wyremontowanych ulicach w wielu miejscach czerwone dla rowerów zapala się znacznie wcześniej niż dla samochodów. Przed rewitalizacją cykl świateł był taki sam dla obu jezdni – samochodowej i rowerowej, po rewitalizacji – rowerzysta staje na czerwonym, a równolegle samochody suną i suną. Niby drobiazg. Ale jeśli DDR-y mają być zachętą do przesiadki z samochodu na rower, to wydłużenie podróży zamiast ułatwienia i skrócenia.

1 RP

– Ja wolałem czasy, gdy nie było dróg rowerowych. Drogi ogólne są zawsze odśnieżane, sprzątane, a skrzyżowanie można pokonać na jednym cyklu świateł

A co dopiero powiedzieć o miejscowościach satelitarnych podwarszawskich, podwrocławskich, podkrakowskich... Ścieżki są wąskie, często nie wiedzieć czemu kluczą raz z lewej strony chodnika, raz z prawej, bo przystanek, bo kiosk albo tak – nie mówiąc o „przeskakiwaniu" ścieżki z jednej strony drogi na drugą, co oznacza zaliczenie kilku albo i kilkunastu dodatkowych świateł względem kierowców jadących prosto.

Co gorsza, nadal popularna jest – nikt nie zna odpowiedzi, czy dlatego, że szwagier wójta ma wytwórnię, czy łatwiej i taniej ją położyć – kostka brukowa, a na zjazdach i skrzyżowaniach mikrokrawężniki. Swoją drogą, zaakcentowane jedno- czy dwucentymetrowym krawężniczkiem łączenia jezdni z chodnikiem na przejazdach poprowadzonych obok przejść dla pieszych to wciąż również przypadłość dużych miast – choć niezgodna z normami i taka DDR nie powinna przejść odbiorów.

W takim wypadku o płynności jazdy w ogóle możemy zapomnieć, o czerpaniu z niej przyjemności nie mówiąc. Rowery wciąż w większości nie są wyposażone w amortyzację, która zresztą dla wielu jest dodatkową komplikacją i zaprzeczeniem idei roweru jako pojazdu maksymalnie prostego i bezawaryjnego.

Vox populi, vox dei, więc oddam jeszcze głos czytelnikowi: „No i oczywiście światła. Tam, gdzie samochody przejeżdżają na jednych światłach czy wręcz bez świateł (zielona strzałka), rowerem trzeba czekać na kilku zmianach. Nie wspominając o takich ułatwiaczach, jak guziki do świateł. Nie naciśniesz – nie pojedziesz. Na drodze równoległej dla samochodów zapala się zielone, dla rowerów i pieszych – nie. Czemu? Bo tak".

O wiele przyjemniej i sprawniej jechałoby się ulicą... Jednak prawo zabrania, bo obok mamy ścieżkę! Dochodzimy do kuriozalnej sytuacji, w której wzrost ilości ścieżek rowerowych, zamiast ułatwiać życie rowerzystom – utrudnia je. Można odnieść wrażenie, że samorządy niekiedy ułatwiają sobie sprawę i idą na skróty. Aby w sprawozdaniach i materiałach marketingowych pochwalić się dużą ilością ścieżek rowerowych w gminie, dzielą chodnik na pół wymalowaną linią i cyk, ścieżka gotowa.

•

Myślami wracam często do Amsterdamu. I zastanawiam się, czemu tam tak to wszystko pięknie działa, mimo że rowerzystów na kilometr kwadratowy jest wielokrotnie więcej niż u nas? Inna kultura? Czy lepsze rozwiązania projektowe? Przykład z warszawskiej Czerniakowskiej jest tutaj w punkt i dobrze pokazuje istotę problemu. W Holandii bowiem rower traktowany jest jako pojazd na równi z samochodem, a nawet faworyzowany. U nas jeszcze panuje przekonanie, że rower to element obcy na drodze, który przeszkadza, spowalnia ruch, stanowi zagrożenie dla innych i samego rowerzysty. Stąd za wszelką cenę pcha się rowerzystów na oddzielone krawężnikiem i pasem zieleni lub miejscami parkingowymi osobne ciągi – rzecz jasna biegnące wzdłuż chodnika – gdy w Holandii często ścieżka rowerowa to po prostu wydzielony pas jezdni na wzór naszego pobocza.

Zalety? Piesi nie plączą się z gapiostwa lub niewiedzy po ścieżce. O tych przekraczających ścieżkę celowo, bo jakoś muszą się dostać do zaparkowanego samochodu, nie mówiąc. Dlaczego u nas tak się nie da? Zapytałem Łukasza Puchalskiego – w końcu kto jak kto, ale dyrektor stołecznego Zarządu Dróg Miejskich, pełnomocnik prezydenta Warszawy do spraw komunikacji rowerowej i były pełnomocnik w Ministerstwie Infrastruktury do spraw rozwoju ruchu rowerowego powinien wiedzieć najlepiej.

– Holandia działa na podstawie holenderskich przepisów, ma doświadczenia oraz historię i kulturę mobilności. Jest słusznie stawiana za wzór, ale nie jest to wzór, który można od ręki i bezrefleksyjnie skopiować w każdym środowisku i w każdych okolicznościach. W Polsce wszystkie te elementy są inne i trudno jeden do jednego z sukcesem odtworzyć tamtejszą organizację ruchu. Na pewno można powiedzieć, że tam dominuje infrastruktura jednokierunkowa, a w Polsce buduje się głównie trasy dwukierunkowe.

Przy szerokich ulicach o dużej liczbie celów podróży bardzo przydatne są właśnie trasy rowerowe dwukierunkowe umieszczone po obu stronach ulicy. To też typ infrastruktury, który po prostu dominuje w Polsce od zawsze i do którego użytkownicy są po prostu przyzwyczajeni.

Polska i Holandia mają nieporównywalne wskaźniki bezpieczeństwa ruchu drogowego. Nasz kraj zrobił duży postęp, ale wciąż wiele nas dzieli. Liczba wypadków, w tym śmiertelnych, jest zdecydowanie za duża. Trudno w takiej sytuacji z pełną odpowiedzialnością systemowo zapraszać rowerzystów na jezdnie, dlatego stawia się na infrastrukturę odseparowaną od ruchu samochodowego.

Ale czy ciągi pieszo-rowerowe nie stwarzają więcej zagrożeń niż pożytku? Już mniejsza o komfort jazdy, ale co z bezpieczeństwem pieszych?

Łukasz Puchalski: Ciąg pieszo-rowerowy nie jest tym samym, co chodnik, nie można stawiać między nimi znaku równości. Parametry CPR, w tym przede wszystkim minimalną szerokość, określają przepisy. Co do zasady dla ciągu dwukierunkowego nie powinno to być mniej niż trzy metry, chodnik zaś może mieć minimum półtora metra. Warszawa dodatkowo narzuca sobie standard, aby budować je z nawierzchni asfaltowej.

Ciągów pieszo-rowerowych mamy w stolicy stosunkowo mało, jedynie 15 procent całej sieci tras, nie jest to też główny typ nowo powstającej infrastruktury. Ich stosowanie powinno być przede wszystkim zależne od natężenia ruchu pieszego i rowerowego, zmierzonego lub prognozowanego. Jednak często trudna sytuacja terenowa sprawia, że to jedyne rozwiązanie. Zdarza się też wdrażanie ciągów pieszo-rowerowych jako rozwiązania doraźnego, do czasu większej przebudowy.

A może ścieżki powinni projektować ludzie czynnie jeżdżący na rowerach, a nie drogowcy, którzy mogą niekiedy po staremu traktować rowerzystę jako zło konieczne, element obcy na drodze, kogoś, kogo należy ujarzmić? Czy nie po to stosuje się liczne elementy zwalniające, zakola i barierki? To byłoby też jakieś wyjaśnienie tajemnicy ścieżek kluczących z jednej na drugą stronę chodnika.

– Kryteria wygody czy spójności są trudne do wpisania wprost w specyfikację projektu, każdy może je inaczej rozumieć. Potrzebna jest przede wszystkich wiedza, świadomość dobrych praktyk i odpowiednia kultura organizacyjna wśród zarządców dróg, osób opiniujących projekty oraz projektantów. Owszem, przejawem braków w tym zakresie są na przykład trasy, które co chwilę zmieniają stronę. W Warszawie to wszystko są zaszłości historyczne.

Projektant jest ważnym ogniwem, ale najważniejszym są osoby decyzyjne, czyli politycy dający zielone światło i środki finansowe, zarządcy dróg zlecający projekty według swoich wytycznych oraz szereg osób i instytucji, które te projekty opiniują i zatwierdzają. Projektant może podejść do zadania w sposób mniej lub bardziej kreatywny, ale na koniec dostarcza produkt, który został zamówiony, i wdraża do niego poprawki, które klient zgłosi. Więc świadomy musi być klient, czyli samorząd oraz jednostki rządowe.

Obecnie w Polsce wciąż można zrobić projekt, który będzie jednocześnie zły i całkowicie legalny. I tu wracamy do kwestii ich przeregulowania. Powinniśmy iść w drugą stronę, aby na koniec nikt – ani projektant, ani zarządca drogi, ani zatwierdzający organizację ruchu – nie mógł chować się za przepisami. Ekspertem musi być samorząd, którego pracownicy mają codzienną praktykę. Różne ulice potrzebują różnych rozwiązań.

Czy zatem zły projekt, który został zatwierdzony i wykonany, można zaskarżyć?

– Polskie prawo rozdziela role zarządcy drogi i organu zarządzającego ruchem. Kto inny przygotowuje projekt lub go zleca, a kto inny zatwierdza go jako poprawny i gotowy do realizacji. Nie jest się sędzią we własnej

do 1

MLN.

• od 500 tys. do 1 mln zł to średni koszt kilometra asfaltowej ścieżki rowerowej o przepisowej szerokości 2,5 m. – bez pozostałej infrastruktury w rodzaju stojaków rowerowych czy oświetlenia.

eprasa.pl 8024f7c131

sprawie. Projekty organizacji ruchu są też szeroko opiniowane, między innymi przez policję. System jest więc tak skonstruowany, że nie powinno dochodzić do zatwierdzania projektów w sposób oczywisty i elementarnie niezgodnych z prawem. Polskie prawo oczywiście przewiduje możliwość zgłoszenia przez obywatela skargi na organizację ruchu.

Im więcej jest rowerzystów, tym są bezpieczniejsi. Ruch rowerowy wzrasta zaś dzięki rozwojowi sieci tras. Ten system więc sam się zabezpiecza. Ruch rowerowy rośnie, a liczba zdarzeń z udziałem rowerzystów utrzymuje się na zbliżonym poziomie. Nie ma w tym przypadku. Warszawa od wielu lat ma własne wytyczne projektowe: minimalna szerokość dwukierunkowej drogi dla rowerów to 2,5 metra, a nawierzchnia powinna być asfaltowa. Po wielu latach przepisy ogólnokrajowe doszły w niektórych punktach – przede wszystkim w kwestii szerokości tras – do standardów warszawskich – mówi Puchalski.

A ile to wszystko kosztuje?

Średni koszt budowy drogi rowerowej w Polsce o przepisowej szerokości 2,5 metra to pomiędzy pół miliona a milionem złotych za kilometr (bez ewentualnej ceny wykupu gruntu czy oświetlenia), ale najbardziej wypasione ścieżki w centrach miast mogą kosztować kilkukrotnie więcej. Niespełna kilometr drogi pod Halą Mirowską przy ulicy Jana Pawła w Warszawie pochłonął 10 milionów złotych, choć już „pod klucz", z nasadzeniem drzew i kompletem innych elementów miejskiej infrastruktury.

Poza drogą i majętną Warszawą projekty i wykonawstwo wcale nie muszą być tańsze. Przykładem planowane połączenie Gliwic z zalewem w Czechowicach. Średni koszt kilometra ciągu pieszo-rowerowego szerokości trzech metrów, oddzielonego od chodnika pasem zieleni – co prawda ze stojakami rowerowymi, nowymi wiatami przystankowymi, zatokami autobusowymi w cenie – to 8,8 miliona złotych. Cały odcinek ma 5 kilometrów.

Co ciekawe, nawierzchnia asfaltowa jest dużo tańsza – nawet dwukrotnie – zarówno w budowie, jak i eksploatacji niż znienawidzona przez rowerzystów kostka brukowa.

●

Po takiej pigule teorii pora na praktykę – na najszybszym typie roweru. Rowerowym Ferrari, bo DDR-y powinno oceniać się z najbardziej wymagającego użytkownika – szybkiego i na lekkiej, delikatnej maszynie. W końcu w rowerze chodzi również o prędkość i endorfiny, nie tylko o mozolne przemieszczenie się z punktu do punktu, prawda? A uprzedzając rady, które niekiedy słyszę od znajomych: „narzekasz, że szosówka nie daje rady na naszych ścieżkach, ale to twój wybór, że chcesz jeździć twardym, sztywnym rowerem na cienkich oponkach. Kup se górala albo porządnego holendra i po sprawie" – to tak, jakby kierowcy nisko zawieszonej osobówki narzekającemu na kiepską nawierzchnię poradzić, żeby przesiadł się do podwyższonego SUV-a na uterenowionych oponach.

Kask na głowę, w opony wciśnięte po 8 barów, tyłek wciśnięty w lajkrę, stopy w sztywne jak deska buty z karbonową podeszwą z przykręconymi plastikowymi blokami do wpinania w pedały zatrzaskowe dla lepszego transferu mocy, w tylnej kieszonce bluzy dwa batony i zestaw kluczy.

Najbogatszy i najszybciej rozwijający się powiat podwarszawski. Miasta-ogrody z willami. Aktorzy, celebryci i ludzie biznesu. Miasto powiatowe 35 tysięcy mieszkańców, 30 kilometrów ścieżek rowerowych – powinno więc być dobrze. Ruszam główną ulicą z centrum. Wzdłuż niej ścieżka rowerowa. Ale mam wrażenie, jakbym po prostu jechał chodnikiem. Jest wąsko, piesi niekiedy wchodzą na ścieżkę. Nie da się rozwinąć sensownej prędkości, a jeśli już się uda, zaraz trzeba hamować, bo znów piesi albo uskok, bo wjazd na posesję.

Objechałem cały powiat i ścieżki nadające się do jazdy rowerem szosowym to rzadkość.

• **Warszawa, Al. Reymonta: centymetrowy rynsztok, krawężniczek, garby przy szynach, kolejny rynsztok i krawężniczek.**

• **Warszawa, ul. Andersa: Nowiutka ścieżka – od momentu oddania do użytku pokryta śliskim piachem, błotem lub śliskimi liśćmi.**

Żadna z nich nie jest tak komfortowa jak ulica, bo nawet jeśli mamy asfalt wyraźnie oddzielony od chodnika, to i tak zazwyczaj jest za wąsko (poniżej przepisowych dwóch metrów), a ścieżka meandruje, raz z lewej, raz z prawej strony drogi. A więc podróż to ciągłe przyspieszanie i hamowanie albo przemieszczanie się stałą, niewysoką prędkością rzędu 15-20 kilometrów na godzinę. I nie chodzi o fanaberię kolarza amatora, który chce sobie potrenować. Powolny *cruising* jest świetny podczas weekendowej rodzinnej wycieczki, ale ścieżki mają przecież służyć do codziennej, szybszej i sprawniejszej niż samochodem, komunikacji – do szkoły, pracy, na studia.

Nie inaczej jest w innych znanych mi miejscowościach w okolicy Warszawy, trudno się więc spodziewać, że gdzieś głębiej w Polsce będzie lepiej.

Moją intuicję potwierdza założyciel Fundacji Na Rowerze Sebastian Gruszka, w której zajmuje się edukacją i bezpieczeństwem cyklistów: – Wciąż w polskich miastach możemy spotkać drogi rowerowe starego typu – wąskie na metr lub półtora, wykonane z kostki typu polbruk, które niewiele mają wspólnego z drogą rowerową przyjazną rowerzyście. A droga rowerowa przyjazna rowerzyście to taka, która zapewnia komfortową podróż rowerem dowolnego typu, czyli także szosowym, i dostosowana do prędkości, jaką można legalnie rozwinąć rowerem elektrycznym, czyli 25 kilometrów na godzinę, jako minimum.

Prędkość przeciętnie dysponowanego rowerzysty na szosówce oscyluje w granicach 30-40 kilometrów na godzinę. Wyobrażacie sobie jazdę czterdziestką dwukierunkową ścieżką szerokości półtora metra poprowadzoną wzdłuż chodnika, ze skrzyżowaniami akcentowanymi rynsztokiem lub centymetrowym krawężnikiem, na którą co rusz wchodzą piesi, co jakiś czas wystają maski zaparkowanych samochodów, a tu i ówdzie wyrasta palik?

Trudno nie uznać, że niektóre osoby projektujące i budujące ścieżki rowerowe mają w głowie obraz roześmianej, niespiesznie sunącej rodziny na trekkingowych rowerach, rodem z folderów promujących walory turystyczne regionu. Albo mieszkańca objuczonego torbami z Biedronki, który wraca z zakupów do domu. Wziął rower, bo szybciej niż na piechotę, i jakoś przejedzie te kilka kilometrów po ścieżce, która bardziej jest chodnikiem niż trasą rowerową z prawdziwego zdarzenia. Taki rowerzysta to jakby pieszy, tyle że na sterydach. Niby ma pojazd, ale nawet osiągnięcie prędkości biegacza bywa dlań problemem. Takiemu rowerzyście jest właściwie wszystko jedno, jak zaprojektowano ścieżkę, gdyby jej nie było, to jechałby, jak dawniej, chodnikiem. Sęk w tym, że rowerzysta szybki nie może zeskoczyć na jezdnię, bo przepisy obowiązują każdego tak samo – zakaz jazdy ulicą, gdy obok jest ścieżka.

Tymczasem rower szosowy oraz elektryczny porusza się z prędkością zbliżoną do przepisowo jadącego samochodu – i trudno mieć do ich użytkowników pretensje znane z forów pod tekstami o konfliktach rowerzystów z kierowcami, że „pędzą", „urządzają sobie wyścigi" i „trudno ich dostrzec na skręcie, tak szybko nadjeżdżają, z zaskoczenia". Przecież nie po to przesiadam się z samochodu na rower, żeby pokonanie 30 kilometrów z domu do pracy zajęło mi półtorej godziny zamiast 40 minut. No i jakoś skuterów, niewiele większych, a szybszych od roweru, nikt się nie czepia i udaje się je dostrzec.

●

Jakby jej inspektorzy wyczuwali frustrację rowerzystów – jakością krajowych dróg dla rowerów zajęła się Najwyższa Izba Kontroli. Raport z 2023 roku „Utrzymanie i rozwój miejskich sieci infrastruktury rowerowej" opisuje wnioski z kontroli losowych odcinków ścieżek w 10 wybranych miastach. W dziewięciu wykryto nieprawidłowości dotyczące między innymi niewłaściwej szerokości pasów ruchu, występowania progów i uskoków przekraczających dopuszczalną wysokość 1 cm oraz „niezapewnienia oznakowania drogowego zgodnego z przepisami lub projektem organizacji ruchu". Raport podsumowuje smutna konstatacja: „Mimo szeregu inwestycji w ostatnich latach stan infrastruktury rowerowej w naszym kraju nadal jest na niewystarczającym poziomie i mamy jeszcze sporo do nadrobienia. Poważnym wyzwaniem dla samorządów jest utrzymanie tras rowerowych w należytym stanie, co nie pozostaje bez wpływu na bezpieczeństwo i komfort rowerzystów. W niektórych skontrolowanych zarządach dróg przy realizacji inwestycji przyjęto rozwiązania nieodpowiadające obowiązującym przepisom".

To jeszcze czytelnik: „Taki twór drogopodobny nie nadaje się do jazdy komunikacyjnej, ewentualnie do spacerów, ale po co wtedy budować kosztowną infrastrukturę? Wystarczy zezwolić ogólnie na jazdę chodnikami, będzie identycznie, a taniej. Zaoszczędzone pieniądze można przeznaczyć na budowę prawdziwych dróg rowerowych, na przykład poszerzając prawy pas".

Podbudowany świadomością, że nie jestem czepialskim frustratem, moje rozpoznania potwierdzają i inni praktycy, i majestat państwa, próbuję kontynuować jazdę, uważając na pieszych i dostosowując prędkość do sytuacji.

Zamiast rozwinąć treningowe – a na co dzień praktyczne, na kilkunastokilometrowym dystansie dające czas zbliżony do jazdy samochodem z uwzględnieniem korków – 25 kilometrów na godzinę, muszę ograniczyć się do 10, no bo trzeba ominąć przystanek, kałużę, psią kupę, zaparkowaną hulajnogę albo ktoś wchodzi na ścieżkę. Co chwila więc zwalniam i przyspieszam. Upiorne, gdy człowiek jedzie do pracy albo ze szkoły – a ja wyskoczyłem potrenować. I – znów uprzedzając krytykę – jeśli to mój problem, bo „uprawianie kolarstwa nie jest prawem człowieka", to prawem człowieka nie są również maratony uliczne, bieganie czy rodzinne wycieczki rowerowe.

Taka jazda nie ma nic wspólnego z treningiem, w którym chodzi o to, aby jechać ze stałą prędkością i równą kadencją, czyli liczbą obrotów korbą na minutę. Utrzymywanie wysiłku na stałym poziomie, równy oddech, walka z oporami powietrza. A tu hyc, studzienka, cyk, pieszy, ups, nagle ścieżka z niewiadomych przyczyn zaczyna kluczyć, z lewej strony drogi na prawą i z powrotem. Kawałek prostej i rynsztoczek na skrzyżowaniu, niezbędny, bo deszcz jakoś musi spływać z jedni i chodnika, ale nie da się, no nie da, wyprofilować go lekkim zagłębieniem asfaltu, konieczny jest pas kostki, dwucentymetrowe zagłębienie i krawężnik z kostki. Więc ponownie wytracam prędkość niemal do zera. Za chwilę jakaś para jedzie obok siebie całą szerokością ścieżki w słuchawkach na uszach. A gdy już stanąłem w pedałach, przede mną matka z dzieckiem, które biega swobodnie i zastanawiam się, czy zaraz nie wpadnie mi pod koła. Wystarczy!

Zjeżdżam na jezdnię. W końcu mogę odetchnąć! Asfalt równiutki, bez dziur. Nie ma pieszych. Nie ma krawężników ani wystających studzienek. Skrzyżowania to po prostu przecinające się pasy gładkiej nawierzchni, bez szlaczków z kostki i rynienek z polbruku na złączeniu jezdni. Po co tym samochodom amortyzatory?

Pędzę przed siebie, ile sił. Tętno skacze do 160, prędkość 35 na godzinę, pochylam się bardziej nad kierownicą. I mogę tak jechać i jechać, bez żadnych przeszkód, aż do następnego miasta i pierwszych świateł. No, chyba że akurat trafię zielone! Czasem ktoś zatrąbi, inny otworzy okno i zawoła wesoło w ramach pozdrowienia: „Debilu, nie masz ścieżki!?". Ano tak się składa, że nie mam. – To jest chodnik przemalowany na ścieżkę – odpowiadam w myślach, bo to zdanie jest za długie, aby wykrzyczeć je do kierowcy.

Tak, wiem, że jadę niezgodnie z prawem. I uwiera mnie świadomość, że utrudniam życie kierowcy mniej poradnemu czy takiemu, który akurat miał zły dzień. Jednak zdrowy rozsądek wygrywa. Kontynuowanie jazdy wśród pieszych jest niekomfortowe, wręcz niebezpieczniejsze nie tylko dla mnie, również dla nich.

W myślach układam już tekst, który wypowiem w razie kontroli. Ta ścieżka jest nielegalna! Według ustawy minimalna szerokość ścieżki dwukierunkowej to 2 metry, a ta tutaj nie ma nawet półtora. – To fake! Symulakrum – wykrzyczę niczym Baudrillard. Te ścieżki nie są dla ludzi, to tylko makieta. Pamięta pan/pani władzo, te kartonowe domy z „Misia" symulujące teren zabudowany? Ta ścieżka również jest z kartonu! 10 lat temu tutaj był chodnik. Taki sam, gdzieniegdzie nawet ten sam, tylko kolor miał inny, bo szary, i znaku nie było. Chodnikiem według prawa jeździć nie wolno. A teraz nagle co się zmieniło, że już wolno? A gdyby tak pana matka tym chodnikiem...

Cedzę w myślach wyimaginowane zdania do wyimaginowanego policjanta i mam nadzieję, że to wystarczy. Jutro jednak wybiorę inną trasę. Byle jak najdalej od ścieżek rowerowych!

To oczywiście historia zmyślona, aby ukazać sedno problemu. Redakcja nie nakłania nikogo do łamania prawa i jazdy rowerem ulicą, gdy obok jest ścieżka. Sugerujemy jedynie włodarzom gmin i powiatów oraz zarządcom dróg, aby zastanowili się dwa razy, zanim oddadzą do użytku jakąś drogę dla rowerów z pomocą zwykłego chodnika i puszki farby. ●

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

„Lokomotywa” Czarnka

Oto Duda i Nawrocki, mechanicy taboru kolejowego, naoliwili pociąg dużych prędkości. Stoi na stacji, dyszy, sapie i czeka na wynik kolejnych wyborów.

Michał Rusinek

Na terenie dzisiejszej Turcji płynie rzeka Menderes, niegdyś po grecku zwana Maiandros. W mitologii greckiej Maiandros był synem Okeanosa i Tetydy, choć Pseudo-Plutarch twierdzi, że ta nazwa wywodzi się od pewnego króla, który nieumyślnie zabił rodzinę i w rozpaczy rzucił się do rzeki.

Ponieważ rzeka ma niezwykle kręty bieg, więc jej nazwa stała się metaforycznym określeniem skomplikowanych graficznych wzorów, np. tzw. klucza greckiego, charakterystycznego dla ornamentów antycznych. Meander przeszedł także do języka potocznego i stał się synonimem podążania okrężną drogą, czyli meandrowania. Meandruje rzeka, która ma wiele zakrętów, ale metaforycznie meandrować może także np. rozmowa, kiedy odnosi się do różnych zagadnień w ten sposób, że jej wątki nieustannie się zmieniają.

Do tej pory meandrować mogło tylko coś – realnego lub metaforycznego – ale Wyborcza doniosła, że meandrować można też czymś, pod warunkiem, że jest się Jarosławem Kaczyńskim. Z artykułu Agaty Kondzińskiej dowiedzieliśmy się, że pewien anonimowy niestety „ważny polityk PiS” powiedział, że „szef robi to, co lubi najbardziej, meandruje nazwiskami” kandydatów (i być może kandydatek) na premiera.

Nie można wykluczyć, że nerwy z powodu „ulubionej strategii” czy „gry” Kaczyńskiego powodują, że politykom PiS-u miesza się metaforyka. Być może „ważny polityk” chciał powiedzieć, że Kaczyński „żongluje” nazwiskami, ale ten cyrkowy, wręcz klauniarski i nieprzystający do powagi „szefa” obraz uznał za niestosowny, w przeciwieństwie do dostojnego, antycznego meandrowania, które zyskało nowe znaczenie i połączenie składniowe.

Oto jednak w zeszłą sobotę Kaczyński zaprzestał meandrowania i ogłosił nazwisko kandydata na premiera: Przemysława Czarnka. Ten od razu zmienił metaforykę na kolejową i przyspieszył tempo. Ogłosił mianowicie, że „my teraz po prezydencie Andrzeju Dudzie i po prezydencie Karolu Nawrockim [...] wsiadamy do tego znakomicie naoliwionego i znakomicie przygotowanego polskiego pociągu szybkich prędkości po to, żebyśmy my wszyscy wygrali Polskę i wygrali dla Polski [...]. Słyszałem, że mam być maszynistą w tym pociągu, ale kierownikiem pociągu jest i będzie prezes Jarosław Kaczyński”.

Słuchając wystąpienia kandydata na maszynistę mieliśmy wrażenie obcowania z nową, nierymowaną wersją „Lokomotywy” Juliana Tuwima. Oto Duda i Nawrocki, mechanicy utrzymania taboru kolejowego, naoliwili polski pociąg dużych prędkości (prędkość nie może być szybka). Stoi na stacji, dyszy, sapie i czeka na wynik kolejnych wyborów parlamentarnych. Jeśli zwycięży PiS – ruszy maszyna po szynach. Ma „świetne rozwiązania i jest świetnie przygotowany do odpowiedzi na tę brutalną rzeczywistość, w której dzisiaj znajdują się Polacy” – przekonywał kandydat, co chyba oznacza, że wagony są „wielkie i ciężkie, z żelaza, stali”.

A skoro u Tuwima było tylko „pełno ludzi w każdym wagonie”, to u Czarnka musiało być tłumniej: „Wszyscy mają swoje miejsce, całe Prawo i Sprawiedliwość”. Czyli to nie jest pociąg polski, w którym znajdą się przedstawiciele wszystkich grup zawodowych, ale przedstawiciele wszystkich frakcji, na które PiS popękał: pociąg zgody ogólnopisowskiej.

„A dokąd? A dokąd? A dokąd? Na wprost!”, czyli – u Czarnka – pociąg ten będzie „jechał po zwycięstwo dla Polski”. U Tuwima panuje porządek – w pierwszym wagonie krowy, w drugim konie, „a w trzecim siedzą same grubasy,/ siedzą i jedzą tłuste kiełbasy” – to i u Czarnka musi być ordnung: „Na pierwszych miejscach muszą siedzieć ludzie doświadczeni w różnych okolicznościach, ludzie z ogromną wiedzą, ludzie, którzy pokazali, że można, że trzeba, że da się, nawet w trudnych warunkach. Nasi wspaniali premierzy: Beata Szydło i Mateusz Morawiecki. W tym pociągu ma również miejsce kobieta wspaniała [...]: Elżbieta Witek”.

W kolejnych wagonach już nie siedzą działacze PiS-u, ale „normalni Polacy” („Polak normalny to jest zwykły Polak”), czyli np. „rolnik, który wstaje skoro świt, oprząta zwierzęta – atakowany przez lewactwo europejskie, brukselskie”, pielęgniarka, kierowca, lekarz, przedsiębiorca, także kolejarz (postaci skądinąd z socrealistycznych czytanek). Polacy normalni to Polska prawdziwa: „ A Polska prawdziwa, to jest ta, która pracuje, która buduje, która wychowuje dzieci, która chroni nasze bezpieczeństwo, która ratuje życie” (znów socrealizm). Polak normalny „to jest mama i tata, babcia i dziadek”. U nas bowiem „jakoś nie przyjęły się półbaby, półchłopy, ćwierćbaby, ćwierćchłopy. Nie ma innych płci, jest kobieta i mężczyzna”, czyli mąż i żona. Nie to co w pociągach brukselskich, gdzie są pasażerowie nienormalni: np. para dwóch mężczyzn. Niedługo będzie nowy rodzaj rodziny: „czterej pancerni i psiecko” – zażartował Czarnek wzbudzając normalny rechot.

W pociągu jest promocyjne miejsce dla kobiet, bo ważna jest dzietność, a „dzieci rodzą się, kiedy się promuje kobietę”. To „Tusk i lewaczki od Czarzastego urządzają w Polsce piekło kobiet”, a my, mówił Czarnek, „uczyniliśmy kobietę, Matkę Bożą, królową Polski, więc wiemy, jak się dba o kobietę. Nie wiedzą tego lewacy, którzy krytykują i negują polską, chrześcijańską rzeczywistość”. A to „kobietom zawdzięczamy polskość, bo polskie kobiety wychowywały polskich patriotów”. Słowem – to kobiety są żelaznymi belkami, na których stoi polska armata – „o! jaka wielka!”.

W kolejnym wagonie nie ma bananów, ale ma być polski węgiel, który jest „normalny”, natomiast nie ma miksu energetycznego, który jest „nienormalny”. Bo „ma być normalnie”, a państwo jest „dla normalnego obywatela”. Dla obywatela i obywatelki, którzy od zarysowanej przez Czarnka normy odstają – już nie.

Na koniec były jeszcze wypisy z Asnyka, ale już raczej skierowane do wspomnianych frakcji w PiS-ie: „Przestańmy własną pieścić się boleścią. Miejmy nadzieję, nie tę lichą marną. Miejmy odwagę, nie jednodniową”, bo przed nami kolejne dni: „Wychodzimy z hali Sokoła i wsiadamy do pięknego, polskiego pociągu szybkich prędkości” (nadal nie dużych) i „ruszamy, ruszamy po Polskę dla Polaków”, co brzmi raczej nie jak fraza z „Lokomotywy”, ale raczej jak hasło endecji z czasów Tuwima. Cóż, „tak to to, tak to to, tak to to, tak to to!”. ●

Krótka ławka

Liderzy liberałów są podobni do zamrożonego Walta Disneya – są jak twórcy bajecznej wizji świata, którzy odmawiają odejścia.

Marcin Matczak

W polityce, podobnie jak w piłce nożnej, nie zdobywa się mistrzostwa tylko wyjściową jedenastką. Jakiś polityczny Lewandowski może strzelić bramkę w ostatniej minucie, ale o sukcesie decyduje długość ławki rezerwowych. Rozsądny trener musi wiedzieć, kto wejdzie na murawę, gdy lider złapie kontuzję, straci formę lub po prostu odczuje ciężar upływających lat.

W polskiej polityce moment zmiany lidera zbliża się nieuchronnie. I o ile na boisku 37-letni „Lewy” może liczyć na przykład na 17-letniego Oskara Pietuszewskiego, który właśnie przebojem wszedł do składu FC Porto, o tyle w polskim środowisku liberalnym sprawa wygląda słabiej – zwłaszcza w porównaniu z polskim środowiskiem nieliberalnym.

Tusk dominator

Oto PiS zaproponował jako kandydata na premiera Przemysława Czarnka, a miał w tym zakresie klęskę urodzaju: Morawiecki, Bogucki, Bocheński czy najmłodszy z nich Lucjusz Nabdereżny. Można skupiać się na tym, jak wielkim „talibem” – jak określają go choćby rządzący politycy – jest Czarnek i dlaczego może doprowadzić do zbrunatnienia Polski, ale warto spojrzeć także na inny problem: dlaczego ławka rezerwowych PiS jest o wiele dłuższa niż ławka Koalicji Obywatelskiej.

Ten problem ujawnił się już 12 lat temu (!), gdy Donald Tusk przeniósł się do Brukseli, na swoją następczynię namaszczając Ewę Kopacz. Krytykowano ten wybór jako efekt lojalności, nie charyzmy: pisał o tym nawet „The Economist”. Jesteśmy jednak w roku 2026 i nadal zadajemy pytanie: Czy największa polska partia liberalna potrafi wychować następców?

Trzaskowski i Sikorski? Pierwszy po dwóch przegranych kampaniach liderować już raczej nie będzie, Sikorski jest – podobnie jak Tusk – po sześćdziesiątce, poza tym trudno uznać, że wychowała go PO. Może po prostu Donald Tusk jest postacią tak dominującą, że w jego cieniu nic nie ma prawa urosnąć powyżej poziomu trawy?

Problem krótkiej ławki po liberalnej stronie sceny politycznej pokazała też wygrana Nawrockiego – polityka czterdziestoletniego, dla którego próżno by było szukać odpowiednika w KO. Kto więc właściwie mógłby przejąć po Tusku nie tylko władzę partyjną, ale też rolę symbolicznego lidera liberałów?

To pytanie zaskakująco nieretoryczne. Bo wprawdzie odpowiedź na nie nie pada, ale wcale nie dlatego, że jest oczywista, lecz dlatego, że jej nie ma.

Instrukcja do ręki

Krótka liberalna ławka rezerwowych to nie polska specyfika. Partie liberalne zasadniczo częściej mają problem z sukcesją niż partie bardziej ideowe – konserwatywne czy lewicowe.

Dlaczego? Bo partie ideowe działają jednocześnie jak fabryki tożsamości i polityczne szkoły przetrwania. Mają wyraźny zestaw przekonań, który łatwo przekazać dalej. Młody polityk wchodzi w zdefiniowany świat pojęć, symboli i narracji. Wie, jakie wartości reprezentuje i jak je komunikować. Nie musi wymyślać koła – dostaje do ręki instrukcję obsługi wyborcy i jasny podział na „swoich” i „obcych”.

Znowu, jak w piłce nożnej: kiedy młodego zawodnika wychowuje się w drużynach trampkarzy i juniorów, które grają w takim samym systemie, jak drużyna seniorska, zastępowalność jest czymś naturalnym.

Partie liberalne funkcjonują inaczej. Częściej są szeroką koalicją środowisk niż wspólnotą ideologiczną: łączą klasę średnią, umiarkowanych konserwatystów, miejskich aktywistów. W takiej strukturze kluczową rolę odgrywa lider, który potrafi ten kruchy sojusz utrzymać. Nie tyle reprezentuje jedną doktrynę, ile raczej mediuje między środowiskami. To nie jest wspólnota idei, ale wspólnota celu – w takim modelu trudniej wyłonić naturalnego następcę.

Poza tym liberalizm z natury rzeczy jest mniej tożsamościowy, a opiera się raczej na pragmatyzmie i instytucjach niż na wielkiej opowieści o wspólnocie. Trudno wszak pisać pieśni o sprawnym systemie podatkowym czy niezależności sądów tak, by porwały tłumy na miarę haseł o obronie polskości.

Dlatego partie liberalne często potrzebują silnej osobowości, która tę technokratyczną wizję potrafi przetłumaczyć na język politycznych emocji. Jednocześnie taki silny lider może nie dawać przestrzeni innym, by urosnąć. Jeśli pojawia się ktoś ambitny, kończy się to zwykle konfliktem i marginalizacją albo odejściem z partii. To także jest historia PO i Tuska.

Czy to nie wstyd, Platformo?

To liberalne zagrożenie sukcesji ma negatywne skutki. Liberalizm może być utożsamiany z jedną generacją polityków – z elitą transformacji czy z konkretną epoką. Jeśli po jej odejściu nie pojawi się nowe pokolenie liderów, przeciwnicy przedstawią go jako projekt przeszłości. I tak w Polsce już się dzieje – „libki” stają się synonimem „boomerów”, których krytykuje nie tylko PiS, ale i Konfederacja z Mentzenem, i oczywiście lewica.

W efekcie liberalizm w Polsce zaczyna być utożsamiany z konkretną generacją – z ludźmi, którzy budowali III RP, wprowadzali nas do UE i teraz pełnią funkcję „ostatniej linii obrony przed faszyzmem”. Jeśli po tej generacji nie pojawi się nikt o zbliżonym ciężarze gatunkowym, przeciwnicy polityczni bez trudu sprzedadzą narrację o liberalizmie jako muzeum idei, które nie ma nic do zaoferowania nowemu, cyfrowemu pokoleniu.

Czy liberalizm jest więc skazany na odejście do lamusa wraz z polityczną emeryturą Donalda Tuska? Niekoniecznie.

Historia liberalizmu pokazuje, że jego odnowa często przychodzi nie z partii, lecz z zewnątrz. Nowe wersje liberalnej idei rodziły się na uniwersytetach, w ruchach społecznych, w środowiskach obywatelskich. Dopiero później trafiały do polityki.

Być może więc brak oczywistej sukcesji w partiach liberalnych oznacza zapowiedź czegoś innego: czegoś, co wyrośnie nie z aparatu partyjnego, ale z szerszej kultury społeczeństwa obywatelskiego.

Na razie jednak liderzy liberałów są podobni do zamrożonego Walta Disneya – są jak twórcy bajecznej wizji świata, którzy odmawiają odejścia (zawsze mogą przecież jak śpiący rycerz wrócić). Może więc trzeba tę słabość sukcesyjną przezwyciężyć świadomą decyzją? Czyż to bowiem nie wstyd, że pozornie stetryczała, kołysząca się do melodii „Barki” formacja polityczna ma z dziesięciu potencjalnych kandydatów na premiera, a nowoczesna, wielkomiejska partia liberalna znów tylko jednego? ●

eprasa.pl 8024f7c131

KRAJ

Afterek
PO PIWIE Z MENTZENEM

Odkrywa wirtualną społeczność graczy, miłośników kryptowalut i nerdów. **Radosław Sikorski zaczął nową rozgrywkę?**

Arkadiusz Gruszczyński

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

Szef MSZ Radosław Sikorski na konferencji prasowej po swoim wystąpieniu w Sejmie, Warszawa, 9.11.2025

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wspominamy dobrze Radka, kiedy walczył z Rafałem o nominację – opowiada mi jeden z polityków KO.

Sam w ubiegłorocznych wewnętrznych prawyborach zagłosował na prezydenta Warszawy i do końca wierzył, że pierwszą osobą w kraju zostanie Trzaskowski. Wtedy młody polityk o raczej lewicowych poglądach przekonywał mnie, że Sikorski byłby nieprzewidywalny w kampanii wyborczej i dlatego mógłby przegrać z Karolem Nawrockim.

Teraz nie jest taki pewien, czy to była dobra decyzja. – Sikorski spotkał się ze wszystkimi stronnictwami. Zielonym obiecał, że jako prezydent powoła pełnomocnika do spraw zielonej transformacji i w ciągu pierwszych 100 dni przedstawi własny projekt ustawy w tej sprawie. A przecież nie musiał tego robić, tak samo, jak nie musiał spotykać się z Nowoczesną, która też miała odegrać rolę w przyszłej kancelarii. Radek siedział po kilka godzin na tych spotkaniach, był nas ciekawy, cierpliwie odpowiadał na nasze pytania – wspomina. I dodaje, że Trzaskowski też się w końcu spotkał z działaczami, ale inicjatywa wyszła z drugiej strony, czyli od szeregowych polityków.

•

Wicepremier i minister spraw zagranicznych, jeden z kluczowych polityków Koalicji Obywatelskiej, właściwie drugi po „Kierowniku" – czy raczej obok „Kierownika", bo dwaj urodzeni liderzy podzielili się zadaniami i zgodnie współpracują – buduje się przed wyborami prezydenckimi w 2030 roku. Spotyka się z ludźmi w całej Polsce, tworzy własną młodzieżówkę, czyli Zryw, udziela wywiadów w prasie kolorowej. I zapuszcza się na teren wroga.

26 lutego Sikorski kilka godzin spędził w Sejmie, w którym wygłosił doroczne exposé, czyli informację o najważniejszych celach polityki zagranicznych. Tego dnia spotkał się z marszałkiem Sejmu, odpowiadał na pytania dziennikarzy, przysłuchiwał się dyskusji parlamentarzystów. Ot, zwykłe rutynowe aktywności.

Ale wieczorem wybrał się w nietypowe miejsce. Pojawił się na Discordzie, rozbudowanym portalu społecznościowym, pierwotnie skupiającym graczy, obecnie zaludnionym przez studentów, młodych miłośników kryptowalut, nerdów, fanów muzyki spoza mainstreamu, pasjonatów niszowych dziedzin, generalnie – „zetki" oraz „alfy", dla których Facebook jest zbyt boomerski, publiczny, a Instagram nieporęczny jako narzędzie komunikacji.

Na Discordzie każdy może założyć swój tematyczny serwer – pokój, otwarty dla wszystkich lub dostępny tylko za zaproszeniem. Na przykład wirtualny Sejm, w którym użytkownicy mogą debatować, „pracować" w straży marszałkowskiej, zgłaszać własne projekty ustaw. Oraz zapraszać prawdziwych polityków – tak jak Sikorskiego.

W wirtualną sejmową politykę bawią się głównie chłopcy i młodzi mężczyźni o konserwatywnych poglądach. Jeden z udzielających się w cyfrowym parlamencie krytykował projekt ustawy poszerzający prawa zwierząt, gdyż jest „śmieszny", a poza tym „nikt nie będzie nam zakazywał jedzenia mięsa". Nastoletni komentatorzy są przeciwni zakazowi sprzedaży węgla, często krytykują lewicę – i konkretne postulaty, i za całokształt, i tak po prostu („zanim skrytykujemy projekt lewicy, to najpierw trzeba go zrozumieć, ale jest to niemożliwe"), a wśród kandydatów na wirtualnego prezydenta byli sami mężczyźni z takimi hasłami jak „Polska dla Polaków" czy „Dość słabości. Czas na Polskę silną".

Sikorskiego oprowadzono po wirtualnym Sejmie, następnie podsumował główne założenia exposé. W spotkaniu wzięło udział 200 osób. Podczas sesji pytań nie czuć było onieśmielenia czy skrępowania.

„Mówił pan, że jesteśmy lojalni, a nie frajerami. Co konkretnie pan ostatnio zrobił, żeby Polska przestała wyglądać jak frajer w oczach Waszyngtonu?" – wypalił jeden z nastolatków. Szef MSZ odpowiedział, że dbał o polskie interesy w czasie negocjacji o zbrojeniach. A jakie warunki musiałaby spełnić partia, do której mógłby wstąpić. Sikorski: powinna być wolnorynkowa, dbająca o obronność, a zarazem europejska i nastawiona na sojusz z USA.

Ale były też inne pytania, na przykład o rzekome wypowiedzi Beniamina Netanjahu szkalujące Trzecią Rzeczpospolitą oraz o pokutującą wśród wielu ludzi Zachodu frazę „polskie obozy zagłady". – Wypowiedzi o III RP nie znam. Jeśli chodzi o „polskie obozy śmierci", to niestety częsta zbitka, ale nie przypominam sobie, żeby jej użył premier Izraela. Barack Obama to powiedział, wobec czego protestowaliśmy. Nie chwaląc się, mogę przypomnieć, że jako pierwszy zacząłem protestować przeciwko podobnym określeniom pod koniec lat 90. jako młody wiceminister spraw zagranicznych u Bronisława Geremka – odpowiedział w swoim stylu Sikorski.

Inny wirtualny poseł zapytał o „asertywną politykę wobec Ukrainy", której jego zdaniem nie prowadzi rząd Tuska. Nastolatek dopytywał, czy na pewno Polska powinna popierać wejście Kijowa do Unii Europejskiej, skoro obecnie jesteśmy jej największym beneficjentem. – To jest uprawnione pytanie, o tyle łatwo na nie odpowiedzieć, że następny unijny budżet wieloletni będzie ostatnim, w którym my będziemy beneficjentem netto. Za 10 lat będziemy bardziej zamożni, więc staniemy się płatnikiem brutto. Ukrainie zajmie 30 lat, żeby dojść do tego poziomu. Będziemy korzystać na tym, a Ukraina stanie się naszym rynkiem zbytu i realizacji wielkich inwestycji – odpowiedział minister.

•

Na pierwszym, oczywistym poziomie, wirtualne spotkanie ministra spraw zagranicznych możemy opisać jako kolejną – po choćby pamiętnym piwem z Mentzenem w prezydenckiej drugiej turze – próbę wyjścia poza własny elektorat. W ostatnim czasie Sikorski dwukrotnie – najpierw z synem, a potem z młodymi pracownikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych – odwiedził Muzeum Zimnej Wojny w Warszawie, które prowadzi Filip Frąckowiak, radny Prawa i Sprawiedliwości, ważna postać po prawej stronie sceny politycznej w stolicy.

Do podobnych wydarzeń w polskiej polityce dochodzi rzadko, choć były premier Mateusz Morawiecki chodzi do liberalnych mediów, bierze udział w publicznych dyskusjach z politykami koalicji rządzącej i odpowiada na pytania – również nieprzychylnych – studentów. Z kolei w czasie kampanii wyborczej w 2023 roku na wiece Donalda Tuska przychodzili młodzi wyborcy lewicy i Konfederacji, zadawali swoje pytania, ale często byli uciszani przez działaczy Koalicji Obywatelskiej.

W Koalicji Obywatelskiej jest całkiem spora grupa polityków, którzy uważają, że postulaty światopoglądowe takie jak liberalizacja aborcji i wprowadzenie związków partnerskich zniechęciły do partii mężczyzn

O tym, że wyjście poza własną bańkę bywa ryzykowne, przekonał się Rafał Trzaskowski – gdy poszedł na zainicjowane przez Sikorskiego piwo ze Sławomirem Mentzenem, który zajął trzecie miejsce w pierwszej turze, zraził do siebie wyborczynie lewicy, a konfederatów nie przekonał, ani wolnościowców, ani narodowców.

Otoczenie Sikorskiego wierzy jednak, że największa partia po stronie demokratycznej nie tylko może, ale wręcz powinna skierować poważny program do młodych mężczyzn. Którzy są obecnie pod silnym urokiem Konfederacji obiecującej niskie podatki w pakiecie z państwową homofobią, całkowitym zakazem aborcji i radykalną polityką antymigracyjną – ale wielu socjologów stawia tezę, że nie chodzi o głęboki ideowy zwrot na prawo, tylko o okazane im zainteresowanie. Młodzi wchodzący w życie, rozpoczynający kariery lub borykający się z różnymi szklanymi sufitami dostają komunikat: rozumiemy wasze problemy, macie rolę do odegrania, nie jesteście, jak piętnuje was „lewactwo", częścią problemu, tylko rozwiązaniem.

Z kolei w Koalicji Obywatelskiej jest całkiem spora grupa polityków, którzy uważają, że postulaty światopoglądowe takie jak liberalizacja aborcji i wprowadzenie związków partnerskich zniechęciły do partii mężczyzn. Z wewnętrznych badań KO wynika, że połowa jej wyborców to kobiety, więc bardziej zachowawcze środowiska zaczynają się zastanawiać, czy z nimi i z adresowanym do nich programem można wygrywać wybory. Bo są – zwłasza te młode – coraz bardziej liberalne, coraz bardziej w kwestiach obyczajowych i światopoglądowych przesuwają się na lewo – a jednak nie zaprowadziły kandydata może nie idealnego, lecz zdecydowanie bardziej „ich" niż Karol Nawrocki, do Pałacu Prezydenckiego.

Ale jest też drugi poziom, związany z ambicjami politycznymi Sikorskiego. Nie jest przecież tajemnicą, że szef MSZ chce zostać za cztery lata prezydentem Polski, to jego największe polityczne marzenie. Zbieżne z interesem partii – to szansa dla KO na pierwszego od 15 lat prezydenta.

Ta gra ma jednak wiele pułapek. Przymilanie się do prawicowych i konserwatywnych wyborców może kolejny raz zdemobilizować wyborczynie. A już podczas zeszłorocznych prawyborów w Platformie nie brakowało zniesmaczonych tym, że na czele sojuszników i lobbystów Sikorskiego stoi Roman Giertych, były Wszechpolak i katolicki integrysta, którego wielu komentatorów podejrzewa o zmianę poglądów czysto pragmatyczną lub motywowaną chęcią zemsty na Kaczyńskim, zdradzieckim koalicjancie sprzed dwóch dekad. Poglądy Sikorskiego mogą być nieakceptowalne dla środowisk progresywnych, bo choć minister jest za legalizacją aborcji, to są wątpliwości, czy podpisałby ustawę umożliwiającą parom jednopłciowym adopcję dzieci. Zaś młodą lewicę i ludzi zaangażowanych w obronę praw człowieka może też zrazić ostra krytyka i kpiny z działalności posła Franciszka Sterczewskiego, który działa na rzecz wolnej Palestyny.

I rzecz najważniejsza: dwie z trzech ostatnich elekcji pokazały, że największe szanse na prezydenturę ma kandydat, który nie kojarzy się jednoznacznie z partią polityczną. W 2015 roku głową państwa mógł zostać Andrzej Duda dlatego, że nie należał do partyjnych gwiazdorów, był kojarzony jako osoba publiczna, ale raczej jako prezydencki minister, europoseł i po prostu centroprawicowy polityk niż polityk PiS.

Z kolei Karol Nawrocki nigdy nie należał do PiS i choć w kampanii wykonywał, kiedy trzeba, gesty pokazujące lojalność wobec Jarosława Kaczyńskiego, to starał się prezentować jako konserwatywno-narodowy patriota bez konkretnej partyjnej etykietki.

Sikorski ma więc wiele cech i uwarunkowań, które mogą mu zaszkodzić w drodze na szczyt. Ale ma też kilka zalet, które są kluczowe w polityce: jest samoświadomy, szybko się adaptuje, zaskakuje przeciwników, myśli nieszablonowo, nie boi się kopnąć w stolik. Słowem – jest elastyczny.

W Koalicji Obywatelskiej dostrzegają aktywność Sikorskiego, a moi rozmówcy wielokrotnie zastanawiali się, o co tak naprawdę gra szef dyplomacji. Jedni twierdzą, że po wyborach parlamentarnych zastąpi w fotelu premiera Donalda Tuska. Inni – że celem Sikorskiego jest prezydentura, o czym otwarcie mówi jego otoczenie polityczne. Więc pytam, czy Sikorski, który wychodzi poza wyborczą banieczkę KO zyskuje w partii? – Jeśli na spotkaniach z młodymi wyborcami prawicy nie będzie się do nich umizgiwał, tylko przedstawiał nasze stanowisko, to ta strategia go tylko umocni – słyszę od jednej z liberalnych posłanek.

A poseł z konserwatywnej frakcji widzi to tak: – Czy te wizyty go budują? Myślę, że najbardziej, to go buduje stanowisko w rządzie i jego błyskotliwość. ●

eprasa.pl 8024f7c131

ŚWIAT

Tu JEST PRAWDZIWA AMERYKA

Te same pick-upy, grizzly i Walmarty. Czemu Kanada jest fajniejsza od USA.

Katarzyna Jaremko

Kanada powinna zostać 51. stanem USA" – rzucił któregoś dnia Donald Trump.

W waszyngtońskiej politycznej socjecie wielu uznało to za kolejny z jego ekscentryzmów: prowokację, hiperbolizację, retoryczny skrót. W Kanadzie jednak to zabrzmiało inaczej, bo bądź co bądź powiedział to oficjalnie przywódca supermocarstwa. Nawet jeśli była żartem, dotknęła pytania, które w Ameryce Północnej i w Europie, powraca od ponad dwóch stuleci: czy Kanada i USA są w gruncie rzeczy jednym organizmem, tylko administracyjnie podzielonym, czy też dwoma różnymi światami, które przypadkiem dzielą najdłuższą granicę świata.

Kanadyjska klasa polityczna zareagowała szybko i zgodnie. Zarówno rząd, jak i opozycja przypomniały, że suwerenność kraju nie jest tematem do negocjacji. Ówczesny premier Justin Trudeau i jego przeciwnicy mówili właściwie jednym głosem: traktowali słowa Trumpa jako retoryczny eksces, ale zarazem jako przypomnienie, jak asymetryczna jest relacja między oboma państwami.W lutym 2025 roku nagrano wypowiedź Trudeau, który na zamkniętym spotkaniu, myśląc, że mikrofony są wyłączone (tak zwany *hot mic*), przyznał, że obsesja Trumpa na punkcie aneksji jest „realną rzeczą" i wynika między innymi z chęci przejęcia kanadyjskich surowców mineralnych.

Jeszcze ciekawsza była reakcja opinii publicznej. Od XIX-wiecznych obaw przed amerykańską ekspansją po współczesne żarty o „subpolarnej prowincji Ameryki" – Kanadyjczycy zdążyli przyzwyczaić się do pomysłu aneksji przez Stany. Tym razem wielu zareagowało odruchem dobrze znanym w ich kulturze: ironią połączoną z potrzebą podkreślenia różnicy. W komentarzach i sondażach powtarzał się ten sam argument: Kanada nie jest tylko chłodniejszą wersją USA. Ma inny model państwa, inną politykę społeczną, inny styl życia publicznego, inne mity narodowe i radykalnie inną tożsamość.

Nikt nie traktuje scenariusza akcesji serio. Konstytucyjnie byłoby to niemal niemożliwe, a poparcie społeczne dla takiej idei jest marginalne. Ale sama obecność myśli o 51. stanie USA w retoryce amerykańskiego prezydenta uruchomiła coś ważnego. Przypomniała Kanadyjczykom, że żyją obok kraju, który jest jednocześnie ich największym partnerem gospodarczym, najbliższym sojusznikiem i największą potęgą militarną świata. A to prowadzi do pytania znacznie ciekawszego niż polityczna prowokacja Trumpa. Gdzie w jakich sprawach Kanada i Stany Zjednoczone rzeczywiście są tak różne, że na myśl o zjednoczeniu powiało grozą? Spróbujmy to uporządkować.

Pierwsza różnica dotyczy momentu narodzin państwa – i jest niemal podręcznikowa. Stany Zjednoczone powstały z buntu. Ich mit założycielski to rewolucja przeciwko tyranii – w opinii kolonialnej plutokracji – Jerzego III, Boston Tea Party, Deklaracja Niepodległości i przekonanie, że legitymację władza dostaje nie od Boga, lecz od obywateli. W tej opowieści wolność rodzi się z gestu zerwania: z odrzucenia imperium, monarchii i starego porządku. Amerykańska tożsamość polityczna wyrasta więc z doświadczenia rewolucji – z wiary, że historia zaczyna się od nowa, kiedy lud mówi „dosyć!".

Kanada narodziła się w innym rytmie. Nie z rewolucji, lecz z administracyjnej ewolucji w obrębie imperium brytyjskiego. Konfederacja z 1867 roku była projektem kompromisu między prowincjami, językami i interesami regionalnymi, a nie aktem zerwania z Londynem. Jej mit założycielski nie jest dramatyczny: zamiast barykad mamy konferencje konstytucyjne, zamiast buntowników – dyplomatów i urzędników negocjujących kompetencje parlamentu.

Ironia historii polega na tym, że równe dwa i pół wieku po amerykańskiej rewolucji ta spokojna, instytucjonalna droga doprowadziła Kanadę do modelu państwa, w którym w wielu wymiarach wolności jest dziś po prostu więcej – choć są to wolności rozumiane inaczej niż w amerykańskim micie. Mniej heroiczne, bardziej proczłowieczo: wolność socjalna, kulturowa, czasem także obyczajowa. Państwo, które powstało bez rewolucji, zbudowało system zabezpieczeń i kompromisów, dzięki którym obywatel rzadziej musi walczyć o swoje prawa na barykadach.

Z tej odmiennej genezy wyrasta kolejna różnica – stosunek do samego państwa. W amerykańskiej wyobraźni politycznej państwo jest czymś, wobec czego zawsze należy zachować czujność. Rewolucja 1776 roku była buntem przeciw władzy odległej, arbitralnej i nadmiernie obciążającej fiskalnie, dlatego w amerykańskim DNA politycznym pozostała głęboka nieufność wobec rządu federalnego. Wolność rozumie się tam przede wszystkim jako przestrzeń, w której jednostka może działać bez nadmiernej ingerencji państwa. Z tego bierze się kult indywidualizmu, silna ochrona praw własności, ale też przekonanie, że państwo powinno być raczej strażnikiem reguł niż organizatorem życia społecznego.

Kanada wyrosła z zupełnie innego doświadczenia. Państwo nie było przeciwnikiem, lecz narzędziem budowania ładu na ogromnym, słabo zaludnionym terytorium, nierzadko opoką. Dlatego znacznie łatwiej zaakceptowano jego rolę jako organizatora wspólnego życia – czy chodzi o publiczną opiekę zdrowotną, regulację rynku czy politykę społeczną. W kanadyjskim imaginarium politycznym państwo nie jest zagrożeniem dla wolności, lecz jednym z jej warunków.

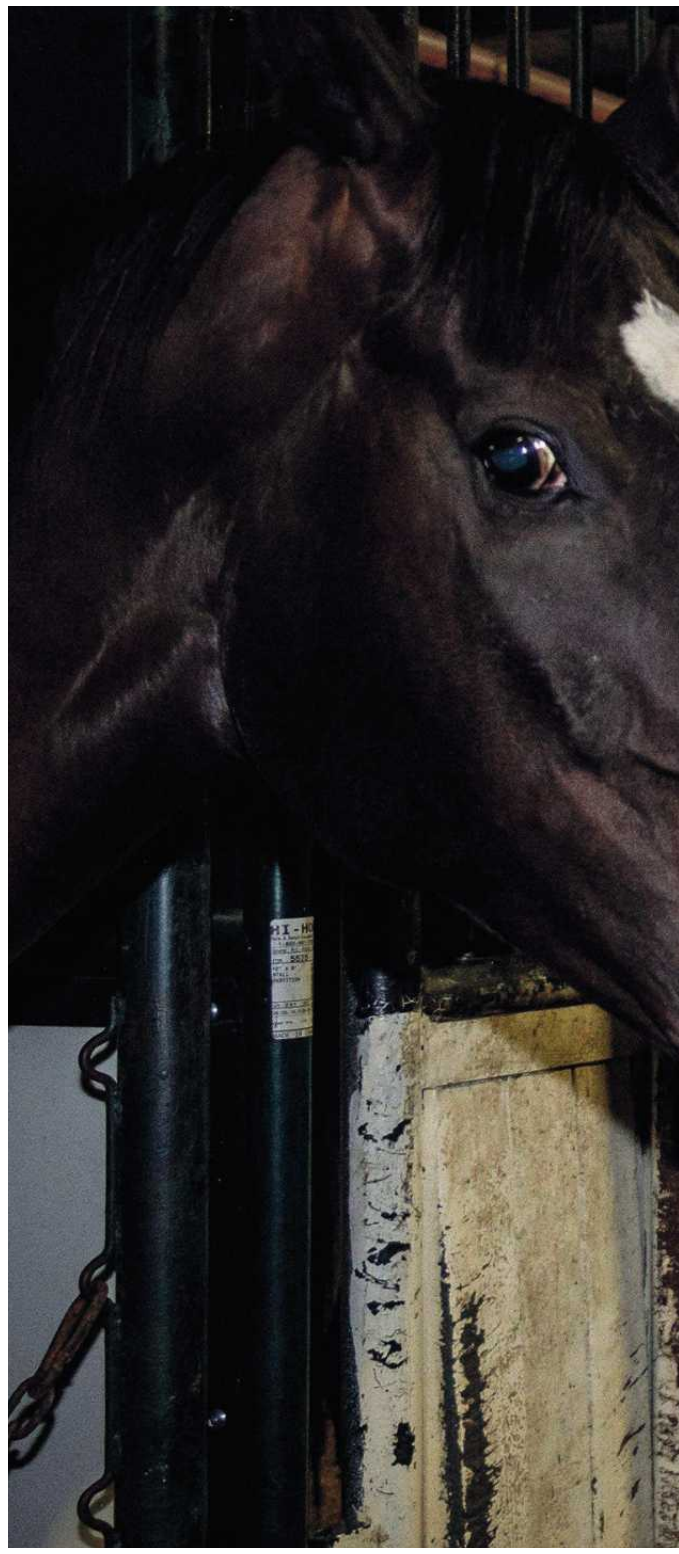

W Kanadzie trudno znaleźć odpowiednik amerykańskiego Południa. Nie ma tam religijnej prawicy tej skali, konflikty kulturowe wokół broni, aborcji czy szkoły są znacznie słabsze. Pół żartem mówi się, że USA mają lewicę i prawicę, a Kanada – centrum i trochę bardziej centrum

Justin Trudeau

- **będzie gościem Impact'26,** międzynarodowego kongresu nazywanego „polskim Davos". Od 10 lat w jednym z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych w Europie biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji z całego świata związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.
- Wyborcza.biz, Wyborcza.pl i WysokieObcasy.pl objęły patronat medialny nad wydarzeniem.
- **Szczegóły:** Impactcee.com/impact/2026/pl/start/

impact

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

• **Justin Trudeau był premierem Kanady w latach 2015-25 i często pokazywał się na imprezach mniej oficjalnych. Na zdj: w stajni podczas rodeo w Calgary (7.07. 2018)**
FOT. MCINTOSH JEFF/CP/ABACA/PAP

Ta różnica znajduje odbicie w samych instytucjach. USA są republiką prezydencką z bardzo silną egzekutywą i rygorystycznym podziałem władz.

Kanada pozostała monarchią konstytucyjną, w której głową państwa formalnie jest brytyjski monarcha, a realna władza spoczywa w systemie parlamentarno-gabinetowym wzorowanym na Westminsterze.

Amerykański system polityczny powstał z nieufności i ma jątę nieufność wbudowaną w swoje mechanizmy. Kanadyjski wyrósł z tradycji kompromisu – i wciąż nosi jej ślady.

Różnice widać także w samej kulturze politycznej. Amerykańska debata publiczna jest z natury konfrontacyjna: ostre podziały, silna retoryka, spektakularne starcia między partiami i instytucjami. Polityka to widowisko, a kompromis często uchodzi za słabość.

W Kanadzie ton jest zazwyczaj bardziej technokratyczny. Spory oczywiście istnieją, ale rzadziej przybierają formę ideologicznej wojny. Częściej chodzi o administrację, regulacje, kompetencje prowincji i federalnego rządu – raczej o zarządzanie państwem niż o symboliczne bitwy o jego duszę.

•

Kiedy omawiałam podstawy tego tekstu z redakcją, wyszło, że nawet Alberta, najbardziej konserwatywna kraina Kanady, to jednak ani Teksas, ani Alabama.

Owszem, ta prowincja bywa politycznie najbliższa temu, z czym kojarzy się tradycyjnie amerykański Zachód (i co gloryfikowała wpierw Tea Party, a dziś MAGA): silny sektor naftowy i wydobywczy, sceptycyzm wobec Ottawy, ekologii, nowinek kulturowych i zasadniczo postępu poprzez odgórne przepisy, kultura pogranicza, „wolnoć, Tomku, w swoim domku" oraz olbrzymie pick-upy pod każdym domem.

A jednak nawet tam większość wyborców bez większego sporu akceptuje publiczną służbę zdrowotną i rolę państwa opiekuńczego. Podobnie w Saskatchewan – prowincji dziś raczej konserwatywnej, a zarazem historycznej kolebce kanadyjskiej socjaldemokracji, gdzie narodził się system powszechnej opieki zdrowotnej.

Jeśli ustawić prowincje od najbardziej konserwatywnych do najbardziej liberalnych, mapa wyglądałaby tak: Alberta, Saskatchewan i Manitoba po jednej stronie; potem umiarkowanie konserwatywne prowincje Atlantyku; dalej polityczne centrum kraju – Ontario; a na drugim biegunie bardziej progresywne Kolumbia Brytyjska i Quebec z jego osobliwą mieszanką socjalnej polityki, frankofońskiego nacjonalizmu i świeckości. Terytoria północne funkcjonują jeszcze inaczej: tam polityka bywa bardziej lokalna i wspólnotowa niż ideologiczna.

Dlatego w Kanadzie trudno znaleźć odpowiednik amerykańskiego Południa. Nie ma tam religijnej prawicy tej skali, konflikty kulturowe wokół broni, aborcji czy szkoły są znacznie słabsze, a system partyjny mniej spolaryzowany. Półżartem mówi się więc czasem, że Stany Zjednoczone mają lewicę i prawicę, a Kanada – centrum i trochę bardziej centrum.

Warto jednak odnotować, że retoryka w Kanadzie stała się w ostatnim roku ostrzejsza. Frustracja kosztami życia i kryzysem mieszkaniowym sprawiła, że kanadyjskie „centrum" stało się bardziej rozedrgane, a polaryzacja, choć wciąż mniejsza niż w USA, jest najwyższa od dekad.

Wróćmy na moment do Trumpa i koncepcji „51. stanu USA". Republikański prezydent, przyjmując do Unii Kanadę, strzeliłby swojej partii w stopę, a nawet w tętnicę udową, bo cała społeczność północnego sąsiada jest na lewo od Republikanów głównego nurtu i włączenie jej w elektorat doprowadziłoby do marginalizacji stronnictwa obecnego prezydenta.

•

Skoro wspomnieliśmy o służbie zdrowia: to jedna z tych różnic, które najłatwiej zauważyć w codziennym życiu. W Stanach system jest złożoną mieszanką prywatnych ubezpieczeń, programów publicznych i indywidualnych wydatków. Dla wielu Amerykanów dostęp do leczenia pozostaje ściśle związany z miejscem pracy, wysokością składek i zakresem polisy. Debata o reformie systemu – od czasów Lyndona Johnsona po dwie kadencje Baracka Obamy – jest jedną z najostrzejszych i najbardziej ideologicznych w amerykańskiej polityce.

Kanada wybrała inną drogę. Od lat sześćdziesiątych funkcjonuje tam model powszechnej publicznej opieki zdrowotnej finansowanej z podatków i administrowanej przez prowincje. Lekarz, szpital czy zabieg nie są przede wszystkim kwestią polisy, lecz prawa obywatelskiego. System ma oczywiście problemy – od kolejek po napięcia finansowe – ale jego podstawowa zasada pozostaje niemal nienaruszalna. W sporach politycznych Kanadyjczycy mogą różnić się co do wielu rzeczy, lecz w jednej kwestii panuje zadziwiająca zgoda: opieka zdrowotna nie powinna zależeć od zasobności portfela.

Jedna z najbardziej widocznych różnic dotyczy także sposobu, w jaki oba państwa radzą sobie z wielokulturowością i językiem.

W USA przez większość ich historii dominował model „melting pot": przekonanie, że różne kultury i fale imigracji ostatecznie stapiają się w jedną, wspólną kulturę amerykańską. W praktyce oznaczało to także silną dominację języka angielskiego. Choć w ostatnich dekadach – zwłaszcza w stanach południowych i zachodnich – hiszpański zaczął w przestrzeni publicznej konkurować z angielskim, a dwujęzyczność stała się elementem codzienności, polityczny klimat ostatnich lat przyniósł częściowy odwrót od tej tendencji. Administracja Trumpa konsekwentnie wracała do idei jednolitej kultury politycznej i językowej.

Kanada wybrała inną drogę. Już w latach siedemdziesiątych przyjęła oficjalną politykę wielokulturowości, uznając, że państwo nie powinno asymilować przybyszów do jednego wzorca, lecz tworzyć ramy współistnienia różnych tradycji, języków i doświadczeń. W tym sensie Kanada nie jest „tyglem", lecz raczej mozaiką.

Najważniejszym elementem tej układanki pozostaje oczywiście Quebec. Francuskojęzyczna prowincja przez dekady była centrum sporów o charakter państwa: od kryzysów konstytucyjnych po referenda niepodległościowe w 1980 i 1995 roku. To właśnie napięcie między anglo- i frankofońską częścią kraju ukształtowało współczesną kanadyjską politykę językową. Kanada jest formalnie państwem dwujęzycznym, a federalne instytucje funkcjonują w obu językach.

W efekcie powstał wyjątkowy model: państwo, które nie tylko toleruje różnorodność kulturową, ale wpisuje ją w swoją strukturę instytucjonalną. W Stanach wielokulturowość pozostaje faktem społecznym. W Kanadzie stała się elementem oficjalnej filozofii państwa.

•

Różnice objawiają się także w tym, jak oba kraje opowiadają o sobie samych. Stany Zjednoczone dysponują jednym z najpotężniejszych mitów narodowych nowoczesności. Historia rewolucji, indywidualnej wolności i American Dream została nie tylko wpisana w podręczniki, ale także rozlana po całym świecie za pośrednictwem kina, muzyki i kultury popularnej.

Ameryka – o czym świadczy już sam fakt, że nazwa kontynentu stała się synonimem tego jednego państwa – jest mistrzem w produkowaniu opowieści o własnej wyjątkowości. I w przekonywaniu innych, by te opowieści uznali za swoje.

Kanada funkcjonuje w zupełnie innym rejestrze. Jej tożsamość rzadko bywa deklarowana z taką pewnością siebie. Częściej definiuje się ją w relacji do południowego sąsiada: jako Amerykę, która wybrała inną drogę. Nie rewolucję, lecz instytucje; nie dramatyczne zerwanie, lecz kompromis; nie jednolity mit sukcesu, lecz raczej pluralizm i spokojne współistnienie różnych kultur.

Ta różnica ma też wymiar geograficzny i symboliczny. Amerykańska wyobraźnia polityczna zbudowana jest wokół mitu *frontier* – granicy, która nieustannie przesuwa się na zachód, przestrzeni podboju i ekspansji.

W kanadyjskiej narracji przestrzeń działa inaczej. Nie jest sceną triumfalnego marszu cywilizacji, lecz czymś ogromnym, często surowym, wymagającym cierpliwości i współpracy. Zamiast opowieści o zdobywaniu natury pojawia się raczej opowieść o tym, jak nauczyć się z nią żyć. I właśnie w tym miejscu zaczyna się jedna z najbardziej interesujących refleksji nad kanadyjską wyobraźnią.

eprasa.pl 8024f7c131

FOT. AFAN VLICIAP

• Obecny premier Kanady Mark Carney z wizytą u prezydenta Trumpa w Białym Domu. Waszyngton 7 października 2025 r.

Czyniąc z Kanady 51 stan USA, Trump strzeliłby MAGA, Partii Republikańskiej i całej amerykańskiej prawicy w stopę. Bo cała społeczność północnego sąsiada jest na lewo od Republikanów głównego nurtu

Northrop Frye, jeden z najważniejszych kanadyjskich krytyków literackich XX wieku, zaproponował kiedyś obraz, który wydaje się prosty, ale mówi bardzo dużo o kanadyjskiej wyobraźni. Nazwał go „garrisonmentality", czyli „mentalnością garnizonu". Wyobraźmy sobie pierwsze osady w północnej Ameryce Brytyjskiej: niewielkie skupiska domów, czasem palisada, kilka ulic, kościół, magazyn, może fort. A wokół – ogromna przestrzeń. Gęsty las. Zima długa i ciemna. Cisza, która nie jest romantyczną ciszą natury, lecz czegoś obcego i nieoswojonego. W takiej scenerii – twierdził Frye – powstaje określony typ zbiorowej psychiki. Społeczność uczy się żyć jak w garnizonie: razem, blisko siebie, w poczuciu, że za ogrodzeniem zaczyna się coś niebezpiecznego. Prawo, instytucje, obyczaje stają się w tej sytuacji czymś więcej niż narzędziami organizacji życia. Są tarczą. Chronią przed chaosem – zarówno tym naturalnym, jak i społecznym.

Z tego doświadczenia rodzi się szczególna wrażliwość oparta na ostrożności, skłonności do introspekcji, czasem nawet pewnego rodzaju zbiorowej nieśmiałości. Społeczność, która przez długi czas żyła nie tylko w cieniu potężniejszego sąsiada, ale przede wszystkim w olbrzymim, dzikim krajobrazie, który wydawał się większy od niej samej, łatwo nabiera poczucia peryferyjności. Można czuć się trochę na uboczu historii, trochę poza centrum świata. Ale odległy garnizon w głuszy uczy również solidarności i instytucjonalnej wyobraźni. W miejscu, gdzie natura bywa surowa, a odległości ogromne, ludzie zaczynają szczególnie cenić porządek, kompromis i reguły wspólnego życia. To właśnie z tej logiki – sugerował Frye – bierze się kanadyjskie przywiązanie do państwa prawa, do procedur i do powolnej, czasem aż przesadnej politycznej rozwagi.

Dlatego „mentalność garnizonu" jest pojęciem ambiwalentnym. Z jednej strony oznacza defensywność, zamknięcie, a czasem także skłonność do przesadnej ostrożności wobec świata. Z drugiej – zdolność budowania wspólnoty w miejscu, które na pierwszy rzut oka nie sprzyjało wielkim cywilizacyjnym projektom.

To napięcie między lękiem a organizacją, między izolacją a solidarnością Frye uważał za jeden z fundamentów kanadyjskiej wyobraźni. W jego ujęciu kultura tego kraju powstaje właśnie w tej przestrzeni: między małym, bezpiecznym kręgiem światła a ogromną, chłodną ciemnością, która zaczyna się tuż za linią drzew.

Kilka lat później Margaret Atwood – jeszcze zanim stała się światową pisarką – spróbowała opisać tę kanadyjską wyobraźnię z innej strony. W książce „Survival: A Thematic Guide to Canadian Literature" z 1972 r. zaproponowała prowokacyjnie prostą tezę: jeśli Amerykanie mają mit pogranicza, a Brytyjczycy mit wyspy, to Kanadyjczycy mają mit przetrwania.

Nie chodziło jej tylko o fizyczne przetrwanie w surowym krajobrazie północy. Atwood uważała, że w kanadyjskiej literaturze wciąż powraca pewna szczególna figura – postać ofiary. Bohater, który nie tyle podbija świat, ile próbuje się w nim utrzymać. Nie zdobywca, lecz ktoś, kto uczy się żyć w warunkach, które są od niego większe.

Ta postawa – twierdziła – ma wiele odcieni. Czasem przybiera formę zaprzeczenia: bohater odmawia uznania własnej bezsilności. Czasem staje się rezygnacją wobec sił historii, geografii czy polityki. Bywa też punktem wyjścia do buntu – momentem, w którym ktoś uznaje swoją sytuację, ale odmawia pogodzenia się z rolą ofiary. Dopiero w tym miejscu pojawia się możliwość twórczości, wyjścia poza defensywność.

Atwood widziała w tym coś więcej niż tylko literacki motyw. W jej interpretacji doświadczenie „przetrwania" wyrastało z kilku nakładających się historii: z surowego krajobrazu, który nie daje się łatwo oswoić, z kolonialnej przeszłości między Imperium Brytyjskim a potężnym sąsiadem na południu, a także z poczucia kulturowej zależności wobec Stanów Zjednoczonych. Kanada – sugerowała – przez długi czas była krajem, który nie tyle opowiadał własną historię, ile żył w cieniu cudzych narracji.

Dlatego w wielu kanadyjskich powieściach natura nie jest romantycznym tłem, lecz czymś niemal obcym. W „Surfacing" Atwood bohaterowie znikają w lesie Quebecu, jakby wchodzili w przestrzeń, która nie należy do człowieka. U Michaela Ondaatjego w „In the Skin of a Lion" zimno i krajobraz nie są dekoracją, lecz siłą, która kształtuje losy bohaterów równie mocno, jak historia czy polityka.

Jednak – podobnie jak u Frye'a – także tutaj pojawia się ambiwalencja. Bo to samo doświadczenie, które rodzi poczucie kruchości i zależności, może stać się źródłem szczególnej wrażliwości. Literatura wyrastająca z konieczności przetrwania jest mniej zainteresowana triumfem, a bardziej relacją między człowiekiem a światem: między krajobrazem, historią i pamięcią. Dlatego Atwood uważała, że literatura jest jednym z miejsc, w których Kanada uczy się mówić „tu jesteśmy". Nie poprzez wielkie heroiczne mity, lecz przez powolne budowanie poczucia „bycia tutaj" – w kraju, który powstał nie z podboju, lecz z ciągłego negocjowania własnego miejsca między przestrzenią, historią i potężniejszymi sąsiadami.

•

Jeśli u Frye'a kanadyjska wyobraźnia rodzi się w cieniu fortu, a u Atwood wokół idei przetrwania, to u Alice Munro – jedynej kanadyjskiej noblistki w dziedzinie literatury – wszystko zaczyna się od miejsca znacznie skromniejszego: od małego miasteczka.

Nie jest to jednak prowincja w sensie pogardliwym ani folklorystycznym. U Munro południowe Ontario – okolice jeziora Huron, niewielkie miasta, farmy, drogi prowadzące przez pola – staje się czymś w rodzaju mikrokosmosu. To przestrzeń, w której historia świata dociera z opóźnieniem, w przefiltrowanej formie, ale gdzie ludzkie dramaty są równie intensywne, jak w wielkich metropoliach.

Jej bohaterowie żyją na uboczu wielkich wydarzeń. Rzadko uczestniczą w tym, co zwykle nazywamy historią. Pracują w sklepach, uczą w szkołach, prowadzą małe gospodarstwa, wychowują dzieci. A jednak w ich życiu rozgrywają się konflikty równie złożone, jak w powieściach o rewolucjach i imperiach: zdrady, nagłe przebudzenia, decyzje, które zmieniają całe biografie.

To także literatura niezwykłej powściągliwości. Postaci Munro rzadko wygłaszają wielkie deklaracje. Częściej milczą, wahają się, cofają. W tym sensie jej opowiadania doskonale oddają cechę, którą wielu obserwatorów przypisuje kanadyjskiej kulturze: skłonność do samoograniczenia, do życia w cieniu większych narracji.

Bo Kanada – jak sugerują jej bohaterowie – od dawna istnieje w cieniu. Z jednej strony Imperium Brytyjskiego, z drugiej imperium Stanów Zjednoczonych. Lecz w opowiadaniach Munro to napięcie nie przybiera formy ideologicznego sporu. Objawia się raczej w subtelnym poczuciu peryferyjności: w przekonaniu, że „prawdziwy świat" znajduje się gdzie indziej – w Toronto, w Nowym Jorku, w Europie.

I w tym miejscu pojawia się paradoks. Bo im dalej jej bohaterowie próbują uciec od prowincji, tym wyraźniej odkrywają, że to ona ukształtowała ich sposób patrzenia na świat. Małe miasteczka Munro są jak laboratoria pamięci: wszystko zostaje zapamiętane, nic nie znika całkiem, a każde wydarzenie powraca po latach w nowym świetle.

Dlatego wielu krytyków uważa, że to właśnie Munro najlepiej uchwyciła coś, co można by nazwać kanadyjskim doświadczeniem miejsca. Nie jest ono heroiczne ani spektakularne. Raczej powolne, uważne, pełne półcieni.

Jeśli więc u Frye'a Kanada była fortem w środku nieprzebytej przestrzeni, a u Atwood krajem, którego literatura wciąż pyta o sens przetrwania, to u Munro staje się krainą małych miast. Miejsc, w których nic wielkiego – przynajmniej na pierwszy rzut oka – nigdy się nie wydarza. A jednak to właśnie tam, w ciszy prowincjonalnych ulic i kuchni, rozgrywa się cała skomplikowana historia ludzkiego życia.

Ale ta podstawowa teoria, czyli mentalność garnizonu Frye'a – jak większość wielkich teorii o tożsamości narodowej – ma także krytyków. I to poważnych.

•

Pierwszy zarzut dotyczy samego punktu wyjścia. Bo jeśli „garrisonmentality" opisuje doświadczenie osadników budujących życie na skraju ogromnej przestrzeni, to mówi przede wszystkim o losie bardzo konkretnej grupy: anglosaskich kolonistów. W tej perspektywie Kanada jawi się jako kraj budowany przez białych przybyszów z Europy, którzy uczą się żyć w obcej naturze. Tymczasem współczesna Kanada jest znacznie bardziej złożona. To kraj wielu języków, wielu historii i wielu punktów widzenia – od rdzennych społeczności po kolejne fale imigracji.

Nic dziwnego, że część badaczy uważa model Frye'a i jego późniejsze rozwinięcia za zbyt eurocentryczne. Jak zauważył badacz kina z University of Alberta William Beard, w niektórych środowiskach akademickich teoria ta budzi dziś raczej nieufność, a czasem wręcz

eprasa.pl 8024f7c131

otwartą wrogość, bo sprowadza złożoną historię kraju do jednej, kolonialnej i neokolonialnej narracji.

Drugi zarzut dotyczy samej relacji między krajobrazem a kulturą. Frye zakładał, że środowisko – ogrom przestrzeni, surowość klimatu, izolacja – kształtuje psychikę społeczeństwa i w konsekwencji jego literaturę. Tymczasem część krytyków odwraca tę logikę. Kanadyjski badacz literatury Eli Mandel argumentował, że pisarze nie tyle odzwierciedlają krajobraz, ile go tworzą. To literatura – poprzez język, metafory i opowieści – wynajduje Kanadę jako przestrzeń wyobraźni. W tym sensie lasy, jeziora i pustka północy nie są jedynie obiektywnym doświadczeniem geograficznym, lecz także efektem literackiej narracji.

Pojawia się też trzeci zarzut: że pojęcie „mentalności garnizonu" stało się z czasem zbyt wygodnym skrótem myślowym. Krytyczka Sherrie Malisch zauważyła, że termin ten zaczął funkcjonować w kanadyjskiej debacie niemal jak uniwersalne wyjaśnienie wszystkiego – od politycznych polemik z elitami Ottawy po analizy publicznego nadawcy CBC. W tej formie przestaje być precyzyjnym narzędziem interpretacji, a zaczyna działać jak modne słowo klucz.

Wreszcie pojawia się argument najprostszy: Kanada jest dziś zbyt bogata literacko i kulturowo, by zamknąć ją w jednej metaforze. Współcześni pisarze – jak zauważa autorka science fiction J. M. Frey – tworzą tak różnorodne światy, że model Frye'a i Atwood nie może być reprezentatywny dla całej kanadyjskiej wyobraźni.

A jednak mimo tych zastrzeżeń teoria przetrwała. Być może właśnie dlatego, że jest tylko częściowo prawdziwa. Nie opisuje całej Kanady, ale pozwala uchwycić jeden z jej najstarszych odruchów: napięcie między ogromem przestrzeni a kruchością ludzkiej wspólnoty. I nawet jeśli współczesna Kanada dawno wyszła poza garnizon, cień tej metafory wciąż powraca – w literaturze, w debatach o tożsamości, w pytaniu o to, czym właściwie jest kraj zbudowany bardziej z przestrzeni niż z granic.

●

Mentalność garnizonu znakomicie widać na poziomie geopolityki. I tu różnica między Kanadą a USA jest jeszcze prostsza do opisania i wyraźniejsza niż w kulturze czy literaturze.

Stany Zjednoczone są supermocarstwem i myślą o sobie w kategoriach projekcji siły. Kanada przez większą część swojej nowoczesnej historii świadomie wybierała inną rolę: nie hegemona, lecz mediatora, nie centrum imperium, lecz „middlepower" – państwa średniego, które buduje wpływ przez dyplomację, instytucje i koalicje. Nie wzięło się to z samego temperamentu narodowego. Pomagała geografia: trzy oceany i jeden sąsiad będący największą potęgą militarną świata. Pomagała historia: długie zakorzenienie w Imperium Brytyjskim i późniejsza suwerenność bez rewolucyjnego zerwania. Pomagała wreszcie ekonomia: kraj handlowy zależny od stabilności międzynarodowego porządku ma więcej powodów, by ten porządek wzmacniać, niż by go rozsadzać.

Symbolem tej strategii pozostaje Lester B. Pearson – uczony, dyplomata i premier Kanady w latach 1963-68 z Partii Liberalnej (do której należą Trudeau i Carney, współtwórca pierwszych nowoczesnych sił pokojowych ONZ podczas kryzysu sueskiego, za co otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. W swoim noblowskim wykładzie mówił trzeźwo, bez triumfalizmu, że taka siła „mogła zapobiec temu, by mały pożar przerodził się we wszechogarniającą pożogę". To właściwie streszcza cały kanadyjski styl uprawiania polityki zagranicznej.

Relacje z Ameryką też układały się w tym duchu: nie jako romans, lecz jako długie, ostrożne współżycie dwóch państw, z których jedno jest olbrzymem. Najbliżej było wtedy, gdy oba kraje budowały wspólne instytucje. W czasie drugiej wojny światowej porozumienie z Ogdensburga stworzyło stałe ramy współpracy obronnej.

W latach zimnej wojny powstał NORAD, czyli wspólny system obrony powietrznej całego kontynentu. Potem przyszła integracja gospodarcza – od wolnego handlu po układ (z Meksykiem w roli przydatnego, bo ubogiego krewnego) NAFTA – i granica zaczęła przypominać raczej linię administracyjną w jednej wielkiej przestrzeni gospodarczej niż klasyczną granicę między dwoma obcymi państwami. Dlatego wielu historyków opisuje relację kanadyjsko-amerykańską jako coś pomiędzy sojuszem a cywilizacyjnym współżyciem.

●

Ale nawet w tej relacji bywały momenty chłodu. Pierwszym była oczywiście wojna 1812 roku, kiedy Amerykanie próbowali zająć brytyjską Amerykę Północną, a w kanadyjskiej pamięci utrwaliło się przekonanie, że kraj zrodził się także z odruchu: „nie jesteśmy nimi".

Potem przez cały XIX wiek ciążył lęk przed aneksją i amerykańskim „Manifest Destiny" znajdującym uzasadnienie w Biblii „objawionym przeznaczeniem".

W pierwszej połowie XX wieku sąsiadów połączyło braterstwo broni, idei i interesów podczas drugiej wojny światowej – aż za Pierre'a Trudeau i Richarda Nixona przyszły napięcia najostrzejsze od wojny amerykańsko-brytyjskiej z początku XIX wieku.

Trudeau senior, jeden z najbardziej wyrazistych powojennych polityków nie tylko kanadyjskich, ale w ogóle anglosaskich, z jednej strony wyluzowany libertyn i celebryta, z drugiej twardy polityczny gracz, z trzeciej gorący reformator – to jemu Kanadyjczycy zawdzięczają prawo do aborcji czy depenalizację homoseksualizmu – chciał bardziej niezależnej polityki wobec komunistycznych Chin i Kuby.

Zresztą Pekin odwiedził jako pierwszy polityk z Zachodu, co nasuwa oczywiste skojarzenia z Markiem Carneyem, który dziś sufluje spanikowanym sierotom po sojuszu transatlantyckim: może to i autokracja, ale racjonalna i niczego nikomu nie chce narzucać. Więc możemy budować nasz dobrobyt, który pozwoli podtrzymać demokrację liberalną, handlując z Chińczykami, skoro już nie możemy polegać na nieprzewidywalnych, rozgorączkowanych ideowo Amerykanach.

Ponury Nixon reagował na Trudeau niemal alergicznie, aż w końcu, rozeźlony jawną dezaprobatą Trudeau wobec wojny w Wietnamie i udzielaniem azylu Amerykanom uciekającym przed poborem, na taśmach z Białego Domu nazwał go po prostu „asshole", czyli dupkiem.Trudeau odpowiedział potem bon motem: „Bywałem wyzywany gorzej przez lepszych ludzi".

Potem już sąsiedzkie relacje przebiegały w rytmie od kryzysu do kryzysu. A to spory gospodarcze, zwłaszcza wokół National Energy Program – Waszyngtonowi nie przypadła do gustu podjęta w latach osiemdziesiątych przez Ottawę próba uniezależnienia energetycznego, zwłaszcza „kanadyzacji" rurociągów oraz przemysłu wydobywczego, a to odmowa udziału Kanady w interwencji w Iraku w 2003 roku, uznanej za zwykłą inwazję.

Żaden z tych kryzysów nie zerwał jednak podstawowego faktu: granica pozostała najdłuższą pokojową granicą świata. A okresy ochłodzenia politycznego nie skutkowały oziębieniem na dole, wzrostem niechęci czy wrogością Kanadyjczyków do Amerykanów i vice versa.

Za pierwszej kadencji Trumpa napięcie między sąsiadami po raz pierwszy od dawna przybrało wymiar groźniejszy, bo psychologiczny. Instytucje trwały – współpraca wojskowa, NORAD, handel, a nawet NAFTA, przepisana w 2020 roku na nowo jako USMCA – ale ton relacji wyraźnie się zmienił. Prezydent USA traktował Justina Trudeau z ostentacyjną wyższością: po szczycie G7 w Charlevoix w 2018 roku nazwał go „bardzo nieuczciwym i słabym", przy różnych okazjach demonstrował, że ma Kanadyjczyka za cieniasa i z racji prezencji oraz domniemanej osobowości, i znaczenia narodu, który reprezentuje. A w jednej z napiętych rozmów o cłach, rzucił słynne już pytanie: „Czy to nie wy spaliliście Biały Dom?", myląc niezależne kanadyjskie państwo z brytyjską zamorską prowincją z czasów wojny 1812 roku.

Jeszcze bardziej drażniąca dla Kanadyjczyków była sama logika tego sporu: Trump nałożył cła na kanadyjską stal i aluminium, powołując się na argument „bezpieczeństwa narodowego", jakby najbliższy sojusznik i partner z NORAD-u stanowił zagrożenie dla USA. Trudeau odpowiadał chłodno, że to „obraźliwe", ale w Kanadzie zapamiętano nie tylko sam spór handlowy, lecz także ton – coś znacznie gorszego niż zwykłe amerykańskie docinki o nudnych Kanadyjczykach, syropie klonowym czy hokeju.

W stylu Trumpa i odruchach ruchu MAGA pobrzmiewało bowiem coś cięższego: przekonanie, że Kanada jest może sympatyczna, ale miękka, zależna, moralizująca, ale bez przekonania, nie ma siły, a jej liberalny premier uosabia wszystko, czym prawdziwa Ameryka gardzi. Trudeau ze swoją polityką wielokulturowości, legalizacją marihuany, feministycznym językiem i celebrycką aurą, był idealnym chłopcem do bicia – i zarazem dobrym symbolem kanadyjskiej odmienności. Także wtedy, gdy budził znużenie lub kpiny we własnym kraju – ale nawet wtedy bywało, że jakoś imponował nie tylko Kanadyjczykom. Na przykład wtedy, gdy w przeciwieństwie do amerykańskich polityków, którzy niezależnie od przynależności partyjnej i światopoglądu w razie kłopotów osobistych próbują utrzymać wizerunek kochającego męża i odpowiedzialnego ojca z podmiejskiej klasy średniej. A „boski Justin" nie ukrywał rozwodu i nowego związku z supergwiazdą muzyki pop Kate Perry.

Następca Trudeau – Mark Carney – jest z innej bajki: mniej fotogeniczny, bardziej technokratyczny, chłodniejszy w stylu, przypomina waszyngtońskich czy brukselskich klerków. Ale i on, właśnie przez ten brak gwiazdorzenia, wydaje się na swój sposób bardzo kanadyjski – nie jako wybawca po epoce emocji, lecz jako kolejna odsłona politycznej kultury, która bardziej ufa instytucjom niż spektaklowi.

●

Puenta tej opowieści jest bardziej złożona, niż chciałby to widzieć sam Trump. Gdy Stany Zjednoczone razem z Izraelem uderzyły na Iran, premier Carney z jednej strony mówił o „porażce porządku międzynarodowego" i podkreślał, że Ottawa nie konsultowała z Waszyngtonem operacji, z drugiej jednak oficjalnie oświadczył, że Kanada „wspiera Stany Zjednoczone w działaniu na rzecz uniemożliwienia Iranowi zdobycia broni jądrowej". Innymi słowy: nawet gdy Kanada zachowuje odrębność, nie przestaje być częścią zachodniego świata bezpieczeństwa.

I może właśnie to jest najtrafniejsza odpowiedź na całą fantazję o pięćdziesiątym pierwszym stanie. Kanada nie jest Ameryką. Ale też nie jest anty-Ameryką. To jej najbliższy kuzyn – taki, który przez dwa stulecia nauczył się mówić własnym głosem, nie zapominając, po której stronie stoi, gdy naprawdę zaczyna się robić niebezpiecznie.

Paradoksalnie więc wypowiedzi Trumpa o „51. stanie" wzmocniły coś bardzo starego w kanadyjskiej tożsamości: odruch życia w cieniu większego sąsiada i potrzebę nieustannego definiowania siebie wobec niego.

Kanadyjczycy mają na to zresztą własny, dość trafny żart. Mówią, że Kanada przypomina mieszkanie nad bardzo głośnym barem. Można próbować prowadzić spokojne życie, można urządzić wszystko po swojemu – ale i tak przez podłogę zawsze słychać, co dzieje się piętro niżej. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ" PORADNIK

SYSTEM KAUCYJNY

- Opakowania kartonowe, puszki po piwie, małpki – jakie zmiany szykują się w systemie kaucyjnym
- Które opakowania najbardziej opłaca się zbierać i jak robić to bezpiecznie
- Dobre praktyki, czyli jak działa system kaucyjny za granicą

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

WRÓCIŁEM Z KRAJU NUMER 3 NA LIŚCIE TRUMPA

W Hawanie płacę polską kartą, korzystam z TikToka i uważam na ciche elektryczne SUV-y.

FOT. REUTERS/NORLYS PEREZ

• W Hawanie dzieci chodzą do szkoły tylko na kilka godzin w związku z oszczędzaniem energii. Powód to brak paliwa na wyspie po wprowadzeniu przez USA blokady dostaw (12. 02. 2026 r.)

Mateusz Mazzini

Historię trzeba pamiętać. Teraźniejszością trzeba żyć. A przyszłość? Przyszłość trzeba budować.

Ruben, wygłaszając sentencje niczym hasła wymalowane tutaj na co drugiej ścianie, niespecjalnie koncentruje się na prowadzeniu samochodu. Nie musi. Kilkupasmowa autostrada z lotniska imienia José Martiego do centrum Hawany jest znacznie mniej zatłoczona niż zwykle. Co jednak nie znaczy, że nikt się nie przemieszcza, a samochody osobowe, ciężarówki i motory stoją smutno zaparkowane pod domami, czekając na lepsze czasy.

Lecąc na Kubę teraz, po niemal zupełnym odcięciu jej od dostaw ropy, przygotowywałem się na wyjazd w obszar całkowitego kryzysu – humanitarnego, ekonomicznego, energetycznego, wreszcie – politycznego. Doniesienia amerykańskich i zachodnioeuropejskich mediów, w tym również polskiej prasy, sugerowały, że Kuba nieomal przypomina Strefę Gazy. Miejsce nie do życia, bez prądu, wody i jedzenia, które już za chwilę, już za moment zawali się od środka – cokolwiek miałoby to znaczyć.

Uczucie podróży ku jądru ciemności potęgowały informacje o kolejnych krajach, które wycofują połączenia rejsowe z Hawaną. Kiedy trzy tygodnie temu agencje informacyjne zaczęły kolportować informację o „ewakuacji" rosyjskich turystów z wyspy, nawet bliscy, przyzwyczajeni do niekonwencjonalnego charakteru moich służbowych podróży, zaczęli odradzać mi ten wyjazd. Szybko jednak zobaczyłem, jak wiele z tych opowieści jest przesadzonych, przekłamanych, albo zwyczajnie stanowi projekcję myślenia życzeniowego ich autorów.

Pierwszy raz przekonałem się o tym, zanim jeszcze kubański celnik sprawdził moją wizę. Bo skoro rosyjscy turyści zostali „ewakuowani" z Kuby, to czemu Rosjanie stanowili większość pasażerów mojego lotu ze Stambułu do Hawany? I to Rosjanie cywilni, z wypchanymi po brzegi walizkami, po wyjściu z terminalu ładujący się do autobusów turystycznych z wetkniętymi za szyby nazwami hoteli i kurortów.

Podobnych sprzeczności i niespójności pomiędzy obrazem malowanym przez media a rzeczywistością życia na Kubie w 2026 roku, po powrocie Donalda Trumpa do władzy w USA i dokręceniu śruby cherlawemu reżimowi, napotkałem całe mnóstwo.

Dlatego opowieść o obecnej sytuacji na wyspie od siedmiu dekad eksperymentującej z „plażowym socjalizmem", musi być opowieścią o sprzecznościach właśnie. O niuansach, złożonych tożsamościach, walce z własnymi uprzedzeniami. A także o tym, ile tracą czytelnicy i widzowie na fatalnej kondycji dobijanych przez amerykańskie serwisy społecznościowe mediów, które muszą powielać zagraniczne depesze, obce narracje i nie mogą zweryfikować, jak sprawy się mają, oczami i uszami własnych korespondentów.

•

– Ten rok będzie kluczowy, bo Trump chce nas wszystkich zmieść z powierzchni ziemi. Ale my się nie damy, będziemy walczyć. Za dużo wycierpieliśmy w imię naszej niezależności, żeby teraz to wszystko oddać.

Ruben pracuje w sektorze turystycznym już 30 lat. Dzisiaj jest kierowcą, wcześniej sam sprzedawał wycieczki w głąb kraju, prowadził sklepik na lotnisku, pracował dla państwowych przedsiębiorstw zarządzających pobytem obcokrajowców na Kubie. Przyznaje, że dzisiaj na wyspie panuje kryzys, ale zaraz potem dodaje, że tak naprawdę kryzys ciągnie się tu nieprzerwanie od 1991 roku. Wtedy oficjalnie istnieć przestał Związek Radziecki, główny materialny i – w mniejszym stopniu – ideologiczny sponsor kubańskiej rewolucji i komunistycznego reżimu, który po niej nastał.

Póki Sowieci inwestowali w karaibską wyspę, projekt braci Castro i Ernesto „Che" Guevary mógł być uznawany za olbrzymi sukces społeczny. Niewyobrażalnie wręcz biedny kraj, zredukowany przez Amerykanów do roli zamorskiego, pozaprawnego parku rozrywki, zamieszkany przez w dużej mierze niepiśmienny i pozbawiony tożsamości naród w kilka dekad stał się jednym z najlepiej wykształconych i równych materialnie społeczeństw na planecie.

Kuba startowała z niesamowicie niskiego poziomu, więc o tak imponujące wyniki było łatwiej niż w innych krajach. Co jednak nie dyskredytuje osiągnięć rewolucji, która milionom dała edukację, ciepłe posiłki i pracę, doprowadzając kubańskie społeczeństwo do miana narodu z najwyższym na świecie odsetkiem osób z tytułem doktora na tysiąc mieszkańców.

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

Fakt, że po upadku ZSRR te doktoraty na nic się nie przekładały, a stopień naukowy miał taksówkarz na ulicach Hawany czy prostytutka naganiająca sobie klientów w przejściu podziemnym przy nadmorskim bulwarze Malecón – to oczywiście prawda. Ale też temat na osobny wątek w tej opowieści.

Kiedy sowieckie pieniądze, wsparcie w relacjach ze światem, a przede wszystkim – sowiecka ropa naftowa, maszyny rolnicze i części do nich z dnia na dzień wyparowały, Kuba została sparaliżowana. Podobnie jak dzisiaj, brakowało prądu, jedzenia, leków, paliwa, środków higieny osobistej. Społeczeństwo, po raz pierwszy od obalenia marionetkowej amerykańskiej dyktatury Flugencio Batisty w 1959 roku, weszło w otwarty spór z komunistycznymi przywódcami. Doszło do tego, że sam Fidel Castro musiał rozładowywać napięcia społeczne, negocjując z protestującym tłumem, wypełniającym cały ośmiokilometrowy bulwar Malecón.

Rozpad ZSRR i całego bloku wschodniego unaocznił wszystkim, że komunistyczny eksperyment na Karaibach nie był zdolny do samodzielności. Potrzebował zewnętrznego wsparcia, mocodawcy, który przy okazji używałby władz w Hawanie jako pionków we własnych interesach, w tym ideologicznych. Więc rolę Moskwy kilka lat później przejęło Caracas, kiedy w Wenezueli swoją własną rewolucję, boliwariańską – również godnościową, narodową i socjalną – przeprowadził Hugo Chávez. Na masową skalę zaczął wysyłać na Kubę ropę, praktykując antykapitalistyczne, barterowe umowy z braćmi Castro. Do Hawany płynęły ogromne ilości wenezuelskiego surowca, a w drugą stronę – głównie kubańscy lekarze, wówczas główny towar eksportowy wyspy. Zanim jednak to partnerstwo się utrwaliło, na Kubie latami trwał trudny do wyobrażenia sobie kryzys – który mimo wszystko rewolucja przetrwała.

To pierwszy powód, dla którego tak trudno jest oceniać bieżącą sytuację na wyspie. Ruben ma rację, mówiąc, że tamte warunki bytowe, nazywane przez władzę „specjalnym okresem", nigdy tak naprawdę się już nie polepszyły. A przynajmniej nie na stałe. Jak opowiada, wioząc mnie po opustoszałej autostradzie, raz bywało lepiej, raz gorzej – ale nigdy nie było po prostu dobrze.

Rewersem tej historii jest jednak fakt, że kubańskie społeczeństwo jest, jak być może żadne inne na świecie, przyzwyczajone do życia w gospodarce niedoboru. Jest też gotowe w takim kryzysie trwać nadspodziewanie długo – jeśli wierzy w sens oporu.

•

Na czym więc polega różnica między tym, co działo się tuż po zakończeniu zimnej wojny i kryzysem, który wywołał Trump, skoro i wtedy, i dzisiaj brakowało podstawowych produktów, a życie na Kubie było trudne, czasami wręcz niemożliwe?

Otóż trzy dekady temu w kubańskim społeczeństwie tlił się jeszcze w sobie żywy ogień rewolucji, pamięć czasów „sprzed" – wyzysku na plantacjach, podporządkowania gospodarki wielkiemu sąsiadowi i sprowadzenia jej przez amerykański kapitał do monokultury trzciny cukrowej, panoszących się szemranych jankeskich biznesmenów, regularnych politycznych interwencji Waszyngtonu, amerykańskich mafiosów czerpiących krociowe zyski z kasyn i domów publicznych – była świeża. Ludzie doceniali korzyści, które rewolucja im przyniosła – i naprawdę byli gotowi za rewolucję umierać. Nawet dosłownie.

Dzisiaj mało który Kubańczyk złożyłby taką deklarację.

Ruben nie mówi tego wprost, ale w czasie wielu rozmów, które odbyliśmy, wielokrotnie sugeruje, że coś się w tym projekcie politycznym bezpowrotnie wyczerpało.

– Nadszedł czas zmian. Nasz kraj nie ma już liderów z czasów rewolucji. Ludzi, którzy walczyliby dla ludu i niczego nie chcieli w zamian. Ci, którzy nami rządzą dzisiaj, oddadzą kraj z dnia na dzień, zobaczysz. Jeśli coś się tu zmieni, to błyskawicznie.

– Naprawdę? – dopytuję z niedowierzaniem. – Nikt nie wyjdzie na ulicę?

– Nie – odpowiada kategorycznie. Nie wiem, po co miałby.

•

Większość Kubańczyków nie zdecydowałaby się dzisiaj na otwarty sprzeciw wobec reżimu z różnych przyczyn, nie tylko ze strachu – politycznych, moralnych, osobistych. Niektórzy jednak chcą zmiany, ale boją się, że jej nie dożyją.

– Moja matka ma raka płuc. Leczy się w szpitalu na prowincji. A raczej leczyła, bo teraz nie ma tam prądu. O lekach możesz zapomnieć. Jeśli masz pieniądze i krewnych w USA, możesz spróbować je sprowadzić, ale to kosztuje tysiące dolarów. Reszta czeka na cud.

Sonya poprawia turkusowy turban, idąc pod rękę ze swoim mężem. Są z Wilberem już 28 lat, od liceum. Śmieją się, że nikt im w młodości nie dawał szans na tak długi związek, a dawni znajomi ze szkoły nie dowierzają, kiedy słyszą, że tyle ze sobą wytrzymali.

Poznaję ich, kiedy przygotowuję się do wyjazdu z Hawany w głąb kraju. Wilber jest ochroniarzem w hotelu, dopada mnie na ulicy i oferuje to, co większość mężczyzn polujących na obcokrajowców w stolicy Kuby. „Change money", „tour of the city", „American car" – wszystko to może mi załatwić, jak sam mówi, po uczciwej cenie. Jeśli nie wierzę – mogę zapytać jego żonę. Dodatkowo oferuje mi pełne bezpieczeństwo we wszystkim, na co się zdecyduję. Może nawet pojechać ze mną, oczywiście za opłatą w dolarach.

Nie mam akurat przy sobie zdrapki, więc pozwalam Wilberowi snuć opowieść, którą, szczerze mówiąc, średnio jestem zainteresowany. Spodziewam się, że puentą będzie rytualna prośba o dolary, w końcu jestem dla nich źródłem waluty. Umawiam się z kierowcą na godzinę odjazdu do Varadero, kurortu, który jest dziś całkowicie opustoszały, i odchodzę w kierunku pobliskiej kawiarni.

Wilber łapie mnie za rękę. Oho, robi się niebezpiecznie. Tymczasem on prowadzi mnie do żony.

– Nie idź tam. W tej kawiarni zapłacisz trzy razy więcej, zaprowadzimy cię do kooperatywy. Będzie taniej i pomożesz kubańskiemu narodowi, a nie prywaciarzom.

„Kooperatywa" to słowo, które mnie przekonuje, bo dla osób włóczących się po ulicach kubańskich miast jest pojęciem wręcz mitycznym. Odnosi się do czegoś na kształt komuny pracowniczej i związku zawodowego w jednym. Wilber i Sonya prowadzą mnie na spacer po uliczkach starej Hawany, obok katedry, aż do małej dziupli pod arkadami, w ślepym zaułku, schowanej za knajpami dla turystów. Nastoletnia dziewczyna, którą spotykam na wejściu, zadaje mi tylko jedno pytanie. Czy jestem Amerykaninem? Nie, Europejczykiem. To wchodź. Jankesów do kooperatywy wpuszczać nie wolno.

Tutaj sprzedaje się kubańskie produkty eksportowe: rum, cygara, kawę, ale po cenach niższych o 60-70 procent od tych, które narzucają sklepy reżimowe. Powody są dwa, skrajnie różne. Często to po prostu podróbki – cygara wypchane węglem drzewnym, rozwodniony alkohol. Banderole podrobione do perfekcji, ale środek oszukany. Ale coraz częściej da się tu upolować oryginały, bo sprzedają je pracownicy zakładów państwowych. Kryzys jest tak wielki, że fabryki często nie mają na pensje, więc płacą w naturze – pozwalają pracownikom wynosić towary i sprzedawać je samodzielnie, na czarnym rynku.

Sonya pracowała właśnie w fabryce cygar. Przestała, bo skończyły się pieniądze na wypłaty. Wszystko, co wyniosła, ma tutaj na sprzedaż. Z tego się dzisiaj utrzymuje. – Moja matka była pielęgniarką przez czterdzieści lat. Dzisiaj dostaje sześć tysięcy pesos emerytury. Więcej niż wynosiła moja pensja. Ale co z tego, skoro nie ma co z tymi pieniędzmi zrobić. Za mało, żeby sprowadzić jej leki z USA. W szpitalu w jej miejscowości już nie ma nawet wody. Chciałam ją ściągnąć do Hawany, tylko że z kolei mnie nie stać na transport dla niej. Rozmawiamy na WhatsAppie, jeśli ma siłę, żeby połączyć się na wideo.

Bo to też jest obraz dzisiejszej Kuby. Miejsca, w którym pacjenci nowotworowi nie mają dostępu do leków, ale gdzie państwo nie kontroluje już dostępu do internetu jak kiedyś i komunikatory, platformy społecznościowe, a nawet CNN w wersji amerykańskiej są dostępne bez większych problemów.

Jakby na potwierdzenie tych słów tuż przed wejściem do kooperatywy z ulicy próbuje mnie ściągnąć kolejny naganiacz. Zaprasza do swojego pubu, mówi, że dzisiaj specjalna oferta z okazji ważnego wydarzenia. Co to za wydarzenie? Transmisja meczu Ligi Mistrzów z udziałem Realu Madryt.

Globalna homogeniczna kultura dotarła i tutaj. Jest na ekranach telewizorów, jest w układach tanecznych, które kilkunastoosobowe grupy nastolatków odtwarzają na Malecón, nagrywając się i wrzucając filmy na TikToka. Jest w nowych samochodach, angielskich hitach popowych granych przez kubańskie zespoły i w zagranicznych towarach oferowanych w domowych sklepach, wciśniętych w bramy i klatki schodowe. Kuba jest od świata zewnętrznego znacznie mniej odizolowana, niż się wydaje, patrząc z Europy.

Sonya opowiada o cierpieniu matki, a w jej mężu aktywuje się gen handlarza-przedsiębiorcy. Próbuje mi wcisnąć skrzynkę cygar, kawę, kilka rodzajów rumu. Cały czas też uspokaja, że nic mi się tu nie stanie, bo on, zapaśnik olimpijczyk, nad wszystkim panuje.

Dobijamy targu, odchodzę, wracam na spotkanie z kierowcą. Varadero okaże się synonimem frazy „smutek tropików". Rajskie plaże, piękne hotele, leżaki z rozłożonymi ręcznikami – i praktycznie żywej duszy. Pojedynczy Rosjanie cieszą się pustym basenem, starzy faceci oblepiają wzrokiem młode Kubanki. Poza tym – miasto bez życia.

Zanim jednak wyjadę z Hawany, przypominam sobie o wątku z igrzyskami. Kupuję zdrapkę, odpalam internet, wklepuję słowa klucze. Zapasy, igrzyska, Kuba, Wilber. I znajduję. Wilber Sánchez Amita. Dwukrotny olimpijczyk: Barcelona 1992 rok, Atlanta 1996. Za pierwszym razem – brązowy medal w kategorii do 48 kilogramów. 34 lata później ten sam człowiek prosił mnie o równowartość czterech dolarów, żeby miał za co kupić karton mleka.

•

Przez piętnaście lat zajmowania się Ameryką Łacińską, naukowo i reportersko, po życiu i podróżowaniu w wielu krajach regionu przyzwyczaiłem się, że Latynosi, niezależnie od kraju, mają bardzo złożony stosunek do własnej historii i władzy. Nie inaczej było z Kubańczykami, którzy przy mnie nie raz otwarcie krytykowali Fidela.

Wbrew uproszczonemu wizerunkowi, który przyjął się również w Polsce, Kuba po 1959 roku nie podzieliła się na dwa monolityczne, czarno-białe bloki: miłujących rewolucję, czerwonych do szpiku kości komunistów i demokratycznych bojowników o wolność i kapitalizm, prześladowanych przez Fidela i zmuszanych do ucieczki 140 kilometrów na północ, gdzie zaczyna się terytorium Stanów Zjednoczonych. Obraz był znacznie bardziej złożony – Kubańczycy potrafili publicznie narzekać na braci Castro jako polityków, by zaraz potem zachwycać się zdolnościami Fidela w roli komentatora wydarzeń sportowych oraz tym, co w pierwszych latach zrobił dla społeczeństwa. Tak samo ci, którzy wyjechali z wyspy, robili wszystko, by komunizm na niej obalić, a jednocześnie często przyznawali, że wielu ich krewnym dzięki rewolucji w ojczyźnie żyje się po prostu lepiej niż w Stanach, krainie wolności, możliwości, ale też „radź sobie sam" w razie nieszczęścia czy choroby.

Ale to już historia. Nigdy dotąd nie spotkałem się z tak otwartym sceptycyzmem wobec dziedzictwa życia Fidela, Raúla, „Che" Guevary. Na różne sposoby stwierdzenie, że rewolucja musi odejść, usłyszałem od dosłownie każdego, z kim rozmawiałem na wyspie. – Historia jest ważna, ale historią człowiek się nie naje. Tamta walka, ideologiczna, była ważna – ale teraz prawdziwą walką jest zdobycie jedzenia. Jeść musisz codziennie. Teraz na Kubie nie ma paliwa, przez to ludzie nie mogą dojeżdżać do pracy. To dramat, bo pracą nie tylko zarabiasz

– Dawniej rządzący byli tacy jak my. Fidel sam pracował w polu, rozmawiał z ludźmi, nie chciał dla siebie niczego. Dzisiaj nadal rządzi rodzina Castro, ale oni kradną, biorą w łapę – narzeka Ernesto, wuefista spod Hawany

Będzie bezpiecznie, bo Wilber przedstawia się jako były zapaśnik. I to nie byle jaki – twierdzi, że był na olimpiadzie, a jego 24-letni syn idzie w ślady ojca. – Właśnie jest w Rumunii, na mistrzostwach świata. Jutro będzie walczył o brąz – mówi, promieniejąc z dumy.

Nie takie historie już słyszałem w swoim reporterskim życiu, więc opowieści o igrzyskach puszczam mimo uszu. Nie mam też jak zweryfikować od ręki jego historii, bo internet nie jest tu niczym powietrze, jak w Europie.

Co nie znaczy, że jest niedostępny. Żeby zalogować się do sieci, trzeba być albo klientem drogiego hotelu, albo skorzystać z hot-spota w kawiarni, albo mieć pieniądze, żeby wejść do sieci państwowej. Bo publiczny internet dla takich, jak ja, jest płatny – ale i tu zaszła zmiana, w dodatku na lepsze. Technologia jest wprawdzie prehistoryczna, bo trzeba udać się do licencjonowanego punktu sprzedaży, kupić kupon ze zdrapką i ręcznie wpisać kod dostępu, ale ceny są nieporównywalnie bardziej przystępne. Kiedy byłem na Kubie przed pandemią koronawirusa, za 10 minut dostępu do internetu płaciłem 10 dolarów. Dzisiaj cała godzina to zaledwie jedno euro.

eprasa.pl 8024f7c131

na pożywienie, praca to też godność. Jeśli nie masz pracy, wstajesz rano i masz zły humor. Głupie pomysły ci wtedy przychodzą do głowy. Tak się nie da żyć – peroruje Ruben, mój kierowca.

Za chichot losu uznaję fakt, że kiedy to mówi, przejeżdżamy właśnie obok budynku szkoły podstawowej. Znów: wbrew raportom zagranicznej prasy, pisanym ewidentnie zza biurka w europejskich stolicach, wiele szkół na Kubie wciąż jest otwartych, tyle że w niepełnym wymiarze czasowym. Ta, która robi za tło dla naszej rozmowy, ma na ścianie wymalowane podobizny Fidela, wciąż żyjącego, 94-letniego Raúla oraz Miguela Díaza-Canela, od 2019 roku prezydenta, a od 2021 – pierwszego sekretarza partii komunistycznej.

Słucham Rubena zżymającego się, że dzisiejsi liderzy to oportuniści, którzy poświęcą dorobek zasłużonych poprzedników, i przyglądam się podobiznom polityków połączonych wielkim napisem „Continuidad", czyli „ciągłość".

•

Ruben na co dzień mieszka w starej Hawanie – jednej z trzech, obok Hawany nowej i Hawany centralnej, najważniejszych dzielnic stolicy kraju. I jednym z niewielu obszarów, który doświadcza bardzo niewielu blackoutów – jeśli w ogóle.

Zarabia, jak prawie wszyscy Kubańczycy, około pięciu tysięcy pesos miesięcznie. To ekwiwalent 10 dolarów, jeśli użyć przelicznika czarnorynkowego, z ulicy. Po oficjalnym kursie wyjdzie trochę mniej, choć dzisiaj, ku zdziwieniu doświadczonych obserwatorów tego kraju, różnica jest minimalna. To też znak czasów. Jeszcze kilka lat temu przebitka była cztero-, nawet pięciokrotna. Nikt, kto choć trochę znał realia i umiał dogadać się z cinkciarzami, nie wymieniał waluty w oficjalnych punktach sprzedaży. Dzisiaj rząd handluje nią niemal na tym samym poziomie, co ulica. Ewidentnie więc władza nie panuje już nad gospodarką, a przez to i nad społeczeństwem, w sposób tak totalny i restrykcyjny, jak jeszcze w niedawnej przeszłości.

Te pięć tysięcy pesos to średnia pensja praktycznie w całej gospodarce. Lekarze, nauczyciele, kierowcy autobusów, policjanci, dyrektorzy kolektywów rolniczych – wszyscy, którzy pracują dla państwa, zarabiają właśnie tyle, z niewielkimi odchyłami. Na więcej mogą liczyć osoby zatrudnione w branżach mających kontakt z obcokrajowcami – obsługa zagranicznych hoteli, kierowcy, którzy dostają napiwki, przewodnicy. Ale nawet wtedy różnice są niewielkie. Niewiele więcej – sześć tysięcy – wynosi państwowa emerytura. Też prawie zawsze jednakowa, bo każdy emeryt pracował tu w sektorze publicznym, prywatnego przecież nie było. A państwo płaci wszystkim tyle samo.

Pięć tysięcy zarabiają też Ernesto i Juan. Pierwszy ma 47 lat, drugi – 54. Spotykam ich na Prado, centralnej osi komunikacyjnej Hawany, kiedy sami do mnie podchodzą, prosząc o zdjęcie.

W pierwszej chwili jestem zdezorientowany, zaczynam myśleć, że mój pokaźny i profesjonalnie wyglądający aparat przyciągnął ich uwagę i zaraz będą chcieli mi coś sprzedać albo, co bardziej prawdopodobne, prosić o „choćby drobną kwotę". Wywołany przez Trumpa kryzys dźwignął biedę na nowy, nieznany dotąd poziom. Ludziom zatrudnionym w turystyce żyje się jeszcze relatywnie normalnie, partyjni dygnitarze w ogóle nie odczuwają problemów materialnych. Ale dla zdecydowanej większości Kubańczyków brak dostaw ropy to autentyczna katastrofa. W rezultacie każdy obcokrajowiec, który odważy się tu przyjechać, staje się momentalnie chodzącym bankomatem. I choć Kubańczycy są relatywnie uprzejmi, mało namolni i przynajmniej nie wysyłają do turystów żebrzących małych dzieci – bycie „z zewnątrz", „yuma", jak to się tutaj mówi, sprawia, że poruszanie się po Kubie dzisiaj jest trudne. Nie tylko moralnie, ale i zwyczajnie fizycznie.

FOT. REUTERS/NORLYS PEREZ

• **Kobieta z cygarem rozmawia z turystką na ulicy w Hawanie (11.02.2026)**

Jednak się mylę, bo Ernesto i Juan, obaj ubrani w podrabiane koszulki piłkarskiej reprezentacji Brazylii, autentycznie chcą, żeby zrobić im zdjęcie. W dodatku telefonem jednego z nich. Chodzą po Hawanie i trzaskają sobie fotki na tle stołecznych zabytków. El Capitolio, budynek parlamentu ze złotą kopułą, wyglądający jak kopia tego w Waszyngtonie. Hotel Inglaterra, najstarszy na wyspie, w ogródku którego codziennie od 10 rano do 10 wieczorem, z krótkimi przerwami, zespół lokalnych grajków tłucze szlagiery – od „Guantanamery" po „My Way" i „All you need is love". Mnie proszą, żebym zrobił im zdjęcie u zbiegu Prado i Malecón, z Morzem Karaibskim w tle.

– Skąd jesteście?

– Stąd, z okolic Hawany. Mieszkamy koło lotniska.

Po tej odpowiedzi już nic nie rozumiem. Skoro są tutejsi, stołeczni, po co im fotki miejsc, które musieli widzieć setki razy?

– Musimy udowodnić, że naprawdę dzisiaj byliśmy w Hawanie. Inaczej dyrekcja nie zwróci nam pieniędzy – odpowiada Ernesto.

Wychudzony mężczyzna wbija wzrok w ziemię i melancholijnym tonem zaczyna opowieść o rewolucji, w której wypalił się ogień. Kolejną, którą tu usłyszę.

•

On i Juan pracują jako wuefiści w podmiejskiej szkole, noszącej – a jakże! – imię „Bohaterów Rewolucji". Jednocześnie są trenerami piłki nożnej w sąsiednim klubie imienia Simóna Bolívara, legendarnego latynoskiego XIX-wiecznego wyzwoliciela, patrona marksistowskiej rewolty Cháveza i Nicolása Maduro.

Przyjechali do Hawany na turniej piłkarski – ich podopieczni właśnie mają przerwę pomiędzy ćwierćfinałem i półfinałem. Później wskażą mi boisko, na którym odbywają się mecze – i znalezienie go zajmie mi dobre pół godziny kręcenia się pod podanym adresem. Dlatego, że stojąc przed zasypanym żwirem dziedzińcem wysokich kamienic przy muzeum rewolucji ulokowanym w dawnym pałacu Flugencio Batisty, nie przyjdzie mi do głowy, że tutaj, w takich warunkach odbywają się oficjalne kubańskie turnieje piłkarskie.

Szukałem boiska w europejskim tego słowa znaczeniu. Placu pokrytego trawą, z wytyczonymi liniami, siatkami w bramkach. Znalazłem coś, co bardziej wyglądało jak więzienny spacerniak niż przestrzeń do uprawiania sportu. Ale to właśnie tam nastoletni uczniowie Ernesto i Juana próbowali pokazać rówieśnikom ze stołecznych klubów, że nie są wcale od nich gorsi. – Nasz klub ledwo zipie – wzdycha Juan. – Żeby tu przyjechać, musieliśmy łapać stopa na autostradzie. Chłopaków wysłaliśmy autem, dla nas zabrakło miejsca. Sami zapłaciliśmy za dojazd, ale dyrektor szkoły obiecał, że postara się nam zwrócić. Bylebyśmy tylko przywieźli dobry wynik – i zdjęcia, na dowód, że go nie oszukujemy.

Trump spróbuje inwazji, starsi staną w obronie dziedzictwa rewolucji, armia, choć zubożała i przestarzała, nie sprzeda tanio skóry, wsparcie przyślą Chińczycy, Rosjanie pomogą w cyberwojnie i rozpoznaniu wywiadowczo-satelitarnym

Szkoła i klub moich rozmówców położony jest niecałe 20 kilometrów od miejsca, w którym rozmawiamy. Taki przejazd potrafi dzisiaj kosztować nawet tysiąc pesos, czyli jedną piątą miesięcznej pensji. Albo dwa dolary – zależy z czyjej perspektywy patrzeć.

Ich szkoła jest wciąż otwarta – ale tylko do południa. Normalnie dzieci na Kubie uczą się w blokach ośmiogodzinnych, od 8 do 16. Szkoła odpowiada za organizację czasu wolnego, zapewnienie hobby, ale też, a może przede wszystkim – za wyżywienie. Ale od kiedy na wyspie praktycznie nie ma już ropy, większość miast ma problemy z elektrycznością. Bez elektryczności nie działają pompy wodne i instalacje kanalizacyjne, więc szkolne stołówki nie mają jak ugotować obiadów. Dlatego dyrektorzy szkół puszczają dzieci do domów właśnie o 12, w nadziei, że chociaż w domach będą mogły coś zjeść. Po przerwie powinny jeszcze wrócić do szkoły na dalszy ciąg zajęć, ale to tylko teoria. Powszechna edukacja, największa wartość dodana rewolucji, na oczach Kubańczyków przestaje być dostępna.

Co ciekawe, darmowa przestała być już jakiś czas temu. Dawniej, za czasów Fidela, państwo brało na siebie odpowiedzialność za całość szkolnej wyprawki. Mundurek, podręczniki, przybory, plecaki, sprzęt sportowy – wszystko jednakowe, bo wszystko pochodziło od rewolucji. Dzisiaj, jak słyszę od Ernesto, identyczne i państwowe zostały już tylko mundurki. Reszta – na koszt rodziców. Po raz pierwszy od 1959 roku w kubańskich szkołach pojawiły się więc nierówności. Kto ma krewnych w USA, dostęp do waluty i możliwość kupowania w tutejszych Pewexach, ten swoje dziecko wyposaży w modne, nowoczesne i przede wszystkim kapitalistyczne przybory szkolne.

•

Te opowieści o biedzie, braku jedzenia dla uczniów i horrendalnych kosztach komunikacji nawet na krótkich, podmiejskich dystansach boleśnie kontrastują z miejscem, w którym rozmawiamy. Po lewej stronie od ławki, na której siedzimy, stoi hotel Iberostar Grand Packard. Pięciogwiazdkowy, z basenem, spa i własnym centrum medycznym. Należy do olbrzymiej hiszpańskiej sieci, ale w pewnym sensie jego współwłaścicielem jest reżim. Żaden tego typu prywatny biznes, działający na szeroką skalę i przyciągający obcokrajowców oraz ich waluty, nie może tu działać bez stałej prowizji pobieranej przez partyjną nomenklaturę – niekoniecznie oficjalnie.

Po prawej stoi inny hotel, Paseo del Prado. Jeszcze większy, jeszcze bardziej luksusowy, z basenem na jeszcze wyższym piętrze. Z klimatyzowanych lobby obu „resortów" regularnie wychodzą turyści. Jeśli biali – to najczęściej Rosjanie i Serbowie, choć zdarzają się też Niemcy, a raz mijam grupę Amerykanów. Gdy zagaduję, co tu robią, odpowiadają, że chcieli obejrzeć Kubę „w jej autentycznej formie, zanim się zamerykanizuje". Wielopiętrowa hipokryzja zawarta w tej odpowiedzi przytłacza mnie do tego stopnia, że choć to nieprofesjonalne, nie chcę już kontynuować rozmowy.

Sporo jest też turystów chińskich – i to również nie przypadek. Bowiem w ostatnich latach, kiedy kolejne amerykańskie administracje w mniej lub bardziej wyrafinowany sposób próbowały pozbawić władzy Raúla Castro i jego współpracowników, Kubę po cichu uzależniać od siebie zaczęła Chińska Republika Ludowa.

•

Widać to nie tylko po ruchu turystycznym. Część Hawany jeszcze ma prąd, a luksusowe hotele działają bez żadnych zakłóceń, dzięki chińskim inwestycjom w infrastrukturę energetyczną. A dokładniej – w energię odnawialną.

Od lat Pekin stawia w interiorze oraz w okolicach samej stolicy kolejne farmy fotowoltaiczne, co obecnie pozwala utrzymać przy życiu ostatnie fragmenty kubańskiej gospodarki. W dodatku, jak dowiaduję się od Ernesto i Juana, centralna część Hawany ma nową, podziemną instalację elektryczną, która jest bardziej odporna na zewnętrzne uszkodzenia i ma mniejsze straty w przesyle energii.

Zagraniczne media, pisząc o bieżącym kryzysie, często używają bardzo plastycznego, niezmiennego przed dwie dekady obrazka z ulic samej Hawany – niegdyś bardzo hałaśliwych, bo wypełnionych starymi, rzężącymi lub – po wymianie silnika na nowszego, radzieckiego lub enerdowskiego diesla – klekocącymi cadillacami z lat 40. i 50. Albo z ulic dzisiejszych, znacznie cichszych, wciąż wypełnionych luksusowymi niegdyś amerykańskimi wielorybami, tylko unieruchomionymi – z komentarzem, że kolorowe krążowniki szos stoją w miejscu z powodu braku paliwa. Nie dodają jednak, że jest drugi powód ciszy: sporą część poruszających się po tutejszych ulicach aut stanowią chińskie samochody elektryczne. Głównie nowiutkie, błyszczące SUV-y, kupowane przez wojskowych, biznesmenów handlujących z Meksykiem i przede wszystkim przez partyjnych dygnitarzy, którzy uwłaszczyli się na sektorze turystycznym.

Chińczycy są tu już praktycznie wszędzie. W turystyce, w energetyce, w transporcie – bo miejskie autobusy też Kuba importuje z Państwa Środka. A przede wszystkim w telekomunikacji, czyli w nadzorze. Ernesto i Juan żartują, że prąd wciąż jest doprowadzany do trzech głównych dzielnic Hawany, żeby zasilać kamery bezpieczeństwa. To też nowość, nigdy wcześniej to miasto nie było tak oblepione narzędziami do inwigilacji. Dzisiaj kamery znajdują się nie tylko na fasadach hoteli, ale także na ważniejszych skrzyżowaniach, w miejscach uczęszczanych przez turystów czy na placach i alejach. Słowem – wszędzie tam, gdzie mógłby się zebrać sfrustrowany tłum.

Do kompletu, za infrastrukturę telekomunikacyjną i internetową też odpowiadają chińskie podmioty: Huawei i ZTE. Czyli podmioty, które tak naprawdę działają w służbie chińskiej partii komunistycznej. Pracowników tych gigantów informatycznych – Huawei swego czasu przo-

eprasa.pl 8024f7c131

dowało w opracowywaniu komórkowego 5G, dziś w wielu krajach niemal zmonopolizowało tę technologię – niejednokrotnie przyłapano na szpiegostwie, zbieraniu wrażliwych danych, lobbowaniu przeciwko regulacjom sektora technologicznego w Unii Europejskiej czy w Kanadzie. Nie ma przypadku w tym, że coraz więcej państw na świecie uznaje te dwie firmy za zagrożenie dla swojej infrastruktury krytycznej.

Warto o tym pamiętać, kiedy Amerykanie zdejmą blokadę i na Kubę wróci ropa, a co za tym idzie masowy ruch turystyczny. Każde logowanie do sieci internetowej bez wcześniejszych kroków maskujących jest równoznaczne z wysłaniem naszych danych do Pekinu.

●

– Dawniej rządzący byli tacy jak my. Fidel sam pracował w polu, rozmawiał z ludźmi, nie chciał dla siebie niczego. Dzisiaj Kubą nadal rządzi rodzina Castro, ale oni kradną, biorą w łapę, mają gdzieś to, co się dzieje z narodem – narzeka Ernesto.

– Widziałeś na pewno w telewizji, że niedawno do portu w Hawanie wpłynął meksykański statek z pomocą humanitarną. To pic na wodę, bo rząd położył na tym łapę – dodaje Juan. I wyjaśnia: jeśli w transporcie pojawią się na przykład leki, żywność i środki higieniczne, to jedna dzielnica dostanie leki, druga – jedzenie, trzecia – mydło i papier toaletowy. Nikt nie dostanie całego pakietu, poza partyjnymi notablami, którzy, jak słyszę tu co krok, i tak są w stanie sprowadzić sobie na wyspę, co chcą i kiedy chcą. Jeśli nie w transportach humanitarnych, które potem skonfiskują, to prywatnymi samolotami, które, jak twierdzi jednogłośnie hawańska ulica, regularnie kursują pomiędzy Hawaną i Miami.

A Ernesto przekonuje, że meksykańskie statki pomocowe pomocą są wypełnione produktami pierwszej potrzeby jedynie w połowie. Reszta ładunku to luksusowe samochody, które ściąga tu i sprzedaje Raúl Castro Rodriguez, 41-letni wnuk ojca założyciela rewolucji.

W taki oto sposób Kuba przestała być równościowym karaibskim eksperymentem, a stała się zwykłą, skorumpowaną oligarchią, w której ideologia nie odgrywa już żadnej roli.

Trudno nie dostrzec podobieństw z innymi państwami z tak zwanej „osi zła" – Wenezuelą czy Iranem. Wszędzie tam, tak samo jak na Kubie, dzisiejszy antyzachodni i antyliberalny reżim powstawał z mocy rewolucyjnego ognia. Autentycznej społecznej wiary w pewną ideę, która niosła nowych władców w krucjacie przeciwko staremu, skorumpowanemu, przemocowemu i postkolonialnemu porządkowi. To działa jednak wyłącznie w pierwszym pokoleniu, gdy żywa jest pamięć o walce z tyranią i nierównością, a przede wszystkim – żywi są ci, którzy tę walkę toczyli jako protagoniści. Gdy ich zabraknie, ideologiczny ogień wygasa, filary społecznego poparcia się chwieją – za to reżim zaczyna się uwłaszczać na państwowym majątku, który zasilał socjalne zdobycze. Tak było w Wenezueli, gdzie ideowca Cháveza zastąpił kleptokrata Maduro. Tak było w Iranie, gdzie Ali Chamenei był bardziej skorumpowaną i brutalniejszą wersją Ruhollaha Chomejniego. Tak jest też na Kubie, gdzie młodsze pokolenia rodziny Castro budują własną oligarchię, nie wykluczając przy tym nawet sprzedania dziedzictwa życia dziadków za ewentualną ugodę z Amerykanami.

A to wcale nie jest nierealna perspektywa. W połowie lutego portal Axios poinformował, że trwają tajne, bezpośrednie rozmowy pomiędzy Waszyngtonem i Hawaną. Z ramienia amerykańskiej administracji prowadzi je sekretarz stanu Marco Rubio, po stronie Kubańczyków prym wiedzie właśnie najmłodszy Castro.

Taki układ personalny nie powinien akurat nikogo dziwić. Sam Trump nie jest specjalnie zainteresowany Kubą, bo to mało łakomy kąsek. Nie ma tam ropy ani innych surowców, a on sam wielokrotnie już dowiódł, że chińskie wpływy niespecjalnie mu przeszkadzają, bo z Pekinem woli koegzystować niż rywalizować. Co innego Rubio – wywodzący się z kubańskiej diaspory konserwatywny chrześcijanin, od małego – co można wyczytać w lokalnych mediach z Florydy – zaczadzony opowieściami o złym Castro i diabolicznym komunizmie, który za wszelką cenę trzeba obalić. Być może psychologizowanie zachowań polityków nie powinno być na wyposażeniu skrzynek narzędziowych analityków, ale w przypadku Trumpa i jego współpracowników patrzenie na ich ruchy przez pryzmat osobistych historii i obsesji sprawdza się nad wyraz.

●

Rubio zrobi wszystko, żeby pozbawić kubańskich komunistów monopolu na władzę. Do tego potrzebna mu była styczniowa interwencja w Wenezueli, która uruchomiła w Ameryce Łacińskiej efekt domina. Po pierwsze, Amerykanie pokazali Kubańczykom, że jeśli chcą, to mogą wyeliminować każdego – co w Hawanie zarezonowało akurat bardzo mocno, bo prawie całą osobistą ochronę Maduro stanowili Kubańczycy.

Po drugie, przejęcie kontroli nad wenezuelską ropą odcięło wyspę od źródła surowca. Po trzecie, Waszyngton pokazał, że swoje plany dominacji hemisferycznej traktuje serio, więc przestraszyli się też Meksykanie, w pewnym momencie odpowiedzialni za ponad 60 procent dostaw ropy na wyspę. W efekcie kubański reżim został prawie zagłodzony, skazany na łaskę Amerykanów. I jest słaby jak nigdy dotąd.

Tak przynajmniej wydaje się Rubio, więc chce doprowadzić do zmiany reżimu na Kubie, żeby potem móc Trumpowi przynieść skalp, jakiego nie miał żaden z poprzedników – bo wygrać z Castro nie udało się ani Nixonowi, ani Kennedy'emu, ani Reaganowi, Bushowi czy Bidenowi. W roku wyborczym, gdy notowania Republikanów przed listopadowym głosowaniem połówkowym są słabe, byłby to znaczne propagandowe wzmocnienie administracji nawet biorąc poprawkę na fakt, że polityką zagraniczną w USA wyborów się nie wygrywa.

Miejscowi, pytani o Trumpa, nie boją się specjalnie ani jego nacisków gospodarczych, ani ewentualnej interwencji militarnej. Jest mało prawdopodobna, choć przykład Iranu wskazuje, że akurat przy tym prezydencie trzeźwe przewidywania potrafią bardzo brzydko się zestarzeć.

To nie administracja z Waszyngtonu jest dziś obiektem największej nienawiści na ulicach Hawany, Santiago de Cuba czy Trynidadu. Prezydenta USA Kubańczycy mają za krewkiego biznesmena, który wcale nie lubi się bić. Największe zagrożenie upatrują w rodakach – a konkretnie w dwumilionowej kubańskiej diasporze mieszkającej głównie na Florydzie. To stamtąd, geograficznie, politycznie i mentalnie, wywodzi się Rubio. I, jak często tu słyszę, to właśnie ta grupa jest najbardziej radykalna. Marzy im się przewrót, całkowite zmiana struktury władzy, natychmiastowa prywatyzacja i, przede wszystkim, odzyskanie majątków sprzed rewolucji. A w dalszej perspektywie – drapacze chmur i Hawana jako lustrzane odbicie Miami.

●

Trudno w tej chwili wyrokować, czy Kuba rzeczywiście będzie kolejną ofiarą tej administracji. Póki co Trump zajęty jest demontowaniem władzy ajatollahów w Iranie – co pewnie chwilę potrwa, nawet jeśli w rozmowie z telewizją NBC buńczucznie oznajmił, że wojna jest praktycznie skończona.

Konflikty zbrojne mają to do siebie, że nikt nie ma nad nimi pełnej kontroli i nawet prezydent USA musi liczyć się z tym, że na Bliskim Wschodzie ugrzęźnie na dłużej. W końcu Iran to nie Wenezuela, nawet nie Irak czy Libia. 90 milionów mieszkańców dumnych może nie z reżimu, ale ze swojej tradycji, długiej historii, kultury, miejsca w dziejach cywilizacji. Kraj cztery razy większy od Syrii. Gwardia Rewolucyjna ma pod bronią 190 tysięcy ludzi i ogromne zasoby dronów i pocisków – wystarczająco dużo, żeby zdestabilizować całą Zatokę Perską. Nie mówiąc o opresyjnej naturze reżimu, marionetkowych organizacjach uderzających daleko za granicą, jak Hezbollah czy jemeńscy Huti, gigantycznym znaczeniu dla rynków energetycznych i 500 kilogramach wzbogaconego uranu, który wciąż jest w Iranie – i nikt dokładnie nie wie gdzie. W Iranie bardzo wiele rzeczy może pójść jednoznacznie źle – i Ameryka nie będzie mogła się z tego łatwo wyplątać.

Kuba nie wymagałaby oczywiście nawet ułamka tych zasobów, które Trump wysłał przeciwko ajatollahom i Gwardii Rewolucyjnej, ale obalenie lewicowych władz, które rządzą od 67 lat i niejedno już wytrzymały, nie będzie takie proste. Starsi staną w obronie dziedzictwa rewolucji, armia, choć zubożała i przestarzała, to nie wydmuszka dobra tylko w defilowaniu i pacyfikowaniu obywateli, jak w Wenezueli, nie sprzeda tanio skóry, być może wsparcie przyślą Chińczycy, Rosjanie pomogą w cyberwojnie i rozpoznaniu wywiadowczo-satelitarnym.

A to, co przeraża Kubańczyków w interwencji militarnej – mniejsza, czy przeciągającej się, czy zakończonej mniej prawdopodobną implozją reżimu, to również ryzyko dla Amerykanów. Destabilizacja wewnętrzna, kryzys humanitarny i sanitarny, migracja, przestępczość zorganizowana – nie tego chcą od Kuby. Obalenie komunizmu wcale nie musi się Waszyngtonowi i Miami opłacać.

Tymczasem Kuba doświadcza zwykłej – co nie znaczy, że nie tragicznej – entropii: pogrąża się w biedzie, w nierównościach. I coraz bardziej w ciemności, bo w ostatnich dniach prądu zaczyna brakować nawet w bogatszych dzielnicach Hawany. Kontrasty, które w lutym obserwuję na wyspie, jeszcze niedawno były nie do pomyślenia. Z jednej strony bez żadnego problemu zamawiam włoskie bezglutenowe piwo w knajpie na starówce – i płacę za nie polską kartą. Z drugiej – żeby w ogóle do tego lokalu dojść, muszę pokonać ulice zasypane hałdami spalonych śmieci, w cieniu zawalonych kamienic, z których dociera fetor moczu i odchodów.

Stolica Kuby od dekad nie wyglądała tak ładnie, tak elegancko. Nigdy wcześniej nie widziałem tylu nowych i odrestaurowanych budynków. Ale też nigdy wcześniej na jej ulicach nie zdarzyło mi się wejść w sam środek gangsterskiego porachunku, nigdy dotąd znienacka pod moimi stopami nie wylądowały rozbite butelki i kamienie i nie biegł ku mnie nastolatek z maczetą. Na szczęście nie ja byłem celem. Tuż przede mną skręcił w boczną uliczkę, a chwilę potem w pościg za nim rzucił się patrol policji.

Nigdy nie było tu tak przyjemnie i przerażająco zarazem. To z reguły zwiastun rozpadu, nadchodzącej katastrofy. Apokalipsy, którą cały świat już zapowiedział, a która uparcie nie chce tu nadejść. Prędzej czy później jednak się ziści, bo bez zasobów materialnych i chociaż śladowego poparcia społecznego władzy nie utrzyma nawet najbardziej opresyjny reżim.

●

Tyle tylko, że tutejsza apokalipsa nie będzie spektakularna. Żadnych eksplozji, płonących samochodów, palenia flag, przemarszów zwycięskich wojsk. Świat zawali się niespostrzeżenie, jak stropy tych hawańskich kamienic, które od zawsze wyglądają jak ruiny, ale któregoś dnia pojawia się mocniejszy wiatr – i zawalają się ostatecznie. Tyle tylko, że wtedy nikt już nie zwraca na to uwagi, bo wszyscy spisali to miejsce na straty.

Możliwe, że mimo kolejnych przecieków – co też jest częścią taktyki negocjacyjnej z Departamentu Stanu – że porozumienie jest tuż, że lekcja irańska pomogła i reżim jest gotów przystać na drobne ustępstwa polityczne oraz grube inwestycyjne, młody Castro z Amerykanami się nie dogada. Wtedy nasili się emigracja – o ile to w ogóle możliwe, skoro w ostatnich pięciu latach z kraju wyjechała jedna piąta populacji, głównie młodzi. Największe kolejki w całej Hawanie są dzisiaj zresztą do hiszpańskiego konsulatu, głównej bramy z wyspy.

Zrujnowaną Kubę bez zagranicznego kapitału zaczną przejmować gangi współistniejące z władzą, już nie komunistyczną, ale otwarcie autorytarną. Wybuchnie epidemia przemocy – obok już obecnych epidemii chorób tropikalnych. Zamiast Miami będzie tu Caracas, ewentualnie haitańskie Port-au-Prince, prawdziwe „jądro ciemności".

A mogło być przecież zupełnie inaczej. Kuba miała swoje szanse, mogła się reformować, wcale nie porzucając socjalistycznego charakteru. Przecież przez 15 pierwszych lat tego wieku w Ameryce Łacińskiej trwał tak zwany „różowy prąd", niosący do wyborczych zwycięstw całą masę lewicowych przywódców: byłego związkowca Lulę w Brazylii, małżeństwo Kirchnerów w Argentynie, Michelle Bachelet w Chile, Rafaela Correę w Ekwadorze. Żadne z nich nie było nawet w połowie tak radykalne i tak ostracyzowane przez większość rozwiniętego świata, jak Chávez i Maduro, z którymi sprzymierzyły się władze w Hawanie.

Kuba wcale nie musiała iść drogą ideologicznej ortodoksji. Mogła się stopniowo otwierać, normalizując stosunki z innymi państwami. Rodzina Castro wybrała jednak inaczej, zamieniając wyspę w skansen z enklawami dla skorumpowanej oligarchii. Tak za sprawą potomków autentycznych – przynajmniej w pierwszej, całkiem długiej, fazie rewolucji – dobroczyńców Kubańczycy znaleźli się na skraju katastrofy.

Nawet jeśli w Hawanie czy w innych miastach tego często nie widać, bo ulicami nadal przechadzają się wcale nie tylko na użytek turystów grajkowie, pochody taneczne, krążą uliczni handlarze, dzieciaki grają w piłkę, młodzież robi sobie selfie.

Rewolucji z tego nie będzie, będzie rozkład. Gnicie od środka, aż ktoś wejdzie w rolę syndyka masy upadłościowej i zapanuje nad truchłem rewolucji. Albo Kubańczycy już teraz wezmą sprawy w swoje ręce, ostatecznie buntując się przeciwko władzy – i jednak na jakimś poziomie dogadają się z Amerykanami – albo będą wybierać między emigracją a humanitarno-gospodarczym końcem świata.

Na razie zostaje im śmiech – choć to śmiech przez łzy. Typowy dla tego kraju. Jak na pożegnanie przed wylotem powiedział mi Ruben: – Pamiętaj, Kubańczyk śmieje się nawet z własnej tragedii. ●

Raj z tombaku

1 euro

• kosztuje godzina korzystania z internetu w państwowej sieci na Kubie. Przed pandemią 10 dolarów za 10 minut

Ok. 5 tys. pesos

• miesięcznie – ekwiwalent 10 dolarów – zarabiają na Kubie prawie wszyscy pracujący dla państwa, od nauczycieli przez kierowców autobusów po dyrektorów rolnych

1000 pesos

• – tylko 2 dolary, czyli aż 1/5 średniej pensji – kosztuje przejazd na 20-kilometrowej trasie spod Hawan do centrum stolicy Kuby

Ok. 2 mln ludzi

• liczy kubańska diaspora w USA. W większości radykalna, marzy o natychmiastowej prywatyzacji wyspy i odzyskaniu majątków sprzed rewolucji.

1/5 populacji

• Kuby wyemigrowała w ostatnich 5 latach. Głównie młodzi

eprasa.pl 8024f7c131

FOT. NEIL HALL/PAP/EPA

• Viktor Orban przybywa na szczyt Europejskiej Wspólnoty Politycznej (EPC) w Woodstock w 2024 r., organizacji utworzonej po napaści Rosji na Ukrainę

ORBÁN GOTÓW WYBRAĆ SIŁĘ

Premier Węgier stara się wmówić obywatelom, że pełni rolę pośrednika między Wschodem a Zachodem, ale coraz wyraźniej widać, że raczej przypomina kulkę w elektrycznym flipperze.

Z **BÁLINT MAGYAR**
ROZMAWIA
SÁNDOR SZÉNÁSI

SÁNDOR SZÉNÁSI: Czy wojna w Iranie pomoże Viktorowi Orbánowi wygrać wybory parlamentarne 12 kwietnia? Wśród przychylnych mu komentatorów słychać opinie, że jej wybuch odciągnął uwagę opinii publicznej od kampanii opozycji i pozbawił jej lidera argumentów.

BÁLINT MAGYAR: Nie jest jasne, komu na Węgrzech ta wojna pomoże, a komu nie, ale oczywiście Viktor Orbán za pomocą różnych chwytów propagandowych będzie starał się ją wykorzystać. Pamiętamy jednak, jak bliskie były stosunki węgierskiej władzy z reżimem irańskim. I Orbán, i minister spraw zagranicznych Péter Szíjjártó jeździli do Teheranu, planowali wspólne przedsięwzięcia w energetyce jądrowej. Były premier Iranu dwukrotnie przyjeżdżał na Węgry, rzekomo po to, by wygłosić wykład w szkole administracji publicznej; nie ujawniono, o czym naprawdę rozmawiano. To oznacza, że relacje między Budapesztem a Teheranem były bliskie i intensywne. A teraz Orbán zasiada w Radzie Pokoju Donalda Trumpa, który prowadzi wojnę przeciw Iranowi.

Premier Węgier stara się wmówić obywatelom, że pełni rolę pośrednika między Wschodem a Zachodem, ale coraz wyraźniej widać, że raczej przypomina kulkę w elektrycznym flipperze, która chaotycznie odbija się to tu, to tam między Stanami Zjednoczonymi a Rosją.

Zanim wybuchła wojna z Iranem, Orbán wyprowadził żołnierzy, by pilnowali infrastruktury energetycznej, zagrożonej ponoć ukraińskim atakiem. Chodziło o to, by przedstawić Fidesz jako siłę broniącą bezpieczeństwa i spokoju obywateli, a opozycję jako „partię wojny". Cztery lata temu, gdy wojna w Ukrainie wybuchła tuż przed wyborami na Węgrzech, ten chwyt przyniósł Orbánowi sukces. Czy teraz też mu pomoże?

– Owszem, Orbán, tak jak cztery lata temu, próbuje wywołać w obywatelach psychozę wojenną i w ten sposób nakłonić ich do poparcia w wyborach obozu rządzącego. To straszenie wyborców samo w sobie jest politycznym oszustwem. Jednak tym razem chodzi też o coś więcej.

W systemie węgierskim, który definiuję jako państwo mafijne, aparat państwowy został przekształcony w zorganizowaną grupę przestępczą, która realizuje cztery podstawowe cele, jakimi są monopolizacja władzy, gromadzenie majątku „rodziny mafijnej", „wypranie", czyli legalizacja tego majątku i zapewnienie sobie bezkarności. Ci ludzie wiedzą, że jeśli przegrają wybory, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Nie będzie tak, jak np. w Polsce, gdzie Kaczyński przegrał i przeszedł do opozycji, a nie do więzienia.

Mają pełną świadomość, że ich przegrana będzie oznaczać rozliczenia w oparciu o ko-

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

deks karny, bo są w ścisłym tego słowa znaczeniu przestępcami.

Dlatego Orbán nie podjął jeszcze decyzji, co zrobi, jeśli okaże się, że stosowane przez niego chwyty kampanijne nie gwarantują zwycięstwa. Do wyboru ma trzy możliwości: po pierwsze może przesunąć wybory na później, powołując się na zagrożenie wojenne, po drugie może unieważnić niekorzystny wynik, np. tak jak to stało się w wyborach prezydenckich w Rumunii, gdzie trybunał konstytucyjny orzekł, że na rezultat wpłynęła ingerencja z zewnątrz, i po trzecie może sparaliżować działanie przyszłego rządu ustawami uchwalonymi już po wyborach, ale jeszcze przed powołaniem nowego gabinetu.

No, teoretycznie ma jeszcze czwartą możliwość: nic nie robić i jeśli opozycyjna TISZA wygra, po prostu oddać władzę zgodnie z regułami demokracji. Znamienne jednak, że opinia publiczna nie uważa tego wariantu za oczywisty.

Orbán nie wie jeszcze, który z tych scenariuszy będzie realizować, więc na wszelki wypadek przygotowuje się równocześnie do każdego z nich. Jeśli np. będzie chciał odwołać czy unieważnić wybory, uzasadniając to zagrożeniem wojennym, to musi cały czas podtrzymywać psychozę wojenną. Już wyprowadził wojska z koszar, mówiąc, że grozi jakiś ukraiński atak. To nie jest tylko zwykłe straszenie wyborców w kampanii, lecz coś więcej.

Zarazem Orbán ma świadomość, że ewentualne odwołanie czy unieważnienie wyborów wywoła masowy sprzeciw. I na to też się przygotowuje. Przygotowywał się zresztą już przed poprzednimi wyborami w 2022 r., kiedy w czasie kampanii przyznał żołnierzom dodatkowe wynagrodzenie w wysokości sześciomiesięcznego żołdu. Teraz te judaszowe srebrniki w wysokości sześciu dodatkowych pensji otrzymali nie tylko żołnierze, ale także funkcjonariusze policji i służb specjalnych.

Oczywiście osobną kwestią jest pytanie, czy te służby byłyby skłonne czynnie wystąpić przeciw obywatelom protestującym przeciw ukradzionym wyborom, ale nie zmienia to faktu, że władza próbuje przekupstwem zapewnić sobie ich lojalność. Niedawno dowiedzieliśmy się, że oddziały prewencji otrzymały nowe tarcze do walk ulicznych i odbywają ćwiczenia w rozpraszaniu tłumów.

Specjalne tarcze policyjne na pewno nie służą do obrony infrastruktury energetycznej przed ewentualnym ukraińskim atakiem, o którym trąbi propaganda władzy.

Władza może liczyć na lojalność wojska i policji?

– Z tego punktu widzenia niezwykle ważne było dołączenie do opozycji na początku 2025 r. byłego szefa sztabu armii węgierskiej Romulusza Ruszin-Szendiego – oficjalnie został ekspertem i kandydatem partii TISZA w wyborach parlamentarnych. Myślę też, że minister spraw wewnętrznych Sándor Pintér, który już zapowiedział, że szykuje się do przejścia na emeryturę, nie jest chętny do rozwiązań siłowych. Widać to było w czasie marszu równości Budapest Pride w czerwcu 2025 r., który został przeprowadzony mimo zakazu wydanego przez władze państwowe. Na zaplanowanej trasie przemarszu na moście Wolności ustawił się kordon aktywistów skrajnej prawicy i wtedy policja, by uniknąć konfrontacji, skierowała maszerujących na bezpieczniejszą trasę. Odnoszę wrażenie, że minister spraw wewnętrznych – z własnej inicjatywy – zrobił wiele, by nie doszło do przemocy i by demonstranci mogli spokojnie przejść przez stolicę.

Sądzę jednak, że gdyby doszło do odwołania czy unieważnienia wyborów, ten minister zostałby błyskawicznie odwołany i zastąpiony innym, który nie miałby zahamowań przed stosowaniem rozwiązań siłowych. Dlatego trzeba obserwować, co się będzie z nim działo. Jego ewentualna dymisja tuż przed wyborami byłaby bardzo złym prognostykiem.

W systemie węgierskim, który definiuję jako państwo mafijne, aparat państwowy został przekształcony w organizowaną grupę przestępczą, która realizuje cele: monopolizację władzy, gromadzenie majątku, legalizacja tegoż oraz zapewnienie sobie bezkarności

Jeśli jednak rządzący spróbują unieważnić wyborcze zwycięstwo opozycji, to opór na Węgrzech będzie o wiele silniejszy niż był w Gruzji, Serbii czy Białorusi, gdzie tłumy rano wychodziły na ulice, a wieczorem spokojnie szły do domu, by nazajutrz znowu demonstrować. U nas konsekwencje byłyby znacznie poważniejsze – znaleźlibyśmy się na krawędzi wojny domowej.

Czy w ogóle można sobie wyobrazić wojnę domową w kraju należącym do Unii Europejskiej i NATO?

– Ta władza to organizacja przestępcza, która nie ma się dokąd cofnąć ani uciec. Orbán udziela schronienia wszelkiej maści politykom, ściganym we własnych krajach za korupcję, takim jak były premier Macedonii Nikoła Gruewski czy dwaj byli szefowie resortu sprawiedliwości w Polsce – Zbigniew Ziobro i Marcin Romanowski. Sam jednak nie planuje ucieczki do Rosji, Serbii czy Gruzji. Będzie się desperacko bronić aż do końca. Nie ma żadnych oporów moralnych, jeśli tylko uzna jakieś posunięcie za niezbędne.

Naprawdę uważasz, że Orbán byłby w stanie wprowadzić prawdziwą dyktaturę i to drogą krwawej przemocy?

– Uważam, że nie jest w stanie tego zrobić, ale niewykluczone, że spróbuje. Jednak to, co ja uważam, nie ma znaczenia. Ważne jest, co on uważa. A jemu się wydaje, że jeśli stanie w obliczu utraty władzy w wyborach, to będzie musiał wybrać jedno z rozwiązań, o których mówiłem. Bo w odróżnieniu od sytuacji w Rosji czy Białorusi nie może sfałszować wyniku, gdy kartki zostaną już wrzucone do urn. Tam nie można kontrolować liczenia głosów, a u nas pracę komisji nadzorują obserwatorzy z opozycji. Tak więc na tym etapie nie da się już u nas niczego zachachmęcić. W żadnych z dotychczasowych wyborów nikt nie zgłaszał zastrzeżeń do samego procesu liczenia. Kombinować można albo przed, albo po głosowaniu.

Gdybym miał obstawiać, który wariant jest z punktu widzenia władzy lepszy, powiedziałbym, że lepiej jest odwołać głosowanie niż unieważnić wynik, bo wtedy dla wszystkich będzie oczywiste, że Fidesz przegrał wybory i nie chce przekazać władzy zwycięzcom. Natomiast jeśli wyborów nie ma, to nie ma też przegranej. I łatwo można to uzasadnić zagrożeniem ze strony Ukrainy, ogłupiając ludzi propagandą, jak w czasach pandemii Covid, gdy wprowadzono stan wyjątkowy i nie wiadomo po co zaangażowano żołnierzy. Pewnie po to, żeby strzelali do wirusów, gdy tylko je zobaczą.

Władza zaprzecza, że przygotowuje się do odwołania wyborów, jednak podkręca nastroje antyukraińskie. Wykorzystując niefortunną wypowiedź Wołodymyra Zełenskiego, twierdzi, że ukraiński prezydent zagroził śmiercią Viktorowi Orbánowi. Podsyca histerię, stosując metody państwowego terroryzmu czy zbójnictwa przydrożnego, bo tylko tak można określić zatrzymanie przez oddział antyterrorystów legalnego ukraińskiego transportu złota i pieniędzy z Austrii. Należące do ukraińskiego banku środki zostały zajęte, a konwojenci deportowani z Węgier. A w tym czasie oficjalna propaganda bezpodstawnie oskarża Ukrainę, że finansuje partię TISZA Pétera Magyara.

W przypadku ewentualnego przesunięcia wyborów pojawia się jednak pytanie, jak długo można by je odwlekać. W końcu kiedyś trzeba będzie je przeprowadzić.

Gdyby doszło do konfrontacji, która w skrajnym przypadku mogłaby przybrać nawet formę wojny domowej, to w praktyce oznaczałoby wyłącznie się Węgier z Unii Europejskiej. Powstaje pytanie, czy wówczas Orbán byłby jeszcze Putinowi do czegokolwiek potrzebny.

– Oczywiście najwięcej korzyści przysparza Rosji jako przywódca kraju członkowskiego UE, ale nawet poza Unią Węgry mogłyby funkcjonować jako baza dla wywrotowych operacji rosyjskich tajnych służb.

Nawiasem mówiąc, Unia jest winna zbyt długiego tolerowania orbanowskiego systemu państwa mafijnego. Od 2010 r. stawało się coraz bardziej oczywiste, że węgierski przywódca buduje autorytarną dyktaturę, tymczasem Bruksela wciąż starała się go obłaskawić i przekupić.

Załóżmy jednak, że Orbán przegra wybory i odda władzę zwycięskiej opozycji. W jaki sposób będzie można rozliczyć jego ekipę? Przecież pieniędzy, które wyprowadzili z kasy państwa, dawno już nie ma na Węgrzech, są poukrywane na różnych kontach za granicą.

– To są dwie sprawy: jak ich rozliczyć i jak odzyskać ukradzione środki. To drugie będzie trudne, znacznej części nie uda się odzyskać. Ale już samo ukrócenie korupcji w procesie zamówień publicznych, w których ceny są teraz wielokrotnie zawyżone, powinno przynieść poprawę. Widać to na przykładzie XII dzielnicy Budapesztu, gdzie władzę przejęła opozycja i powtórzyła postępowania przetargowe. Okazało się, że te same przedsiębiorstwa zgadzają się teraz wykonywać o połowę taniej te same prace, których podjęły się za rządów Fideszu za cenę dwukrotnie wyższą.

Jeśli zaś chodzi o rozliczenia, to trzeba pamiętać, że we wszechogarniającej korupcji muszą uczestniczyć tłumy urzędników państwowych wszystkich szczebli, bo ktoś musi podejmować decyzje i składać podpisy na dokumentach, ktoś musi wykonywać bezprawne polecenia. Jeśli np. środki publiczne są przyznawane na budowę pensjonatu, a zamiast niego budowany jest dom jednorodzinny, to pojawia się pytanie, dlaczego ktoś to zatwierdził. Albo przywołam prawdziwy przykład: kiedy kilka kamieniołomów ubiegało się o kontrakt na dostarczanie kamienia do jakiejś inwestycji, wygrała firma należąca do ojca Viktora Orbána, której oferta okazała się najtańsza. A dlaczego? Bo na jednej z dróg wprowadzono ruch jednokierunkowy, w wyniku czego konkurenci musieli nadkładać ok. 70 kilometrów i ich koszty transportu radykalnie wzrosły. Ktoś musiał zlecić tę zmianę w organizacji ruchu, ktoś ją zatwierdził, ktoś złoż ył podpis.

Do tej pory obowiązywała zasada omerty, czyli zmowy milczenia. W przypadku procesu ludzie zamieszani w przestępstwa mieli kryć swoich mocodawców i zwierzchników, a w zamian za to mogli liczyć na niższy wymiar kary. To obowiązywało na wszystkich szczeblach, także tych najwyższych. Nie przypadkiem ludzie wykluczeni z rodziny mafijnej, jak Lajos Simicska, od lat milczą i nie ujawniają tego, co wiedzą.

Jeśli jednak po wyborach władzę przejmie TISZA, ta zasada zostanie odwrócona: na niższy wyrok będzie mógł liczyć tylko ten, kto szczerze ujawni znane mu szczegóły.

Oczywiście powstaje pytanie, jak wielki krąg ludzi to obejmie. Nie przypadkiem Péter Magyar mówi o trzech tysiącach oligarchów, których trzeba będzie rozliczyć. Z jednej strony sygnalizuje w ten sposób, że rozliczenia będą dość masowe, bo trzy tysiące to spory krąg osób, zarazem jednak wyznacza dość czytelną linię graniczną, żeby dziesiątki i setki tysięcy ludzi na najniższych szczeblach nie drżały ze strachu o swój los.

Tak masowe rozliczenia byłyby niemożliwe nawet z praktycznego punktu widzenia: takich tłumów nie da się wsadzić do więzień.

– Oczywiście. I przecież nie to jest celem. Chodzi przede wszystkim o to, żeby skutecznie położyć kres systemowi korupcji i odpowiednimi ustawami zagwarantować, że nie odrodzi się w przyszłości.

Czy plany Orbána dotyczące wyborów zależą od siły i liczebności opozycji? Czy jest jakaś masa krytyczna, powyżej której nie będzie już mógł sobie pozwolić na to wszystko, o czym mówiłeś?

– Tak. I na tym polega wielka różnica między sytuacją dzisiejszą a tą, która była przed poprzednimi wyborami w 2022 r. Wtedy opozycja nie tworzyła spójnej siły, ani pod względem politycznym, ani emocjonalnym. Partie opozycyjne powołały wprawdzie koalicję, ale wszystkie rywalizowały w niej ze sobą wzajemnie, a wyborcy nie byli w stanie się do końca utożsamić z żadną z nich. Kiedy w wyniku prawyborów wyłoniono kandydata na premiera, wszyscy konkurenci dali do zrozumienia, że im się ten wybór nie podoba. Mimo istnienia koalicji opozycja nie była zjednoczona.

Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Ruch społeczny skupiony wokół Pétera Magyara i partii TISZA tworzy jednolitą, potężną siłę, angażującą masy ludzi ideowo i emocjonalnie.

Nie jest moim zadaniem ostrzeganie obecnej władzy, mimo to ostrzegam ją: to już jest inna rzeczywistość i inne społeczeństwo niż cztery lata temu. Wybór któregokolwiek z rozwiązań siłowych, o których tu rozmawialiśmy, pociągnąłby za sobą nieobliczalne i dramatyczne skutki. ●

Tłumaczył i wersję polską zredagował Wojciech Maziarski

Bálint Magyar

• (ur. 1952) jest socjologiem, nauczycielem akademickim i politykiem. Był współzałożycielem i w latach 1998-2000 przewodniczącym liberalnego Związku Wolnych Demokratów. Był posłem tej partii i dwukrotnie (1996-1998 i 2002-2006) ministrem edukacji w koalicyjnych rządach socjalistów i liberałów. W Polsce ukazały się dwie jego książki: „Węgry. Anatomia państwa mafijnego. Czy taka przyszłość czeka Polskę?" (wyd. Magam 2018) oraz „Krótki przewodnik po systemach postkomunistycznych. Ludzie, instytucje, dynamika" (wyd. Magam 2023)

• Zbieżność nazwisk z przywódcą opozycji Péterem Magyarem jest przypadkowa.

• Ten tekst jest zaktualizowanym przez Bálinta Magyara zapisem audycji wyemitowanej przez stację Klubrádió 2 marca 2026 r. Klubrádió jest niezależną rozgłośnią, która powstała w Budapeszcie w 1999 roku. W kolejnych latach stopniowo rozbudowywała sieć nadajników regionalnych i w 2010 r., gdy Fidesz Viktora Orbána wygrał wybory, można już było jej słuchać na połowie terytorium Węgier. Nowa władza stopniowo ograniczała jej zasięg, odbierając jej koncesje na nadawanie naziemne. Ostatni budapeszteński nadajnik wyłączono w lutym 2021 r. i od tej pory stacji można słuchać tylko w internecie.

eprasa.pl 8024f7c131

HRABSTWO REBELIANTÓW

Skąd się bierze elokwencja i inne skarby Irlandii?
Żeby się dowiedzieć odwiedzimy Cork na południu Zielonej Wyspy

FOT. SHUTTERSTOCK

Maja Staniszewska

Co mi strzeliło do głowy? – pomyślałam, gdy już wisiałam głową w dół z blanków Zamku Blarney. Nie miałam już jednak za dużo czasu, żeby się zastanawiać, bo właśnie dwóch krzepkich panów zdecydowanym ruchem obniżyło mnie tak, żebym mogła pocałować tutejszy Kamień, a gdy to zrobiłam, szybko wciągnęli mnie z powrotem na górę i postawili na nogi.

Za mną kolejka turystów ciągnęła się wokół blanków, przez pięć pięter pustej warowni z XV wieku i dziedziniec, a potem także wzdłuż drogi, przy której stoją zielone tabliczki z informacją, ile czasu zajmie dotarcie do Kamienia.

Kamień dający elokwencję

To, skąd się wziął, owiane jest legendą. Jedna z wersji mówi, że spał na nim biblijny patriarcha Jakub, gdy śniła mu się drabina, po której z nieba i do nieba szli aniołowie. Inna – że to część Kamienia ze Scone, na którym koronowano królów Szkocji, a który przez wieki, zanim wrócił do domu w 1996 roku, był częścią tronu królów Anglii i Wielkiej Brytanii (użyto go także podczas koronacji Karola III). Jeszcze inne mówią o irlandzkiej bogini Clíodhnie, królowej wróżek albo czarownicy, które pomagały młodzieńcom wykaraskać się z kłopotów, dając im dar wymowy. I właśnie po elokwencję przyjeżdżają tu turyści z całego świata.

Czy Kamień mi pomógł? Ciąg dalszy tego tekstu to pokaże. Irlandczycy całowania Kamienia raczej unikają.

Po pierwsze, czego jak czego, ale daru wymowy im nie brakuje. Są fantastycznymi gawędziarzami, mają poczucie humoru (choć trzeba do niego przywyknąć, bo uwielbiają się przekomarzać), a ich muzyka i opowieści niosą się po całym świecie.

Po drugie, podobno miejscowi na Kamień sikają.

Ostrzegał mnie przed tym znajomy z Cork, opisał to też Chuck Palahniuk w „Podziemnym kręgu", w którym Tyler Durden nocą razem z grupą Irlandczyków obsikuje Kamień w akcie rebelii przeciwko tradycji i przemysłowi turystycznemu.

Nie da się ukryć, że Zamek Blarney to popularne miejsce odwiedzane zwłaszcza przez Amerykanów, którzy zjeżdżają tu autokarami lub indywidualnie, żeby odwiedzić „kraj przodków" – wielu z nich (nawet do 10 proc.) szczyci się bowiem irlandzkimi korzeniami.

Ale ani Tyler Durden, ani liczni turyści nie byli w stanie zniechęcić mnie do eksperymentu.

Miejsce z legend, gdzie autobusy uczą cierpliwości

Poza tym Zamek Blarney to przepiękne miejsce, zwłaszcza w ciepłej połowie roku, ruiny otacza wielki park z bujną roślinnością z różnych stron świata. Są tu zagajniki z wodospadami, gdzie można się poczuć jak w Śródziemiu albo w irlandzkiej baśni: Fairy Glade, Witches Kitchen, Sacrificial Altar czy Druid Circle. Jest jezioro, przy którym można odpocząć na trawie, przyglądając się łabędziom, ale też kilka bardziej egzotycznych stref i ogród z trującymi roślinami, z których część zamknięta jest w klatkach. Do tego Schody Życzeń: jeśli zejdziemy po nich tyłem, myśląc życzenie, wtedy ono się spełni.

W Blarney, w pubie przy głównym placu wioski, trzeba spróbować serwowanego tu wyjątkowo smacznego rybnego chowdera, bo pomoże nabrać sił, żeby spokojnie czekać na autobus miejski, którym dojedziemy do położonego tylko 9 km stąd centrum Cork.

Choć Irlandia jest wspaniała i zakochać się w niej łatwo od pierwszego wejrzenia, to – delikatnie mówiąc – komunikacja publiczna nie jest jej powodem do dumy. Autobusy są małe i wciąż spóźnione, wąskie drogi i ulice irlandzkich miast i miasteczek łatwo się korkują. Na dodatek, jeśli w autobusie jest komplet, kierowca po prostu nas nie wpuści. A wsiada się tylko przednimi drzwiami i u kierowcy płaci za bilet gotówką albo odbija kartę zwaną Leap Card. Z kolei dalekobieżne autokary Bus Eireann często mają swoje logo z seterem irlandzkim przerabiane na logo ze ślimakiem. Ale to właśnie takim autokarem można najtaniej (a pociągiem najwygodniej) dojechać do Cork z Dublina.

Drugie największe polskie miasto w Irlandii

W autobusie można spotkać wspomnianych Amerykanów, ale też rodaków, bo Polacy są największą mniejszością narodową w Irlandii. A Cork, drugie co do wielkości miasto kraju, jest również drugim ulubionym miejscem, w którym się osiedlają.

Szacuje się, że mieszka tu około 15 tysięcy Polaków. Mało? Cóż, całe Cork ma nieco ponad 224 tysiące, a Irlandia nieco ponad 5,4 miliona mieszkańców.

Położone na południu wyspy nad Zatoką Cork, jedną z największych na świecie, już w X wieku było ważnym portem. Jeszcze wcześniej, bo w VI wieku, powstało tu opactwo.

Jednak mimo wielowiekowej historii nie ma w mieście wielu zabytków. Burzliwe losy Irlandii i Irlandczyków sprawiły, że miasto było przebudowywane, ale też niszczone. W czasie wojny o niepodległość Irlandii w grudniu 1920 roku duża część centrum spłonęła w pożarze wywołanym przez niesławnych Black and Tans, członków paramilitarnej organizacji walczącej po stronie Brytyjczyków, którzy mścili się za akcję Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

• **Patrick Colins z hurlingowej drużyny miasta Cork. Hurling, narodowy sport Irlandii, to coś w rodzaju hokeja na trawie łączonego z tenisem**

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

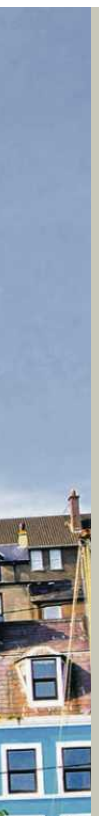

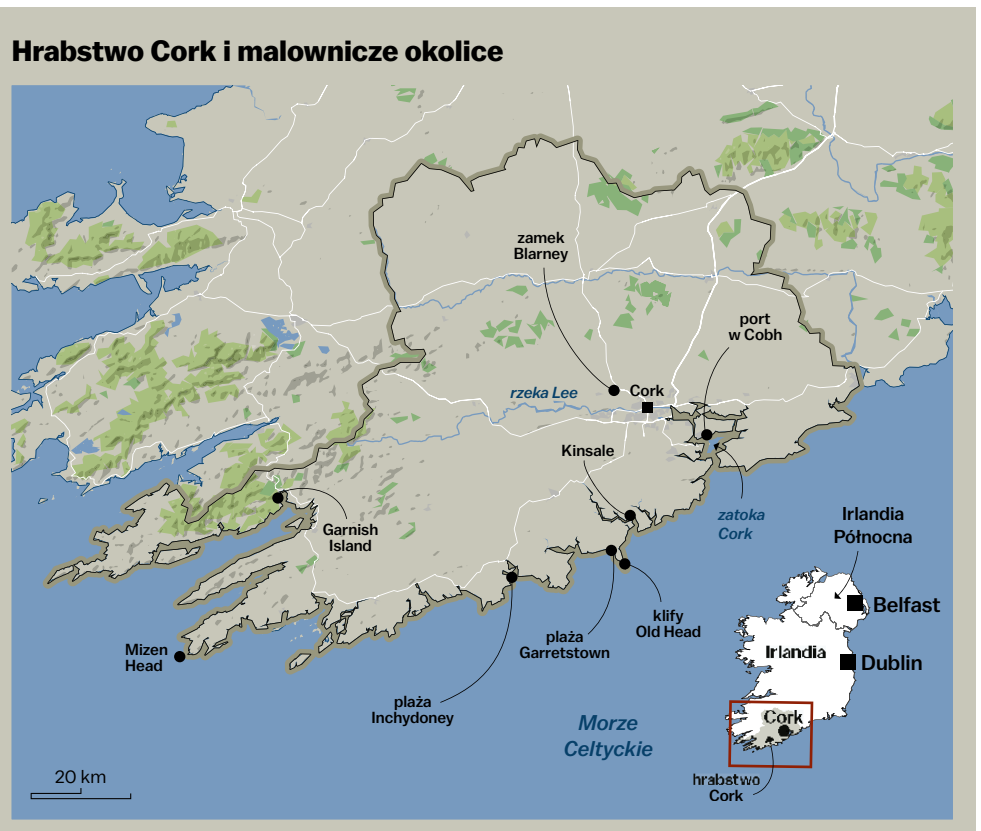

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

FOT. GETTY IMAGES

◀ **Urocze maleńkie Cobh z pomalowanymi na pastelowe kolory domkami i katedrą Świętego Kolmana, której wieża (91,4 metra) jest najwyższa w Irlandii**

▲ **Zamek w Blarney. Tu się stoi w bardzo, bardzo długiej kolejce po dar wymowy. A potem trzeba koniecznie obejrzeć otaczające zamek magiczne ogrody**

▼ **Old Head of Kinsale, cypel z latarnią morską i ekskluzywnym polem golfowym. Golf jest w Irlandii popularną rozrywką nie tylko dla bogatych i wybranych**

FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

FOT. MAJA STANISZEWSKA

FOT. GETTY IMAGES

▲ **Drzwi wróżek w ścianie jednego z domów w Kinsale. Dawna wioska rybacka z domkami pomalowanymi na jaskrawe kolory to kulinarna stolica hrabstwa Cork**

Buntownicy z cudnym akcentem

Hrabstwo, którego Cork jest stolicą, do dziś nosi przydomek „Rebel County" – hrabstwo buntowników, a Corkijczycy lubią żartować, że to tu, a nie w Dublinie jest prawdziwa stolica Irlandii.

Właśnie: żartować. Gdy odwiedza się Irlandię po raz pierwszy, można odnieść wrażenie, że kpina i przekomarzanie się to tutejszy sport narodowy. Ale nie ma w tym złośliwości, to po prostu sposób porozumiewania się ze światem – bez zadęcia, bez śmiertelnej powagi, za to z serdecznością. I cudownym – w Cork nieco unoszącym końce zdania do góry – akcentem.

To może być drugie zdziwienie na Zielonej Wyspie: rozmaitość akcentów na tak małym obszarze jest zdumiewająca. Napisy wszędzie są dwujęzyczne – po angielsku i irlandzku, bo oba to języki urzędowe i są równorzędne, choć na co dzień po irlandzku mówi mniej ludzi niż po polsku.

Dla przyjezdnych to błogosławieństwo, bo choć w angielskim akcenty mogą sprawiać pewne trudności w zrozumieniu, to język irlandzki nie przypomina żadnego z tych powszechnie używanych. Może tylko wielbiciele wiedźmińskiej sagi Andrzeja Sapkowskiego nie będą czuć się z nim obco, gdyż pisarz czerpał z irlandzkiego i pozostałych języków gaelickich inspirację do tworzenia Starszej Mowy, języka elfów.

Irlandzki, przez wieki tępiony przez Anglików, którzy Irlandię traktowali jak swoją kolonię, a jej katolickich mieszkańców jak swoją własność, w niepodległym kraju został wprowadzony do szkół. Jednak, jak przyznaje wielu starszych Irlandczyków, uczono się go bez entuzjazmu. Od pewnego czasu przeżywa jednak renesans, do czego walnie przyczyniają się irlandzcy artyści.

Rapowe trio z Belfastu Kneecap czy film „Cicha dziewczyna", pierwszy nominowany do Oscara film w języku irlandzkim, to tylko dwa najgłośniejsze przykłady.

Zresztą irlandzki można było na Oscarach usłyszeć ze sceny, gdy dwa lata temu statuetkę dla najlepszego aktora za główną rolę w „Oppenheimerze" odbierał Cillian Murphy. Dumny syn Cork, który zasłużenie zrobił wielką karierę, na koniec powiedział „*Go raibh míle maith agaibh*", czyli „dziękuję bardzo".

Spacerem przez Cork

Miasto jest dumne z Murphy'ego, dumne jest też ze swojej atmosfery. Niespiesznej w porównaniu z Dublinem, zdecydowanie bardziej wyluzowanej. Przyjeżdżając do Cork z Warszawy, można się złapać na tym, że chodzi się szybciej niż wszyscy dookoła i ma się mniej cierpliwości (nie tylko do komunikacji miejskiej). Ale szybko to zwolnienie tempa zaczyna się podobać. A przynajmniej mnie się spodobało.

Centrum Cork jest kompaktowe, większość leży na wyspie na rzece Lee, która wpada do zatoki. Można je obejść w godzinę. Chyba że skręci się do jakiegoś pubu, a tych w mieście jest prawie sto. Albo odwiedzi English Market, XIX-wieczną halę targową położoną między reprezentacyjnymi ulicami Princes Street i Grand Parade. Między oszałamiającym wyborem ryb i owoców morza, solą z Atlantyku a koszulkami z nazwami zapomnianych rockowych zespołów, można się tu natknąć na owcze żołądki. Ten wątpliwy przysmak to jedno z charakterystycznych dań kuchni irlandzkiej. Na szczęście w pubach zawsze jest ryba z frytkami albo gulasz z Guinnessem, no i sam Guinness, kolejny z irlandzkich towarów eksportowych.

Wędrując po Cork, natkniemy się na pozostałości dawnych murów miejskich czy dzwonnicę, która ostała się po Red Abbey, czerwonym (od barwy kamienia, z jakiego je zbudowano) opactwie augustianów z przełomu XIII i XVI wieku. Jednak niewiele jest tu tak starych zabytków.

Są za to dwie katedry: katolicka Najświętszej Maryi Panny i Świętej Anny oraz protestancka, należąca do Kościoła irlandzkiego Katedra Świętego Findbara (miał tu założyć opactwo w 606 roku i jest patronem miasta). Zostały zbudowane w XIX wieku w stylu neogotyckim. Ta pierwsza z cegły, ta druga z szarego kamienia. Położone po dwóch stronach centralnej wyspy, a więc na północnym i południowym brzegu rzeki Lee w odległości półtora kilometra od siebie, przypominają o skomplikowanej irlandzkiej historii i religijnych podziałach.

Nie da się ukryć, że z czysto turystycznego punktu widzenia bardziej atrakcyjna jest ta druga – jej architektura, choć posępna, jest bardziej imponująca. Ale jeszcze większe wrażenie robi katedra w pobliskim Cobh. Bo choć samo Cork nie dostarcza może wielu atrakcji, jest doskonałym miejscem wypadowym do zwiedzania południowej części wyspy.

Ostatni przystanek „Titanica"

Do położonego po drugiej stronie Zatoki Corkijskiej maleńkiego Cobh można dojechać po-

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 8024f7c131

◀ **Centrum miasta Cork i bardziej imponująca z dwóch katedr – ta pod wezwaniem patrona miasta Świętego Findbara**
FOT. MAJA STANISZEWSKA

▶ **Kinsale. Irlandczycy celebrują swoją historię, także tę piracką**
FOT. MAJA STANISZEWSKA

ciągiem albo miejskim autobusem, a potem przeprawić się promem. Chociaż to tylko jakieś 20 km od centrum miasta, podróż może potrwać ponad godzinę. Dlatego najlepiej wynająć samochód. Trzeba tylko pamiętać, że w Irlandii ruch jest lewostronny, a autostrady zdarzają się z rzadka.

Neogotycka Katedra Świętego Kolmana i jej wieża (91,4 m), najwyższa w Irlandii, górują nad miasteczkiem, którego domy pomalowane na pastelowe kolory odbijają się w wodach zatoki. Wygląda to niesamowicie, ale też mocno symbolicznie, przywodząc na myśl żelazny uścisk, w jakim Kościół katolicki trzymał Irlandczyków przez stulecia. Gdy na jaw zaczęły wychodzić jego zbrodnie, irlandzkie społeczeństwo zareagowało także na różne symboliczne sposoby. W 2015 roku w referendum opowiedziało się za równością małżeńską, a trzy lata później, też w referendum, za usunięciem z konstytucji zakazu aborcji.

Ale to nie katedra ani nie widoki prosto na Instagram są powodem do sławy Cobh. Port, wtedy znany pod nazwą Queenstown, był ostatnim przystankiem dziewiczej podróży „Titanica".

Na pokład wsiadło tu 123 pasażerów, głównie tych z biletami trzeciej klasy, którzy liczyli na lepsze życie w Ameryce. Katastrofę 15 kwietnia 1912 roku przeżyły tylko 44 osoby. W kilku miejscach Cobh można znaleźć tablice upamiętniające katastrofę „Titanica" i jego pasażerów, jest tu także niewielkie muzeum. Na cmentarzu pochowano zaś ofiary innej morskiej katastrofy – storpedowanej przez Niemców trzy lata później „Lusitanii", na pokładzie której zginęło ponad 1100 osób.

By nie żegnać Cork i jego zatoki w przygnębiającym nastroju, polecam tradycyjną irlandzką piosenkę „Irish Rover" opowiadającą prześmiewczo o wyprawie tytułowego absurdalnego statku, który wypłynął z Cork do Nowego Jorku 4 lipca 1806 roku (najlepiej we wspólnym wykonaniu dwóch legend: The Dubliners i The Pogues, lub nowszym i nieco nieortodoksyjnym, bo niemieckiego zespołu Fiddler's Green).

Hrabstwo pełne niespodzianek

Hrabstwo Cork jest największe w Irlandii, ale mniejsze od naszego najmniejszego województwa opolskiego. Wszędzie jest tu blisko, choć – jak już wspomniałam – podróże potrafią się przeciągać. Na wąskich, ograniczonych kamiennymi murkami drogach mogą pojawić się owce albo lokalni mieszkańcy rozgrywający partię „road bowling", czyli kręgli drogowych, polegających na toczeniu metalowej kuli po jezdni. Oni świetnie się przy tym bawią, kierowcy mniej, ale też taki widok nie zdarza się często.

Sportem narodowym Irlandii pozostaje hurling, niezwykle efektowne i ekscytujące połączenie hokeja na trawie z wyścigami z jajkiem na łyżce i tenisem, rozgrywane na boisku o wielkości boiska do piłki nożnej z dwoma bramkami: zwykłą i taką jak w rugby. Jeśli zobaczycie gdzieś dzieci lub dorosłych z wielkimi, zakończonymi płasko drewnianymi kijami, będą to właśnie gracze w hurling (w wersji żeńskiej sport nazywa się camogie).

Ten tradycyjny gaelicki sport gromadzi w Irlandii największe tłumy, a finały ligi rozgrywane latem to pretekst do wielodniowego świętowania. Gdy w 2024 i 2025 roku w finale grała drużyna Cork, całe miasto od Grand Parade po małe domki na przedmieściach udekorowane było w jej czerwono-białe barwy. Wybranie się na mecz hurlingu może być jedną z niezapomnianych przygód podczas pobytu w Irlandii.

Jeśli jednak chwilowo nie ma rozgrywek, polecam kilka wypraw po to, co w Irlandii jest najpiękniejsze: widoki.

Drzwi dla wróżek i gwiazdka Michelina

Zaczynamy od malowniczego (ten przymiotnik w kontekście południa Irlandii sam pcha się pod palce) Kinsale, niecałe 30 km na południe od Cork.

To miasteczko z piękną mariną w sercu jest kulinarną stolicą hrabstwa i ma nawet restaurację z gwiazdką Michelina. Ale jego największym skarbem są małe domki, niegdyś przede wszystkim rybackie. O tradycji tego miejsca przypomina zresztą kurek na dachu domu targowego, który nie jest kurkiem, lecz rybą. W pomalowanych na zdecydowane kolory domkach mieszczą się księgarnie, sklepy z pamiątkami, galerie sztuki i oczywiście puby. Od czasu do czasu poza głównymi drzwiami pomalowanymi na równie zdecydowany kolor (mówimy o połączeniu pomarańczowego z amarantowym, zielonego z fioletowym czy granatowego z żółtym) znaleźć można nisko nad ziemią maleńkie drzwi dla wróżek. Zazwyczaj zamykano nimi dziuple w drzewach i traktowano jako skrytki na liściki czy podarunki, jednak w Kinsale zdarzają się i w centrum miasteczka.

Dalej na południe zaczyna się klifowe wybrzeże. I może w Cork klify nie są aż tak imponujące, jak położone na zachodnim wybrzeżu wyspy w hrabstwie Clare Klify Moheru czy słynna Grobla Olbrzyma w Irlandii Północnej, ale po pierwsze są mniej oblężone przez turystów, a po drugie mniej wietrzne.

FOT. MAJA STANISZEWSKA

• **Jedna z tablic pamięci w Cobh poświęconych „Titanicowi". Port na początku XX w. nazywał się Queenstown i był ostatnim przystankiem w dziewiczy rejsie „Titanica"**

Czego nawet Donald Trump nie zdołał kupić

Te najbliższe Kinsale to Old Head, cypel wcinający się w Morze Celtyckie. Niestety, nie jest dostępny w całości, bo na jego końcu znajduje się jedno z najbardziej widowiskowo położonych pól golfowych na świecie.

Jest tak atrakcyjne, że dwa razy ofertę jego kupna złożył najbardziej znany obecnie golfista (choć nie z powodu wyników sportowych jest sławny) – Donald Trump. Rodzina, do której należy pole golfowe, jednak dwa razy mu odmówiła, udowadniając, że jeszcze nie wszystko na świecie jest na sprzedaż.

To, że dostęp do krańca cypla jest zamknięty dla zwykłych śmiertelników, jest powodem kontrowersji. Nie wzbudza ich natomiast sam golf. Irlandczycy lubią sobie pograć nie tylko w ekskluzywnych klubach „tylko dla członków", ale także na otwartych dla wszystkich „pitch and putt", małych polach, gdzie czas spędzają całe rodziny. Sama świetnie się bawiłam na takim w centrum sportów w Rochestown pod Cork, przy akompaniamencie krów ryczących na pastwisku za strumieniem. Golf w Irlandii jest bardziej demokratyczny i na tych klasycznych polach golfowych nie brakuje zwykłych śmiertelników, jak sąsiadka moich znajomych, emerytowana położna i jej przyjaciółki.

Radio przypomina o kremach do opalania

Po drodze na drugi klif, położony już nad Atlantykiem i zdecydowanie bardziej dramatyczny Cypel Mizen Head, można skręcić na dwie piaszczyste plaże. Bliższa to Garretstown Beach, z której widać Old Head of Kinsale i jej latarnię morską. Nieco dalej, na małej wyspie, znajduje się lubiana przez rodziny, wyjątkowo szeroka Inchydoney Beach.

Gdy temperatura wzrasta do 20 stopni Celsjusza, spragnieni słońca Irlandczycy ruszają tłumnie na obie. Ich entuzjazm jest ogromny i choć na południu Irlandii nie spotkałam wielu rudowłosych osób, które zazwyczaj mają najjaśniejszą karnację, w radiu w sezonie letnim nadawane są przypomnienia, żeby ostrożnie korzystać ze słońca: używać kremów z filtrami przeciwsłonecznymi, nosić nakrycia głowy, pić dużo wody i odpoczywać w cieniu.

Zresztą powtarzany przez lata żart, że lato w Irlandii trwa kilka godzin w lipcu, z powodu katastrofy klimatycznej staje się nieaktualny i także tutaj zdarzają się upały.

Ale nawet wtedy na plaży Inchydoney nie ma problemu ze znalezieniem miejsca. Woda nie jest zbyt ciepła, ale za to bardzo czysta. No przypływa i odpływa. Zarówno przypływ, który w kilkadziesiąt minut potrafi połknąć znaczące połacie lądu, jak i odpływ zostawiający kląskający pod nogami piasek i kałuże oraz mnóstwo morskich żyjątek, dla kogoś z nadbałtyckiego kraju są przeżyciem. Na ten pierwszy zdecydowanie trzeba uważać, bo potrafi nadejść bardzo szybko.

Latarnia z widokiem na Amerykę

Mizen Head to już z Cork wyprawa – 125 km, a więc ponad dwie godziny jazdy samochodem – ale warto się tam wybrać. Zwłaszcza jeśli w prognozie pogody nie ma deszczu. Widoki z ponadstumetrowych klifów zapierają dech.

Cypel jest najdalej wysuniętym na południe fragmentem Szmaragdowej Wyspy, a ponieważ obok przebiegają szlaki transatlantyckie, dla wielu był ostatnim (albo pierwszym) widokiem na Europę. Sama końcówka skalistego cypla, na której stoi zabytkowa latarnia morska, została odcięta przez morze od reszty i dziś połączona jest nowoczesnym mostem znajdującym się 45 metrów nad wodą. Z latarni morskiej widok jest już w kierunku Ameryki, a u jej podnóża fale Atlantyku rozbijają się o skały w wysokich pióropuszach piany.

Kawałek Włoch w Irlandii

Jeśli pogoda wciąż sprzyja, na finał proponuję wyprawę na południe Włoch albo wręcz na grecką wyspę. Ale nie trzeba jechać na lotnisko (Cork ma swoje, na które z Polski na przemian latają samoloty z Gdańska i Poznania). Wystarczy godzina w samochodzie i krótki rejs łodzią turystyczną, by znaleźć się na Ilnacullin, zwanej również Garinish Island.

Na jej skałach lubią się wygrzewać foki, a ona jest absurdalnym wręcz pod tą szerokością geograficzną miejscem pełnym egzotycznej, kwitnącej roślinności. Rododendrony i azalie w rzadko spotykanych kolorach, peonie, magnolie, a do tego przywiezione z Nowej Zelandii leptosperum sztywne (manuka) czy japońska kryptomeria tworzą niezwykłość tego miejsca. I dzięki mikroklimatowi dobrze się na tej wyspie czują, przenosząc odwiedzających daleko na południe. W słoneczne dni wrażenia są niezapomniane.

No właśnie – słoneczne. Jedyne, co może popsuć wycieczkę dookoła hrabstwa Cork, to pogoda. W Irlandii pada, czasem nawet codziennie. W tym roku na przykład od 1 stycznia do 24 lutego. Co ciekawe, często wczesny poranek i godzina przed zachodem słońca są pogodne, brzydki robi się środek dnia.

Na szczęście przed nami wiosna i lato, idealny czas na podziwianie piękna irlandzkich krajobrazów i niezwykłego, niespotykanego nigdzie w Europie odcienia tutejszej zieleni. A jeśli trafi się deszczowy dzień – na tę okoliczność Irlandczycy mają puby. W hrabstwie Cork jest ich prawie tysiąc. ●

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

SPOŁECZEŃSTWO

DROGA *do przebaczenia*

Udział w tragicznym wypadku był dla mnie przyspieszonym kursem z poczucia winy

Z **PROF. CHRISEM MOORE'EM***, PSYCHOLOGIEM, AUTOREM KSIĄŻKI „THE POWER OF GUILT", ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

FOT. GETTY IMAGES

Poczucie winy to jedno z najbardziej nieprzyjemnych uczuć. Pan twierdzi, że jest potrzebne, a nawet leczące.
– To prawda, poczucie winy bywa bardzo bolesne. Ale fakt, że coś nas boli, nie zawsze oznacza, że jest dla nas złe. Czasem to właśnie pod wpływem przykrych emocji czy zdarzeń zmieniamy swoje zachowanie i stajemy się lepszymi ludźmi. Tak jest z poczuciem winy, które ma nas motywować do tego, byśmy pracowali nad naszymi relacjami.

Nie ma pan wrażenia, że dziś zajmujemy się głównie tropieniem winnych i rozliczaniem ich z tego, czy wystarczająco się ukorzyli i zapłacili za swoje czyny, rzadziej natomiast przyglądamy się własnym przewinieniom?
– Dotyka pani ważnej kwestii – poczucie winy może też służyć różnorakim manipulacjom: i w prywatnych relacjach, i w szerszym kontekście społecznym.

W języku angielskim mamy takie pojęcie jak „guilt tripping" – to celowe wywoływanie lub podtrzymywanie poczucia winy. Ludzie sięgają po tę taktykę dla jakiejś korzyści, bo na przykład uważają, że coś im się jeszcze od tej osoby, która zawiniła, należy, że jeszcze niewystarczająco spłaciła swój dług.

Takie wykorzystywanie poczucia winy jest niezdrowe i ostatecznie nikomu nie służy.

Śledził pan, co się wydarzyło na ostatniej gali rozdania nagród Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych (BAFTA)?
– Słyszałem o tym, ale nie znam szczegółów.

Jeden z nominowanych filmów opowiada historię życia Johna Davidsona cierpiącego na zespół Tourette'a. Przed rozpoczęciem ceremonii uprzedzono gości, że na widowni jest osoba z tym zaburzeniem i że czasem powoduje ono mimowolne wykrzykiwanie niecenzuralnych słów. Tak się, niestety, stało. Kiedy na scenie pojawili się czarni aktorzy z filmu „Grzesznicy" Michael B. Jordan i Delroy Lindo, Davidson wyrzucił z siebie rasistowski bluzg. Zawstydzony swoim tikiem natychmiast opuścił salę. Osoby komentujące to zdarzenie później w internecie miały pretensje do stacji BBC, która nadawała relację z dwugodzinnym opóźnieniem, że nie wycięła tego incydentu. Ale ogromne pretensje skierowano też pod adresem Davidsona. Zarzucano mu, że niewystarczająco pokajał się publicznie (mimo że przeprosił aktorów prywatnie) i że na pewno w głębi duszy jest rasistą. Na nic zdały się jego tłumaczenia, że nad tikami nie ma żadnej kontroli, a słowa, które wykrzykuje, nie odzwierciedlają jego poglądów. Rozumiem, że ta obelga była bolesna nie tylko dla czarnych uczestników ceremonii, ale i dla wielu widzów, jednak wyglądało na to, że dla niektórych osób cokolwiek Davidson zrobi – już i tak nie ma znaczenia. Ma pozostać winny. Co pan o tym myśli?
– Powiem tak, czasami ludzie robią coś niechcący, zupełnie nie ze swojej winy, co nie oznacza, że nie powinni przeprosić. Ale z tego, co pani mówi, ten człowiek to uczynił, tyle że prywatnie. Co, biorąc pod uwagę okoliczności, wydaje mi się całkiem wystarczające.

Opinia publiczna coraz częściej wykorzystuje tego rodzaju sytuacje jako broń do wywołania i podtrzymywania kolektywnego poczucia winy, które wynika na przykład z tego, że przynależy się do grupy uważanej za bardziej uprzywilejowaną. W Kanadzie, gdzie mieszkam, mówi się na przykład o winie osadników wobec rdzennej ludności.

Domaganie się odpowiednich przeprosin w takich sytuacjach może służyć niektórym osobom do podtrzymywania moralnego poczucia wyższości. Ma świadczyć o tym, że są jakoś lepsi, wrażliwsi, że wiedzą lepiej, jakie zachowanie przystoi, a jakie jest niedopuszczalne.

eprasa.pl 8024f7c131

W wywiadzie dla magazynu „Variety" Davidson przyznał, że był tym zajściem „głęboko zawstydzony". Wina i wstyd są blisko siebie, jednak się różnią.
– W psychologii zwykle mówi się, że poczucie winy odnosi się bardziej do tego, co zrobiliśmy, do działania, a wstyd – do tego, kim jesteśmy, do naszej tożsamości.

Czyli, po jednej stronie mamy: „zrobiłem coś złego", a po drugiej: „jestem kimś złym".

To ważne rozróżnienie. Kiedy czujemy, że postąpiliśmy źle, możemy podjąć inne działanie, które jakoś temu zadośćuczyni. Znacznie trudniej jest to zrobić, jeśli mamy przekonanie, że jesteśmy złymi ludźmi. Bo trudniej jest zmienić to, kim się jest. Dlatego winę zwykle uważa się za bardziej konstruktywną emocję od wstydu.

Problem w tym, że poczucie winy może się łatwo w niego przerodzić. Zwłaszcza jeśli inni wokół wychodzą z założenia, że jeden błąd czy jeden występek automatycznie kogoś przekreśla. Świadczy o tym, że jest z gruntu zły i nic tego nie zmieni.

Znana badaczka wstydu June Tangney twierdzi, że często powoduje on wycofanie się z relacji, a czasem zamienia w agresję. Jej badania pokazują też, że więźniowie, którzy odczuwają głównie wstyd z powodu swoich czynów, częściej dokonują kolejnych wykroczeń niż ci, którzy odczuwają głównie poczucie winy.
– Mamy też badania dowodzące, że osoby z większą skłonnością do odczuwania wstydu gorzej funkcjonują psychicznie od tych, które mają raczej skłonność do przeżywania poczucia winy. Są na przykład bardziej podatne na depresję. Co nie dziwi – wstyd częściej prowadzi do zamknięcia w sobie i skupienia na negatywnych aspektach własnego „ja".

Może też w nas zalegać, ale poczucie winy również. Co temu sprzyja?
– Między innymi brak przebaczenia, który wynika albo z tego, że osoba, którą skrzywdziliśmy, nie chce nam go udzielić. Albo z tego, że jest to niemożliwe, bo już jej nie ma.

Tak się może zdarzyć, kiedy na przykład przeżyjemy traumatyczne wydarzenie – wypadek, katastrofę, wojnę – podczas gdy inne ważne dla nas osoby zginą. Wina ocalałego może stać się taką negatywną, zalegającą emocją.

Pomyślałam teraz o osobach, które straciły bliskich w wyniku śmierci samobójczej. One często mówią o ogromnym poczuciu winy. Zastanawiają się, czy mogły jakoś temu zapobiec, czego nie zauważyły itd. Jak mogą sobie pomóc?
– Spróbować znaleźć jakiś sposób, żeby wybaczyć samemu sobie. Oczywiście, to nie jest proste. Czasem jednak pomaga przyjęcie perspektywy drugiego człowieka, takie spojrzenie z zewnątrz: „Czy gdybym był kimś innym i widział, z czym się zmagam, to bym sobie wybaczył? Czy dostrzegłbym, że zrobiłem, co mogłem w danych okolicznościach?".

Warto też pamiętać, że poczucie winy, tak jak i inne emocje, jest instynktowną reakcją. I bardzo ważne jest, żebyśmy tę reakcję „z trzewi" zawsze uzupełnili o racjonalną ocenę sytuacji. A także naszej odpowiedzialności w niej. Bo zdarza się, że czujemy się winni bezpodstawnie.

Co ma pan teraz na myśli?
– Na przykład w związkach, w których jest przemoc, to często ofiary czują się winne. Uważają, że w jakimś stopniu odpowiadają za to, co je spotyka, że sobie na to zasłużyły itd. Jednakże poczucie winy w takich okolicznościach zwykle nie jest wynikiem jakiegoś uchybienia, ale tego, że sama ta relacja została uszkodzona. Z tym że to przemoc ją uszkodziła.

Problem w tym, że w pojedynkę bardzo trudno to zobaczyć. Potrzeba drugiego człowieka, który w tym pomoże.

• Aktor Robert Aramayo z Johnem Davidsonem, szkockim aktywistą zmagającym się z zespołem Tourette'a na rozdaniu nagród BAFTA . Armayo zagrał go w filmie I Swear" i zdobył nagrodę. Londyn, 22 lutego 2026 r.

FOT. CARLO PALONI/BAFTA VIA GETTY IMAGES

Są osoby szczególnie podatne na poczucie winy. Ta emocja wzbudza się w nich niejako odruchowo, kiedy tylko coś pójdzie nie tak.
– Będę się upierał, że to zawsze ma związek z troską o stan relacji.

Z badań wiemy, że bardziej podatne na poczucie winy są kobiety, bo mają większą skłonność do pielęgnowania więzi. Ale też osoby, które są niezwykle uprzejme, ugodowe. Także te, dla których priorytetem jest uszczęśliwianie innych.

Oczywiście, ogromne znaczenie ma wychowanie. Dla dziecka najważniejszą relacją, przynajmniej na początku, jest relacja z najbliższymi opiekunami. Jeśli są oni bardzo wymagający, nic, co robi dziecko, nie jest dla nich wystarczająco dobre, to żyje ono w ciągłym lęku przed rozpadem tej relacji. Wkłada niezwykle dużo wysiłku w jej podtrzymanie i przeżywa związane z tym nadmierne poczucie winy.

Tak też mogą się tworzyć zręby pod tę szczególną podatność.

Można coś z tym zrobić w dorosłym życiu?
– Zrozumienie, skąd się to wzięło, to pierwszy krok. Drugim może być przyjrzenie się relacjom, w których aktualnie się znajdujemy. Czy aby na pewno musimy tak o nie drżeć? Czy w każdej chwili każdego dnia musimy sprawdzać, jak się ma nasze dziecko, czy nasz partner, partnerka? Monitorować, czy gdzieś nie zawiedliśmy i czy aby nie musimy czegoś naprawić?

Warto też przeformułować sobie nieco poczucie winy. Zobaczyć, że niekoniecznie świadczy o tym, że zrobiliśmy coś nie tak, lecz o tym, że jesteśmy wrażliwymi ludźmi, którym zależy na dobrych relacjach z innymi. Czasem może aż za bardzo. Jeśli tak, to może można sobie trochę odpuścić?

Osoby, dla których więzi nie mają aż takiego znaczenia, które dążą do tego, żeby być emocjonalnie „samowystarczalne", rzadziej przeżywają poczucie winy, bo taki naprawczy motywator nie jest im potrzebny.

Są ludzie, którzy nigdy nie czują się winni?
– Głęboki brak poczucia winy przy jednoczesnym braku empatii obserwuje się u osób z psychopatią. Takie osoby nie tworzą głębokich relacji, nie przeżywają ich rozpadu, szybko przechodzą do następnych. Nie mają oporów przed krzywdzeniem czy wykorzystywaniem innych.

W jakimś sensie to kolejny dowód na to, że poczucie winy jest emocją prospołeczną. Nie istnieje bez zdolności do współodczuwania.

A co, jeśli poczucie winy budzi się w nas, kiedy nie zrealizujemy tego, co zaplanowaliśmy, kiedy odkładamy ważne zadania. Innymi słowy, kiedy zawodzimy samych siebie. Gdzie tu jest ta relacyjność?
– Mówi pani teraz o wyrzutach sumienia.

Pytanie, skąd się one właściwie biorą. Kto wyznacza te normy, zasady czy standardy, według których czujemy, że powinniśmy postępować?

Moja odpowiedź jest taka, że one też zwykle powstają w ważnych dla nas relacjach, nie tylko tych z rodzicami. Z czasem te normy uwewnętrzniamy, a kiedy je łamiemy, czy jakoś się od nich oddalamy, wina, którą odczuwamy, odnosi się do tych relacji. Ale może się też odnosić do relacji z samym sobą, ze swoim „idealnym ja".

Jak to?
– Każdy z nas ma jakieś wyobrażenie tego, jaki chciałby być. Tę swoją idealną wersję. Jeśli mamy poczucie, że jakoś ją zawodzimy, wówczas też możemy się czuć winni.

Z badań wiemy, że bardziej podatne na poczucie winy są kobiety

Ciekawe jest dla mnie to, że z punktu widzenia prawa nie jest ważne, czy ktoś CZUJE się winny, tylko, czy JEST winy. Według prawa można nie odczuwać poczucia winy, a i tak zostać osądzonym i skazanym. I odwrotnie: można mieć ogromne poczucie winy, a być uznanym za niewinnego.

W książce podaję przykład młodego mężczyzny, który będąc pod wpływem alkoholu i narkotyków, zaatakował pewną kobietę. Ponieważ dowiedziono, że nie był świadomy swoich działań, sąd zwolnił go z wszelkiej odpowiedzialności. Mimo że byli świadkowie tego zdarzenia, a on sam czuł się potwornie winny za to, co zrobił.

Dlaczego tak pana interesuje to rozszczepienie?
– Bo wydaje mi się, że tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. I że niezależnie od tego, czy czujemy się winni, czy nie, jeśli popełniamy jakieś wykroczenie, to i tak narusza ono relacje. Różnica polega na tym, że mogą to być relacje z osobami, których nie znamy.

Jeśli popełniamy przestępstwo z nienawiści – uderzamy w całą grupę społeczną. Jeśli prowadzimy samochód pod wpływem alkoholu – potencjalnie zagrażamy wielu osobom. Zdrada narodowa jest wykroczeniem przeciwko całemu społeczeństwu.

Prawo karne to reguluje, jednak zastanawiam się, czy wystarczająco, jeśli chodzi o naprawę więzi społecznych.

W książce porusza pan kwestię tak zwanej sprawiedliwości naprawczej, ruchu w systemie prawnym, który powstał w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku i cieszy się coraz większym zainteresowaniem.
– Wszystko zaczęło się w małym, kanadyjskim miasteczku Elmira. Para osiemnastoletnich chłopców upiła się i wpadła w amok. Szli ulicami miasta, przecinając opony zaparkowanych samochodów i wybijając okna. Jeden z nich dopiero co stracił oboje rodziców i ewidentnie był to jego sposób na poradzenie sobie z tą stratą.

Biorąc to pod uwagę, a także to, że było to ich pierwsze wykroczenie, kurator zaproponował sędziemu, żeby zamiast karać chłopców więzieniem, kazał im spotkać się z poszkodowanymi. Chłopcy odwiedzili osoby, których mienie zniszczyli, przeprosili je

eprasa.pl 8024f7c131

i obiecali rekompensatę, na którą musieli sami zarobić.

To uświadomiło im, że ich czyny miały realne konsekwencje dla konkretnych osób, i pozwoliło odczuć szczerą winę. Chłopiec, który stracił rodziców, skończył zresztą później prawo i stał się aktywnym, wielokrotnie nagradzanym za swoją działalność społeczną obywatelem, idea sprawiedliwości naprawczej zaczęła zaś być praktykowana w różnych sądach na świecie.

Jak wychowywać dzieci, by potrafiły korzystać z poczucia winy konstruktywnie? Traktowały je jako tę pozytywną siłę naprawczą, a nie bicz do samobiczowania się?
– Najważniejsze jest, żeby dziecko miało poczucie, że jego więź z rodzicem jest bezpieczna, nawet jeśli zachowa się nieodpowiednio. To podstawa. Warto też uświadamiać dziecku, że jeśli wyrządzi krzywdę drugiej osobie, to ją to zaboli. Wówczas rodzic wzmacnia tę empatyczną składową winy.

Jeśli natomiast będzie reagować wyłącznie złością i skupi się na egzekwowaniu kary, wtedy jest duża szansa, że dziecko przyjmie tę perspektywę. I kiedy tylko poczuje się winne, będzie głównie złe na siebie, a mniej współczujące dla osoby, którą skrzywdziło. Co zmniejsza szansę na zadośćuczynienie i naprawę relacji.

Pan dość szybko przekonał się o sile poczucia winy. Opowie pan o zdarzeniu, które tak naprawdę zadecydowało, że poświęcił pan życie przyglądaniu się tej emocji?
– Po zdanych egzaminach na drugim roku studiów pojechaliśmy ze znajomymi na imprezę pod miasto. Wszyscy wypiliśmy za dużo, a kiedy zachciało nam się wracać, postanowiliśmy wziąć samochód stojący na podjeździe, bo zauważyliśmy, że w stacyjce są kluczyki.

Usiadłem na miejscu pasażera z przodu, dwóch moich kolegów z tyłu, trzeci prowadził. Zasnąłem i nagle obudziłem się z twarzą zalaną krwią. Samochód stał na poboczu otoczony przez wozy policyjne i karetki. Zabrano mnie do szpitala. Następnego dnia dowiedziałem się, że wjechaliśmy w grupę rowerzystów, również studentów, a jeden z nich zginął.

Udział w tym tragicznym wypadku był dla mnie przyspieszonym kursem z poczucia winy. Przede wszystkim czułem się potwornie winny, że spowodowaliśmy śmierć człowieka. Ale miałem też poczucie winy w stosunku do innych osób, na które to zdarzenie wpłynęło. I w każdym przypadku ta emocja przejawiała się nieco inaczej.

W stosunku do moich rodziców przypominała raczej wstyd. Czułem, że jestem złym człowiekiem i że ich zawiodłem. Jeśli chodzi o kolegów z uczelni, bałem się, że ten występek na zawsze zniszczy naszą przyjaźń. No i oczywiście odczuwałem ogromne poczucie winy wobec ofiar wypadku oraz ich bliskich.

Towarzyszyły temu też inne emocje. Ogromny lęk o to, co przyniesie przyszłość. Głęboki smutek związany z krzywdą, którą wyrządziłem. Pogarda i nienawiść do siebie. Byłem zdruzgotany. Wydawało mi się, że już nigdy nie będę tą samą osobą. Nie wiedziałem, czy ludzie, których kocham, mnie nie odrzucą, czy będę mógł wrócić na studia, jaką jeszcze cenę przyjdzie mi zapłacić.

Co pozwoliło się panu uporać z tymi emocjami?
– Przede wszystkim rodzice zapewnili mnie, że, mimo iż zrobiłem coś strasznego, nadal mnie kochają i będą przy mnie. Ale chyba jeszcze ważniejsze były dla mnie odwiedziny studentów, przyjaciół chłopca, który zginął. Jeden z nich zresztą też był ranny w wypadku. Wszyscy byli gorliwymi chrześcijanami, należeli do studenckiej organizacji Christian Union. Przyszli, żeby mi powiedzieć: „Nie do nas należy osądzanie. Tylko Bóg może to zrobić. Naszym obowiązkiem jest wybaczać". Dodali też: „Rodzice zmarłego chłopca również ci wybaczają".

To był niezwykły gest dobroci z ich strony, który miał dla mnie kolosalne znaczenie.

Co pan poczuł?
– Ulgę. Oczywiście, nie wymazało to faktu, że popełniłem przestępstwo czy poniosłem moralną porażkę, jednak dzięki ich przebaczeniu moje uczucia zaczęły się powoli zmieniać. I ta zmiana pozwoliła mi zobaczyć, że poczucie winy nie jest prostą emocją wynikającą z tego, że zrobiło się coś złego, tylko jest czymś znacznie bardziej złożonym, co ma dalekosiężne konsekwencje dla naszych więzi. I w ogóle bycia w świecie.

Odbył pan karę więzienia. Czy to też pomogło panu lepiej zrozumieć istotę winy?
– Oczywiste, że poza subiektywną winą, którą odczuwałem, byłem też obiektywnie winny. I przyjąłem, że kara odsiadki mi się należy, że jest to forma spłaty długu wobec społeczeństwa.

Zastanawiał się pan, co by było, gdyby bliscy ofiar panu nie wybaczyli, a rodzice odwrócili się od pana?
– Wielokrotnie. Przypuszczam, że wciąż, mimo że od tamtych wydarzeń upłynęło ponad 40 lat, borykałbym się z ogromnymi wyrzutami sumienia. Wina, która nie zostaje wybaczona albo w jakiś inny sposób rozwiązana – ciąży. A z czasem może się pogłębiać i niszczyć.

Ale nie musi tak być. W idealnych okolicznościach poczucie winy stanowi nie tylko motywację, ale i wskazówkę, jak naprawiać relacje.

Jak dokładnie przebiega ten proces?
– Według mnie poczucie winy składa się z trzech kluczowych elementów.

Pierwszy to współczucie dla osoby, którą skrzywdziliśmy. Drugi to lęk o to, czy ta więź nie zostanie przez to zerwana. A trzeci to złość skierowana na siebie.

Kiedy odpowiednio zareagujemy na te emocje, nie zamieciemy ich pod dywan, poczucie winy może nam posłużyć do naprawy relacji. Bo współczucie sprawi, że będziemy chcieli jakoś zadośćuczynić tej osobie. Obawa o dalsze losy relacji zmotywuje nas do pracy nad nią. A złość na siebie i wynikająca z niej skrucha spowodują, że będziemy gotowi przyjąć karę, jeśli jest konieczna, i zobowiązać się, że nie zachowamy się podobnie w przyszłości.

Jak ważne są w tym wszystkim przeprosiny?
– Bardzo ważne! Przede wszystkim pokazują osobie, którą skrzywdziliśmy, że nam na niej zależy. A poza tym – że uznajemy jej krzywdę oraz cierpienie.

Taką funkcję pełnią szczere przeprosiny. Czym innym są natomiast fałszywe przeprosiny, czyli tak zwane non-apology, kiedy to osoba, która je składa, tak naprawdę nie uznaje swojej odpowiedzialności ani nie wyraża skruchy.

Jakie ma pan spostrzeżenia na temat roli, jaką odgrywa poczucie winy we współczesnym świecie?
– Nie wiem, jak jest w Polsce.

Tu, w Ameryce Północnej, przybywa poczucia winy, które przynosi odwrotny skutek do zamierzonego i jest szkodliwe społecznie.

Mam na myśli zwłaszcza to kolektywne poczucie winy, o którym już wspominaliśmy.

W dyskusjach o zadośćuczynieniu krzywdom wyrządzonym różnym grupom społecznym bardzo dużo mówi się dziś o poczuciu winy osadników, winie białych czy winie rasowej.

Nie twierdzę, że nie powinniśmy tych krzywd wyrównywać czy naprawiać relacji międzygrupowych, jak najbardziej powinniśmy. Zastanawiam się jednak, czy aby na pewno kolektywne poczucie winy jest najlepszym sposobem, by to osiągnąć. Bo problem z nią jest taki, że tu nie ma prostej ścieżki do przebaczenia.

Dajmy na to, że jest pani białą Amerykanką. Jeśli ma pani poczucie winy wobec czarnych obywateli, którzy ucierpieli w czasach niewolnictwa albo segregacji rasowej, to kto właściwie ma pani przebaczyć? Nie jest to wcale jasne.

Co mogłoby być bardziej konstruktywne?
– Powinniśmy realistycznie ocenić, jakie szkody zostały wyrządzone, a następnie podjąć działania naprawcze, ale niekoniecznie musimy to robić, wychodząc z poczucia winy.

W Kanadzie na przykład uznano krzywdy rdzennych obywateli, którzy przeszli przez piekło szkół z internatem i wypłacono im odszkodowania. Uważam, że w ten sposób powinniśmy do tego podchodzić – traktując swoją winę raczej jako winę obiektywną niż subiektywną i czyniąc zadość jej tak, jak się to robi w świetle prawa.

Pomysł, że ktoś taki jak ja, europejski osadnik w Ameryce Północnej, powinien się czuć winny za całą kolonialną przeszłość, nie za bardzo moim zdaniem ma sens. Ma to wartość tylko wtedy, jeśli prowadzi do realnego wsparcia dla prób pojednania na poziomie grupowym. Na przykład dla różnych systemowych rozwiązań, które mają zadośćuczynić tamtym krzywdom.

Jeśli sens kolektywnej winy nie zostanie zbyt dobrze przemyślany, może prowadzić do kłopotów. Na przykład takich sytuacji, jak ta po rozdaniu nagród BAFTA, kiedy to kolektywne poczucie winy wykorzystywane jest jako broń do karania jednych i wywyższania drugich.

Chcę pana dobrze zrozumieć. Rdzenni mieszkańcy Kanady, którzy zostali skrzywdzeni w szkołach z internatem, bardzo długo czekali na przeprosiny od rządu, a jeszcze dłużej od Kościoła, który te szkoły współprowadził. Kiedy w końcu nadeszły, były niezwykle ważnym gestem zarówno dla samych poszkodowanych, jak i kolejnych pokoleń, często straumatyzowanych przez doświadczenie rodziców...
– ...i w pełni takie gesty popieram. Tylko że nie o tym teraz mówimy. A o tym, co przeżywa dziś pojedynczy człowiek, który czuje się za te krzywdy osobiście odpowiedzialny.

Kanadyjska Komisja Prawdy i Pojednania i jej rekomendacje były niezwykle ważne i mam nadzieję, że nikt tego nie podważa. Jednakże były to rekomendacje, które można wdrożyć na poziomie systemowym, a niekoniecznie indywidualnym.

To, co może zrobić jednostka, to wspierać te rozwiązania. Jeśli jednak ktoś czuje z tego powodu wyłącznie ogromną winę, to mam wątpliwości, na ile jest to konstruktywne. I na ile w tym kontekście służy odbudowie relacji.

Chce pan powiedzieć, że samo uczucie bez konkretnego działania jest puste?
– To właśnie chcę powiedzieć.

Przygotowując się do naszej rozmowy, szukałam obrazów, które by symbolicznie przedstawiały poczucie winy, ale jest ich bardzo niewiele. Znacznie więcej jest reprezentacji smutku, strachu, nawet radości.
– Za to w literaturze to bardzo popularny motyw. Nie bez powodu moim ulubionym pisarzem jest Ian McEwan, który często porusza ten temat. Opisuje też, co się dzieje, kiedy odkupienie winy nie jest możliwe i kiedy dręczy ona człowieka przez całe życie.

Tak jest w jego „Pokucie". Młodsza siostra rzuca fałszywe oskarżenie na ukochanego starszej siostry, przez co trafia on na front. Ich losy bezpowrotnie się rozchodzą, ona zaś musi żyć z poczuciem winy do końca swoich dni. Ponieważ nie uzyskuje od nich przebaczenia, pisze powieść, w której wymyśla dla nich inne, szczęśliwe zakończenie.
– Zastanawiam się, czy rzeczywiście możliwe jest uporanie się z poczuciem winy w ten sposób, poprzez sztukę? W jakim stopniu stanowi ona raczej wentyl do wyrażenia tej potężnej emocji i robi przestrzeń do jakiejś pracy nad nią?

Ostatecznie wszystko sprowadza się do pytania, czy uzyskanie przebaczenia poprzez stworzenie dzieła, na przykład literackiego, jest w ogóle osiągalne. A może przyjęcie i docenienie go przez innych, przez czytelników, jest formą przebaczenia? ●

Pomysł, że ktoś taki jak ja, europejski osadnik w Ameryce Północnej, powinien się czuć winny za całą kolonialną przeszłość, nie za bardzo ma sens

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Chris Moore**

• profesor psychologii oraz były dziekan Wydziału Nauk Ścisłych na kanadyjskim Uniwersytecie Dalhousie w Halifax; tytuł doktora psychologii rozwojowej uzyskał na Uniwersytecie Cambridge. W swojej pracy interesuje się takimi zjawiskami, jak teoria umysłu, samoświadomość, podejmowanie decyzji czy zachowania o charakterze moralnym. Jego książka „The Power of Guilt" („Potęga winy") ukazała się na początku 2026 roku.

eprasa.pl 8024f7c131

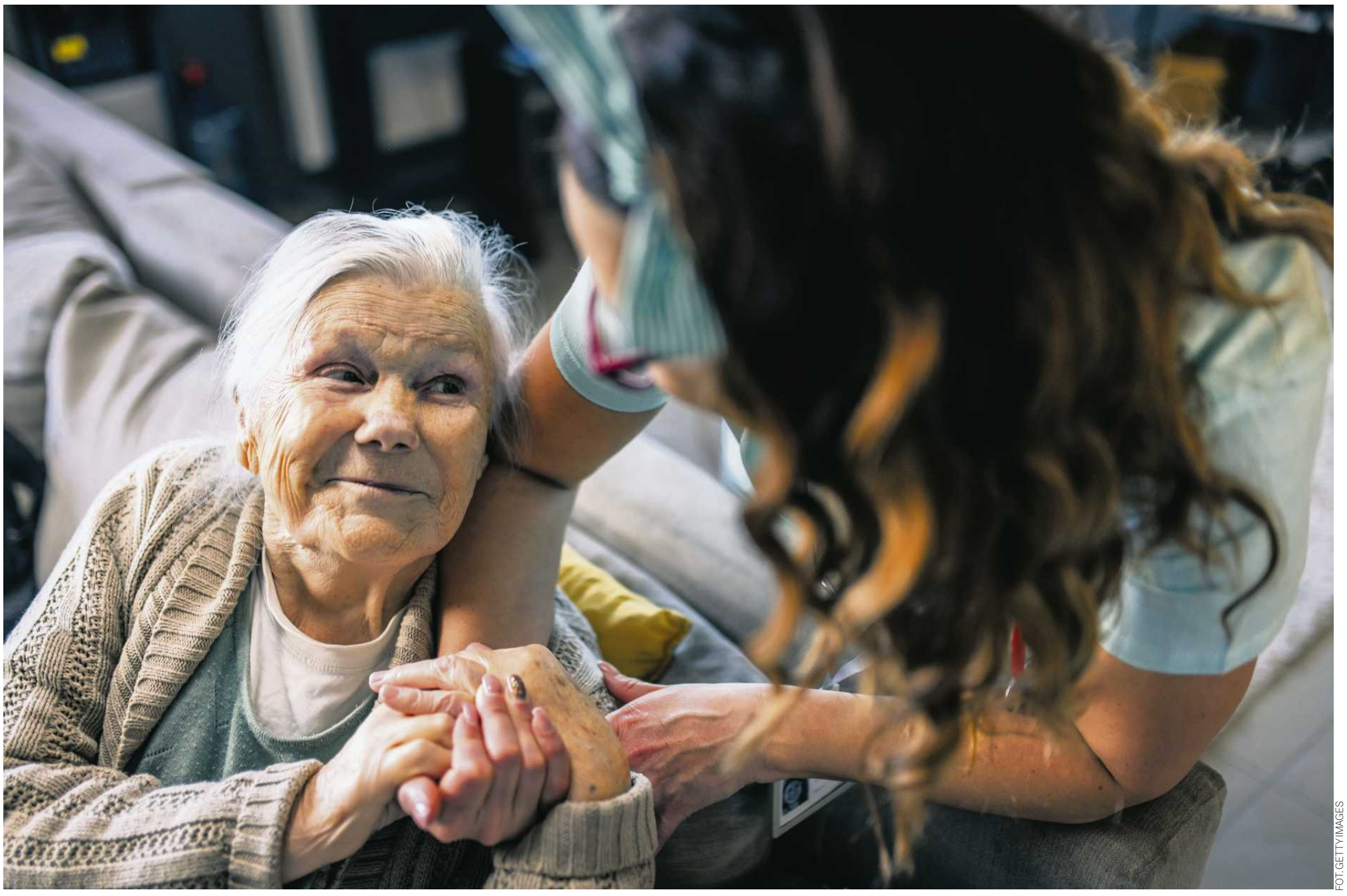

FOT. GETTY IMAGES

KTO WYKĄPIE TWOJĄ MAMĘ

Ekonomista: **a może górnicy zajmą się naszymi starymi rodzicami**

Z **PROF. ANDREW CLARKIEM***
Z PARIS SCHOOL OF ECONOMICS
ROZMAWIA **MARIA KORCZ**

Francuski rząd próbuje przeprowadzić reformę podnoszącą wiek emerytalny. W Polsce wciąż skupiamy się na tym, jak przekonać kobiety do rodzenia. Będziemy mieć kłopoty?
– Francuski rząd nie miał łatwego czasu, gdy zaproponował podniesienie wieku emerytalnego. Prawda jest jednak taka, że w większości państw europejskich piramidy wieku są dziś zachwiane nadwyrężając systemy emerytalne.

Debata o podniesieniu wieku emerytalnego jest nieunikniona?
– Nie chodzi tylko o wiek emerytalny, ale też o usługi opiekuńcze i medyczne dla starszych osób. Zachwianie piramidy demograficznej oznacza też, że coraz mniej osób będzie płacić podatki, z których utrzymujemy ochronę zdrowia.

Nie ma innego wyjścia – trzeba albo obciąć wydatki, np. podnosząc wiek emerytalny, albo podnieść podatki. Jest jeszcze jedna opcja, która nie wszystkim może się spodobać. Zwiększenie liczby pracujących przez migracje.

Jedną z przyczyn, dlaczego wskaźniki urodzeń we Francji jest wyższy niż w Polsce, jest to, że we Francji żyje więcej rodzin migranckich. Dane historyczne wskazują, że migranci zwykle mają większe rodziny, niż ludność w społeczeństwach, do których przyjeżdżają.

Po wojnie do Francji przyjechało wielu mieszkańców dawnych kolonii z Północnej Afryki i myślę, że to wpływa na względnie lepszy, choć wciąż niski, wskaźnik dzietności.

Dlaczego migranci mają większe rodziny?
– To tak zwana trzecia faza transformacji demograficznej. W krajach rozwiniętych liczba urodzeń zaczyna spadać, ale nieco inny model rodziny prezentują nadal przyjeżdżający do nich migranci z państw na innym etapie rozwoju. Z czasem rodziny migranckie zbliżają się jednak liczebnością do rodzin rdzennych.

W Polsce dodatki dla rodziców posiadających dzieci miały powodować, że ich przybędzie. Najpierw 500 zł, teraz 800 zł.
– Pomogło?

Na spadek ubóstwa wśród dzieci tak, ale na liczbę urodzeń niezbyt.
– Nie dziwi mnie to. Posiadanie dzieci raczej nie jest decyzją ekonomiczną.

Bardzo interesujące są dane, które odsiewają liczbę urodzeń migrantów od obywateli danego kraju. Wtedy prognozy dla wielu państw są jeszcze gorsze.

Narodem zanikającym jest m.in. Szwajcaria, ale szybko kurczy się też Rumunia. Różnica między nimi jest taka, że do Szwajcarii napływają migranci, a Rumunia nie jest dla nich tak atrakcyjna. Prognozuje się, że liczba jej ludności za parę lat spadnie z 19 do 12 mln osób.

Chce pan przez to powiedzieć, że migracja jest jedyną szansą dla zapadającej się demograficznie Europy?

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

Sektor górnictwa i wydobywania

Liczba osób zatrudnionych w 2024 roku w całym sektorze. Dane w tys.

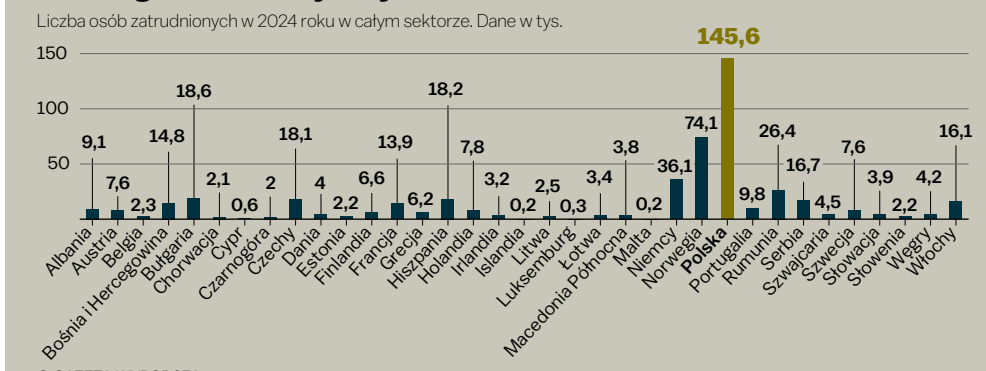

© GAZETA WYBORCZA

Ludność w wieku 65 lat i więcej w latach 2015–2025

Wzrost udziału w poszczególnych krajach UE. Zmiana w punktach procentowych

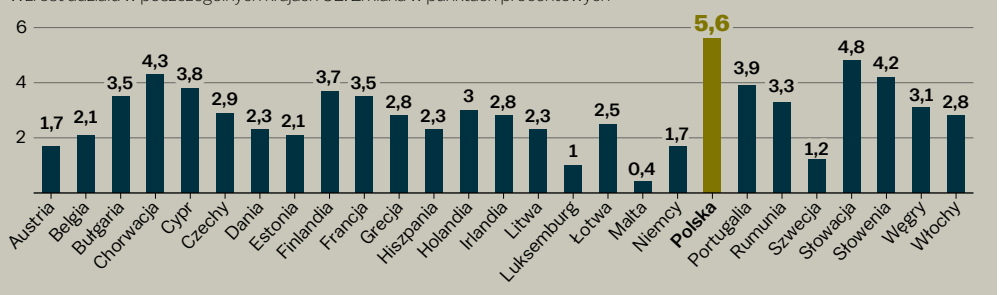

ŹRÓDŁO: EUROSTAT

– To jeden ze sposobów. Problemem jest dziś nie tylko to, kto będzie płacił podatki i utrzymywał system emerytalny, ale także to, kto zajmie się wszystkimi starszymi osobami, które będą wymagać asysty i pomocy. To problem, który stanie się dotkliwy już w najbliższej dekadzie.

Dzieją się w tej chwili jednocześnie trzy rzeczy. Po pierwsze, spada liczba dzieci przypadających na jedną osobę starszą. Ja mam dwójkę rodzeństwa, moja mama miała ośmioro, a jej mama – szesnaścioro braci i sióstr.

Kurczy się liczba dzieci, które mogłyby zajmować się starzejącymi rodzicami. Więc co nam pozostaje? Zlecanie tej opieki na zewnątrz. Tylko kto mógłby się tym zająć? Kto któregoś dnia będzie gotów pomóc twojej mamie zjeść kolację albo się wykąpać?

Ten, kto będzie mógł sobie na to pozwolić, zafunduje rodzicom pomoc w prywatnym sektorze usług.

– No właśnie. Kolejny aspekt to rozproszenie geograficzne. Kiedyś mieszkaliśmy w zasięgu kilku kilometrów od swoich rodziców. Ale to się zmieniło wraz z rozwojem i rozrostem miast. Dziś wszyscy się przemieszczają, przeprowadzają, mieszkają dziesiątki kilometrów od domu rodzinnego. Jednocześnie dzieci po prostu nie zawsze chcą zajmować się rodzicami. To jest naprawdę ciężka praca, za którą wiele osób woli komuś zapłacić.

Czyli starość naszych rodziców zależeć będzie od naszego finansowego sukcesu? Przeciętna emerytura w Polsce nie wystarczy na pokrycie prywatnej opieki, leków, żywności...

– To zasmucające, ale tak. W dużej mierze to, jak będzie wyglądała starość naszych rodziców, zależy od tego, co będziemy w stanie im zapewnić my, ich dzieci.

Ludzie są bardzo kiepscy w planowaniu oszczędności na przyszłość. Mamy tendencje do niedoszacowywania, ile będziemy potrzebować, by się utrzymać na emeryturze. Dobrze pokazało to badanie Richarda Thalera, który m.in. za to odkrycie kilka lat temu dostał Nobla z ekonomii.

Uczestnikom eksperymentu Thalera „Save more tommorow", czyli „Oszczędź więcej jutro", proponowano dołączenie do programu oszczędnościowego, w którym zobowiązywali się do podnoszenia składki dopiero wtedy, gdy dostaną podwyżkę. Dzięki takiemu rozwiązaniu odkładanie coraz większych sum nie było, w ich odczuciu, aż tak dotkliwe.

Aż 80 procent uczestników pozostawało w programie do czwartej z rzędu podwyżki, za każdym razem podnosząc stopę oszczędności. W efekcie ich średnie miesięczne wskaźniki stopy oszczędności wzrosły z 3,5 do 13,6 procent w ciągu 40 miesięcy.

Chodzi o to, że gdy osoby otrzymują program oszczędnościowy, który znacznie zwiększa ich oszczędności, zazwyczaj z niego korzystają. Pokazuje to jednak, jak bardzo nie mamy świadomego planu, ile chcielibyśmy oszczędzać. I że potrzebujemy kogoś, kto nas poprowadzi, powie nam, co robić.

To prawda, ale dla osób, które dziś wkraczają w wiek emerytalny, na gromadzenie oszczędności jest już trochę późno. Jaka przyszłość ich czeka?

– Najważniejsze, czy będzie kto miał się nimi zająć. Historycznie takie prace opiekuńcze wykonywali albo migranci lub osoby mniej zamożne. Ale jeśli zabraknie osób, które będą gotowe podejmować się takiej pracy, to co wtedy?

Albo będziemy musieli robić to sami, dostosować swoje życie zawodowe do nowych obowiązków, albo nasi rodzice będą mieli niską jakość życia. Już dziś brakuje osób, które byłyby gotowe podjąć się takiej „brudnej roboty". No chyba że faktycznie wydarzy się tak, że część osób np. w biurach albo marketach zastąpią maszyny.

Sugeruje pan, że struktura rynku pracy może zmienić się tak, że dzisiejsi pracownicy biurowi średniego szczebla za kilka lat będą wykonywać pracę opiekunów osób starszych?

– Wyobrażam sobie, że tak może się stać. Projektować umowy czy wystawiać faktury może przecież sztuczna inteligencja. Ale ona nie zrobi zastrzyku, nie wykąpie starszej osoby albo nie pójdzie na zakupy. W ten sposób technologiczny postęp może paradoksalnie zaprowadzić grupy społeczne, które wykonywały prace biurowe, do prac manualnych, fizycznych.

Takich prac, relatywnie mało atrakcyjnych, za to nadal niezbędnych, jest więcej. To może zaskakujące, ale wciąż do zbierania warzyw i owoców potrzebni są ludzie. Miękkie owoce, np. maliny, muszą być zbierane ręcznie, bo łatwo ulegają uszkodzeniu i zaczynają się psuć. Wciąż nie wymyślono, jak inaczej można to robić. A jednocześnie praca przy ich zbieraniu jest bardzo trudna, mało kto chce ją wykonywać.

Jakie wyzwania społeczne i ekonomiczne nas w związku z tym czekają? Wzrost cen? Wzrost płac?

– Przede wszystkim będziemy musieli zmierzyć się z pytaniem, jak przyciągnąć ludzi do takiej pracy. Co zrobić, by znaleźć chętnych do zawodów, których nikt wykonywać nie chce. Najprostsza odpowiedź jest taka, że będziemy musieli więcej płacić.

To przypomina mi o małych sklepach spożywczych w Wielkiej Brytanii. W latach 60. i 70. wiele z nich było przejmowanych przez rodziny przyjeżdżające z Azji, z Indii, z Pakistanu. Już wtedy pojawiały się takie głosy, że oni tu przyjeżdżają i zabierają nam pracę.

Tyle że nikt inny nie chciał tej pracy, bo to trudna robota. Trzeba bardzo wcześnie wstać, żeby pojechać po dostawę, a potem do wieczora jesteś na nogach w sklepie. I to trochę analogiczna sytuacja.

Prace opiekuńcze przejmą osoby, dla których to po prostu będzie jedyne wyjście, jedyna droga do zarobku.

Przy czym należy pamiętać, że migranci stają się też coraz lepiej wykształceni. I oni też coraz rzadziej będą chcieli podejmować się takich prac. To sprawia, że będziemy za takie usługi płacić coraz więcej.

Co to znaczy, że migranci stają się coraz lepiej wykształceni?

– Poziom wykształcenia migrantów rośnie wraz ze zmianą pokoleniową. Dzieci migrantów będą lepiej wykształcone, niż ich rodzice, dzięki którym wychowali się już w innym państwie. Ich szanse i możliwości edukacyjne będą już bardzo zbliżone do szans rodzimych obywateli.

Czy to znaczy, że wkrótce praca w rolnictwie albo pomocy społecznej będzie lepiej opłacana od pracy w banku czy ubezpieczeniach?

Starość naszych matek i ojców, zależy od tego, co będziemy w stanie im zapewnić my, ich dzieci

– Zastanawiam się nad tym. Myślę, że w przypadku pracowników średniego szczebla w sektorze usług, tak może się stać. Może nastąpić taka zmiana strukturalna, w której – o ile oczywiście będą tego chcieli – ludzie, którzy kiedyś pracowali w biurze, będą pracować w zawodach związanych z opieką.

A ci którzy nie będą chcieli? Będą żyć z gwarantowanego dochodu minimalnego? To jedno z rozwiązań, które jest na stole.

– Nie jestem zwolennikiem idei gwarantowanego dochodu minimalnego, bo nie znam żadnego społeczeństwa, w którym faktycznie by go wprowadzono na dużą skalę. To pomysł, który pojawił się już dawno temu. Skoro jest taki genialny, to czemu jeszcze nigdzie nie zaistniał?

Ale uważam, że nie powinniśmy zbyt martwić się o sprawę AI. Mój dobry kolega Philippe Aghion, który w 2025 roku dostał Nobla z ekonomii, uważa, że szerszy efekt robotyzacji na rynku pracy będzie pozytywny, bo jednocześnie ta rewolucja doprowadzi do powstania nowych miejsc pracy.

Sęk w tym, że prace, które się pojawią, będą zupełnie inne od tych, które znikną. Pomyślmy na przykład o górnikach. W Wielkiej Brytanii z miliona na początku XX wieku, zostało ich około 200.

Co stało się z resztą?

– Nic. W tym problem. Zestarzeli się i umarli. To ogromne wyzwanie – część pracowników średniego szczebla będzie mogła nadzorować systemy wspierane sztuczną inteligencją, ale praca dla reszty po prostu zniknie.

W Polsce wciąż w górnictwie pracuje nawet 75 tys. osób.

– To może wkrótce będą musieli zostać opiekunami osób starszych, pielęgniarzami?

Proszę zauważyć, że cały czas rozmawiamy o pracownikach średniego szczebla, wykształconych, mających większą gotowość do przebranżawiania się. Ale co się stanie z pracownikami najmniej zarabiającymi, którzy wykonują proste prace przy produkcji, najbardziej narażone na automatyzację?

Na koniec wróćmy jeszcze do starzejących się rodziców. Wiemy o zjawisku tzw. kary za macierzyństwo. Czy kobiety zapłacą też zawodową cenę za opiekę nad rodzicami?

– Prawdopodobnie ta sama nierówność, która występuję w obciążeniu obowiązkami opiekuńczymi między matkami i ojcami, utrzyma się także przy podziale opieki między synów i córki.

Tak zwaną karę za macierzyństwo – widoczne w statystykach spowolnienie wzrostu płac kobiet, które urodziły dziecko – udaje się niwelować coraz lepszym systemem opieki nad małymi dziećmi, bardziej elastycznym podejściem do godzin pracy.

To, na ile córki poniosą zawodową „karę" za opiekę nad rodzicami, będzie zależało od powstania, albo nie systemowego wsparcia w opiece nad starszymi ludźmi. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Prof. Andrew Clark**

• ekonomista związany z Paris School of Economics, znany badacz dobrostanu w Europie. Jego badania koncentrują się wokół ekonomii behawioralnej, mikroekonomii stosowanej, jakości życia i pracy.

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 8024f7c131

WOJTEK JEST SUMĄ LAJKÓW

Istnieje silny związek między korzystaniem z platform społecznościowych a pogorszeniem się zdrowia psychicznego. Związek nieprzypadkowy i kierunkowy.

FOT. GETTY IMAGES

Wojciech Kulesza, Jagoda Przybylska

Media społecznościowe są jak bomba nuklearna rzucona na życie społeczne nastolatków. Nie sądzę, aby w naszej (...) historii wydarzyło się coś innego, co zmieniło relacje społeczne w takim stopniu, jak media społecznościowe" – dr Chris Said, Princeton University, pracownik Facebooka i Twittera (obecnie X).

Wyobraźmy sobie bezpłatnie przekazywany rodzinom model samochodu, którym na całym świecie podróżują miliardy dzieci i dorosłych. Samochód, którego producent odmawia przekazania do badań wszystkich jego elementów, mówiąc, żeby mu zaufano, bo wie, że to dobry produkt, a pasażerowie na zdjęciach się uśmiechają.

Jednak z analiz licznych ośrodków jasno wynika, że podróż tym pojazdem zwiększa ryzyko śmierci w wyniku wypadku. Z pojazdu trudno jest zrezygnować – to jedyne auto w rodzinie, za darmo podwozi na imprezy, poza tym inaczej praktycznie wypada się z relacji społecznych. Ba, sami użytkownicy są rozliczani z tego, czy ów pojazd mają, i rozliczają z tego faktu innych.

Ewentualni poszkodowani nie mogą złożyć pozwu, bo producent twierdzi, że winni są sami użytkownicy, którzy jadą zbyt szybko, albo smog w miastach. Jeśli coś podczas jazdy stanie się dzieciom, winni są rodzice, wreszcie rząd nie ma żadnych sensownych narzędzi kontroli, choćby ustaw pozwalających na pozwanie producenta, ani nie łoży na badanie np. metod leczenia ofiar wypadków.

A teraz zmieńmy słowo „samochód" na „platformy społecznościowe". Tylko czy platformy społecznościowe rzeczywiście wiążą się wyłącznie ze stratami dla ich użytkowników?

Plusy serwisów społecznościowych...

Jak pokazuje niedawny artykuł Amiry Skeggs oraz Amy Orben w „Nature Human Behavior" platformy społecznościowe mogą mieć związek z wyższym poczuciem dobrostanu psychicznego, czyli zadowolenia z życia. Chodzi między innymi o umożliwienie utrzymywania relacji z bliskimi, co może zmniejszać poczucie samotności, dzielenie się problemami i otrzymywanie wsparcia – znalezienie osób o podobnych doświadczeniach, wreszcie wzmacnianie poczucia kompetencji (poprzez choćby uczenie się nowych rzeczy). Autorki podkreślają jednak, że na stwierdzenie takiego związku jest zbyt wcześnie, a poza tym jest wiele badań mówiących nie tylko, że tak wcale nie musi być, ale wskazujących na szkodliwość takowych platform (o czym później).

Z wcześniejszego artykułu na łamach internetowego czasopisma „PLOS One" dowiadujemy się też, że platformy mają związek z poczuciem – u osób w ryzyku samookaleczeń – wspólnoty i wsparcia. Wsparcie od innych użytkowników polegało na proponowaniu konieczności podjęcia leczenia, a także doradzaniu, w jaki sposób powstrzymać samookaleczanie. Badacze przeanalizowali dziesiątki baz danych, mówimy zatem o dalekim od przypadku związku.

Jest jednak i druga strona medalu. Związek ten współwystępuje ze wzrostem ryzyka samookaleczeń poprzez dostęp do takich treści. Możemy więc otrzymać wsparcie i pomoc, ale to samo medium wiąże się z ryzykiem wystąpienia takiego zachowania. Badacze zauważyli, że wirtualne otoczenie społeczne jednocześnie normalizuje i akceptuje zachowania zorientowane wokół samookaleczania, a dyskusje wokół tego tematu mogą zwiększać prawdopodobieństwo wystąpienia nie tylko planowania takich zachowań, ale również wykonania.

Co więcej, dzięki platformom społecznościowym osoby poszukujące wsparcia otrzymują je w wyjątkowo przystępny sposób: online i od razu w idealnie dobranej grupie, na przykład dyskusyjnej. Jednocześnie otrzymują równie prosty dostęp „na żywo" do takich zachowań, na przykład duszenia do utraty przytomności, od których próbują siebie (sami siebie i inni na „grupie") chronić.

...nie przysłaniają minusów

Korzyści zatem istnieją, a co ze stratami? Czy apokaliptyczna wizja doktora Saida przytoczona na początku jest faktem naukowym czy fikcją literacką z obszaru science fiction?

Według badań prowadzonych przez amerykańską agencję rządową Centers for Disease Control and Prevention, do 2010 roku wskaźnik samobójstw wśród nastolatków pozostawał mniej więcej na stałym poziomie lub spadał. Po 2010 roku zaczął jednak gwałtownie rosnąć. Co się wtedy wydarzyło?

Po pierwsze, nieco wcześniej pojawiły się platformy społecznościowe. W 2009 roku mniej więcej połowa amerykańskich nastolatków codziennie korzystała z platform społecznościowych. Kilkanaście lat później rynek nastoletniej uwagi został wypełniony praktycznie w 100 proc.

Po drugie, pojawiły się nośniki ułatwiające korzystanie z tychże: smartfony, które odsunęły na daleki plan pierwotną funkcję telefonu. Obecnie trudno znaleźć osobę, która ma telefon komórkowy niebędący smartfonem i nie ma zainstalowanych platform społecznościowych.

Publikacja z 2015 roku w prestiżowym „JAMA Pediatrcis" przedstawiła aż 36 analiz tylko dla okresu 2000-12. Okazało się, że szczególnie u nastoletnich dziewczynek istnieje związek między platformami społecznościowymi a prześladowaniem w sieci (cyberbullying), co może prowadzić do pojawienia się symptomów depresji.

Do podobnych wniosków doszedł zespół pod kierownictwem prof. Yvonne Kelly z University College London (UCL). Naukowcy zbadali kilkanaście tysięcy nastolatków, od takich, którzy spędzali na platformach od jednej do trzech godzin, z tymi, którzy czynili to do pięciu godzin oraz powyżej tej wartości. Symptomy depresyjne rosły w dwóch ostatnich grupach odpowiednio o 26 proc. i aż 50 proc. Co więcej, wykazano, że im więcej czasu osoby spędzały na platformach, tym więcej spotykało je prześladowań, tym gorszy miały sen, spadała im samoocena oraz satysfakcja z własnego ciała. Wszystkie te czynniki były związane ze wspomnianym wcześniej wzrostem prawdopodobieństwa wystąpienia symptomów depresji, poszerzając rozumienie złożoności związku z platformami.

Powróćmy do rozróżnienia związku dla chłopców (słabszy) i dziewczynek (silniejszy). W pracy z 2016 roku na łamach „Body Image" Grace Holland i Marika Tiggemann wykazały, że korzystanie z platform społecznościowych jest powiązane ze spadkiem satysfakcji z własnego ciała i wzrostem zaburzeń odżywiania. Autorki pokazały, że oglądanie na platformach cudzych zdjęć i prezentowanie własnych może zwiększać prawdopodobieństwo negatywnego odbioru. Co szczególnie ważne – i wyjątkowe w porównaniu z wcześniej omawianymi tu pracami – związek ten był notowany nie tylko dla kobiet, ale również mężczyzn.

A zatem podsumowując: są prace wskazujące, że korzystanie z platform społecznościowych wiąże się z korzyściami, choć wskazują jednocześnie na pewne słabości czy wręcz zagrożenia. Z drugiej strony mamy często raportowany związek między użytkowaniem platform społecznościowych a kryzysami zdrowia psychicznego oraz jego pogorszenia. Omawialiśmy jednak głównie związki korelacyjne. Poszukajmy związków przyczynowo-skutkowych, bo może to brak snu powoduje sięganie po platformy, a nie odwrotnie?

Jest przyczyna, jest skutek

„Media społecznościowe oferują »puste kalorie społecznych interakcji«, które wydają się wysycać nasze biologiczne i psychologiczne potrze-

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

by, ale [w rzeczywistości] nie zawierają żadnych potrzebnych składników, aby wypełnić te potrzeby" – dr Mitch Prinstein, szef pionu ds. nauki Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego.

W 2021 roku na łamach „Social Media and Mental Health" opublikowano badania zespołu pod kierownictwem Luki Braghieriego z Uniwersytetu Bocconiego w Mediolanie. Naukowcy dotarli do danych raportujących zdrowie psychiczne osób studiujących na amerykańskich uniwersytetach w sytuacji przed wejściem na kampusy Facebooka, pierwszej platformy społecznościowej, i po nim. Mamy zatem idealną, czystą sytuację „empiryczną": możemy porównać zdrowie psychiczne przed nastaniem ery platformy i po tym fakcie.

Okazało się, że pojawienie się niewidzialnej sieci społecznościowej prowadziło do pogorszenia zdrowia psychicznego w zakresie depresji. Wykazano, że powyższa zależność była pośredniczona przez pogorszone wyniki w nauce. Oznacza to, że pojawienie się Facebooka prowadziło do pogorszenia rezultatów kształcenia akademickiego i to w konsekwencji odbijało się na zdrowiu psychicznym. Autorzy założyli, że dzieje się to przez porównania społeczne prowadzące do wniosku, że „ja nie jestem tak dobry, jak oglądane na ekranie osoby".

Oczywiście możemy zarzucić powyższej pracy, że opisywała naturalny eksperyment, co stanowi zarazem zaletę i wadę. Nie wiemy bowiem, co działo się w tak zwanym międzyczasie, gdyż nie kontrolowano wielu zmiennych. Braki te usuwa kolejna praca, którą współtworzył ten sam autor, a która ukazała się na łamach „American Economic Review". Zastosowano tu prosty, czysty schemat eksperymentalny umożliwiający precyzyjne porównania między dwoma grupami. Jedna grupa „nie robiła nic" ze swoim dostępem do Facebooka, a drugiej polecono odinstalowanie tej platformy.

Okazało się, że brak tego serwisu społecznościowego doprowadził do wzrostu, w porównaniu z drugą grupą, prawdziwych (a nie „ekranowych") społecznych zachowań, jak spędzanie czasu z rodziną i przyjaciółmi. Zanotowano jednocześnie spadek politycznej polaryzacji – mechanizmu, na którą cierpi wiele współczesnych demokracji, oddalając od siebie zwaśnione grupy społeczne. Co szczególnie ważne, zmiany okazały się długofalowe. Detoks powodował zmniejszenie czasu spędzanego przed ekranem po przywróceniu dostępu do platformy.

Liczy się czas (w analizie kolejnych strat)

Przyjrzyjmy się jeszcze kwestii długofalowego wpływu platform. Badania zespołu przywołanej już Amy Orben z 2022 roku, który zanalizował dziesiątki tysięcy osób, wykazały, że korzystanie z serwisów społecznościowych może obniżać satysfakcję z życia, i to szczególnie u młodszych badanych. Co więcej, spadek satysfakcji z życia przewidywał... wzrost wykorzystania platform społecznościowych, co kieruje nas do wniosku, że negatywny wpływ jest niezwykle złożony. Korzystanie z platform pogarsza stan, to zwiększa prawdopodobieństwo wykorzystania platform i zwrotnie prowadzi do zwielokrotnienia spadku satysfakcji z życia przez zwiększenie użytkowania serwisów.

Badacze pod kierunkiem Jacqueline Nesi w pracy z 2017 roku na łamach „Journal of Adolescent Health" wykazali zaś, że niezależnie od kontroli rodzicielskiej (którą często podnoszą platformy jako remedium na szkodliwe treści) ekspozycja na platformach treści prezentujących picie alkoholu przez rówieśników przewidywała te zależności nawet z rocznym wyprzedzeniem.

Eksperyment zespołu Helen Thai, który przedstawiono w „Psychology of Popular Media", polegał na tym, że na czas trzech tygodni jednej grupie badanych polecono ograniczenie dostępu do platform, podczas gdy druga korzystała z nich bez ograniczeń. Okazało się, że pierwsza grupa lepiej oceniała swój wygląd oraz wagę. Co szczególnie ciekawe, ponownie nie były notowane różnice dla płci. Oznacza to, że korzystanie z platform społecznościowych negatywnie wpływa zarówno na kobiety, jak i mężczyzn; obie płcie korzystają z odstawienia tego „społecznego, nic niedającego cukru".

Jest jeszcze praca z 2017 roku autorstwa zespołu pod kierunkiem Jean Twenge, pionierki tego typu badań. Analiza zachowań grupy pół miliona nastolatków (13-18 lat) wykazała, że im mniej czasu spędzali w serwisach społecznościowych, tym więcej poświęcali na bezpośrednich interakcjach z innymi. Codzienne korzystanie z platform powodowało poważny wzrost ryzyka wystąpienia symptomów depresji w porównaniu z osobami, które czyniły to rzadziej.

Istnieje zatem silny związek między korzystaniem z platform społecznościowych a pogorszeniem się zdrowia psychicznego. Po drugie, związek ten jest nieprzypadkowy i kierunkowy: to platformy powodują negatywne – również długofalowe – skutki. Pokazaliśmy też, że ograniczanie czasu spędzanego na platformach jest korzystne dla zdrowia.

A dlaczego platformy społecznościowe są tak niebezpieczne? Dlaczego dzieje się to, co opisują wzmiankowane prace? Co odróżnia stare media, jak telewizja, komiksy, kasety VHS od społecznie pustych, nowych platform społecznościowych?

Otóż w tym pierwszym przypadku nie zachodzi tak głęboko mechanizm porównań społecznych.

Niebezpieczne porównania społeczne

Ich rolę zauważył już ponad 70 lat temu twórca koncepcji dysonansu poznawczego Leon Festinger. Dostrzegł on, że potrzeba, ale też bezwarunkowość porównywania siebie z innymi, innych ze sobą, jest w naszym społecznym życiu automatyczna i kluczowa. Z racji, że nie ma obiektywnego punktu do porównań, porównywanie się z innymi wyznacza kierunki naszych opinii na swój temat i innych osób z otoczenia oraz zachowań/osiągnięć (swoich i innych).

Rolę porównań społecznych jako osiowego mechanizmu odpowiedzialnego za szkodliwość „społecznego cukru" opisała w 2024 roku przywołana już Amy Orben. Chodzi o to, że oglądanie szkodliwych treści, a w następstwie prezentowanie analogicznych zachowań prowadzi do zmiany postrzegania samego siebie. Zwiększa wyczulenie na porównania społeczne, potrzebę akceptacji i wyczulenia na informację zwrotną z otoczenia w takim stopniu, że często doprowadza do braku akceptacji własnej osoby albo wykluczenia społecznego przez otoczenie. Mówiąc krótko: to, kim są inni i co osiągają, może stać się wyznacznikiem tego, co sądzę o sobie, jak oceniam swoje dokonania i jak się ze sobą czuję.

Zobrazujmy to założenie przykładem. Jeżeli nastoletni Wojtek widzi, że uwagę dziesiątek, setek tysięcy obserwujących przykuwa to, iż Jagoda „na lajwie" poddusza się, nacina skórę, połyka niebezpieczne substancje żrące, to nasz bohater może włączyć się nie tylko w takie nadawane na żywo zachowania, ale przesuwać granicę swojego (braku) bezpieczeństwa jeszcze dalej. Przy powtarzanych takich zachowaniach Wojtek może dojść do wniosku, że nie przykuwa uwagi tym, kim jest i jaki jest, ale jaki się prezentuje, co zwrotnie prowadzi do spadku samooceny. Bo to, co stanowi Wojtka, jest w rzeczywistości sumą lajków czy udostępnień, a więc ocena Wojtka jest w gestii otoczenia. Otoczenia, którego nigdy nie można w pełni zadowolić, a które dużo częściej niż „w realu" wyraża niezadowolenie, a wręcz nienawiść do Wojtka.

Dorosły Wojtek z kolei może być niezadowolony, że w wieku 47 lat nie wygląda tak dobrze jak część kolegów z klasy maturalnej, nie zarabia tak dobrze jak były kolega z pracy, nie jest tak wypoczęty ani nie ma takiej satysfakcji z seksu jak znana influencerka czy para instagramerów.

Dajmy na to komiks, którym Wojtek mógł się zaczytywać, czy serial, który pochłaniał, takich porównań nie dostarczały. Wojtek może i czytał Thorgala i chciał mieć kruczoczarne długie włosy, ale wiedział, że obcuje z literacką fikcją. Otoczenie, widząc Wojtka, nie oceniało, czy stał się dzielnym wojownikiem, ani nie oczekiwało, że go przerośnie.

Platformy społecznościowe w niespotykanej dotąd skali nie tylko umożliwiają, ale zmuszają do porównań społecznych i głównie z tego powodu mogą być tak niebezpieczne. Porównań, które bardzo rzadko będą korzystne dla kogoś, kto spędza dużo czasu przed społeczno-elektroniczną cukiernicą.

Bryk od towarzystw naukowych

Ktoś może zarzucić, że ten tekst to ustawiony wyrywek wiedzy „pod tezę". A może powyższy przegląd jest tendencyjny? Może autorsko wybraliśmy takie wyrywkowe obrazy, aby stworzyć ułudę obrzydliwej cukiernicy społecznych pustych kalorii, podczas gdy pełen obraz jest bardziej zniuansowany i być może bardzo „zdrowy kalorycznie"?

Według badań Centers of Disease Control and Prevention, do 2010 roku wskaźnik samobójstw wśród nastolatków pozostawał na stałym poziomie. Potem zaczął gwałtownie rosnąć. Co się wtedy stało?

Przyznajmy: to bardzo realny zarzut. Nie da się udowodnić, iż nie jest się tendencyjnym/ą z tego prostego powodu, że nie da się zreferować wszystkiego, co naukowe. Co chwila pojawiają się kolejne badania, które nie tylko poszerzają rozumienie tego, co przed nami, ale przebudowują widzenie tego, co za nami.

Jest jednak pewien bardziej obiektywny naukowy wytrych, niemal gotowy bryk. Zobaczmy, co referują zespoły eksperckie o gigantycznej renomie naukowej, liczonej w dziesiątkach nie tylko lat, ale i milionów dolarów wydanych na badania. Towarzystwa naukowe. Muszą dbać o obiektywny przegląd, gdyż brak obiektywizmu bez trudu wykaże recenzent. Innymi słowy, mają tak szerokie zasoby wiedzy, ludzkie i finansowe, że podczas tworzenia rekomendacji mogą sobie pozwolić na najszersze „czesanie" istniejącej wiedzy i wytykanie braków (wiedzy).

Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne mówi wprost o uzależnieniu, odstawieniu, terapii, nadzorze nad konsumpcją produktu, przy czym nie są to komunikaty zachęcające do interakcji z produktem. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne mówi o konieczności ochrony (szczególnie dzieci i nastolatków) konsumentów serwowanych na platformach problematycznych treści „społecznościowych". Ochrona miałaby polegać nie tylko na uniemożliwieniu docierania do niebezpiecznych treści, ale równocześnie dopasowaniu komunikatów, funkcji, regulaminów do wieku i możliwości rozumienia przez odbiorców.

Psychologowie rekomendują wyłączenie „doomscrollingu", czyli nadmiernego poszukiwania i przyswajania niepokojących, negatywnych treści, co jednak nie może znaleźć posłuchu u mistrzów kuchni szykujących cukiernicze dania na zlecenie dostawców/platform. Zapewne z tej prostej przyczyny, że one napędzają uwagę odbiorców, która jest wprost monetyzowana.

Dr Vivek Murthy, były główny doradca rządu USA ds. zdrowia publicznego, przewidując największe zagrożenia dla zdrowia i życia Amerykanów w 2023 roku, ulokował je w samotności, której źródłem są właśnie platformy społecznościowe. Proponował zobligowanie producentów „społecznego cukru" – podobnie jak dostarczycieli nikotyny – do informowania o związku między korzystaniem z produktu i wzrostem ryzyka dla zdrowia psychicznego nastolatków.

Samochodzik wciąż pędzi

Darmowy bryk mówi prosto: platformy szkodzą i potrzebujemy ochrony. Ale mówią też o tym pełnoetatowi konsumenci tego cukierniczego wypieku. W raporcie „Teens and Mental Health" z 2023 roku reprezentatywna próba bardzo młodych, bo 11-15-letnich badanych zadeklarowała, że jedna trzecia z nich „czuje się uzależniona" od tych usług (a 45 proc. dziewcząt uzależniona od TikToka). Że TikTok oraz Snapchat w 25 proc. ma według respondentek na nie głównie negatywny wpływ, a prawie 33 proc. młodych kobiet czuje presję, by być permanentnie dostępną za pomocą Snapchata. Prawie połowa zapytanych wskazywała, że TikTok oraz Instagram w ciągu miesiąca prezentowały im niechciane, rasistowskie treści. Nastolatki mające średnie lub poważne symptomy depresyjne w dużej mierze otrzymują problematyczne przekazy mówiące o samobójstwach (Instagram 75 proc., TikTok 69 proc.), zwiększając ryzyko wystąpienia tego aktu.

Jane Harness wraz z zespołem zapytała prawie tysiąc młodych Amerykanów, jaką radę daliby sobie samym wkraczających w erę platform; czy, a jeżeli tak, to dlaczego kiedykolwiek czuli, że potrzebują zmienić sposób konsumpcji w zakresie tego, jakie treści ich przyciągają i na jak długo; czy (a jeżeli tak, dlaczego) kiedykolwiek usuwali tę społeczną cukiernicę, kasując swoje profile na platformach?

Odpowiedzi pokazały wprost zatroskanie młodych negatywnym wpływem platform na ich samych i na ich poczucie bezpieczeństwa. Niemal w stu procentach chcieliby oni zmniejszyć czas spędzany z cukiernicą oraz zmienić to, co konsumują, na mniej szkodliwe. Oznacza to, że grupa docelowa – w rozumieniu chwytania jej uwagi możliwie jak najwcześniej, by spowodować konieczność konsumpcji przez dziesiątki kolejnych lat – negatywnie ocenia to, co starsze pokolenie dla nich zaprojektowało. Pokolenie rodziców, które pamięta czasy bez społecznej cukiernicy, nawiązujące relacje na fitnessie podwórkowego trzepaka, podczas gry w kapsle oraz gumę.

Pokolenie, które w badaniu Paw Research, pediatrycznego szpitala klinicznego University of Michigan Health oraz The Common Sense Census zgłasza „poważne trudności" z koniecznością ochrony dzieci, gdyż w coraz młodszym wieku sięgają po social media. Rodzice w 80 proc. uważają, że ogromny ciężar odpowiedzialności za zdrowie dzieci nie powinien – co się dość często czyni – być kładziony na ich barki, ale producenta społecznego cukru. Cukru, którego zresztą w takich ilościach nie tylko dzieci, ale również dorośli nie są w stanie przepalić w codziennych aktywnościach. Używając analogii nikotyny: winny jest dostawca, sprzedawca, a nie rodzic, który nie dość uważnie, zbyt rzadko przeszukiwał dziecko; albo niewystarczająco gorliwie dawał przykład abstynencji; albo nie odciął od finansów, uniemożliwiając – jak by się mogło zdawać – zakupy szkodliwych substancji.

Uzmysłówmy sobie absurd, w którym nie tylko żyjemy, ale i popieramy, nie godząc się – choćby przez unijny Akt o Usługach Cyfrowych (DSA, Digital Services Act), który wciąż nie wszedł w Polsce w życie – na próby ratowania społecznego bagna, w którym się zanurzamy. Czemu, mając te dane, nadal niczego nie wymagamy od producentów i regulatorów rządowych? Za to bierzemy ten samochodzik, pakujemy nasze dzieci i beztrosko zwiększamy prędkość. ●

eprasa.pl 8024f7c131

KULTURA

• **ROK 1939.** Hattie McDaniel (1895-1952) aktorka, piosenkarka i artystka radiowa. Pierwsza czarna aktorka, która dostała Oscara za rolę w „Przeminęło z wiatrem". Wystąpiła w ok. 300 filmach – wiele ról to epizody nie wpisane do napisów końcowych. Pośmiertnie uhonorowano ją dwiema gwiazdami w Hollywood Walk of Fame

Od segregacji po rekord nominacji

Pierwsza czarna zdobywczyni Oscara siedziała osobno na końcu sali. 86 lat później nakręcony przez czarnych twórców film o czarnej kulturze ma szansę na 16 statuetek. Jak to się stało?

Maja Staniszewska

Na planie „Przeminęło z wiatrem" (1939) były osobne łazienki i inne przestrzenie dla „białych" i „kolorowych". Pewnego dnia jakiś statysta zdjął jedną z tabliczek z takimi oznaczeniami i zaniósł do garderoby Clarka Gable'a, który grał Rhetta Butlera.

38-letni aktor był niekwestionowanym królem Hollywood lat 30. XX wieku. Wezwał do siebiee reżysera filmu Victora Fleminga i kierownika planu Raymonda A. Klune'a, i oświadczył: „Jeśli nie zdejmiecie tych tabliczek, szukajcie nowego Rhetta Butlera". Tabliczki zniknęły.

Gable nadal budził zdziwienie, gdy podczas przerwy obiadowej siadał do stołu z czarną aktorką **Hattie McDaniel**. Poznali się pięć lat wcześniej na planie filmu „Chińskie morza" i zaprzyjaźnili, a przyjaźń trwała aż do jej śmierci w 1952 roku.

Córka byłych niewolników odbiera Oscara

Hattie McDaniel była córką pary niewolników, którym wolność przyniosła wojna secesyjna, w „Przeminęło z wiatrem" przedstawiona jako katastrofa dla amerykańskiego Południa.

McDaniel zagrała niewolnicę Mammy, nianię i sumienie głównej bohaterki Scarlett O'Hary, córki właścicieli wielkiej plantacji Tara w Georgii. Mammy to chodzący rasistowski stereotyp: duża czarna kobieta, która za cel swojego istnienia uważa służenie swoim właścicielom oraz wychowywanie ich dzieci.

McDaniel udało się jednak swoją bohaterkę nieco zniuansować i za tę rolę dostała Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej. Pierwszego w historii dla czarnej osoby.

29 lutego 1940 roku na ceremonii rozdania Oscarów w hotelu Ambassador w Los Angeles McDaniel musiała jednak siedzieć osobno, z tyłu sali, bo hotel stosował zasady segregacji rasowej. A i tak na galę zaproszono ją dopiero po naciskach wpływowego producenta Davida O. Selznika.

We wcześniejszej premierze filmu aktorka nie mogła uczestniczyć. W Atlancie obowiązywały tzw. Prawa Jima Crowa, lokalne regulacje ograniczające prawa czarnych w południowych stanach.

Odbierając Oscara, McDaniel stwierdziła, że czuje wiele pokory. Dodała: „mam szczerą nadzieję, że zawsze będę przynosić uznanie mojej rasie i przemysłowi filmowemu". Gable pobiegł do niej z gratulacjami.

Ale jego postawa nawet w Kalifornii nie była oczywista. Choć segregacja rasowa była najsilniejsza w stanach Południa Ameryki, to obowiązywała także w wielu innych miejscach, dotyczyła np. prawa do osiedlenia się czy małżeństwa z osobą o innym kolorze skóry. Czarni byli de facto obywatelami drugiej kategorii.

Ostatnie Prawa Jima Crowa zniesiono dopiero w 1965 roku, Ustawą o prawach wyborczych. Raptem rok wcześniej wprowadzono Ustawę o prawach obywatelskich (Civil Rights Act), która zabraniała dyskryminacji ze względu na rasę, kolor skóry, religię, płeć lub pochodzenie narodowe oraz wymusiła wprowadzenie integracji szkół.

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

FOT. BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES, AP PHOTO/EAST NEWS, REUTERS/MARIO ANZUONI, DAVID LEFRANC/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES, PAP

• ROK 2026. **Michael B.Jordan ma szanse na Oscara za role braci bliźniaków – Elijaha i Eliasa - w „Grzesznikach". Wcześniej znany z m.in z filmów: „Creed" i „Black Panther" oraz serialu „The Wire"**

1 RP

• ROK 1964. **Sidney Poitier (1927-2022) pierwszy czarny aktor z Oskarem za główną rolę męską w „Polnych liliach" oraz francuska aktorka Annabella, która odebrała Oskara za główną rolę żeńską w imieniu Patricii Neal za jej rolę w filmie „Hud" – polski tytuł „Hud, syn farmera"**

• ROK 2002. **Triumf czarnych aktorów pierwszoplanowych. Denzel Washington z Oscarem za rolę brutalnego gliny w „Dniu próby" i Halle Berry nagrodzonana za rolę kobiety pogrążonej w traumie i żałobie, mierzącej się z ubóstwem, i przemocą w filmie „Monster's Ball"**

• ROK 2017. **Pierwszy plan: Casey Affleck za „Manchester by the Sea" i Emma Stone za „La La Land". Drugi plan: Mahershala Ali za „Moonlight" (pierwszy muzułmanin z Oscarem) i Viola Davis za „Fences" (pierwsza czarna aktorka z tzw. „koroną" nagród Oscar–Emmy–Tony)**

Na kolejnego Oscara dla czarnej aktorki trzeba było czekać ćwierć wieku od tych przełomowych wydarzeń. **Whoopi Goldberg** zdobyła go w 1991 roku za drugoplanową rolę w filmie „Uwierz w ducha".

Czarna kultura, historia i tożsamość opakowane w film o wampirach

Tegoroczna 98. edycja nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej (w nocy z 15 na 16 marca czasu polskiego) znów przejdzie do historii.
Po pierwsze – jeszcze nigdy żaden film nie zdobył aż 16. nominacji do Oscarów. „Grzesznicy" pobili właśnie poprzedni rekord – 14 nomincji, który należał do „Wszystko o Ewie", „Titanica" i „La La Landu".
Po drugie – to film o czarnych, który nakręcili czarni.

„Grzesznicy" rozgrywają się na amerykańskim Południu w epoce praw Jima Crowa. To z jednej strony fresk obyczajowy, z drugiej zabawny horror. Blues jest tu równie ważnym bohaterem, jak dwaj czarni bliźniacy, weterani I wojny światowej, którzy wracają z Chicago do Delty Missisipi, by otworzyć tancbudę i robić interesy.

Film przepojony jest trudną historią, tradycjami, wierzeniami, kulturą i muzyką czarnych Amerykanów.

„Grzesznicy" są filmową zabawą, 16 nominacji nie dziwi. I zapewne na nominacjach się nie skończy.

Czy w końcu czarny reżyser dostanie Oscara?

Amerykańska Akademia Filmowa ma też szansę po raz pierwszy nagrodzić czarnego twórcę za reżyserię.

Ryan Coogler, 39-letni reżyser „Grzeszników" ma na koncie już trzy filmy nominowane do Oscarów – „Creeda. Narodziny legendy", „Czarną Panterę" i „Czarną Panterę: Wakanda w moim sercu", które 13 nominacji zamieniły na trzy statuetki. I zarobiły w sumie 2,4 mld dolarów. Ale dopiero teraz on sam został nominowany w trzech kategoriach – za reżyserię, scenariusz oryginalny i jako producent. I to też jest historyczny wyczyn.

Akademia może dokonać historycznego przełomu także w kategorii: zdjęcia. Ich autorka w „Grzesznikach", **Autumn Durald Arkapaw**, już jest pierwszą nominowana nie-białą operatorką, ma pochodzenie kreol-

eprasa.pl 8024f7c131

Filmy, które mają najwięcej nominacji

FOT. ELI AD/WARNER BROS./BE&W, KEN WORONER/NETFLIX, MONOLITH FILMS, M2 FILMS, FOCUS FEATURES/UPI, WARNER BROS

Nominacje do Oscarów 2026 w najważniejszych kategoriach

Najlepszy film:
- „Bugonia”
- „F1”
- „Frankenstein”
- „Hamnet”
- „Wielki Marty”
- „Jedna bitwa po drugiej”
- „Tajny agent”
- „Wartość sentymentalna”
- „Grzesznicy”
- „Sny o pociągach”

Najlepsza reżyseria
- Chloé Zhao „Hamnet”
- Josh Safdie „Wielki Marty”
- Paul Thomas Anderson „Jedna bitwa po drugiej”
- Joachim Trier „Wartość sentymentalna”
- Ryan Coogler „Grzesznicy”

Aktorka w roli pierwszoplanowej
- Jessie Buckley „Hamnet”
- Rose Byrne – „Kopnęłabym cię, gdybym mogła”
- Kate Hudson „Song Sung Blue”
- Renate Reinsve „Wartość sentymentalna”
- Emma Stone „Bugonia”

Aktor w roli pierwszoplanowej
- Timothée Chalamet „Wielki Marty”
- Leonardo DiCaprio „Jedna bitwa po drugiej”
- Ethan Hawke „Blue Moon”
- Michael B. Jordan „Grzesznicy”
- Wagner Moura „Tajny agent”

Aktorka w roli drugoplanowej
- Elle Fanning „Wartość sentymentalna”
- Inga Ibsdotter Lilleaas – „Wartość sentymentalna”
- Amy Madigan „Zniknięcia”
- Wunmi Mosaku „Grzesznicy”
- Teyana Taylor „Jedna bitwa po drugiej”

Aktor w roli drugoplanowej
- Benicio del Toro „Jedna bitwa po drugiej”
- Jacob Elordi „Frankenstein”
- Delroy Lindo „Grzesznicy”
- Sean Penn Jedna bitwa po drugiej”
- Stellan Skarsgård „Wartość sentymentalna”

Najlepsze kostiumy
- Deborah L. Scott „Avatar: Ogień i popiół”
- Kate Hawley „Frankenstein”
- Ruth E. Carter „Grzesznicy”
- Małgosia Turzańska „Hamnet”
- Miyako Bellizzi „Wielki Marty”

Najlepsze zdjęcia
- Dan Laustsen „Frankenstein”
- Autumn Durald Arkapaw „Grzesznicy”
- Michael Bauman „Jedna bitwa po drugiej”
- Adolpho Veloso „Sny o pociągach”
- Darius Khondji „Wielki Marty”
-

Najlepszy film animowany
- „Arco”
- „Elio”
- „K-popowe łowczynie demonów”
- „Mała Amelia”
- „Zwierzogród 2”

Najlepszy film międzynarodowy
- „Tajny Agent”
- „To był zwykły przypadek”
- „Wartość sentymentalna”
- „Sirāt”
- „Głos Hind Rajab”

Najlepszy film dokumentalny
- „Chodź, zobacz mnie w dobrym świetle”
- „Cięcie skał”
- „Idealna sąsiadka”
- „Pan Nikt kontra Putin”
- „Prawo Alabamy”

Wszystkie nominacje na Wyborcza.pl/kultura

sko-filipińskie. Jeśli wygra, będzie pierwszą kobietą w ogóle nagrodzoną w tej kategorii.

Sidney Poitier wytycza drogę

Pierwszą czarną aktorką nominowaną do Oscara za rolę główną była w 1955 roku **Dorothy Dandridge** za musical „Czarna Carmen”.

Jeśli chodzi o pierwszoplanową rolę męską, pionierem był pochodzący z Bahamów, ale urodzony w USA **Sidney Poitier**. W 1959 r. w filmie „Ucieczka w kajdanach” grał więźnia skutego łańcuchem z nienawidzącym go białym (również nominowany Tony Curtis), który musi z nim współpracować, by przetrwać.

Poitier ze swoim nienagannym akcentem i prezencją szybko zyskał status pierwszego czarnego gwiazdora filmowego. Odrzucał stereotypowe role dla czarnych, wytyczył drogę dla następnych pokoleń.

Przez Amerykę przetaczała się właśnie fala zmian. Latem 1963 roku Martin Luther King Jr. zorganizował Marsz na Waszyngton i wygłosił słynne przemówienie „I Have a Dream”: „Mam marzenie, że pewnego dnia, na czerwonych wzgórzach Georgii, synowie byłych niewolników i synowie ich właścicieli usiądą razem przy stole braterstwa”. Prezydent Johnson pracował nad wspomnianym Civil Rights Act.

Na tej fali w kwietniu 1964 roku Poitier zdobył Oscara dla najlepszego aktora za rolę w „Polnych liliach”, w których grał cieślę budującego na pustyni w Arizonie kaplicę dla zakonnic-uciekinierek z NRD (!).

Wręczająca statuetkę Ann Bancroft lekko pocałowała Poitiera w policzek, co wywołało poruszenie wśród bigotów siedzących na sali. Trzy lata później aktor zafundował im kolejny wstrząs, gdy w filmie „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad?” całował swoją białą partnerkę Katharine Houghton.

Były to jedne z pierwszych międzyrasowych pocałunków w historii kina. Tama zaczynała pękać i wkrótce potem taki pocałunek można było zobaczyć w telewizji, w odcinku serialu „Star Trek”, w którym William Shatner całował Nichelle Nichols (co zabawne niektórzy nowym serialom z tego uniwersum zarzucają, że są „woke”).

Dłużej, bo aż 19 lat przyszło czekać na kolejnego Oscara dla czarnego aktora. **Louis Gossett Jr.** został wyróżniony w 1983 roku za drugoplanową rolę sierżanta-służbisty szkolącego głównego bohatera filmu „Oficer i dżentelmen”, w którego wcielał się Richard Gere.

Muzycy – tak, „Kolor purpury” – nie

Po drodze, w 1972 roku, Oscara za najlepszą piosenkę z filmu „Shaft” dostał **Isaac Hayes** stając się pierwszym czarnym uzykiem wyróżnionym statuetką.

W 1984 roku dołączyła do niego **Irene Cara** za „Flashdance... What a Feeling” z filmu „Flashdance”, a rok później **Prince**, nagrodzony za utwory z filmu „Purple Rain” i **Stevie Wonder** wyróżniony za „I Just Call to Say I Love You” z filmu „Kobieta w czerwieni”.

W 1986 roku **Lionel Richie** dostał Oscara w kategorii najlepsza piosenka, za utwór „Say You, Say Me” z filmu „Białe noce”.

Za muzykę Oscara odebrał także **Herbie Hancock**, a za piosenki **Three 6 Mafia** (2005), **Common** i **John Legend** (2015), **H.E.R.** (2021) i **Jon Batiste** (2021).

W 1986 roku po raz pierwszy czarni twórcy zostali nominowani w kilku najważniejszych kategoriach, w tym tej dla najlepszego filmu. A stało się to za sprawą „Koloru purpury” Stevena Spielberga, ekranizacji nagrodzonej Pulitzerem powieści Alice Walker.

Historia o emancypacji czarnej kobiety z Południa granej przez Whoopi Goldberg zdobyła aż 11 nominacji. W tym dla Goldberg jako najlepszej aktorki, dwóch aktorek drugoplanowych, za muzykę i pio-

eprasa.pl 8024f7c131

senkę. Ani jedna z nich jednak nie zmieniła się w statuetkę. Nie da się ukryć, nie tylko z dzisiejszej perspektywy „Kolor purpury" jest filmem słabym. Już po premierze krytykowano go za wygładzanie wątków rasizmu i fałszywe przedstawienie sytuacji Afroamerykanów, ale również za spłycenie wątku lesbijskiej miłości bohaterek.

Pierwsza naprawdę „czarna" oscarowa noc to 24 marca 2002. Oscara za główną rolę – skorumpowanego policjanta w „Dniu próby" – zdobył **Denzel Washington**. Statuetkę dla najlepszej aktorki dostała **Halle Berry**, jako pierwsza czarna aktorka w historii (za „Monster's Ball. Czekając na wyrok"). Na dodatek honorowego Oscara za całokształt twórczości odbierał **Sidney Poitier**.

– Przez czterdzieści lat podążałem śladami Sidneya, aż w końcu przyznali mi Oscara. A co oni zrobili? Tego samego wieczoru przyznali go jemu – na wpół zażartował Washington. I dodał: „Zawsze będę podążał za tobą, Sidney. Nie ma niczego, co wolałbym robić bardziej, sir".

Wzruszenia nie kryła prowadząca galę **Whoopi Goldberg**.

Trudne rozstanie z „mammy"

Jeszcze na początku tego stulecia można było odnieść wrażenie, że Amerykańska Akademia Filmowa zna tylko kilkoro czarnych aktorów, filmowców, muzyków. Że widzi filmy czarnych twórców tylko, jeśli są biografiami znanych Amerykanów lub filmami historycznymi, ewentualnie tragicznymi opowieściami z getta. A czarne aktorki docenia najbardziej za role służących czy opiekunek, nieśmiertelnie stereotypowych „mammys".

Czarni twórcy oczywiście kręcili filmy i w nich występowali. Goldberg czy Eddie Murphy byli gwiazdami kina lat 80., w latach 90. dołączyli do nich Washington i Will Smith. Reżyser Spike Lee ze swoimi filmami o codzienności Afroamerykanów trafił do mainstreamu. Ale wciąż były to wyjątki potwierdzające regułę.

Halle Berry mówi, że następnego dnia po ceremonii „wciąż była czarna". Oscar nie otworzył jej drzwi do Hollywood, bo studia unikały filmów z czarnymi bohaterami. Dlaczego? Ponieważ „czarne filmy nie sprzedają się za granicą". I to prawda – z 370 mln dolarów, jakie zarobili „Grzesznicy", 75 proc. pochodzi z kin w USA.

Podobnie na swojego Oscara zapatruje się **Lupita Nyong'o**, która dostała statuetkę w 2014 roku za drugoplanową rolę w filmie „Zniewolony. 12 Years a Slave". Ona zaczęła dostawać propozycje kolejnych ról niewolnic. Ról drugoplanowych.

Do dziś za role główne nominowano 19 czarnych aktorów i 13 aktorek, za drugoplanowe – 21 aktorów i 28 aktorek, w tym roku w tej właśnie kategorii nominowane są Wunmi Mosaku i Teyana Taylor.

#OscarsSoWhite

Moment, w którym zaczęła się zmiana, można wskazać bardzo dokładnie: był to 15 stycznia 2015 roku. Wtedy aktywistka April Reign wrzuciła na Twittera post z hasztagiem #OscarsSoWhite. Protestowała przeciwko temu, że drugi rok z rzędu we wszystkich aktorskich kategoriach nominowano wyłącznie białych.

Hasztag zaczął krążyć i pączkować w sieci, rozpoczęła się trwająca długie tygodnie dyskusja, która zmusiła Amerykańską Akademię Filmową do zmierzenia się z brakiem różnorodności nie tylko w swoich nominacjach, ale przede wszystkim w swoich szeregach.

W kraju, który wybrał sobie czarnego prezydenta Baracka Obamę, i to także na drugą kadencję, w kraju w którym tenże prezydent podpisał oficjalny dekret wprowadzający inicjatywy na rzecz różnorodności i inkluzywności w miejscach pracy (DEI, które postanowił zwalczać jego następca Donald Trump), takie „białe" Oscary wydawały się absurdem.

Przeprowadzona w 2016 roku, po bojkocie Oscarów przez m.in. Spike'a Lee, zmiana zasad głosowania zaowocowała wzrostem liczby kobiet i osób niebiałych w szeregach członków Akademii. Do 2016 roku około 94 proc. z nich było białych, w większości mężczyzn. W 2020 roku Akademia z dumą raportowała, że 45 proc. jej członków to kobiety, 36 proc. nie jest biała, a 49 proc. pochodzi spoza USA (wyliczono 68 krajów).

To zdecydowanie zmieniło obraz nominacji i samych nagród.

„Moonlight" pokonuje „La La Land"

Gdy na gali w 2017 roku została do wręczenia ostatnia statuetka, wszyscy spodziewali się, że wygra musical „La La Land". I nawet ten tytuł padł ze sceny, ekipa zdążyła na nią wejść i odebrać Oscara, gdy ktoś przytomnie zajrzał do koperty, w której była kartka z zupełnie innym tytułem: **„Moonlight"**.

W ten sposób kameralny dramat obyczajowy, historia zwyczajnego czarnego chłopca dorastającego i zmieniającego się w zwyczajnego dorosłego geja, pokonał wystawne muzyczne widowisko z Hollywood. To już pachniało rewolucją. Dodatkowo występujący w filmie aktor **Mahershala Ali** został pierwszym nagrodzonym Oscarem muzułmaninem.

W 2019 roku dostał drugą statuetkę za rolę w filmie **„Green Book"**. To był moment, w którym Oscary dostały czkawki, bo film, nagrodzony także najważniejszym Oscarem to historia o tym, jak prosty biały kierowca konfrontuje się z rasizmem wożąc elokwentnego, czarnego muzyka na koncerty na amerykańskim Południu. Figura „dobrego białego" czy wręcz nawet „białego zbawcy" prześladowała Oscary za długo.

Gala w 2019 roku znów była historyczna – na scenie stanęło w sumie siedmioro czarnych zwycięzców, w tym reżyser **Spike Lee**, który po 40 latach kariery doczekał się w końcu statuetki innej niż honorowa. Nagrodzono go za scenariusz adaptowany. Również w 2021 roku siedem Oscarów dostali czarni twórcy i twórczynie.

Pierwsze w historii nagrody trafiły w ręce czarnych kostiumografek i kostiumografów (**Ruth E. Carter**, autorka kostiumów do „Grzeszników", która w tym roku ma szansę na trzeciego Oscara), scenografki, charakteryzatorek oraz reżysera filmu animowanego.

Czy w nocy z 15 na 16 marca historycznego Oscara dostanie czarny reżyser i mającej mieszane pochodzenie operatorka? Jest taka sznasa, choć, jak pokazują bukmacherzy, niezbyt wielka.

Faworytami pozostają Paul Thomas Anderson, reżyser filmu „Jedna bitwa po drugiej", i jego operator, Michael Bauman. ●

wyborcza.pl

- **98. ceremonia wręczenia Oscarów odbędzie się w nocy z 15 na 16 marca. Transmisję na żywo będzie można oglądać od godz. 23.30 w niedzielę w telewizji i serwisie streamingowym Canal+.**
- **A na aktualizowaną na bieżąco relację zapraszamy na Wyborcza.pl**

REKLAMA

Kraj/34423697

Pisarz, który stworzył własne uniwersum

Przemysław Piotrowski i triumf „Markiza"

W czasach, gdy rynek książki jest rozproszony jak nigdy wcześniej, Przemysław Piotrowski zrobił coś, co wydawało się niemożliwe – zbudował literacką markę o sile porównywalnej z największymi nazwiskami światowego thrillera. Pół miliona sprzedanych egzemplarzy, bohater o statusie kultowym i czytelnicy czekający na premiery jak na kolejne sezony serialu. Skala tego zjawiska nie umknęła również Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego – autor został odznaczony honorową odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej", co w przypadku twórcy literatury gatunkowej stanowi precedens.

To już nie jest pytanie o popularność, lecz o to, kto dziś wyznacza standardy polskiego kryminału. U Piotrowskiego dawno przestało chodzić o pojedyncze powieści – to spójne, mroczne uniwersum, w którym zbrodnia staje się punktem wyjścia do opowieści o współczesnym człowieku, jego lękach, traumach i obsesjach.

Hel spłynie krwią

Półwysep Helski w „Markizie" nie ma nic wspólnego z pocztówkowym kurortem. Puste promenady, zamknięte smażalnie i przenikliwy wiatr od morza tworzą przestrzeń zawieszoną między sezonami – miejsce,w którym Brudny i Zawadzka próbują na chwilę przestać być policjantami z wydziału kryminalnego.

Ten bezruch kończy się w chwili, gdy w porcie zostają znalezione zwłoki młodej kobiety. Scena działa jak uderzenie zimnej wody i natychmiast nadaje ton

całej historii. Piotrowski wraca do tego, co stanowi jego znak rozpoznawczy – zderzenia zwyczajności z brutalnym przełamaniem porządku.

Śledztwo od początku obciążone jest historią miejsca. W mieście szybko zaczyna krążyć jedno nazwisko – Sambor Buchenwald, mężczyzna, który właśnie wyszedł z więzienia i którego przeszłość wciąż budzi na Helu niepokój. Plotka wyprzedza procedurę, a lokalna społeczność chętnie znajduje winnego, zanim policja zdąży uporządkować fakty. Brudny musi oddzielić emocje od dowodów i zmierzyć się z pytaniem, czy przeszłość rzeczywiście wraca, czy ktoś jedynie umiejętnie z niej korzysta.

Pod powierzchnią

Równolegle czytelnik wie więcej niż śledczy. W piwnicy, do której prowadzi osobna narracja, przetrzymywane są kolejne osoby – zamknięte w klatkach, pozbawione godności, poddane powtarzalnym rytuałom przemocy. Piotrowski buduje napięcie na rosnącej świadomości, że oba światy – oficjalne śledztwo i to, co dzieje się pod ziemią – nieuchronnie się przetną.

W „Markizie" zagadka nie polega wyłącznie na ustaleniu sprawcy. Chodzi o motyw, o mechanizm i o to, jak daleko można przesunąć granicę upokorzenia, zanim ofiara przestanie być dla kogoś człowiekiem, a stanie się elementem gry. Brudny porusza się wśród półprawd, domysłów i lokalnych zależności równie gęstych jak sama sprawa. Każdy trop prowadzi głębiej – nie tylko w strukturę zbrodni, ale w psychikę jej autora.

Najmocniejsza polska seria

W polskim kryminale rzadko zdarza się, by autor potrafił jednocześnie utrzymać masową publiczność i podnosić artystyczną poprzeczkę. Piotrowskiemu się to udało. Zbudował świat, do którego czytelnicy wciąż chcą wracać – nawet wtedy, gdy wiedzą, że będzie bolało.

Małgorzata Sobieszewska

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

LOVE STORY O RODZEŃSTWIE

U nas w domu wszyscy mieli świadomość, że nie jesteśmy sami – że duchy gdzieś wśród nas żyją, a wcześniej pomagały naszym przodkom

Z **EMI BUCHWALD**
REŻYSERKA NAGRADZANEGO FILMU „NIE MA DUCHÓW W MIESZKANIU NA DOBREJ"
ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**
ZDJĘCIE:
MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nagroda za reżyserię na festiwalu w Gdyni, Paszport „Polityki", doroczna Nagroda Ministra Kultury. Do tego entuzjastyczne recenzje, w których okrzyknięto cię nadzieją polskiego kina. Czujesz satysfakcję i radość czy raczej ciężar obietnicy do spełnienia?
– Jedno i drugie oczywiście. A poza tym od Gdyni tyle się dzieje, że chyba dopiero za jakiś czas będę mogła stwierdzić, co naprawdę czuję. Na razie trudno mi odgadnąć, o co z tym wszystkim chodzi. Muszę przyznać, że czytam te teksty o mnie, jakby były o kimś innym.

Twój debiut „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" to opowieść o czwórce rodzeństwa u progu dorosłości. W filmie dotykasz metafizyki np. poprzez postać Diusiołka, zmory duszącej we śnie, która pojawiła się u Leśmiana. W twoim domu były duchy?
– Odkąd pamiętam. Wychowałam się na wsi, w Dąbrowicach pod Skierniewicami, w domu po ciociach i wujkach mojej babci. Wszędzie czuło się ślady przodków. Rodzina Salamonów od pokoleń miała bliski kontakt ze światem metafizycznym czerpiącym z chrześcijaństwa, ale też z ludowych wierzeń. Kiedy mój dziadek po wojnie przyjechał do Dąbrowic z Warszawy, żeby pracować z profesorem Pieniążkiem nad polskimi jabłkami, te opowieści go zafascynowały. Spisywał je, rozmawiał z okolicznymi mieszkańcami. Te historie były wciąż żywe, kiedy byliśmy dziećmi. Próbowałam spotkać jakiegoś ducha, diabła albo anioła.

Udało ci się?
– W dniu śmierci dziadka książka sama z siebie spadła z półki. Właśnie wróciłam z jego mieszkania. Rozmawiałyśmy z siostrą w tej porze przed zapadnięciem zmroku, kiedy nie jest już jasno, ale nie zrobiło się jeszcze ciemno. Nagle z półki wystrzeliła książka „Źródło" Ayn Rand. To powieść o losach pewnego architekta, ale na razie bałam się ją przeczytać, bo w tym kontekście tytuł brzmi znacząco.

U nas w domu wszyscy mieli świadomość, że nie jesteśmy tu sami – że duchy wśród nas żyją, a wcześniej pomagały naszym przodkom. Może jest to trochę śmieszne, ale wierzę w ten intuicyjny, niewerbalny kontakt ze światem. Pewnie dlatego jako nastolatka fascynowałam się kinem Krzysztofa Kieślowskiego.

„Nie ma duchów..." nakręciłaś dla siebie i swojego rodzeństwa.
– Lubię określać ten film jako „love story o rodzeństwie". To list miłosny do moich braci i sióstr, z drugiej strony nie unikam trudnych tematów, nad którymi w jakiś sposób pracuję poprzez film. Zawsze zawieram w filmach jakieś komunikaty dla moich bliskich.

Jest was sześcioro, większość została artystami.
– Kubełek – czyli Kuba Mazurkiewicz – jest grafikiem, projektantem, profesorem na ASP w Warszawie. Odpowiada za oprawę graficzną moich filmów. Sara projektuje przedmioty. Razem z Kubełkiem i naszym przyjacielem Jankiem Owczarkiem, kuratorem w Muzeum Literatury w Warszawie, pomogli opracować do „Nie ma duchów..." koncepcje wystaw Jany, najstarszej z filmowego rodzeństwa.

Moi najmłodsi bracia jeszcze szukują swojej drogi: Tymek studiował animację, Jonasza bardziej interesuje 3D.

Nasza najstarsza siostra Anka jest trenerką pilatesu. Raz w tygodniu chodzimy do niej z Sarką na zajęcia, a przy okazji omawiamy sprawy. Cieszę się, że dzięki niej zyskałyśmy taką przestrzeń. Im jestem starsza, tym więcej uspokojenia i koncentracji znajduję w rozwoju nie tylko artystycznym, ale też fizycznym.

Jako dzieci mieliśmy dużo aktywności: budowaliśmy bazy z kołder i materacy jak bohaterowie „Nie ma duchów...", ale zajmowaliśmy się też ogrodem, odnawialiśmy meble – kiedyś mnie to trochę wkurzało, dzisiaj mam ochotę od czasu do czasu sobie poszlifować, czego z kolei mój mąż Maciek [Maciej Buchwald, reżyser, scenarzysta, improwizator, współtwórca sukcesu serialu „1670"] zupełnie nie rozumie.

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

To ciężka praca i nie mam o niej tak naprawdę pojęcia, ale na chwilę staje się satysfakcjonująca i jakoś medytacyjna. Dłonią czujesz efekt, lubię się wkręcać w takie czynności.

Bohaterów „Nie ma duchów…" jest czworo. Artystka Jana zbiera dźwięki do swojej wystawy. Nastka szuka miłości, ale martwi się o bliźniaka, Franka. On wpakował się w toksyczną relację i dystansuje od reszty. Z tym nie może pogodzić się najmłodszy Benek, który ma ataki paniki. Pisząc tych bohaterów, inspirowałaś się rodzeństwem?
– Ale w każdym jest też sporo ze mnie. Lubię opierać bohaterów na kimś, kogo znam. Wiem, co ta osoba mogłaby zrobić w danej sytuacji. Nawet jeśli to niepopularna albo nieracjonalna decyzja, czuję, że jest wiarygodna.

Jak decyzja Franka, który uznał, że pora rozluźnić więzi? Fajnie być razem, ale dobrze być też sobą. Usamodzielnienie się od rodziców nazywamy przecięciem pępowiny. Nie wiem, czy to pasuje do rodzeństwa.
– Franek mówi w filmie: „Nie chcę już być tą czteroosobową masą". Fascynują mnie bliskie relacje. Wychowałam się z pięciorgiem rodzeństwa w domu na wsi, trochę poza światem, zbudowaliśmy bliskie więzi. Zdarza mi się pytać kogoś od razu po poznaniu – tak jak robią moi bohaterowie – czy ma rodzeństwo.

Czasem poznaję to rodzeństwo i zastanawia mnie np. to, że ludzie wychodzą z tego samego domu, a są tak od siebie różni. Inaczej wyglądają, mówią, interesują ich inne rzeczy. Ciekawe, w jakim stopniu wynika to z rodziców, a w jakim z odrębności charakterów i potrzeb.

Ale nie chciałabym, żeby film był czytany wyłącznie jako opowieść o relacji rodzeństwa. Tak samo jak nie zamierzałam stworzyć portretu pokolenia współczesnych dwudziestokilkulatków. Chciałbym, żeby ktoś obejrzał go za 50 lat i mógł się z bohaterami utożsamić, nawet jeśli będzie mówił innym językiem, inaczej się ubierał albo był jedynakiem. Dlatego wiele spraw pozostaje niedopowiedzianych, żeby widz mógł podłożyć pod nie swoje własne doświadczenia. Opowiadamy o trudnym, a zarazem formującym roku dla tych ludzi. Żyją w dość uprzywilejowanych warunkach, ale w ich rzeczywistości i życiowym momencie uporządkowanie relacji z bliskimi i swojej głowy, jest kluczowe w dążeniu do spokoju, o którym wystawę przygotowuje Jana.

Opowiedz więcej o domu, w którym się wychowaliście. Chciałbym go sobie wyobrazić.
– Zwykły ceglak, klasyczna czerwona kostka z poprzedniego stulecia, z poddaszem. Rodzice wprowadzili się tam w latach 80. i zaczęli zmieniać go pod siebie. Tata jest architektem krajobrazu, ale uczył się też ebenistyki, dużo pracował w drewnie. Mama ma dobry zmysł organizacji przestrzeni. Właściwie przez całe życie przearanżowują i poprawiają ten dom.

Zdarzało się, że wracaliśmy ze szkoły i nie było podłogi, bo rodzice zerwali deski. Nasz dom ciągle się zmieniał, ale zachowywał wiejski charakter, miał w sobie prostotę. Podobno w ogrodzie jest zakopany skarb. Nie znaleźliśmy go, ale odkrywaliśmy stare przedmioty.

Rodzina potrafi stworzyć swoją mitologię. Jednym to ciąży przez całe życie, innym dodaje siły. Staram się myśleć o obu tych aspektach. Kino chętnie dotyka transferu traum, a mniej mówi o przekazywaniu tego, co dobre.

A jak ten zwykły ceglak brzmiał? Dźwięk jest ważny w twoich filmach.
– Chodzenie, bieganie, zamykanie i otwieranie drzwi. Pory roku mają różne dźwięki. Mieliśmy drzwi od frontu i z tyłu domu: wbiegaliśmy z jednej strony, wybiegaliśmy z drugiej. Poza tym rozmowy, czasem krzyki i dużo muzyki. Wspólne słuchanie muzyki było ważnym elementem budowania więzi między nami.

Nie zamykaliśmy się w pokojach ze słuchawkami na uszach, dzieliliśmy się odkryciami, ulubionymi kawałkami, polecaliśmy płyty. Do dziś komunikujemy się ze sobą w ten sposób.

Z domem kojarzą mi się też odgłosy natury. Szum drzew sadzonych przez przodków. Z dziadkiem posadziłam kilka drzew. Lubię przyglądać się gałęziom, jak wracam do domu i kładę się pod dębami albo sosnami. Przebywanie w naturze jest dla mnie spokojem, którego poszukują bohaterowie mojego filmu.

Myśleliście o tym, żeby wydać opowieści, które spisał wasz dziadek?
– Na początku zbioru pt. „Opowieści Dąbrowickie" dziadek zastrzegł, że są tylko do wglądu kolejnych pokoleń Salamonów, czyli rodziny od strony babci. W ogóle to dziwne, że o tym opowiadam, nie wiem, czy dziadek byłby zachwycony. Obowiązuje mnie rodzinna tajemnica, więc nie powiem nic konkretnego. To jedno-, dwustronicowe opowiadania, w każdym pojawia się jakiś element nie z tego świata. Mam wrażenie, że przy okazji wątków duchologicznych i metafizycznych dziadkowi udało uchwycić szerszą prawdę o Polsce i jej mieszkańcach.

Tak się składa, że mam teraz „Opowieści Dąbrowickie" na biurku i jakoś odwołuję się do nich w scenariuszu kolejnego filmu. Scenariusz tej rodzinnej sagi zaczęłam pisać jeszcze przed „Nie ma duchów…". To miał być mój pełnometrażowy debiut.

FOT. FOT. STUDIO MUNKA/SFP

• **Kadr z filmu „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"**

Co się więc stało, że odłożyłaś go na potem?
– Zmiany w relacjach w moim rodzeństwie spowodowały, że musiałam najpierw napisać historię o braciach i siostrach.

Pokazywałaś rodzinie swoje filmy?
– Pierwsze krótkie metraże szkolne traktowałam jak ćwiczenia. W pierwszych latach edukacji w Szkole Filmowej zdarzali się nauczyciele, którzy lepiej wiedzieli, jakie filmy powinnam robić. Kiedy trochę to zrozumiałam, trafiłam na profesorów, którzy dali mi przestrzeń i pozwolili robić filmy, jakie chciałam – zgodne z moimi poszukiwaniami. Wtedy nakręciłam krótkie metraże „Heimat" i „Naukę", które nadawały się do pokazywania. Także rodzinie.

W skrócie: „Nauka" to dokument o szkolnych paradoksach, w fabularnym „Heimacie" rodzina spotyka się na posterunku policji, żeby złożyć zeznania w sprawie pobicia ojca.
– „Heimat" to pierwszy film, w którym mocno zainspirowałam się rodzinnymi doświadczeniami. Interesował mnie ten stan zawieszenia, kiedy dorosłe dzieci niby wyprowadziły się z domu, ale wciąż są tam zakotwiczone.

Kiedy dotyka się tak bliskich tematów, seansom rodzinnym towarzyszy jakieś napięcie. Ale rodzina rozumie, że mam potrzebę ich poruszania. Dla nich te filmy są równie ważne. Wszyscy przyzwyczaili się, że tak to będzie wyglądać. Przy okazji „Pięknej łąki kwietnej" konsultowałam z rodzicami kwestie roślin i spraw ogrodniczych, więc wiedzieli, co kręcę. Myślę, że jesteśmy w stanie oglądać te filmy razem i potem o nich rozmawiać, bo widzą, że to kino robione z miłością. Lubię i rozumiem swoich bohaterów, nie obgaduję ich z aktorami.

Jak Paul Thomas Anderson w „Jednej bitwie po drugiej" – od razu czujesz, że reżyser kocha postać Leonarda DiCaprio, nieważne, jak gnuśna i nieporadna może się wydawać. Nie lubię czuć, oglądając film, że na pierwszym miejscu jest krytyka człowieka albo jego postawy. To nie jest dobry punkt wyjścia, żeby widz w taki film wszedł i przeżywał go zarówno emocjonalnie, jak i intelektualnie.

W tytule filmu pojawia się nazwa konkretnej ulicy na warszawskim Powiślu. Dobra ma jakieś szczególne znaczenie dla was?
– Ale to to jedyny powód. Gdyby nie chodziło o Dobrą, tylko np. o Żelazną, pewnie nie odwołałabym się do niej w tytule. Przymiotnik „dobra" niesie dodatkowe znaczenia. Lubię tytuły, które grają z tematem filmu, są intrygujące same w sobie, nawet jeśli trudno je zapamiętać. Jak „Eternal Sunshine of the Spotless Mind" Michela Gondry'ego, co straciło cały urok w polskim tłumaczeniu ["Zakochany bez pamięci"].

Lubię również filmy o dobrych ludziach. Myślę o tym, od kiedy zobaczyłam „Szczęśliwego Lazarro" Alice Rohrwacher, którego tytułowy bohater jest tak dobry i altruistyczny, że ludzie biorą go za głupca albo odmieńca.

„Nie ma duchów…" też jest opowieścią o dobrych ludziach?
– Bohaterowie chcą robić dobrze, ale nie zawsze im to wychodzi. Troszczą się o siebie nawzajem, może nawet za bardzo, czasem pewnie powinni odpuścić.

Trudno mi myśleć o tobie w kategoriach debiutantki. Wcześniej zrobiłaś tyle krótkich metraży, przez co mam wrażenie, że filmy Emi Buchwald oglądam od lat.
– Krótkie formy nie są postrzegane jako pełnowartościowe filmy. Są mało dostępne dla publiczności. Traktuje się je jako wprawki, kojarzą się ze szkolnymi etiudami. A nie zawsze tak jest. Polska szkoła dokumentu wyrosła z krótkich filmów. Chciałabym dalej robić dokumenty, ale właśnie krótkie. Widzę w nich szansę na eksperymentowanie formą. Przeszłam klasyczną w polskich warunkach drogę do debiutu. Dostawałam jakieś propozycje komercyjne, ale były tak dalekie od tego, czym chcę się zajmować jako reżyserka, że postanowiłam robić swoje i podejmować się prac dookoła mojego zawodu, które pomogą mi się utrzymać.

Jak właściwie wygląda codzienność młodych filmowców?
– Czasami mam poczucie, że robienie filmów to drogie hobby. Nie powinno tak być. Przecież skończyłam szkołę zawodową – w Szkole Filmowej w Łodzi uczyłam się konkretnego zawodu. A w tej branży standardem jest to, że jak chcesz godnie zarabiać, szczególnie na początku drogi, który przecież może trwać latami, to jest traktowane podejrzliwie. Jakby „szansa" nakręcenia filmu i powiększenia portfolio była wystarczającym wynagrodzeniem. Chcemy zrobić film za wszelką cenę, więc godzimy się na beznadziejne warunki, prawie nic nie zarabiamy, a jeszcze musimy namówić do udziału innych ludzi. Kiedy opowiadam o realiach pracy osobom z nieartystycznych branż, nie wierzą, że tak to może wyglądać.

W takim razie, z czego żyje reżyserka przed pełnometrażowym debiutem?
– Ratunkiem okazują się nagrody finansowe na festiwalach, ale one nie zawsze się pojawiają i nie można na nich polegać. W związku z tym los młodego filmowca to wieczne ciułanie.

Czasami coś wymyślam w writers roomie przy jakimś serialu, prowadzę warsztaty filmowe, zajęcia, zdarza się reklama. Pracowałam również jako asystentka. Przed rozpoczęciem pracy nad „Nie ma duchów…" przez prawie rok współpracowałam z Kasprem Bajonem jako asystentka właśnie i reżyserka drugiego unitu przy „Projekcie UFO".

W małżeństwie filmowym jest o tyle łatwiej, że jak jedno nie ma pracy, to jest szansa, że drugie coś dostanie i tak się wspieramy.

Denerwuje mnie przesadne narzekanie, po prostu uważam, że powinno się mówić o tym, jak działa system. Lepiej dofinansowane powinny być takie instytucje jak Studio Munka, w którym miałam szansę zrealizować trzy autorskie filmy. Na napisanie scenariusza musisz poświęcić co najmniej rok, zazwyczaj trwa to dłużej. Nawet jeśli dostaniesz stypendium na pisanie, to nie wystarczy na utrzymanie. Producenci czekają na dobre teksty, ale wynagrodzenie jest zależne od dofinansowania z PISF-u, a to jest loteria.

Niewiele brakowało, a mogłaś być na moim miejscu. W liceum pisałaś recenzje.
– Nawet wcześniej. Gdy patrzę teraz na 13-letnie dzieci mojego rodzeństwa, zastanawiam się, jak to możliwe, że w ich wieku kupowałam w kiosku poważny miesięcznik „Kino". Czytałam go od deski do deski, tak samo jak książki o historii kina, pisałam recenzje do szkolnej gazety. Aż poszłam z bratem do kina Iluzjon na „Męski, żeński" Jeana-Luca Godarda. Odkryłam, że można kręcić filmy inaczej niż w mainstreamie: bez wielkiej ekipy, bez efektów. Po prostu bierzesz kamerę i opowiadasz o młodych ludziach. Taki pomysł na kino wydawał mi się bliski, a zarazem realny. Wcześniej byłam przekonana, że jestem zbyt nieśmiała na to, żeby zostać reżyserką.

W kolejnym numerze „Kina" znalazłam ogłoszenie o naborze do przedszkola filmowego w Szkole Wajdy. Złożyłam teczkę. Znalazły się w niej m.in. czarno-białe zdjęcia, które starym zenitem zrobiłam braciom, Tymkowi i Jonaszowi. Zamierzałam zrobić film o starszych paniach, które śpiewają pieśni przy przydrożnych kapliczkach, ale Piotr Stasik, mój pierwszy nauczyciel dokumentu, zobaczył zdjęcia chłopaków i powiedział, że tutaj mam lepszy temat. I tak powstała etiuda „Bracia".

Andrzej Wajda po seansie zapytał, kiedy druga część, więc rodzinne tematy zostały ze mną do dziś. Gdyby Wajda żył, mogłabym mu powiedzieć: „Panie Andrzeju, jest druga część pt »Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej«". ●

Emi Buchwald

• reżyserka i scenarzystka. Absolwentka Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTviT w Łodzi. Za debiut „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" dostała nagrodę za reżyserię na Festiwalu w Gdyni w 2025 roku.

• **„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"** w kinach od 13 marca. Film nie tylko był przebojem Festiwalu w Gdyni, dostał też 10 nominacji do Polskich Nagród Filmowych Orły. Zdobył dwie statuetki – za drugoplanową rolę dla Karoliny Rzepy i za odkrycie roku dla Emi Buchwald.

eprasa.pl 8024f7c131

ADAM MICHNIK POLECA

DZIELNY CZŁOWIEK Z TRANSYLWANII

Już jako dziecko aktywnie uczestniczyłem w życiu politycznym Rumunii. Ja się w nim urodziłem

Daniel Citirigă*

W Rumunii po grudniu 1989 r. nie ma żadnej postaci politycznej, która byłaby tak silnie kojarzona z etyką i moralnością jak Corneliu Coposu. Vladimir Tismăneanu z Uniwersytetu Maryland nazwał go „moralnym prezydentem Rumunii", a Ioan Stanomir z Uniwersytetu w Bukareszcie uważa, że „Corneliu Coposu nie należy już do żadnej partii, ale jest tożsamy z całym krajem".

Poetka Ana Blandiana, której reżim komunistyczny zakazywał prawa do publikacji, po 1989 r. ważny głos społeczeństwa obywatelskiego, po jego śmierci uznała, że „będzie on moralnym punktem odniesienia, którego pamięci zawsze będą musieli się bać źli i dobrzy; ci o splamionym sumieniu i ci, którzy uważają się za uczciwych; jego śmiertelni wrogowie i ci, którzy uważają się za jego uczniów".

Emil Constantinescu, prezydent Rumunii w latach 1996-2000, stwierdził, że ponieważ „w polityce nie ma księży, musiał istnieć człowiek o imieniu Corneliu Coposu, zdolny wziąć na siebie jej grzechy".

Zarazem nie było nikogo bardziej zniesławionego niż Corneliu Coposu, już w czasach wolności po 1989 r. 35 lat od upadku komunizmu i ponad 30 od jego śmierci pozostają naszym dziedzictwem jego niezmienne zasady polityczne: zaufanie do demokracji, potrzeba prawdy, obrona pluralizmu, przyjęcie wartości Zachodu i obrona przed zagrożeniem rosyjskim.

•

W maju 1914 r., kiedy urodził się Corneliu Coposu, wieś Bobota w Transylwanii, gdzie mieszkało czwarte pokolenie jego rodziny, znajdowała się w granicach Austro-Węgier. W tej miejscowości, gdzie mieszkańcy zajmowali się głównie górnictwem i hodowlą zwierząt, osiadł pradziadek Coposu ze strony matki, greckokatolicki ksiądz Gavrilă Vaida. Jego rodzina została nobilitowana w XV wieku, co oznaczało, że jej członkowie mogli studiować na uniwersytecie, co oczywiście nie było dostępne dla zwykłych chłopów.

Jego dziadek ze strony ojca też był księdzem greckokatolickim, prawą ręką jednego z przywódców Rumunów walczących o ich prawa polityczne w Austro-Węgrzech. Ojciec Corneliu, Valentin Coposu, greckokatolicki protopop, również był aktywny politycznie – uczestniczył w zgromadzeniu w Alba Iulia 1 grudnia 1918 r., gdzie przedstawiciele Rumunów przegłosowali zjednoczenie Transylwanii z Rumunią.

Do tego momentu Rumuni z Transylwanii, gdzie stanowili większość, walczyli o swoje prawa poprzez Narodową Partię Rumunów w Austro-Węgrzech. Na początku XX wieku w partii pojawili się nowi liderzy, tacy jak Iuliu Maniu i Alexandru Vaida-Voievod, spokrewniony z rodziną Coposu.

W domu rodziny Coposu w Bobocie na ścianach wisiały obrazy przedstawiające przywódców lub symboliczne postacie Rumunów z Transylwanii, takich jak rewolucjonista Avram Iancu lub trzej chłopi, którzy zapłacili życiem za walkę o prawa poddanych, Horea, Cloșca i Crișan, a także ryciny z portretami poetów romantycznych.

Pochodząc z rodziny zakorzenionej w tradycjach walki o potwierdzenie tożsamości Rumunów w Transylwanii, młody Corneliu dorastał w atmosferze działań i debat w międzywojennej Rumunii, a pierwsze lata powojenne stanowiły również pierwszy kontakt z twardymi realiami tej walki. Wkrótce po zgromadzeniu w Alba Iulia ks. Valentin Coposu został aresztowany i wraz z innymi rodakami osadzony kolejno w różnych więzieniach, m.in. w Budapeszcie. Wkrótce potem, w 1919 r., w stolicy Węgier powstał komunistyczny rząd Beli Kuna, a więźniowie polityczni, w tym ojciec Corneliu Coposu, zostali uwolnieni wraz z wkroczeniem armii rumuńskiej do Budapesztu.

Ks. Valentin Coposu stał się jednym z najbliższych współpracowników przywódcy rumuńskiej ludności Transylwanii, Iuliu Maniu, a następnie został wybrany na senatora z listy Narodowej Partii Chłopskiej (PNȚ), która powstała w 1926 r. „Jako dziecko – wspominał Corneliu Coposu – aktywnie uczestniczyłem w życiu politycznym Rumunii. Znalazłem się w nim, urodziłem się w nim".

Po ukończeniu studiów prawniczych, począwszy od 1937 r., przez dziesięć lat, aż do aresztowania w 1947 r., Coposu stał u boku Iuliu Maniu, przez trzy lata jako osobisty sekretarz, po 1940 r. jako sekretarz polityczny,

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

a kiedy został aresztowany, pełnił funkcję zastępcy sekretarza generalnego PNȚ.

Zdobywał doświadczenie polityczne u boku tego najważniejszego polityka rumuńskiej społeczności Transylwanii do 1918 r. i premiera Rumunii w międzywojniu. To właśnie Iuliu Maniu promował ideę polityki moralnej.

•

Coposu notował w dzienniku po 17 września 1939 r.: „Związek Radziecki ogłosił włączenie wschodniej Polski do swojego terytorium. Jest to środek poważniejszy niż okupacja wojskowa, świadczy o ekspansjonistycznych tendencjach Rosjan. Marks, który mniej więcej 80 lat wcześniej starał się wykazać tendencje ekspansjonistyczne carskiej Moskwy na zachód i południe, odczuwałby wielką satysfakcję, widząc potwierdzenie swojej tezy przez swoich doktrynalnych naśladowców, którzy z absurdalną wiernością kontynuują politykę Piotra Wielkiego”.

W dalszej części dziennika Coposu śledził dramatyczne wydarzenia, które stały się udziałem sąsiadów Rumunii na początku II wojny światowej, np. nowy rozbiór Polski.

Wkrótce przyszła kolej na Rumunię, zgodnie z logiką podziału stref wpływów między dwiema totalitarnymi potęgami, ZSRR i III Rzeszą, w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej. W wyniku ultimatum radzieckiego w czerwcu 1940 r. Rumunia oddała Besarabię i północną Bukowinę, następnie 30 sierpnia straciła północno-zachodnią Transylwanię na rzecz Węgier, a 7 września podpisała traktat, na mocy którego oddała południową Dobrudżę Bułgarii.

W wyniku utraty części Transylwanii, w tym gminy Bobota, rodzina Corneliu Coposu opuściła swoje rodzinne strony, aby schronić się w południowej części regionu, który pozostał w składzie Rumunii. Straty terytorialne wywołały niezadowolenie Rumunów, a król Karol II, który w 1938 r. ustanowił dyktaturę osobistą, został zmuszony do wyjazdu na emigrację. Tron objął jego 19-letni syn Michał.

•

Coposu spędził lata 30. w otoczeniu Iuliu Maniu, który w 1930 r. poparł powrót Karola II na tron po tym, jak ten zrzekł się statusu księcia dziedzicznego w 1926 r. i wyjechał ze swoją konkubiną do Paryża. Jednak ten sam Maniu stał się najzagorzalszym przeciwnikiem króla Karola, oskarżając go wkrótce po powrocie o kłamstwo w sprawie statusu konkubiny, o utworzenie wokół niej kliki koordynującej korupcyjne interesy oraz o zniszczenie porządku demokratycznego. Obarczał też króla odpowiedzialnością za odejście Rumunii od tradycyjnych sojuszy z mocarstwami zachodnimi.

W takiej sytuacji władzę w Rumunii przejął gen. Ion Antonescu, który również narzucił reżim dyktatorski. Wkrótce, mimo uznania jego autorytetu i umiejętności wojskowych, Iuliu Maniu stał się najostrzejszym krytykiem Anyonescu, premiera z pełnią władzy, zarzucając mu w szczególności, że zdecydował się rządzić wraz z prawicowymi ekstremistami, faszystowskim Ruchem Legionowym, oraz że dostosował politykę zagraniczną Rumunii do polityki państw Osi, zamiast postawić na Wielką Brytanię i Francję.

Od 22 czerwca 1941 r. Rumunia dołączyła do Niemiec w ramach operacji „Barbarossa” – ataku na ZSRR. Jak Coposu postrzegał problem wojny? Mówił o tym podczas spotkania z byłym kolegą z liceum, pochodzenia niemieckiego, który w międzyczasie wyjechał na studia do Niemiec, a następnie wrócił do kraju, obejmując stanowisko przywódcy mniejszości niemieckiej w Rumunii.

Coposu powiedział mu, że osobiście nie wierzy w zwycięstwo Niemiec ani w przyszłość nowego porządku europejskiego, mimo potencjału militarnego Wehrmachtu i kompetencji niemieckich generałów, których cenił.

Zirytowany kolega zapytał go wprost: – A kogo wolisz, Niemców czy bolszewików? – Na co Coposu odpowiedział, że ani jednych, ani drugich: – Jako Rumun nie widzę ratunku dla Rumunii ani w sojuszu z Niemcami, którzy dążą do degradacji ras innych niż niemiecka do roli narodów podporządkowanych, ani w sojuszu z Rosjanami, którzy pod sztandarem komunizmu kontynuują imperializm agrarny i ekspansję pansłowiańską, idee Piotra Wielkiego. Było to wiernie realizowane przez wieki pod najbardziej sprzecznymi hasłami, takimi jak panslawizm, panrusizm, obrona chrześcijaństwa przed poganami, panortodoksja, a w końcu komunizm.

◄ **Corneliu Coposu (z lewej) i Ion Rațiu, czołowi politycy Rumuńskiej Konwencji Demokratycznej. Kluż-Napoka, rok 1992**

FOT. FUNDATIA CORNELIU COPOSU

Po latach mówił: – Nie czuję żadnej urazy. Po wyjściu na wolność spotkałem jednego z moich oprawców. Był przerażony. Nie wiem, dlaczego się bał. Nic do niego nie miałem, współczułem mu

•

W otoczeniu Maniu najważniejszym wydarzeniem, którego świadkiem był Coposu, było to z 23 sierpnia 1944 r., kiedy to na rozkaz króla Michała aresztowano Antonescu wraz z jego najbliższymi współpracownikami. Był to okres, w którym armia niemiecka i jej sojusznicy zostali wyparci z frontu wschodniego, a przywódcy tradycyjnych partii, choć niepełniący w tym czasie żadnych oficjalnych funkcji, wywierali presję, aby Rumunia porzuciła sojusz z Niemcami.

Był to moment, w którym na krótko przywrócono system wielopartyjny, a wraz z tym nadzieje na demokratyczną przyszłość.

Od sierpnia 1944 r. rządy sprawowali generałowie Constantin Sănătescu i Nicolae Rădescu, a następnie, od 6 marca 1945 r., przy wsparciu Sowietów, rząd Petru Grozy. Rumunia powoli, ale ewidentnie wchodziła w orbitę wpływów Moskwy, co stało się szczególnie widoczne po wyborach w listopadzie 1946 r., kiedy PNȚ zdobyło 72 proc. głosów, ale zwycięstwo zostało przyznane komunistom.

Przywódcy historycznych partii protestowali i apelowali do przywódców państw zachodnich – byli przekonani, że ci nie uznają wyników wyborów. Ale bez skutku.

Maniu, przeświadczony, że Rumunia nie jest w stanie poradzić sobie z nową sytuacją wyłącznie walcząc w kraju, wpadł na pomysł wysłania grupy reprezentatywnych polityków za granicę. Tajne służby dowiedziały się o tej akcji. Specjalny samolot miał odlecieć 14 lipca 1947 r. z lotniska w Tămădău, ale władze aresztowały osoby zaangażowane w tę sprawę, w tym liderów, Iuliu Maniu i Iona Mihalache.

Coposu nie był w sprawę zaangażowany, ale i tak szybko także został aresztowany – wraz z kolegami został zabrany z siedziby partii w Bukareszcie. Od tego momentu, od połowy lipca 1947 r. do 1964 r., był przetrzymywany w kilku więzieniach w kraju, a następnie został przymusowo osiedlony w miejscowości Rubla na równinie Bărăgan, regionie o bardzo gorących, suchych latach i mroźnych zimach.

•

W wieku 33 lat Corneliu Coposu został aresztowany pod zarzutem „działalności przestępczej przeciwko klasie robotniczej i reformom społecznym”. Następnie spędził dziewięć lat w areszcie tymczasowym, po czym został osądzony i skazany na dożywotnią pracę przymusową. Przez 17 i pół roku był więziony w najcięższych rumuńskich więzieniach.

W śledztwie był brutalnie bity, uderzany batem, pałką, kopany, uderzany głową o ścianę, bity w łazience mokrym prześcieradłem, rażony prądem.

W okresie aresztu prewencyjnego Coposu spotkał się z Iuliu Maniu na początku listopada 1947 r., kiedy 76-letni przywódca Narodowej Partii Chłopskiej oczekiwał na proces w więzieniu Malmaison w Bukareszcie.

Maniu, „spokojny i pogodzony z losem”, zdawał sobie sprawę, że ma niewielkie szanse na wyjście stamtąd żywym, ale był przekonany, że „w końcu sprawiedliwość zwycięży, a wy, młodzi, zadbacie o przywrócenie prawdy o swoich czynach, wynikających z poczucia obowiązku wobec Ojczyzny, dla przyszłych pokoleń”. Na koniec poprosił Coposu, aby nie pozwolił upaść PNȚ.

Prezydent Rumunii: - Ponieważ w polityce nie ma księży, musiał istnieć człowiek o imieniu Corneliu Coposu, zdolny wziąć na siebie jej grzechy

Po tym spotkaniu w celi więziennej nigdy więcej się nie zobaczyli. Maniu zmarł w więzieniu w 1953 r., w wieku 80 lat. W lipcu 1947, kiedy PNȚ zostało rozwiązane, liczyło 2 mln 125 tys. członków, z których około 270 tys. zostało aresztowanych przez komunistów (około dwie trzecie z nich zmarło w więzieniach).

Był to czas, kiedy wszystkie warstwy społeczeństwa miały się angażować w walkę o narzucenie komunizmu. Dlatego około 80 tys. rolników, którzy sprzeciwiali się kolektywizacji, zostało wysłanych do więzienia.

Dołączyli do nich intelektualiści, członkowie międzywojennych partii politycznych i księża. Spośród tych ostatnich najbardziej ucierpieli księża greckokatoliccy i Kościół greckokatolicki, do którego należeli Maniu i Coposu.

Surowość śledztw wynikała, jak oceniał Coposu, z braku kultury i doświadczenia osób odpowiedzialnych za ich prowadzenie. „Oczywiście pod koniec dochodzenia, które zakończyło się negatywnym wynikiem, zostałem przekazany słynnemu Brânzaru, który ważył 150 kilogramów i był niedorozwinięty umysłowo, a jedyną jego zaletą była zdolność do nieustannego bicia przez 12 godzin”.

Zupełnie wyjątkową postacią wśród śledczych była płk Vida Nedici, słynna oprawczyni pochodzenia serbskiego, znana z zamiłowania do bicia mężczyzn w jądra, aż tracili przytomność.

•

W 1949 r. władze komunistyczne podjęły decyzję o budowie Kanału Dunaj-Morze Czarne przy udziale więźniów politycznych, co w rzeczywistości było raczej wielkim więzieniem politycznym niż placem budowy.

Jak się ocenia, na początku lat 50. Rumunia przetrzymywała w obozach pracy około 80 tys. osób, z czego około 40 tys. pracowało przy budowie owego kanału, w regionie, gdzie zimą wiał suchy wiatr, a temperatury były znacznie niższe niż wskazywał termometr. Więźniowie pracowali tu w ekstremalnych warunkach; wielu z nich zmarło.

Przez dwa lata Coposu przebywał w Capul Midia, nad brzegiem Morza Czarnego. Oprócz przywódców partii politycznych byli tam również członkowie międzywojennego ruchu faszystowskiego i księża. Temperatury zimą sięgały tam nawet 25 stopni poniżej zera. Żywności brakowało do tego stopnia, że więźniowie jedli trawę, psy, koty i larwy chrząszczy.

Do oddziału Coposu przyprowadzono kiedyś siedem osób pod dowództwem byłego komunisty, który został zdemaskowany jako współpracownik służby bezpieczeństwa. Aby się zrehabilitować, robił wszystko, o co go poproszono, a nawet więcej.

Budując kanał, pracowano przy ścianach wykopanej ziemi, które sięgały nawet 14 metrów wysokości. Nad terenem składowano również betonowe rury; każda z nich ważyła od 7 do 10 ton.

Kiedy przeprowadzono tam inspekcję i zauważono, że grupa Coposu jest zagrożona zawałem, cywilny inżynier nakazał wszystkim natychmiastowe opuszczenie terenu. Wkrótce jednak pojawił się komendant obozu, skrajny satrapa; kiedy zobaczył, że ekipy nie ma, wpadł we wściekłość.

Natychmiast zgłosiło się siedem osób pod przewodnictwem byłego komunisty, który chciał się wykazać gotowością do rehabilitacji. Krótko po zejściu tych ludzi na dół ziemia się osunęła się i wszyscy zostali zasypani tonami ziemi i rurami. Poza jednym wszyscy zginęli.

•

Wyjście z więzienia nie oznaczało powrotu do normalnego życia. Przez pewien czas pozostawał pod przymusowym nadzorem we wspomnianej miejscowości Rubla, gdzie mógł przyjmować wizyty członków rodziny. Następnie, kiedy wrócił do Bukaresztu w kwietniu 1964 r., władze zaproponowały mu pracę w gazecie „Glasul Patriei”, w której chwalono osiągnięcia partii, ale odmówił. Z pomocą przyszedł mu przyjaciel i zatrudnił go na budowie.

W więzieniu nie wiedział nic o swoich bliskich; dopiero po zwolnieniu dowiedział się, że jego żona, Arlette Coposu, została aresztowana i skazana na 25 lat więzienia, z czego odsiedziała 14 lat.

Zarówno w Rubli, jak i po powrocie do Bukaresztu Coposu był ściśle monitorowany przez służbę specjalną Securitate aż do upadku reżimu komunistycznego.

Ostatnie aresztowanie miało miejsce tuż przed rewolucją, 12 grudnia 1989 r., i trwało trzy dni. Od 1965 r.,

eprasa.pl 8024f7c131

już po uwolnieniu go z aresztu domowego, do 1989 przeszedł 27 rewizji.

Wiedział o 47 osobach, które donosiły na niego, ludziach, z którymi miał pewne powiązania, ale na pewno byli też inni, o których nie wiedział i których nie znał.

Jego dobry przyjaciel przeżył tragedię rodzinną – jego córka była poważnie chora na nerki i potrzebowała operacji za granicą. Kiedy złożył wniosek o paszport, a on sam i jego żona zaoferowali się oddać córce nerkę, Securitate uzależniła ich wyjazd od przekazania treści wszystkich rozmów, jakie prowadzili z Coposu.

Przyjaciel opowiedział mu o tej sprawie. Coposu zrozumiał ich dramatyczną sytuację. Niestety, dziewczynka zmarła, nie doczekawszy się operacji za granicą.

•

Rumunia była ostatnim krajem Europy Środkowej i Wschodniej, który wyzwolił się spod komunizmu, a rewolucja grudniowa 1989 r. była krwawa. Ponad tysiąc osób zginęło, a pytanie „Kto do nas strzelał po 22", czyli dniu ucieczki dyktatora Ceaușescu, wciąż czeka na odpowiedź.

Tego samego dnia powstał Front Ocalenia Narodowego (FSN), który miał być „tymczasowym organem władzy państwowej" mającym na celu ustanowienie demokracji, wolności i godności narodu rumuńskiego. Wśród członków założycieli ogłoszonych w telewizji publicznej znaleźli się zarówno przeciwnicy reżimu komunistycznego, np. Ana Blandiana, jak i byli komuniści sprzeciwiający się reżimowi Ceaușescu, np. Ion Iliescu.

W czasie starć między siłami porządkowymi a zbuntowaną ludnością, po ucieczce helikopterem z budynku Komitetu Centralnego pary prezydenckiej, Coposu również był obecny w centrum wydarzeń. Dzień, o którym tak bardzo marzył, stał się rzeczywistością. Udał się do KC, próbując również wejść do środka.

Petre Roman, przyszły premier Rumunii, opowiadał, jak osoby znajdujące się w środku, gdy usłyszały, kto stoi przed drzwiami, stanowczo sprzeciwiły się wpuszczeniu go. W tym czasie przebywali tam byli znaczący członkowie partii komunistycznej, m.in. Ion Iliescu. Kiedy Roman poinformował o tym Coposu, odpowiedź była kategoryczna: „Niech ten człowiek odejdzie, wyrzućcie go".

22 grudnia 1989 r., poprzez apel podpisany przez dziesięć osób, które przeżyły więzienia, Coposu ponownie założył Narodową Partię Chłopską. A dokładniej, przywrócił jej legalność; 11 stycznia 1990 r. była to pierwsza partia zarejestrowana w sądzie. Chociaż w tym momencie trzon partii stanowili weterani, wkrótce dołączyła do niej rzesza młodych ludzi: tylko w Bukareszcie zarejestrowało się około 30 tys. członków.

Jednak wkrótce okazało się, że walka o władzę nie toczy się przy użyciu broni demokracji. Grupa byłych komunistów, na czele z Ionem Iliescu, przejęła środki masowego przekazu.

•

Chociaż początkowo kierownictwo FSN ogłosiło, że organizacja ta nie przekształci się w partię polityczną, w styczniu 1990 r. większością głosów podjęło przeciwną decyzję. Historyczne partie, które miały swoje odpowiedniki w międzywojniu i zostały zlikwidowane przez reżim komunistyczny – PNȚ-CD (Narodowa Partia Chłopska Chrześcijańsko-Demokratyczna) i PNL (Partia Narodowo-Liberalna) – zorganizowały manifestację, aby zaprotestować przeciwko zmianie celu Frontu Ocalenia Narodowego, twierdząc, że w ten sposób nie można zagwarantować wolnych wyborów. Około 200 tys. osób protestowało na głównych placach Bukaresztu.

Następnego dnia FSN zorganizowało kontrdemonstrację, mobilizując rzesze robotników i górników, którzy zaatakowali siedziby historycznych partii. Dotarłszy do domu Coposu, krzyczeli: „Precz z Coposu", oskarżając go, że chce odzyskać majątek i przedsiębiorstwa skonfiskowane przez komunistów.

Wtedy pojawiły się także inne hasła: „Śmierć intelektualistom", „My pracujemy, nie myślimy". W wywiadzie z 2015 r., odnosząc się do tamtego momentu, były prezydent Iliescu stwierdził, że „Corneliu Coposu był postrzegany jako człowiek, który zakłóca równowagę struktur stworzonych przez rumuńską rewolucję".

W tym zgiełku pojawił się Petre Roman, który zaproponował uspokojenie tłumu i zabranie Coposu do telewizji, co ten uznał za ustawkę, bo zabrano go z domu pojazdem opancerzonym, a zdjęcia zostały wykorzystane, aby pokazać, że niby ledwo uniknął gniewu tłumu.

Nastąpił okres, w którym fałszywe wiadomości o majątku i zamiarach Coposu były na porządku dziennym. On sam wspominał to z pewnym rozbawieniem. „Tak się złożyło, że nigdy nie posiadałem ani jednego metra kwadratowego ziemi, co nie oznacza, że nie darzę podziwem wszystkich właścicieli i miłośników ziemi".

Podczas pierwszych wyborów w postkomunistycznej Rumunii, które odbyły się 20 maja 1990 r., Front Ocalenia Narodowego wyznaczył Iona Iliescu na kandydata w wyborach prezydenckich. Zdobył on 85,07 proc. głosów, a FSN – ponad 66 proc. w wyborach do obu izb parlamentu.

Coposu kandydował w powiecie Sălaj, skąd pochodził. Początkowo walczono tam o pięć miejsc, ale ostatecznie jedno z nich zostało przydzielone innemu okręgowi. Stał się on jedynym liderem partii, który nie został wybrany do parlamentu.

Już podczas kampanii wyborczej grupa studentów i intelektualistów zajęła plac Uniwersytecki, który został ogłoszony „strefą wolną od neokomunizmu i punktem zerowym demokracji". Władza postanowiła odpowiedzieć agresją. W czasie kampanii i wyborów dwóch członków PNȚCD zostało zabitych, 168 zostało poważnie rannych, a 167 siedzib partii zniszczonych.

Opozycja oskarżyła FSN o sfałszowanie wyborów. Po wyborach część protestujących, niezadowolona z ich przebiegu, pozostała na miejscu. Wtedy, na zaproszenie i przy wsparciu nowego prezydenta Iliescu, do Bukaresztu przybyły grupy górników z Doliny Jiu (była to tzw. mineriada), dowodzone przez Mirona Cozmę. „Wyzwoliły" one plac, zaatakowały siedziby partii opozycyjnych i pokojowo nastawionych mieszkańców Bukaresztu. Kilku protestujących na placu zginęło, kilkuset zostało rannych.

Skoro osoby blisko związane z reżimem komunistycznym zdobyły władzę, przedstawiciele opozycji, na czele z Coposu, postanowili połączyć różne ugrupowania w jedną formację polityczną, która mogłaby konkurować w przyszłych wyborach z FSN – Rumuńską Konwencję Demokratyczną, CDR.

Ugrupowanie to zostało zdominowane przez PNȚCD i kierowane było przez Coposu, który później przekazał swoje stanowisko prof. Emilowi Constantinescu; ten został wyznaczony na kandydata CDR w wyborach prezydenckich w 1992 r. Chociaż przegrał w II turze z Iliescu, było oczywiste, że Konwencja stała się główną siłą opozycyjną.

W tym samym roku Coposu został wybrany senatorem w okręgu Bukareszt. Cztery lata później, w 1996 r., Constantinescu pokonał Iliescu w wyborach prezydenckich. Coposu zmarł rok wcześniej, ale w dużej mierze to on przyczynił się do tego zwycięstwa.

•

Corneliu Coposu, znieważany jak nikt inny w ciągu sześciu lat transformacji, jest dziś jednym z nielicznych polityków, których cenią sobie wszystkie obozy. Jest jedynym politykiem z okresu po grudniu 1989 r., który zapisał się w zbiorowej pamięci; jego imię nadano ulicom, jego pomnik stoi na placu Rewolucji w Bukareszcie; fundacja jego imienia promuje pamięć historyczną.

Można to wyjaśnić profilem moralno-politycznym Coposu. Charakteryzowała go wiara, że wolność i dobro zwyciężą. Mimo dramatycznych wydarzeń, przez które przeszedł, nigdy nie stracił optymizmu, szczerze wierząc, że komunizm w końcu upadnie.

Cechowała go dobroć chrześcijanina, dla którego ważne jest przebaczenie i unikanie nienawiści. Mimo ogromnych cierpień, ponad 17 lat spędzonych w więzieniu, spokojnie patrzył na osoby stojące za tymi działaniami.

Zarazem pisał: „Nie można uprawiać polityki bez prawdziwej moralności! Są oczywiście ludzie, którzy uważają, że polityka i moralność to dwie różne rzeczy. Ale bez moralnego podejścia nie ma mądrej polityki prowadzonej w interesie naszego kraju i narodu".

W jednym z wywiadów mówił nawet: „Nie czuję żadnej urazy. Po wyjściu na wolność spotkałem jednego z moich oprawców. Był przerażony. Nie wiem, dlaczego się bał, skoro jego ludzie byli u władzy. Ale ja go nie nienawidziłem, współczułem mu. Nigdy nie rozumiałem, jak ci ludzie mogli torturować swoich bliźnich bez żadnego powodu. Obsesyjnie myślę o tych, którzy weszli do celi 82-letniego Mihalache, żeby go pobić, kiedy nie mógł się nawet ruszyć. Nigdy nie zrozumiem, jak można bić człowieka, którego imienia nawet nie znasz, a potem powiedzieć, że »wypełniłeś swój obowiązek«".

I chociaż można się było spodziewać, że będzie jednym z pierwszych, którzy będą promować ducha zemsty, Coposu uważał, że „niestety, ludzie u nas uważali, że to, co nazywamy »procesem komunizmu«, oznaczałoby proces komunistów".

Kiedy spotkał się z jednym ze swoich oprawców, powiedział mu: „Jeśli kiedykolwiek stanie pan przed sądem, aby odpowiedzieć za popełnione zbrodnie, radzę wziąć mnie na świadka. Powiem, że człowiek, który mógł się posunąć do tego, co pan zrobił, nie będąc do tego zmuszonym przez nikogo, wobec ludzi, o których wiedział pan, że nie są winni, świadczy o tym, że nie jest pan – z mo-

• **Powitanie wypuszczonych z niewoli żołnierzy ukraińskich z bliskimi. 6 marca 2026 r., Ukraina, dokładna lokalizacja nieznana** FOT. PAP/EPA/ ANDREW KRAVCHENKO

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Katarzyna Kuczyńska-Koschany*

Poetyckie dane wywiadowcze o Ukrainie

Najlepszej armii NATO nie ma w NATO.
Najbardziej obywatelskiego społeczeństwa Europy nie ma w Unii Europejskiej.
Najodważniejszych cywili nie ma w Pokojowym Komitecie Noblowskim.

Poetów-żołnierzy nie da się przekładać na języki gruntownie obce.
Wolontariuszy nie da się zniechęcić ani zatrzymać.
Urwanych rąk i nóg nie da się przyszyć do żywych kalek.

W schronach jest woda i środki opatrunkowe.
W gardłach jest hymn wolnego narodu.
W brzuchach matek są zdrowe dzieci.

Język ukraiński istnieje istotnie
ponad bełkotem imperiów.

***Katarzyna Kuczyńska-Koschany** - ur. w 1970 r., profesorka, literaturoznawczyni, eseistka, poetka. Opublikowała ok. 350 artykułów i szkiców po polsku, angielsku, bułgarsku, niemiecku, rosyjsku i ukraińsku. Autorka licznych książek naukowych, m.in. o Rilkem i Tuwimie. Wydała tomy poetyckie „Zielony promień" i „Łania w styczniu". Wiceprzewodnicząca Komitetu Nauk o Literaturze PAN, członkini Otwartej Rzeczypospolitej i Polskiego PEN Clubu.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 8024f7c131

ralnego punktu widzenia – odpowiedzialny i że pańskie miejsce nie jest w więzieniu, ale w domu wariatów".

Tak więc dla byłego więźnia politycznego ważniejsza od skazania niektórych osób była ideologia marksistowsko-komunistyczna, którą uważał za źródło katastrofy dla ponad 200 mln ludzi w Europie. Z tego powodu opowiadał się za uświadamianiem zła, jakie komunizm wyrządził w dłuższej perspektywie, poprzez eksterminację elit i promowanie kłamstwa jako polityki państwowej. Wszystko, co materialne, można było odzyskać, podkreślał Coposu, może nawet zdrowie.

Uważał, że w państwie prawa nie można wyeliminować z obiegu jakiejś koncepcji politycznej – należy zapewnić jej głosicielom równe szanse zaprezentowania się przed elektoratem, który sam może o niej zdecydować. Dotyczyło to zwłaszcza komunizmu, który jego zdaniem „był dla południowo-wschodniej Europy poważniejszym problemem niż II wojna światowa".

Dlatego jego stanowisko było jasne: „z zasady nie możemy zgodzić się na delegalizację partii komunistów". Pojednanie, co do którego był przekonany, że jest potrzebne społeczeństwu po komunizmie i po brutalnych wydarzeniach z początku lat 90., można było osiągnąć tylko po zakończeniu „panowania kłamstwa", a wszyscy, którzy dopuścili się poważnych nadużyć i zbrodni, musieli zostać osądzeni.

Należy zaznaczyć, że Corneliu Coposu zawsze podkreślał, że należy odróżnić komunistów pełniących przed 1989 r. ważne funkcje od zwykłych członków partii, którzy byli uczciwymi obywatelami kraju.

Wzorem, za którym podążał, był Iuliu Maniu, który utrzymywał cywilizowane stosunki ze wszystkimi przywódcami innych partii, kierując się zasadą, że w polityce są przeciwnicy, a nie wrogowie, co zmieniło się z jego punktu widzenia wraz z pojawieniem się ruchów faszystowskich, a na przeciwnym biegunie – komunistów

„Pod koniec dochodzenia, które zakończyło się negatywnym wynikiem, zostałem przekazany osiłkowi, który ważył 150 kilogramów i był niedorozwinięty umysłowo. Ale potrafił bić bez przerwy przez 12 godzin"

Opierając się na tych zasadach, Coposu definiował PNȚCD jako partię antykomunistyczną, patriotyczną i narodową, ale nie szowinistyczną, a także chrześcijańską, „ponieważ człowiek bez wiary nie jest człowiekiem pełnym". Popierał takie wartości jak prawa indywidualne i zbiorowe, godność człowieka i własność prywatna.

„Jesteśmy – mówił – zdecydowanymi przeciwnikami zacofanych praktyk wyrosłych z totalitaryzmu, terroru, agresji, przemocy, dezinformacji, oszczerstw, szerzenia nienawiści, ksenofobii, szowinizmu, antysemityzmu".

Odnosząc się do moralności i przynależności religijnej, przeciwnicy PNȚCD próbowali skojarzyć go z partią wyznaniową, mającą przywódców i część sympatyków wyznania greckokatolickiego. Coposu podkreślał jednak, że partia nie jest wyznaniowa i że opowiada się jedynie za współpracą między Kościołem a państwem.

11 listopada 1995 r., w wieku 81 lat, Corneliu Coposu zmarł w szpitalu w wyniku nieuleczalnej choroby płuc. Ciało zmarłego złożono w siedzibie partii, gdzie wkrótce tysiące ludzi przyszło pożegnać człowieka, który pokazał, że moralność nie jest obca polityce. Rada miejska Bukaresztu ogłosiła dzień pogrzebu dniem żałoby w stolicy.

Jednocześnie jednak władze nie zezwoliły królowi Michałowi na wjazd do kraju, ale przybyły królowa Anna i księżniczka Małgorzata – żona monarchy i jego najstarsza córka. Dziesiątki tysięcy ludzi poprowadziły Corneliu Coposu ulicami Bukaresztu. Ten, który był więziony przez komunistów przez ponad 17 lat, przeklinany i poniżany przez tych, którzy przejęli władzę po 1989 r., odbierał hołd jako moralny przywódca Rumunii. A to, że spełniło się jego marzenie, by Rumunia znalazła się tam, gdzie jej miejsce, w strukturach euroatlantyckich, choć nie doczekał się tego za życia, jest w dużej mierze jego zasługą.

Wreszcie, zwycięstwo Rumuńskiej Konwencji Demokratycznej w wyborach w 1996 r. oraz sukces Emila Constantinescu, prezydenta, który zainicjował i zapoczątkował Strategiczne Partnerstwo między Rumunią a Stanami Zjednoczonymi, były w dużej mierze zwycięstwami Corneliu Coposu.

Najważniejszym dziedzictwem Coposu pozostaje jednak prostota życia, umiejętność odróżniania dobra od zła, spokój w zetknięciu ze złem i nienawiścią, na które reagował z humorem. W wieku 75 lat, po przejściu najcięższych komunistycznych więzień i po wielu tragediach rodzinnych, Coposu wskrzesił historyczną partię i nadał Rumunii euroatlantycki kierunek. Dziś politycy często go przywołują, kierując się jego ideałem: „negocjujemy wszystko, ale nie negocjujemy zasad". I tą jego myślą: „Element etyczny musi dominować również w życiu politycznym. Poszanowanie własnych zasad jest warunkiem sine qua non działań człowieka, który chce być politykiem".

Corneliu Coposu zdołał zachować optymizm mimo osobistych dramatów, uśmiechać się nawet wtedy, gdy ci, którzy popierali komunizm, publicznie go poniżali, i wybaczyć niektórym z najbardziej odrażających sługusów zbrodni.

Być może nic nie oddaje lepiej jego życia i duchowego dziedzictwa niż krótki wiersz, który napisał w więzieniu, gdy został ukarany za to, że nie okazywał strażnikowi należnego szacunku:

„Zasiej, Panie, ciszę zapomnienia/ Po niekończącym się cierpieniu/ Zasiej rozległe przestrzenie wiary/ I zbierz rosę miłosierdzia./ Zasiej miłość i lilię/ Na polu porośniętym nienawiścią/ I rozsiej na górach żużlu/ Ciszę, przebaczenie i spokój". ● przeł. arp

Tytuł tekstu – „Wyborcza".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Daniel Citirigă**

• rumuński historyk, pracuje na Wydziale Historii i Nauk Politycznych Uniwersytetu Owidiusza w Konstancy.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414016

DO 24 MARCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

kwiecień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

CENA 199,99 zł**

Dostęp także do Wyborcza.pl*

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.
**Cena sugerowana

eprasa.pl 8024f7c131

ALE HISTORIA

W ROSJI *ofiary wojny* NIKOGO NIE INTERESUJĄ

Rosyjscy uczniowie są przekonani, że ich państwo zawsze stało po dobrej stronie historii, zawsze zwyciężało i nigdy nie popełniało błędów.

Z **BARTŁOMIEJEM GAJOSEM** ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

WOJCIECH SZOT: Piszesz tak: „Patriotyczna edukacja sowieckiego człowieka sprawia, że pamięć zbiorowa elity rządzącej Rosją jest nie do pogodzenia z pamięcią europejską o drugiej wojnie światowej”. Ile w tych elitach wciąż jest człowieka sowieckiego?
DR BARTŁOMIEJ GAJOS: Średnia wieku tych, którzy mają faktyczny wpływ na rządzenie Rosją, zbliża się do siedemdziesiątki. W większości to osoby, których podstawy edukacji wyznacza epoka późnego Breżniewa, czyli lata siedemdziesiąte XX wieku. To, co wtedy pokazywano w kinie, w telewizji czy pisano w literaturze, ukształtowało ich światopogląd. W 2000 roku ukazał się wywiad rzeka z Putinem, wtedy od kilku miesięcy rosyjskim prezydentem. Mówi w nim z nieskrywaną dumą, że uważa siebie za udany efekt wychowania sowieckiej edukacji. Dlatego, żeby zrozumieć, jak na teraźniejszość i historię patrzą rosyjskie elity, trzeba zagłębić się w to, co je ukształtowało.

Dzisiaj państwo zachęca młodych ludzi do wstąpienia do armii, sięgając po hasło: „Jest taki zawód – bronić Ojczyzny”. To cytat ze słynnego filmu z 1971 roku „Oficerowie”, którego bohaterowie – trzy pokolenia mężczyzn – służyli w sowieckiej armii. Efektem jest myślenie, że wojna w Ukrainie jest po prostu ciągiem dalszym rosyjskich – ich zdaniem sprawiedliwych – wojen.

Rosyjska opowieść o historii zdecydowanie różni się od tej, którą prezentujemy w Polsce czy zachodniej Europie. Co decyduje o tej różnicy?
– W społeczeństwach europejskich panuje zasadniczy konsensus co do hasła: „Nigdy więcej”. Działania państw europejskich są nastawione na realizację tej zasady. Oczywiście z pewnymi wyjątkami, ale uznaliśmy, że powojenny porządek, zwłaszcza dotyczący granic, jest nienaruszalny. W Rosji kolejne pokolenia dorastają jednak pod dyktando innego hasła. „Możemy powtórzyć”. Wojna, tak jak ją pokazuje rosyjska popkultura, to fajna przygoda, którą warto przeżyć. Nie pokazuje się ofiar, lecz zwycięskie parady. Ordery zamiast trupów. Tak skonstruowana opowieść o historii ma na celu również budowę rosyjskiej dumy.

Europa – przynajmniej w deklaracji – staje po stronie ofiar. Upamiętniamy nie tylko wielkie zwycięstwa, ale też ofiary rozstrzelań, katastrof, bitew. Rosja występuje w obronie sprawców. Ofiary ich nie interesują.

Dzisiaj niemal nikt w Europie nie wyobraża sobie polityka, który powie, że funkcjonowanie gestapo było w jakimś sensie uzasadnione, bo jego członkowie wyłapywali wrogów państwa. W Rosji jest inaczej. W 2017 roku Aleksander Bortnikow, szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa, podczas wywiadu powiedział, że masowe egzekucje dokonywane przez Czeka i NKWD były uzasadnioną walką, dbałością o integralność sowieckiego państwa. FSB, która jest dziedzicem tradycji NKWD, nie zamierza brać odpowiedzialności za represje wobec milionów obywateli Związku Sowieckiego.

Zdaniem Putina fakt, że na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku w ZSRR wiele się mówiło o ofiarach, o zbrodniach służb specjalnych i armii, sprawiło, że kraj znalazł się „na skraju rozpadu”. Tego „błędu” nikt nie chce powtórzyć.

W bliskim otoczeniu Putina znajduje się zaskakująco wielu historyków. Jeden z nich szczególnie mnie zaciekawił – Aleksandr Czubarjan.
– Z moich rozmów z rosyjskimi historykami wynikało, że jeśli z administracji prezydenta wychodzi jakieś zapotrzebowanie związane z historią, to trafia ono do Czubarjana i jego współpracowników. Można założyć, że Czubarjan jest też jednym z konsultantów przemówień Putina, kiedy ten odnosi się do historii.

To rzeczywiście postać niezwykła choćby ze względu na długowieczność i ciągłą aktywność. W połowie lat pięćdziesiątych ukończył Wydział Historyczny Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu. Siedem dekad temu! Czubarjan, rocznik 1931, ma ormiańskie korzenie, a jego kariera jest typowa dla osoby pochodzącej z mniejszości narodowej dawnego ZSRR, która przyjęła tę tożsamość imperialną. Od początku angażował się w propagandę. W moskiewskim archiwum Komsomołu trafiłem na dokument, z którego wynikało, że już w 1965 roku przygotowywał materiały propagandowe dla młodzieżówki komunistycznej w związku z kolejną rocznicą zakończenia drugiej wojny światowej.

„Zasłynął” tym, że w 1989 roku, gdy pakt Ribbentrop-Mołotow i jego tajny protokół stały się jawne, nadal bronił sowieckiej wykładni tego wydarzenia. Publicznie twierdził, to dokumenty zostały sfałszowane. Tacy ludzie jak Czubarjan są bardzo oddani budowie jednolitej wizji państwa, które nigdy nie popełnia błędów. Oni czują, czego to państwo w danym momencie potrzebuje od historii.

W 2017 roku obchodzono setną rocznicę rewolucji październikowej. Dla rosyjskich władz to twardy orzech do zgryzienia, bo nienawidzi ona słowa „rewolucja”, nawet jeśli to ich własna rewolucja. Podobnie jest z bolszewizmem i leninizmem. Najprawdopodobniej to Czubarjan jest autorem sformułowania „Wielka Rosyjska Rewolucja”, pod którym instytucje państwowe upamiętniały wydarzenia z 1917 roku. Chodziło oczywiście o nawiązanie do rewolucji francuskiej. To pokazuje, że ma wpływ na politykę historyczną Kremla.

„Historia, która zabija. Polityka historyczna putinowskiej Rosji”

Bartłomiej Gajos
Prześwity, Warszawa 2026

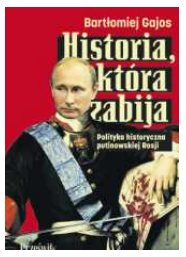

Dlaczego rewolucja francuska jest w tej wizji lepsza od innych rewolucji?
– Kreml zdaje sobie sprawę z tego, że rewolucja francuska jest symbolem znanym na całym świecie – niezależnie od tego, czy ktoś się do niej pozytywnie ustosunkowuje, czy nie. Upamiętniając wydarzenia rewolucji 1917 roku i wojny domowej pod nazwą „Wielka Rosyjska Rewolucja”, chciano ukazać je jako wydarzenia w dziejach świata znaczące na równi z tymi z końca XVIII wieku we Francji. To sprytne posunięcie, zwłaszcza w kontekście kształtowania wizerunku Rosji w krajach „globalnego Południa”.

Czego nie uczą się o historii Rosji dzieci w rosyjskich szkołach?
– Tego, że Rosja była jednym ze sprawców tragedii drugiej wojny światowej. Za to dowiadują się, że było to państwo, które ją wygrało. Podkreśla się nieustannie liczbę 27 milionów ofiar, ale jedynie w kontekście ostatecznego zwycięstwa.

Niestety, po części nasze wyobrażenie drugiej wojny światowej wciąż jest ukształtowane przez sowiecką propagandę. Bo kiedy mówimy o rosyjskich ofiarach, to zapominamy, że wielu z nich nie było Rosjanami. Jeśli popatrzeć z perspektywy całości populacji danej republiki wchodzącej w skład ZSRR, to najwięcej zginęło mieszkańców Białorusi – 25 proc. całej populacji, a następnie Ukrainy –16,3 proc., Łotwy – 13,7 proc., Armenii – 13,6 proc. i dopiero Rosji – 12,7 proc. Opowieść o drugiej wojnie światowej jest zunifikowana, zagarnięta przez Rosję.

Wojna z Ukrainą też poskutkowała przepisywaniem historii. Rosjanie roszczą sobie prawa do bycia kontynuatorami tradycji Rusi. Ukraina – zdaniem Rosji – nie miała własnej historii. A skoro ktoś nie ma historii, to nie ma prawa do istnienia.

W przypadku oczywistych spraw, jak choćby tych, że to Rosjanie stoją za mordami w Katyniu, próbuje się im zaprzeczyć, ale nie wprost. Czyli pisze się w najnowszych podręcznikach do klasy 10. i 11., że są podejrzenia, że to NKWD jest winna. „Podejrzenia”, zatem rzuca się cień wątpliwości. Do tego dodaje się, że ofiarami terroru stalinowskiego nie byli tylko Polacy, chcąc „znormalizować” zbrodnię katyńską jako jedną z wielu, a i tak nie największą.

Myślę, że rosyjscy uczniowie żyją w przekonaniu, że jest to państwo, które zawsze stało po dobrej stronie historii. Zawsze zwyciężało, nie popełniało błędów, a nawet jeśli takowe się przydarzyły, to były korygowane. Wszystkie zmiany, które w ostatnich latach zaszły w podręcznikach do historii, zmierzają ku temu, by przyszły, dorosły obywatel Rosji był człowiekiem gotowym pójść do wojska i „bronić ojczyzny”, czyli zabijać.

Czy – poza XX wiekiem – jakieś inne epoki są szczególnie „modne” w rosyjskiej wizji historii?
– XIX wiek jest traktowany po macoszemu, jako mało istotny. Oczywiście ma znaczenie jako czas, gdy utrwaliła się potęga rosyjskiego imperium, ale jednocześnie brakuje w nim wyrazistej symboliki, która byłaby użyteczna społecznie i politycznie. Dlatego dużo większe znaczenie ma Katarzyna II, a wszystko to – co może zaskakiwać – w kontekście wrogiej aneksji Krymu w 2014 roku.

W 1783 roku Rosja zajęła Chanat Krymski obejmujący nie tylko ziemie właściwego Krymu, ale także fragment ziem, gdzie dzisiaj znajdują się miasta Chersoń i Mikołajów.

Co symptomatyczne, przed zajęciem półwyspu Katarzyna II nie bardzo się Krymem interesowała. Za to zwolennikiem jego zajęcia był książę Potiomkin, który przekonywał imperatorową, że Chersonez może stać się południową stolicą imperium. Gdy w 1783 roku Rosja zajęła Krym, w kraju wybucha euforia. Jednocześnie pojawiła się potrzeba wytworzenia jakichś historyczno-ideowych uzasadnień dotyczących zajęcia Chanatu. Pokazania, że chodziło nie tylko o pazerność i podbój nowych ziem, ale o coś więcej. To, w jaki sposób je wytworzono, jest ciekawą lekcją polityki historycznej.

Ziemie zlikwidowanego Chanatu rozciągały się na obszar dzisiejszej południowej Ukrainy, W starożytności swoje kolonie zakładali tam Grecy. Zatem – skoro Rosja uważa się za trzeci Rzym, kontynuatora tak rzymskiej, jak i bizantyjskiej tradycji, to przynależność Krymu do Rosji jest przecież czymś dziejowo uzasadnionym.

Do tego dołożono fakt, że w Chersonezie Taurydzkim ochrzczono Włodzimierza Wielkiego. Miastom pozmieniano nazwy, by brzmiały „z grecka”. Kezlew stał się Eupatorią, a Ak Meczet Symferopolem. Ten „grecki projekt” w nowej reinkarnacji wciąż odżywa w rosyjskiej myśli politycznej i jest dla Rosjan niesamowicie ważny tożsamościowo.

Był moment, gdy Rosjanie odpuścili Krym. Bolszewicy po rewolucji nie wiedzieli, co z nim zrobić. Bo jak połączyć Krym z rewolucją? Utworzono Krymską Autonomiczną Socjalistyczną Republikę Radziecką. W 1944 roku doszło do wypędzeń Tatarów i intensyfikacji rosyjskiego oraz ukraińskiego osadnictwa. Dziesięć lat później obwód krymski wszedł w skład Ukraińskiej SRR. Wtedy jednak wszyscy wierzyli w wieczną przyjaźń ukraińsko-rosyjską w ramach ZSRR i nikomu w głowie się nie mieściło, że Krym znajdzie się poza granicami państwa. A jednak tak się stało.

Jakiś czas temu Putin sięgnął po jeszcze jedną historię z czasów Katarzyny II.
– To było na samym początku jego kariery prezydenckiej. Chcąc pokazać, że Rosja wspierała powstanie Stanów Zjednoczonych, przypomniał o tym, że caryca odmówiła brytyjskiemu królowi Jerzemu III wysłania swoich żołnierzy do brytyjskich kolonii w celu stłumienia rewolucji. W liście caryca tłumaczyła, że jej wojska były zmęczone niedawną wojną z Turcją i nierozwiązanymi sprawami w Rzeczypospolitej. To dyplomatyczna ciekawostka, ale też pokazuje, jak sprawnie rosyjscy historycy potrafią znaleźć w przeszłości wydarzenia, które można instrumentalnie dzisiaj wykorzystać, żeby budować wzajemną dobrą atmosferę.

Skoro cofamy się w czasie, to chyba już muszę zapytać o 4 listopada...
– ...czyli Dzień Jedności Narodowej. Ustanowiono go w 2005 roku i ma upamiętnić moment „wygnania Polaków z Kremla w 1612. Co roku pojawia się w Polsce mem o tym, że „Rosja jest jedynym krajem, który świętuje zakończenie polskiej okupacji na świecie”.

Tu znowu prawda historyczna nie do końca odpowiada popularnej wizji przeszłości. Wielka smuta, która rozpoczęła się w 1598 roku, była wojną domową po śmierci ostatniego z przedstawicieli moskiewskiej linii panującej dynastii Rurykowiczów – Fiodora. Polacy byli po obu stronach konfliktu. Polski garnizon, który miał okupować Kreml, został tam wezwany przez zwolenników wyboru syna polskiego króla Zygmunta III Wazy, Władysława na cara. Mieli go bronić przed zwolennikami Dymitra II Samozwańca. To elity moskiewskie wybrały Władysława Wazę na cara, nie Polacy.

To święto wprowadzone na siłę. Po prostu Putin nie przepada za komunistami i postanowił przestać obchodzić rocznicę wybuchu rewolucji bolszewickiej, która przypada 7 listopada. Coś jednak musiał zaoferować w zamian. Zbieżność dat tu pomogła. I padło na Polskę. Warto pamiętać o tym, że święto zostało wymyślone w trakcie pomarańczowej rewolucji w Ukrainie, w którą Polska była bardzo zaangażowana. Oczywiście chodziło o symboliczny odwet za nasze zaangażowanie.

Rosjan wciąż zajmuje Pierwsza Rzeczpospolita?
– Istnieje w Rosji przekonanie, że wciąż dysponujemy imperialnym genem, że Polacy nie zapomnieli o swojej dawnej wielkości i bardzo by chcieli, żeby Rzeczpospolita rozciągała się po Kijów i Mińsk. Stąd te wszystkie propozycje rozbioru Ukrainy, które słyszeliśmy w ciągu ostatnich lat.

To teraz czas na już wspominane przez ciebie średniowiecze.
– W 2016 roku rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow napisał skierowany do międzynarodowego odbiorcy artykuł, w którym opierał strategię polityczną kraju na historycznym determinizmie. Każde państwo powinno mieć taki status, jaki miało w przeszłości.

Dlatego w sprawie Rusi prowadzona jest z Ukraińcami rywalizacja. Ukraińcy uważają, że mają monopol na Ruś. Rosjanie podobnie. W warunkach wojennych jest

◀ Marsz Nieśmiertelnego Pułku na Newskim Prospekcie w Petersburgu z okazji Dnia Zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami, 9 maja 2025 roku. Na czele maszeruje młodzież w mundurach z II wojny światowej
FOT. ANDREI BOK/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 8024f7c131

to dla mnie zrozumiałe, w warunkach akademickich podchodzę do tego kompletnie inaczej. Rosjanie przygotowują film o Annie Jarosławównie, córce Jarosława Mądrego, która w 1051 roku wyszła za Henryka I, króla francuskiego. Celem będzie pokazanie Anny jako władczyni rosyjskiej, symbolu więzi Rosji z Europą, i uczestnictwa w budowaniu podwalin współczesnego świata. Jestem jednak ciekaw, jak to wkomponują w obecny dyskurs propagandowy, w którym sama Europa nie odgrywa przecież pozytywnej roli, mówiąc dyplomatycznie.

Wróćmy jeszcze do sprawy Krymu. Choć dzisiaj już chyba zdecydowana większość Polaków uważa, że powinien wrócić do Ukrainy, to jednak w 2014 roku wiele osób nie wiedziało, co z tym fantem zrobić. A może Rosjanie jednak mają jakieś prawa do Krymu – zastanawiano się.
– To pokazuje, jak wielką siłę perswazji ma narracja historyczna. Gdzieś w nas jest pytanie, „czyje to było najpierw". To niebezpieczne, bo gdybyśmy mieli wejść na tę ścieżkę, to byśmy się w Europie wszyscy pozabijali. Jeśli zaczniemy się zastanawiać, czy Strasburg to francuskie, czy niemieckie miasto, będziemy musieli porozmawiać o Szczecinie. I tak dalej. W efekcie nigdy się nie dogadamy. Jednocześnie wspieranie takiego myślenia jest w interesie Rosji. Rosyjscy dyplomaci w swoich wypowiedziach chętnie nawiązują do kongresu wiedeńskiego z 1815 roku. Podczas obrad Panelu Wybitnych Osobistości ds. Bezpieczeństwa Europejskiego, który w ramach OBWE zorganizowano w 2014 roku, Siergiej Karaganow zaproponował zorganizowanie w Wiedniu szczytu podobnego do tego, który miał miejsce po zakończeniu wojen napoleońskich.

Rosja chciałaby, żebyśmy myśleli kategoriami praw historycznych oraz praw silniejszego, dlatego instrumentalnie wykorzystuje swoje wyimaginowane prawa do Krymu, by siać wątpliwości. Stąd Elon Musk mówiący, że Krym powinien pozostać rosyjski. Na świecie wciąż jest jakaś empatia wobec Rosji, która próbuje przekonać świat, że Krym to filar rosyjskiej tożsamości, jak pisał w 1991 roku Anatolij Czerniajew, doradca Michaiła Gorbaczowa do spraw Międzynarodowych.

Niestety, myślenie: „skoro coś kiedyś należało do nas, to znowu powinno", zaczęło być stosowane przez Trumpa. Gdy mówi, że w 1945 roku Stany Zjednoczone oddały Grenlandię Duńczykom, to – poza zaprzeczaniem prawdzie historycznej – sięga właśnie po logikę dobrze znaną z polityki Putina.

Wspomniałeś o swoich pobytach w Rosji. Co robiłeś w Moskwie?
– Jestem historykiem, więc chodziłem po archiwach i spotykałem się z ludźmi, którzy zajmują się historią. Ostatni raz byłem tam w 2019 roku.

Jak reagowano na ciebie w archiwach?
– Ja na ciekawostkę. Bo jestem młody i mówię po rosyjsku, a to nie jest typowe w moim pokoleniu – urodziłem się niecałe dwa miesiące po upadku ZSRR. Niektórzy byli podejrzliwi, bo po co Polak w Moskwie w tych czasach? Ale nigdy nie spotkałem się z agresją. Tak samo jak w archiwach, nikt nie odmówił mi wydania jakichś zamówionych wcześniej teczek. Czasem jednak dostrzegałem w archiwach fragmenty inwentarza zaklejone białą taśmą. Po procesie odtajniania akt przyszedł czas na ich utajnianie. Co ciekawe, dotyczy to spraw sprzed stu lat.

Co jest tajne w rosyjskich archiwach?
– Najbardziej utrudniony jest dostęp do archiwów FSB, czyli dawnego KGB oraz NKWD. Skoro FSB jest kontynuatorką tamtych struktur, to nie może ujawniać, co one robiły obywatelom. Spore utrudnienia są też w dostępie do akt osób represjonowanych. Rodziny mogą je uzyskać, ale badacze już nie. Tłumaczy się to kwestiami dostępu do danych osobowych.

Jakim krajem jest Rosja?
– Wcale nie jakimś wyjątkowym, obcym.

Dla Polaków bardzo atrakcyjna jest opowieść o tym, że Rosja upada, że jest tam biednie i strasznie. I ona jest w pewnym stopniu prawdziwa, ale prawda jest taka, że Moskwa, jaką widziałem, była całkiem nowoczesna, nie różniła się jakoś bardzo od innych dużych miast w Europie. Oczywiście, gdy wchodziłem do archiwum, to widziałem niedofinansowanie i pracowników, którzy zarabiali niewiele. Ale „na mieście" mogłem pójść do niezłej restauracji i wypić kawę w dobrej kawiarni. Oczywiście co innego, gdy się z Moskwy wyjedzie. Byłem w Tambowie, ponad 500 kilometrów na południe od stolicy, i tam rzeczywiście poczułem się jak w czasach, gdy kręcono w Polsce „Alternatywy 4". Ale i to nie jest do końca prawda.

• **Dzieci z ruchu Armia Młodzieży salutują przed moskiewskim pomnikiem Wiecznego Płomienia podczas obchodów Dnia Rosji, 12 czerwca 2025 roku**
FOT. PAP/EPA/SERGEI ILNITSKY

Ben Judah, brytyjski historyk, napisał świetną książkę o Rosji „Fragile Empire". Stawia w niej banalną i w tej banalności wybitną tezę, że legitymacja reżimu putinowskiego trzyma się na supermarketach. To, że supermarkety są w każdym większym mieście, jest decydujące. Prawda jest taka, że za putinizmu Rosjanom żyje się naprawdę nieźle, zwłaszcza porównując z poprzednimi okresami. I te supermarkety, które stają się nowymi centrami życia społecznego, są dla Rosjan świadectwem modernizacji.

Oczywiście są miejsca skrajnie biedne, ale przez 26 lat putinizmu ten kraj się zmienił i dla jego mieszkańców to zmiana zdecydowanie na lepsze.

Dzisiaj – cokolwiek byśmy o tym myśleli – statystycznemu Rosjaninowi żyje się – w porównaniu na przykład z latami dziewięćdziesiątymi XX wieku – lepiej. A jako historyk zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że nigdy w historii Rosji zwykli obywatele – i to nawet z tych najbiedniejszych regionów – nie doświadczyli – jak na rosyjskie standardy – takiego dobrobytu.

Trudno to przyjąć.
– Myślę, że zbiorowym marzeniem w Polsce jest opowieść o Rosji jako kraju upadłym, ale to nie jest prawdziwy obraz. Pracuję w Centrum Mieroszewskiego. Nasz patron zawsze uważał, że jeżeli chcemy poznać wrogi nam kraj, musimy go umieć docenić. Docenić nie w formule afirmacji, ale w formule świadomego uznania, że coś ten kraj osiągnął. W ten sposób potrafimy zidentyfikować jego mocne strony.

Za putinizmu w Rosji przyjął się kapitalizm. Do tego stopnia, że metody zarządzania kapitalistycznego stosuje się w wojsku, i to przynosi pozytywne dla niego skutki. I to mimo kryzysu ekonomicznego, który jest faktem. Z tym że wciąż ten kryzys to coś zupełnie innego niż nędza za Breżniewa czy w latach dziewięćdziesiątych.

Mamy też silną potrzebę wykreowania wizerunku Rosji jako obcej nam cywilizacji.

Wbrew pozorom ten kapitalizm pokazał, że Rosjanie mają takie same marzenia jak my – spokojnego życia, dostatniego na tyle, żeby raz do roku wyjechać na wakacje do Egiptu czy Turcji i nie musieć zastanawiać się nad każdym zakupem w supermarkecie.

Brzmi to szokująco, ale proszę się zastanowić, dlaczego osoby z biednych regionów takich jak Buriacja czy Republika Komi, w których średnie miesięczne wynagrodzenie wynosi 250 dolarów, są gotowi zabijać i dołączyć do armii oferującej niekiedy – tylko za sam podpis na kontrakcie – 30 tysięcy dolarów? Moim zdaniem aspiracje konsumpcyjne są jedną z najważniejszych odpowiedzi. Drugą – i to nas różni – jest przekonanie wpajane przez państwo, że „możemy powtórzyć".

Jest jeszcze jedna kwestia, którą dzisiaj trudno dostrzec. Pełnoskalowa inwazja sprawiła, że Rosja przechodzi, kolejną w ostatnich 120 latach swojej historii, transformację społeczną i polityczną. W jakim stanie i kiedy ta rozgrzana do czerwoności magma zastygnie, trudno przewidzieć.

Nasza i rosyjska wizja przeszłości bardzo się od siebie różnią. Ale czy jest w ogóle możliwe, żeby były kompatybilne?
– Na pewno najłatwiej dążyć do tego na poziomie akademickim. Jednak na poziomie społecznym opowieść o historii ma za zadanie kształtować wspólnotę narodową. Wspólne podręczniki historii to utopia. To, co możemy robić, to przekonywać innych, by niektóre ważne dla nas wydarzenia stały się również ważne dla nich. Przykładem jest rezolucja Parlamentu Europejskiego w rocznicę paktu Ribbentrop-Mołotow.

Trzeba przypominać o tym, że przed 1941 rokiem Rosja, uznająca się za spadkobierczynię ZSRR, była najeźdźcą, który chciał razem z Niemcami dokonać podziału Europy. Przeciwdziałanie rosyjskiej propagandzie historycznej to dziś ważne zadanie. Nie tylko dla historyków. ●

Istnieje w Rosji przekonanie, że wciąż dysponujemy imperialnym genem, że Polacy nie zapomnieli o swojej dawnej wielkości i bardzo by chcieli, żeby Rzeczpospolita rozciągała się po Kijów i Mińsk. Stąd te wszystkie propozycje rozbioru Ukrainy

eprasa.pl 8024f7c131

Jasne strony dziejów

Polak patrzy na Srebrenicę

Wstrząsające raporty Tadeusza Mazowieckiego z Jugosławii pokazują, że ludzkość słabo uczy się na swoich błędach. Zarazem są dowodem na to, że przyzwoitość nie jest skazana na porażkę.

Brzeziecki

Były lepsze czasy, gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych cieszyła się większym prestiżem, a przemoc między narodami budziła sprzeciw. Oczywiście – nie ma co idealizować przeszłości, bo dowodów na okrucieństwo w innych epokach znajdziemy aż nadto. Niemniej lata dziewięćdziesiąte XX wieku to czas świadomości i pamięci o okropnościach totalitaryzmów oraz nacjonalizmów, a zarazem nadzieja, że upiory uda się przegnać na dobre. Dziś wiemy, że nadzieje nie mogą się spełnić, ale przecież nie oznacza to, że należy popadać w zupełne przygnębienie.

Tadeusz Mazowiecki został specjalnym sprawozdawcą Narodów Zjednoczonych ds. przestrzegania praw człowieka w byłej Jugosławii latem 1992 roku i pełnił tę funkcję do 1995 roku, gdy sam z niej zrezygnował w geście protestu wobec międzynarodowej bezczynności po masakrze w Srebrenicy. Zwątpienie ogarniało go już wcześniej – sporządził w sumie 18 raportów, które poruszały opinię publiczną, ale nie wpływały na rzeczywistość. Jego dymisja była jednak, jak napisał jego współpracownik prof. Roman Wieruszewski, „kamyczkiem, który uruchomił lawinę, w efekcie której kilka miesięcy później doszło do zawarcia pokoju w Dayton”. Wówczas USA starały się przyczyniać do pokoju w świecie. Rezygnacja Mazowieckiego z funkcji, będąca de facto krzykiem rozpaczy, okazała się integralną częścią jego misji.

Co ciekawe – choć misja Tadeusza Mazowieckiego budziła zainteresowanie polskich mediów – raporty te nigdy nie ukazały się po polsku w całości. Bądź co bądź dla ówczesnej Polski, która dopiero pukała do zachodniego świata, nie było bez znaczenia, że to jej były premier został wskazany jako przedstawiciel Narodów Zjednoczonych. Miał do tego kwalifikacje: jako były dysydent, który rok spędził w obozie dla internowanych, doskonale wiedział, jakie są mechanizmy pozbawiania ludzi ich praw. Wiedział, czego szukać, o co pytać i jak pytać.

Dopiero pod koniec ubiegłego roku – w 30. rocznicę ludobójstwa w Srebrenicy – Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego podarowały nam elegancko wydany komplet raportów Mazowieckiego. Towarzyszą im liczne dodatki, jak wprowadzenie autorstwa prof. Wieruszewskiego, materiały prasowe, kalendarium czy mapy. Razem, bagatela, 900 stron.

Choć dymisja Mazowieckiego przeszła do historii, nie należy lekceważyć raportów. To wzorzec z Sèvres (niestety, przydatny do dziś) dokumentacji naruszeń, przestępstw i zbrodni, do których dochodzi w czasie wojny.

Zawierają one precyzyjne dane, wnioski i rekomendacje. Mazowieckiemu chodziło o to, aby nikt nigdy nie mógł zasłonić się niewiedzą. Załączone w tomie wystąpienia na forach międzynarodowych to także zapis dramatycznej osobistej walki Polaka o to, by świat ruszył na pomoc prześladowanym. Doceniły to społeczności b. Jugosławii i pamiętały to zaangażowanie Mazowieckiego jeszcze wiele lat po wojnie.

Oczywiście Mazowiecki nie działał ani nie pisał swych raportów w pojedynkę – towarzyszyli mu świetni ludzie z prof. Wieruszewskim na czele.

Ważną rolę – także jako dziennikarz – w otoczeniu specjalnego sprawozdawcy odgrywał Konstanty Gebert. W raportach widać starania o zachowanie bezstronności i posługiwanie się jak najbardziej opisowym językiem. Ale przecież nikt przyzwoity nie jest w stanie pisać beznamiętnie o czystkach etnicznych, przemocy, gwałtach, poniżaniu, dezinformacji i obrażaniu uczuć religijnych. Czuć je nawet w pisanych prawniczym językiem sprawozdaniach. Mazowiecki podkreślał, że ofiary i cierpienie są po wszystkich stronach konfliktu, widział jednak – i to jako chrześcijanina go przerażało – że w imię jego religii dokonuje się mordów na muzułmanach w Bośni.

Raporty Mazowieckiego można czytać jak świadectwo historii, ale także jak współczesny komentarz i przestrogę. Po upadku Srebrenicy mówił: „W tej sytuacji także jako Polak muszę powiedzieć, że czuję się zagrożony, ponieważ takie konflikty mogą wybuchać wszędzie, poza tym czuję się zagrożony dlatego, że dziś w świecie nie ma ani przywództwa, ani instytucji broniących porządku międzynarodowego”.

Wojnę w Jugosławii zapamiętałem jako ostatni akord rozpadu starego świata naznaczonego faszyzmem i komunizmem. Potem miało być już tylko lepiej. Jest, jak jest, ale przecież mogło być gorzej. To tacy ludzie jak Mazowiecki budowali dla nas ten znośny świat. Chwała im za to! ●

Tadeusz Mazowiecki, „Raporty z Jugosławii 1992-1995. Pisma i dokumenty”, Warszawa 2025

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Antypolityka historyczna

Populizm przed populizmem

Mniej więcej do przełomu XIX i XX wieku radykalizm wydawał się wyłączną domeną lewicy.

Janowski

W XIX-wiecznych tekstach znajdują się czasem, wśród myśli naiwnych albo przebrzmiałych, fragmenty frapujące. Czytam właśnie, gorączkowo usiłując napisać jakiś artykuł, którego deadline dawno minął, polską publicystykę konserwatywną. W „Tece Stańczyka” jednym z najgłośniejszych polskich pamfletów politycznych (rok 1869) Stanisław Tarnowski, wówczas początkujący autor, a wkrótce jeden z przywódców krakowskiego konserwatyzmu, krytykuje radykalną politykę, której wówczas jeszcze nie nazywano populizmem. Otóż dla radykalnego polityka „pierwszą regułą” jest „żeby zawsze powiedział więcej od innych, żeby wszystkich przeskoczył i prześcignął. Jeśli twój poprzednik powiedział i obiecał dziesięć, ty powiedz i obiecaj sto.” Trzeba wciąż wzmacniać emocje. Środkiem są „owacje wymyślane przy każdej sposobności, owacje, przy których lud stoi na ulicy, nosi pochodnie i słucha, co mu prawią z balkonu, a oratorowie przy uroczystej uczcie wznoszą toasty”, w których zawsze musi być „jaki szumny i górnolotny frazes o Polsce. [...] To wszystko, czy w celu wywołania rozruchów, lub rewolucji we Lwowie? Nie, w celu bezpośrednim opanowania sejmu [...], a co dalej nastąpi, to się potem pokaże” („Obrachunek »Przeglądu Polskiego«”, tekst z 1876).

„Demonstracje łudzą pozorną odwagą, pozorną jednością, pozornym zaspokojeniem narodowego uczucia, ale nazajutrz nie zostawiają nic oprócz jakiejś próżni w wyobraźni [...]. A jak u człowieka, który się pić przyzwyczaił, niesmak po przepiciu da się usunąć nowym tylko upiciem, tak i ta pozostała w wyobraźni próżnia [...] daje się tylko zapełnić i uspokoić nową dozą środków ekscytacyjnych”. Tak postępować jednak „nie jest bezpiecznie, bo w ciele społecznym jak i w ciele fizycznym skończyć się to może na delirium tremens”.

A dalej już bardzo ostro, jak na XIX-wiecznego konserwatystę: „czym innym jak polityczną onanią [...] są nieudane niepłodne periodyczne ruchy i ta mdła pożądliwość ruchu, która się demonstracjami objawia” („Sumienność dzienników i dziennikarzy”, tekst z 1869).

Innymi słowy: sami radykałowie nie traktują w pełni poważnie swych haseł, służących jedynie zdobyciu władzy. Kiedy zaś się już władzę zdobędzie, „to się pokaże”. Ciągłe utrzymywanie społeczeństwa w podnieceniu, porównywanym przez Tarnowskiego z upojeniem alkoholowym i z podnieceniem seksualnym, jest głównym narzędziem radykalnej polityki. Kampania wyborcza nie ogranicza się do krótkiego czasu, trwa bez przerwy. Zauważmy, że mniej więcej do przełomu XIX i XX wieku radykalizm wydawał się wyłączną domeną lewicy.

Partie, które Tarnowski atakował, były raczej umiarkowanymi ugrupowaniami liberalnymi, a ich próby prowadzenia radykalnej polityki były dość nieudolne. Trudno nie dostrzec w tak ostrym ataku elementu demagogii (patrzcie, jak silny jest wróg, tylko konserwatyści mogą was przed nim uratować) – demagogii, którą sam Tarnowski zarzucał przeciwnikom. A jednak, choć nie miał racji w krytyce galicyjskich demokratów, trafnie dostrzegł pewne zjawiska, które wówczas były jeszcze w zarodku. Jego teksty słabo opisują politykę trzeciej ćwierci XIX wieku, ale dobrze pokazują niektóre cechy nowoczesnej polityki masowej.

Nasuwa się myśl, że taka polityka nie pojawia się w dziejach za jednym razem, tylko „falami”; że przynajmniej od rewolucji francuskiej, a może nawet od zawsze, od starożytności, zdarzają się sytuacje, w których polityka masowa, ze swoją emocjonalnością, skłonnością do przemocy, itd. wychodzi na powierzchnię, jak choćby w Czechach w czasach rewolucji husyckiej w XV wieku. Na bardzo małą skalę mieliśmy taką „falę” w Galicji w czasach, gdy Tarnowski pisał swe teksty, potem nadeszła pewna stabilizacja, która na przełomie XIX i XX wieku ustąpiła miejsca rozwojowi masowych partii politycznych, potem po II wojnie światowej mieliśmy znowu jakby odejście od tej masowej polityki, która powróciła z nową siłą w ostatnich dekadach.

Powstaje pytanie: czy dzisiaj mamy kolejną z tych „fal” polityki masowej, która wcześniej czy później znowu ustąpi polityce umiarkowanej i bardziej racjonalnej, czy też najróżniejsze zmiany społeczne zaszły tak daleko, że demagogia, przed którą przestrzegał Tarnowski, na zawsze pozostanie normą?

To pytanie do wróżki, nie do historyka. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl 8024f7c131

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO (6)

• Wagon kolejki linowej podąża do górnej stacji na Kasprowym Wierchu. Z przodu, na zewnętrznej platformie, widać narty turystów. Zdjęcie wykonano w 1936 roku, wkrótce po jej otwarciu. Od pierwszych dni kolejka cieszyła się ogromną popularnością

NA LINIE NA KASPROWY

▲ Robotnicy transportują koło zębate wyciągarki kolejki transportowej, którą dostarczano materiały budowlane na szczyt Kasprowego Wierchu, 1935 rok

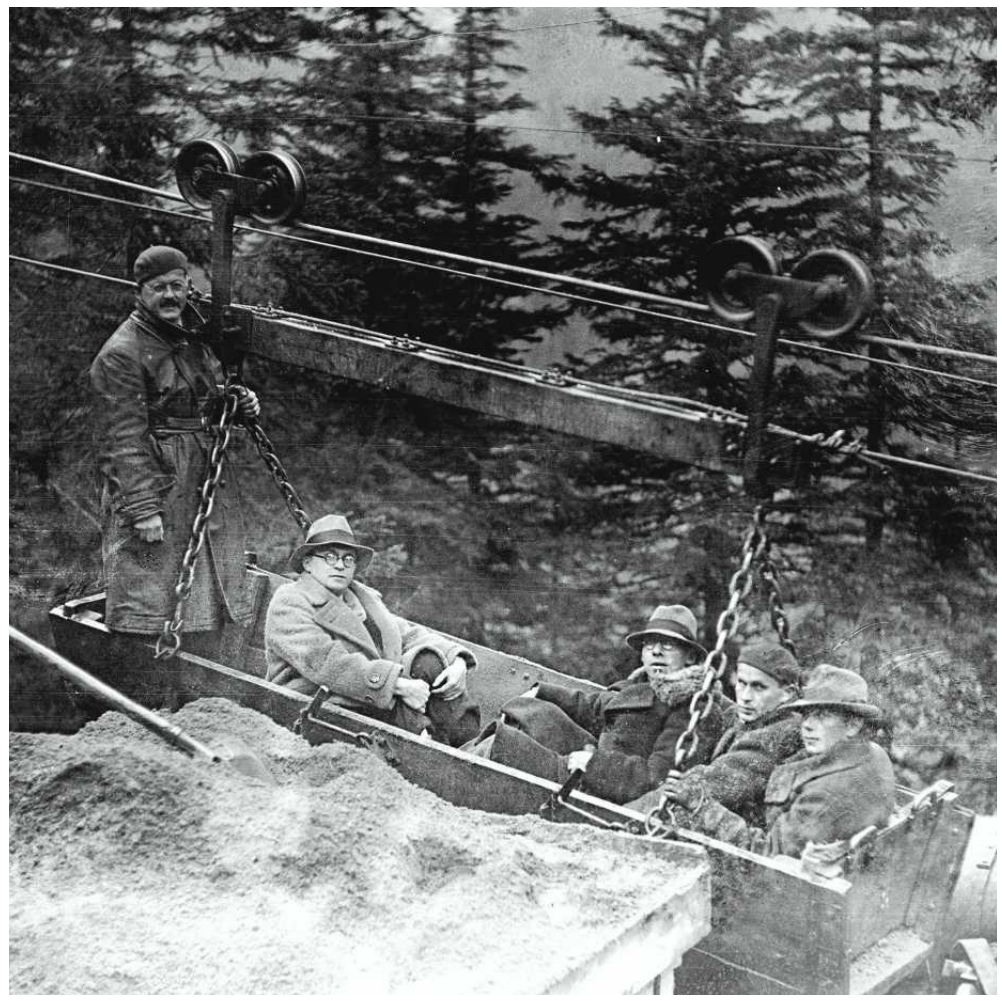

▲ Po wybudowaniu drewnianych podpór uruchomiono tzw. trumienkę, czyli niewielki wagonik roboczy. Na zdjęciu grupa dziennikarzy w towarzystwie inżyniera Aleksandra Kodelskiego (drugi z lewej) jedzie nią w stronę Kasprowego Wierchu, do podpory piątej, 1935 rok

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

Mija 90 lat od pierwszego kursu kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Jej budowa trwała zaledwie siedem miesięcy i była ogromnym wyzwaniem logistycznym. W Tatrach nie było wtedy dróg dojazdowych ani nowoczesnych maszyn budowlanych. Większość materiałów trzeba było transportować w góry na grzbietach koni, wozami, a często także na plecach robotników. Na budowie pracowało od kilkuset do nawet tysiąca ludzi, wśród nich cieśle, kamieniarze, ślusarze i monterzy konstrukcji stalowych. Pracowali po kilkanaście godzin dziennie – także w niedziele i święta.

Wielkim orędownikiem budowy kolejki był inżynier Aleksander Bobkowski, wiceminister komunikacji, zapalony narciarz i szef Polskiego Związku Narciarskiego.

Dla polskich władz inwestycja była czymś więcej niż tylko udogodnieniem dla turystów. Miała stać się symbolem nowoczesnej Polski.

Ale nie wszyscy byli zachwyceni. Budowa od początku wzbudzała ogromne emocje. Przeciw ingerencji w dziką przyrodę Tatr protestowali nie tylko przyrodnicy i naukowcy, ale także część turystów. Obawiali się, że łatwy dostęp na wysoki szczyt doprowadzi do masowego napływu turystów i nieodwracalnych zmian w górskim krajobrazie. Protesty organizowali m.in. działacze Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Mimo sprzeciwów inwestycja ruszyła.

Najtrudniejsze warunki panowały na samym szczycie Kasprowego Wierchu. Robotnicy pracowali tam na wysokości prawie 2 tys. metrów nad poziomem morza, przy silnym wietrze, mrozie i śnieżycach, które w Tatrach pojawiają się już jesienią. Mieszkali w prowizorycznych drewnianych barakach. Spali na pryczach ustawionych ciasno obok siebie. Często przez wiele dni nie schodzili z góry do Zakopanego. Ich praca przypominała czasem bardziej wspinaczkę niż budowę. Na stromych zboczach montowali stalowe podpory i rozciągali ogromne liny nośne kolejki. A mimo ekstremalnych warunków prace posuwały się w niezwykłym tempie i 15 marca 1936 roku kolejka została uroczyście otwarta.

Na inaugurację do Kuźnic zjechały liczne delegacje: goście oraz przedstawiciele władz państwowych, wśród nich minister Bobkowski. Konduktorzy kolejki mieli eleganckie mundury z jasnymi kurtkami i granatowymi pumpami.

Zabawny, ale dobrze zapamiętany epizod dotyczy pierwszego pasażera kolejki. Gdy nadszedł moment wejścia do wagonika, okazało się, że nikt z oficjeli nie miał odwagi wsiąść do nowego środka transportu. Z pomocą przyszedł pies Rebus należący do żony ministra Bobkowskiego. Jako pierwszy wskoczył do wagonika, co rozbawiło zgromadzonych i rozładowało napięcie.

Relacje prasowe mówią o entuzjastycznym przyjęciu pierwszego przejazdu. Dziennikarze i goście opisują widoki spod górnej stacji, pierwsze zdjęcia na tarasie widokowym oraz dumę z tego, że Polska jest jednym z niewielu krajów europejskich, które mogą pochwalić się tak nowoczesnym rozwiązaniem technicznym już w latach 30. XX wieku. ●

Marek Podmokły

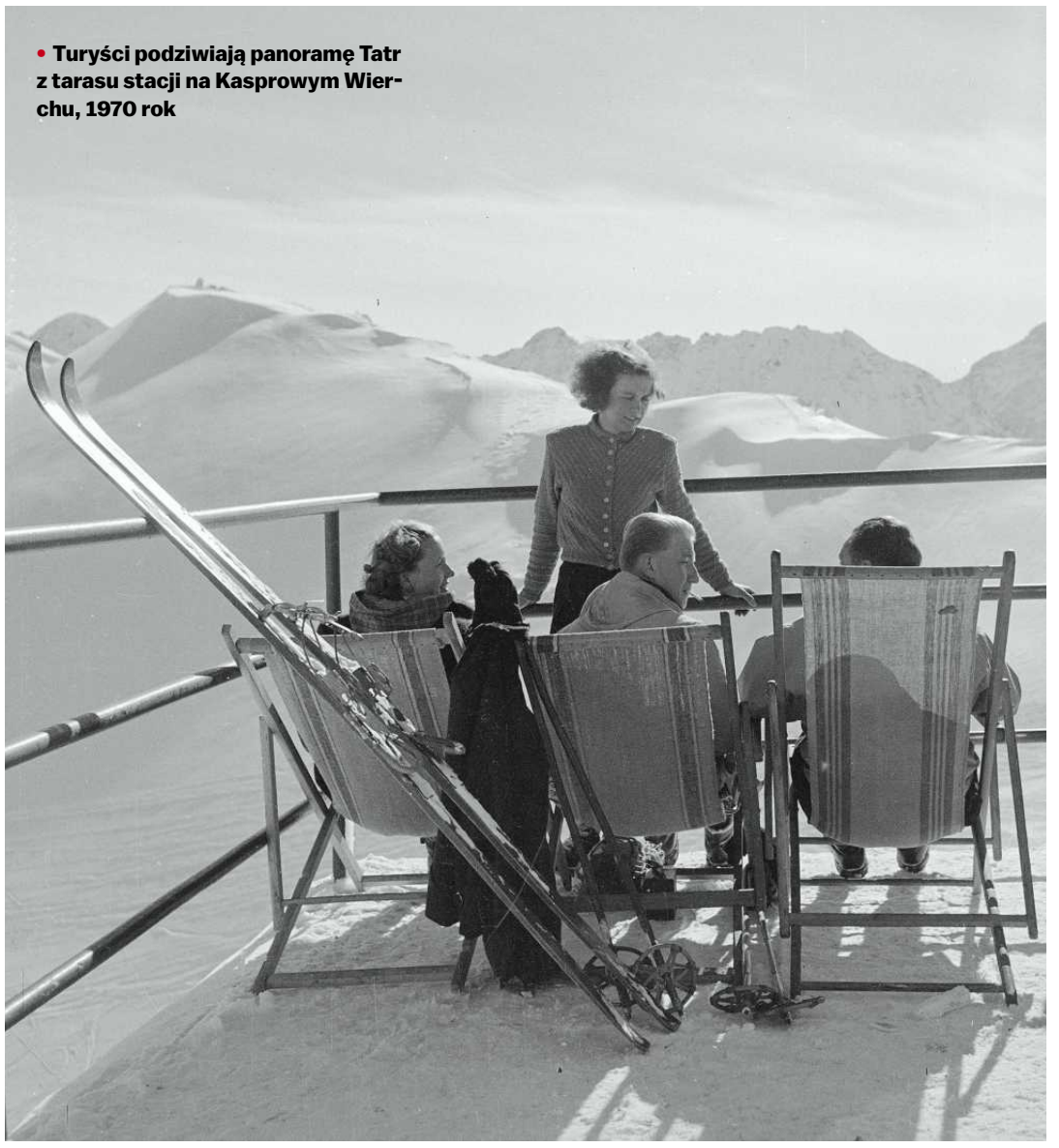

• Turyści podziwiają panoramę Tatr z tarasu stacji na Kasprowym Wierchu, 1970 rok

WIERCH

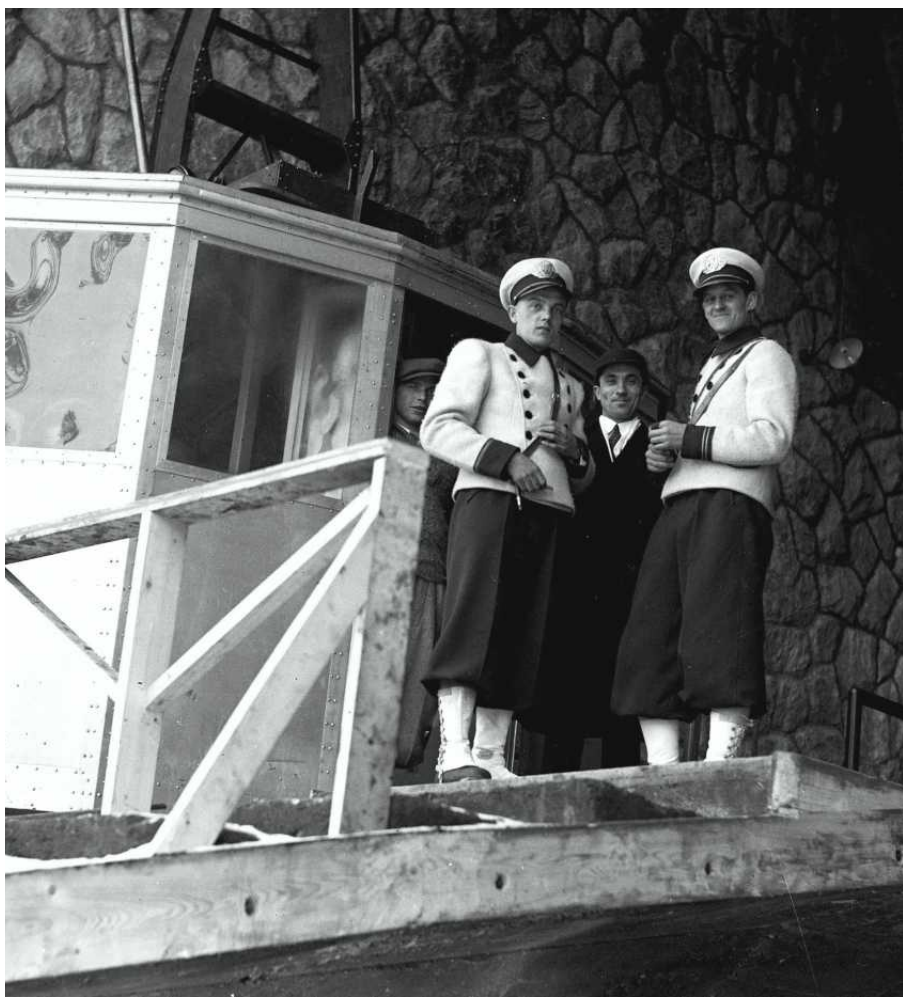

▲ Konduktorzy Motyka i Jaroszewicz w wytwornych białych uniformach na górnej stacji na Kasprowym Wierchu, 1936 rok

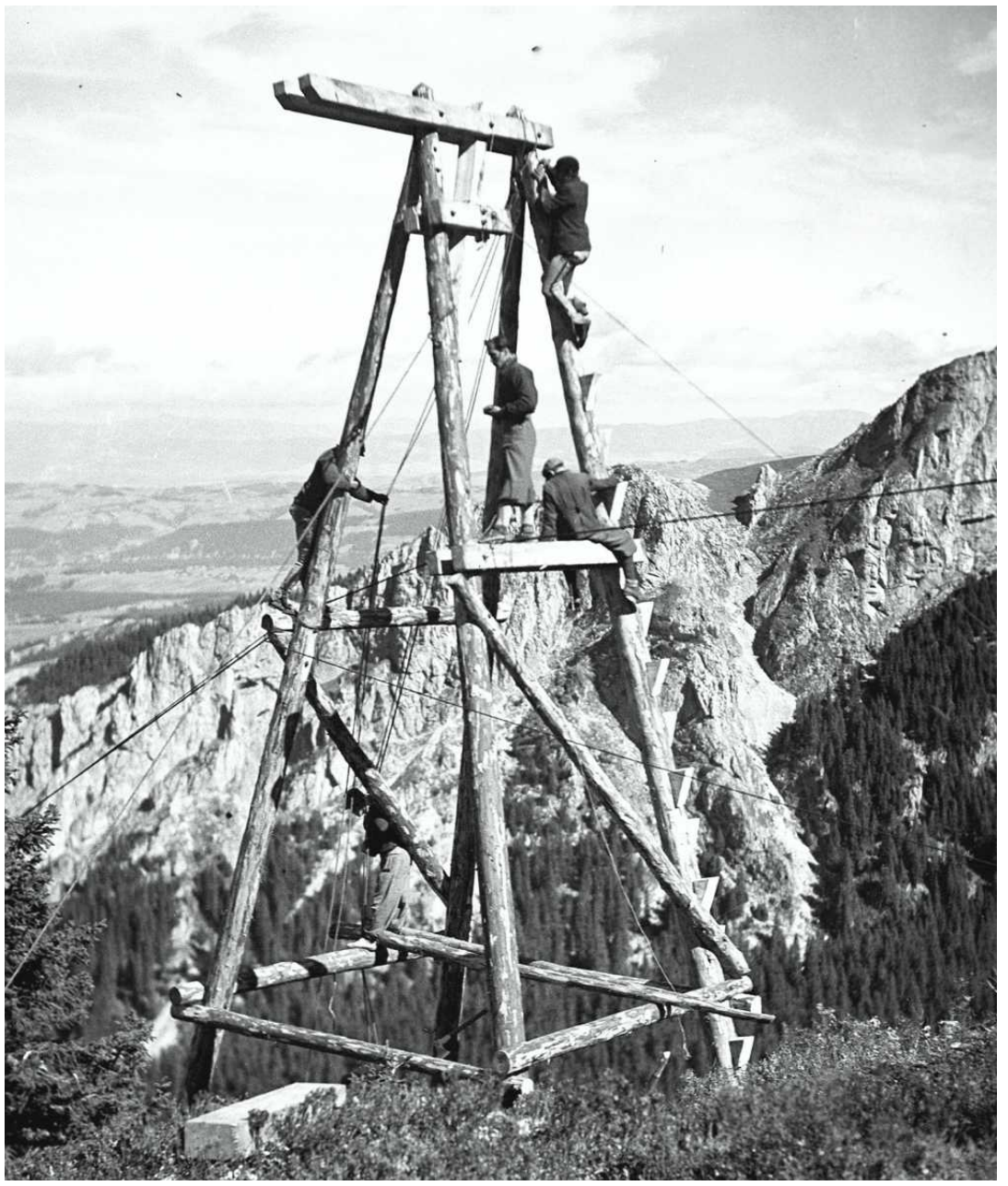

▲ Robotnicy budują drewnianą podporę pomocniczą kolejki transportowej. Niekiedy musieli pracować w ekstremalnych warunkach, przy silnym wietrze, na mrozie i w śnieżycy, 1935 rok

eprasa.pl 8024f7c131

W dwudziestoleciu międzywojennym na lwowskich uczelniach działało ponad 40 korporacji studenckich. Na zdjęciu członkowie jednej z nich podczas komersu, czyli uroczystego spotkania
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

MEMORIAŁ ROZPACZY

„U jednostek zbrodniczych rozkład moralny objawia się w apoteozowaniu gwałtów i mordu, a u jednostek pozbawionych charakteru w kompletnej apatii, umywaniu rąk i bezpośredniej lub pośredniej ucieczce do obozu zwolenników terroru".

Grzegorz Gauden

Markus Landesberg, Żyd, student chemii Politechniki Lwowskiej, zmarł w szpitalu w piątek 26 maja 1939 roku. Przyczyną śmierci było złamanie podstawy czaszki. Dwa dni wcześniej studenci Polacy skatowali go do nieprzytomności na terenie wydziału chemii.

Dwa tygodnie po śmierci Landesberga, 10 czerwca 1939, delegacja profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki Lwowskiej przekazała premierowi Rzeczypospolitej Felicjanowi Sławojowi Składkowskiemu i ministrowi wyznań religijnych i oświecenia publicznego Wojciechowi Świętosławskiemu „Memoriał w sprawie stosunków panujących na wyższych Uczelniach we Lwowie". Obydwaj adresaci Memoriału stali za zmianami w prawie, które w roku 1937 zalegalizowały getto ławkowe na uczelniach dla studentów Żydów.

Po śmierci Józefa Piłsudskiego w roku 1935 obóz sanacyjny poszedł politycznie w stronę ostrego nacjonalizmu i głosił hasła uderzająco podobne do programu endecji. Przywódcy sanacji rozpoczęli kokietowanie liderów młodzieżowych faszystowskich organizacji wyrosłych z Obozu Narodowo-Radykalnego. Na wyższych uczelniach endecka Młodzież Wszechpolska domagała się realizacji zasady numerus nullus, czyli całkowitego zakazu przyjmowania Żydów na studia, i do czasu spełnienia tego żądania wprowadzenia getta ławkowego.

We Lwowie getto zostało wprowadzone na wszystkich uczelniach na przełomie lat 1937 i 1938. Jego egzekwowaniem zajęli się endeccy bojówkarze, bijąc i kalecząc w budynkach akademickich Żydówki i Żydów, którzy odmawiali podporządkowania się haniebnym rasistowskim zarządzeniom.

Memoriał profesorów lwowskich to dokument grozy i rozpaczy. Landesberg był trzecim studentem żydowskim zamordowanym we Lwowie przez polskich studentów nacjonalistów w roku akademickim 1938/1939.

Kilka miesięcy wcześniej 18 listopada 1938 roku, także na Politechnice, młodzież narodowa poraniła nożami dwóch studentów – Samuela Prowellera i Mendla Lehrera. Proweller walczył o życie ponad dwa tygodnie. Zmarł w szpitalu w poniedziałek 5 grudnia 1938 roku. Najkrótszą walkę o życie stoczył student medycyny UJK Karol Zellermayer. Zmarł dzień po otrzymaniu na terenie wydziału kilku pchnięć nożem, 24 listopada 1938 roku. Był w grupie czterech studentów Żydów, których ciężko pobili studenci medycyny, Polacy.

Zamordowani chowani byli na cmentarzu żydowskim. Obok siebie. Tak powstała we Lwowie kwatera żydowskich ofiar polskich nacjonalistów. Narodowcy z zaangażowaniem działali na rzecz jej powiększenia. Nie zawsze z powodzeniem.

Przeżył Lehrer poraniony razem z Prowellerem. Ocalał także żydowski student Dawid Wurm, poraniony nożami przez „nieznanych sprawców" w niedzielę 3 grudnia 1938 roku.

Memoriał kilkunastu wybitnych uczonych lwowskich to świadectwo przerażenia zapaścią moralną uczelni Lwowa oraz biernością władz państwa i uczelni wobec bandytyzmu endeckich organizacji, ich brutalnego prześladowania studentów Żydów, ale też prześladowania studentów Polaków i wykładowców, którzy sprzeciwiali się dyskryminacji i pogromowym ekscesom.

W drugim akapicie dokumentu czytamy: „W roku bieżącym byliśmy świadkami pierwszego zabójstwa". Sygnatariusze memoriału byli przekonani, że morderstwo Markusa Landesberga dokonane w maju nie jest ostatnim w roku 1939 i należy oczekiwać następnych zabójstw studentów Żydów w nadchodzącym roku akademickim 1939/1940.

Wkrótce wybuchła wojna. Nie dowiemy się już, jak władze miały zamiar zareagować na apel profesorów lwowskich.

Jeden z oryginalnych egzemplarzy memoriału z własnoręcznymi podpisami części sygnatariuszy przetrwał i jest w moim posiadaniu. Okoliczności jego powstania oraz nazwiska sygnatariuszy rekonstruowałem na podstawie prasy lwowskiej i „Kalendarium Lwowa 1918-1939" Agnieszki Biedrzyckiej. ●

1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

Lwów, 10 czerwca 1939 roku

Memoriał w sprawie stosunków panujących na wyższych uczelniach we Lwowie

Uczelnie wyższe we Lwowie są od szeregu lat widownią krwawych aktów gwałtu, uprawianych pod hasłami nacjonalizmu i antysemityzmu. Nasilenie i brutalność tych zajść narasta z każdym miesiącem. Jeszcze lat temu kilka czynniki stojące na straży Szkół Wyższych protestowały publicznie i przestrzegały przed czynami podważającymi ustrój prawny Uniwersytetów, interesy Państwa oraz odwoływały się do honoru i poczucia odpowiedzialności. Lat temu dwa padły po raz pierwszy z ust Pana Ministra i Rektorów słowa przestrogi przed czynami stojącymi na granicy zbrodni.

W roku bieżącym byliśmy świadkami pierwszego zabójstwa, a w ostatnich miesiącach zanotowano dwa dalsze wypadki zbrodni, noszące wszelkie znamiona uplanowanego i skrytobójczego mordu. We wszystkich trzech wypadkach sprawcy pozostali nieujęci, a setki krwawych aktów gwałtu i przestępstw tylko w znikomo nielicznych wypadkach doczekało się kary.

Nie doczekały się kary: napaści na pochód w dniu święta niepodległości, znieważenie pogrzebu oficera, uczestnika walk o niepodległość, odznaczonego orderem Virtuti Militari. Nie doczekał się zadośćuczynienia robotnik, któremu rzuceniem bomby urwano rękę, ani chłopi pobici w pochodzie Państwowego Święta. Bezkarnymi pozostały czynne zniewagi Rektorów i Senatów, uprawiane podczas rozruchów agitacje antypaństwowe, zrywanie wykładów i seminariów, blokady sal wykładowych, urzędów szkół wyższych i całych uczelni. Nie doczekały się zadośćuczynienia setki krwawo okaleczonych studentów, pochodzących na równi ze środowisk żydowskich, jak chłopskich, robotniczych, urzędniczych i wojskowych.

Chroniczna, bo trwająca od lat kilku bezkarność gwałtu i zbrodni, czyni spustoszenia w postawie moralnej nie tylko młodzieży, ale oddziaływa także na postawę moralną społeczeństwa i szkół wyższych jako całości. U jednostek zbrodniczych, a konsekwentnych, rozkład moralny objawia się w apoteozowaniu gwałtów i mordu, a u jednostek pozbawionych charakteru w kompletnej apatii, umywaniu rąk i bezpośredniej, lub pośredniej ucieczce do obozu zwolenników terroru.

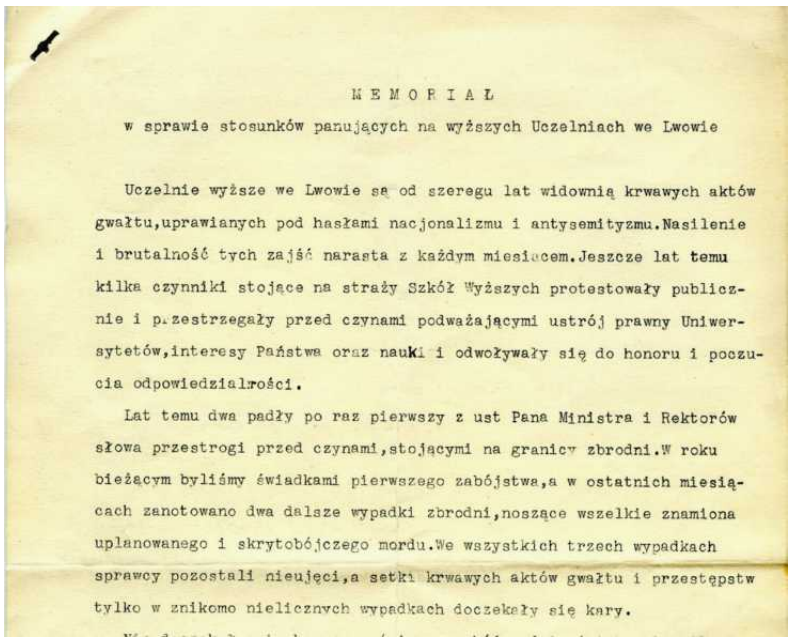

MEMORIAŁ

w sprawie stosunków panujących na wyższych Uczelniach we Lwowie

Uczelnie wyższe we Lwowie są od szeregu lat widownią krwawych aktów gwałtu,uprawianych pod hasłami nacjonalizmu i antysemityzmu.Nasilenie i brutalność tych zajść narasta z każdym miesiącem.Jeszcze lat temu kilka czynniki stojące na straży Szkół Wyższych protestowały publicznie i przestrzegały przed czynami podważającymi ustrój prawny Uniwersytetów,interesy Państwa oraz nauki i odwoływały się do honoru i poczucia odpowiedzialności.

Lat temu dwa padły po raz pierwszy z ust Pana Ministra i Rektorów słowa przestrogi przed czynami,stojącymi na granicy zbrodni.W roku bieżącym byliśmy świadkami pierwszego zabójstwa,a w ostatnich miesiącach zanotowano dwa dalsze wypadki zbrodni,noszące wszelkie znamiona uplanowanego i skrytobójczego mordu.We wszystkich trzech wypadkach sprawcy pozostali nieujęci,a setki krwawych aktów gwałtu i przestępstw tylko w znikomo nielicznych wypadkach doczekały się kary.

• **Fragmenty oryginału memoriału lwowskich profesorów: początkowy oraz końcowy, na którym widnieją podpisy sygnatariuszy**

FOT. ZBIORY GRZEGORZA GAUDENA (2)

Walka z powyższym stanem rzeczy nie poparta argumentem siły, okazała się bezskuteczna. Rozbija się ona o nieprawdopodobną zupełnie histerię tłumów, wyreżyserowaną równie perfidnie jak zręcznie, przez sprzężenie najpodlejszych haseł, pochwalających zbrodnię z najszczytniejszymi hasłami narodowymi i religijnymi.

W obliczu tej psychozy, która przypomina swym fanatyzmem czasy głębokiego średniowiecza, podsycanej przez przywódców politycznych ruchu, działających wewnątrz i zewnątrz szkół akademickich, a osłanianej przez zaślepione jednostki z pośród duszpasterstwa [”jednostki z pośród” nadpisane ręcznie między wierszami, ostatnia litera „a” w słowie „duszpasterstwa” nadpisana na literze „o”; pierwotne brzmienie „osłanianej przez zaślepione duszpasterstwo”] *i nieinterwencję władz, okazują się bezsilne wszelkie metody perswazji, protestu i apelu do uczuć i rozumu.*

Młodzież, która dostrzega i usiłuje zwalczać zło, niknie w zalewającej ją masie, opanowanej przez terrorystów. Świadomi klęski profesorowie i wychowawcy pozbawieni zewsząd poparcia, zużywają się na bezsilne protesty. Rola ich ogranicza się do niebudzących echa enuncjacyj, odwiedzania pokaleczonych w szpitalach i do uczestnictwa w pogrzebach pomordowanych. Groza moralna tych pogrzebów przypomina najtragiczniejsze momenty przeżyć własnych narodu w niedawnych czasach zaborczego terroru i rodzi w duszy każdego obywatela równie silny bunt przeciw wszystkiemu i wszystkim, którzy poczuwać się powinni do ponoszenia odpowiedzialności za całość stosunków.

Wypadki zaś toczą się siłą bezwładności dalej, ku coraz głębszej anarchii i zbrodni. Rola bezsilnych władz akademickich ogranicza się do salwowania pozorów moralności, pozorów nauki i władzy, kosztem kompromisu z dobrze zorganizowanym i nie cofającym się przed niczym ruchem.

Uczelnie lwowskie są widownią kompletnego rozkładu organizacyjnego. Władza istotna przeszła w ręce grup uprawiających terror. Grupy te rządzą faktycznie stosunkami w szkołach akademickich i decydują o ich obliczu moralnym. Paradoksalnie do niedawna hasło anonimowych władz terrorystycznych, że zadaniem ich jest wychowanie profesorów i społeczeństwa wchodzi faktycznie w życie. W obliczu zewnętrznym zbiorowości uniwersyteckiej, w postawie pojedynczych jej członków, a także w postawie nominalnych władz akademickich więcej jest dzisiaj rysów pochodzących od władz anonimowych i zakonspirowanych, niż własnej woli i własnych poglądów.

Destrukcyjny i zbrodniczy wpływ terroru uprawianego w Szkołach Wyższych oddziaływuje dzisiaj nie tylko na tłumy młodzieży, ale odbija się na postawie moralnej opinii publicznej, która coraz bardziej obojętnieje dla haseł honoru, odwagi i rzetelności.

Nauka wypędzona została ze zbiorowych ciał uniwersyteckich i politechnicznych, a nawet ze sal wykładowych. Resztki jej kryją się jeszcze po poszczególnych pracowniach, które usiłują salwować swą możność pracy naukowej nie przez wiązanie kontaktu, ale przeciwnie – przez ścisłe odgraniczenie się od tłumów młodzieży, która znajduje w szkołach wyższych wszystko, tylko nie naukę.

Rola naukowa i państwowa szkół wyższych stała się w tych warunkach fikcją. Stoimy w obliczu całkowitego niemal zniszczenia szkół wyższych jako ośrodków nauki i wychowania. Nauka i wychowanie, honor i prawo wydane zostały na łup nieliczących się z niczym walk politycznych. Tolerowanie tego stanu rzeczy zagraża kulturze, przyszłości państwa i narodu. Zwłaszcza w chwili obecnej, gdy najwyższe czynniki państwowe odwołują się do honoru jako podstawy obronności Rzeczypospolitej i do nauki jako jednego z istotnych elementów naszej zdolności bojowej, tolerowania zarazy, toczącej wyższe uczelnie i udzielającej się społeczeństwu, staje się groźne dla Państwa. Oburzenie tępionych bezkarnie na eksterytorialnym terenie uczelni grup, które opowiadają się za praworządnością i ładem, kieruje się siłą rzeczy nie tylko przeciw bezpośrednim sprawcom rozboju i ich organizatorom, ale jednocześnie przeciwko władzom politycznym.

Walka ze zbrodnią może być wygrana tylko przy użyciu argumentu siły fizycznej. Siłami takim nie rozporządzają szkoły wyższe. Siła ta musi się znaleźć w chwili, gdy zagrożone zostały tak zasadnicze czynniki odporności państwowej, jak moralna postawa młodzieży i byt nauki.

Apelujemy do Pana Premiera, do Panów Marszałków Izb Ustawodawczych i Panów Ministrów o wzięcie pod rozwagę powyższej sytuacji i zastosowanie wszelkich, leżących w Ich mocy środków w celu zlikwidowania stanu anarchii i salwowania bytu lwowskich uczelni akademickich.

Pacyfikacja i normalizacja stosunków wymaga:

• niezwłocznego zastosowania doraźnych, fizycznych środków, gwarantujących trwałe bezpieczeństwo życia i egzekutywę ustaw Rzeczypospolitej oraz zarządzeń władz na terenie uczelni.

• usuniecie ze szkół akademickich elementów destrukcyjnych.

• reformy zarządu domów akademickich i uwolnienie ich od kierownictwa przez jedno stronnictwo. ●

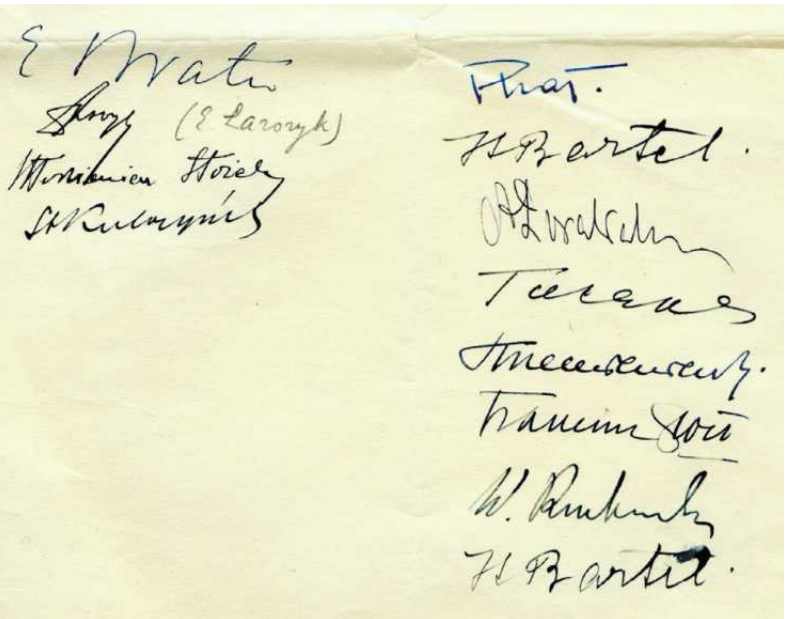

LIST PODPISALI WYBITNI UCZENI:

- prof. Kazimierz Bartel – matematyk, polityk, premier RP, senator, rektor Politechniki Lwowskiej w latach 1930-31, rozstrzelany przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich 25 lipca 1941,
- prof. inż. Emil Bratro – specjalista budowy dróg i tuneli, w latach 1931-1932 dziekan Wydziału Inżynieryjnego Politechniki Lwowskiej,
- prof. Leon Chwistek – logik, matematyk, malarz, teoretyk sztuki, kierownik Katedry Logiki Matematycznej Uniwersytetu Jana Kazimierza
- prof. Alicja Dorabialska – pierwsza kobieta profesor Politechniki Lwowskiej, uczennica Marii Skłodowskiej-Curie, kierownik Katedry Chemii Politechniki Lwowskiej,
- prof. Franciszek Groër – lekarz pediatra, kierownik Kliniki Pediatrycznej Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza,
- prof. Jerzy Kowalski – filolog klasyczny, kierownik Katedry Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jana Kazimierza,
- prof. inż. Włodzimierz Krukowski – kierownik Laboratorium Elektrotechnicznego Politechniki Lwowskiej, rozstrzelany przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich z 3 na 4 lipca 1941,
- prof. Seweryn Krzemieniewski – botanik, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza w latach 1931-32,
- prof. Stanisław Kulczyński – botanik, kierownik Katedry Systematyki i Morfologii Roślin Uniwersytetu Jana Kazimierza, rektor w latach 1936-38,
- prof. inż. Emil Łazoryk – kierownik Katedry Statyki i Budownictwa Żelaznego i Żelazno-Betonowego na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej, aresztowany przez NKWD w styczniu 1945 zmarł w obozie miesiąc później,
- prof. Stanisław Pilat kierownik Katedry Technologii Nafty i Gazów Ziemnych Politechniki Lwowskiej, rozstrzelany przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich z 3 na 4 lipca 1941,
- prof. Włodzimierz Stożek – przedstawiciel lwowskiej szkoły matematycznej, kierownik Katedry Matematyki Politechniki Lwowskiej, rozstrzelany przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich z 3 na 4 lipca 1941,
- prof. Dezydery Szymkiewicz – botanik, kierownik Katedry Botaniki Ogólnej i Fizjologii Roślin Politechniki Lwowskiej.

eprasa.pl 8024f7c131

weekendówka 196

MOTYLA NOGA

Nie wiadomo, skąd się biorą, mają skromne i ograniczone pragnienia i wkrótce gdzieś cicho znikają. Prawdopodobnie w jakimś innym świecie" – pisał o nich Haruki Murakami w powieści „Norwegian Wood".

A co wiemy o motylach? Choćby tyle, że jest ich bardzo dużo. Opisano około 180 tysięcy gatunków, z czego znakomitą większość stanowią motyle nocne, czyli ćmy – ponad 160 tys. gatunków. A nieustannie odkrywane są nowe. Więcej sklasyfikowanych gatunków w przyrodzie mają jedynie chrząszcze.

I że są bardzo pożyteczne, bo i one wykonują czynność powszechnie przypisywaną pszczołom. Zapylają. Motyle żywią się nektarem roślin, przy okazji przenosząc pyłki kwiatowe z okazu na okaz. Oczywiście, jak to w przyrodzie bywa, nic nie jest czarno-białe – zwłaszcza motyle! – i gąsienice, czyli jeden z cykli rozwojowych gatunku, już takie pożyteczne nie są, pożerają bowiem rośliny uprawne w sadach i ogrodach.

Motyl z reguły bywa kojarzony z czymś ulotnym, chwilowym, a to za sprawą faktu, że nie żyje zbyt długo. Często zaledwie kilka dni, ale mowa tu już o dorosłym osobniku, bowiem cały cykl życia motyla (z jajem, larwą i poczwarką) trwa znacznie dłużej. Są jednak osobniki, np. monarcha, które są w stanie przeżyć nawet kilka miesięcy, choć tylko w przypadku tzw. pokolenia zimującego (przeciętny monarcha „panuje" kilka tygodni), które jest w stanie przelecieć kilka tysięcy kilometrów z północy USA do Meksyku i Kalifornii, by tam przezimować.

A skoro już o lataniu mowa... Motyl w naszej wyobraźni to beztroski owad fruwający sobie po łące niby od niechcenia. Tymczasem są prawdziwe motyle-odrzutowce. Motyle z rodziny powszelatkowatych mogą lecieć z prędkością blisko 60 km na godz. Pościgać mogłyby się z nimi ćmy z rodziny zawisakowatych, które rozpędzają się do prędkości przeszło 55 km na godz.

A czemu, w przypadku ciem, do światła? Otóż ćmy nawigują względem źródła światła, którym z reguły w naturze jest księżyc. Lecą tak, by światło było zawsze pod stałym kątem. Kiedy ćma próbuje utrzymać stały kąt względem sztucznego światła, czyli np. pobliskiej lampy bądź latarni, zakrzywia się tor lotu i dlatego zdezorientowana ćma „błądzi".

Motylich ciekawostek jest znacznie więcej, ale po nie odsyłamy do dzisiejszej „Weekendówki", którą z okazji przypadającego dziś Dnia Motyla poświęcamy tym niezwykłym owadom, ale, jak się przekonacie, nie tylko motylom. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

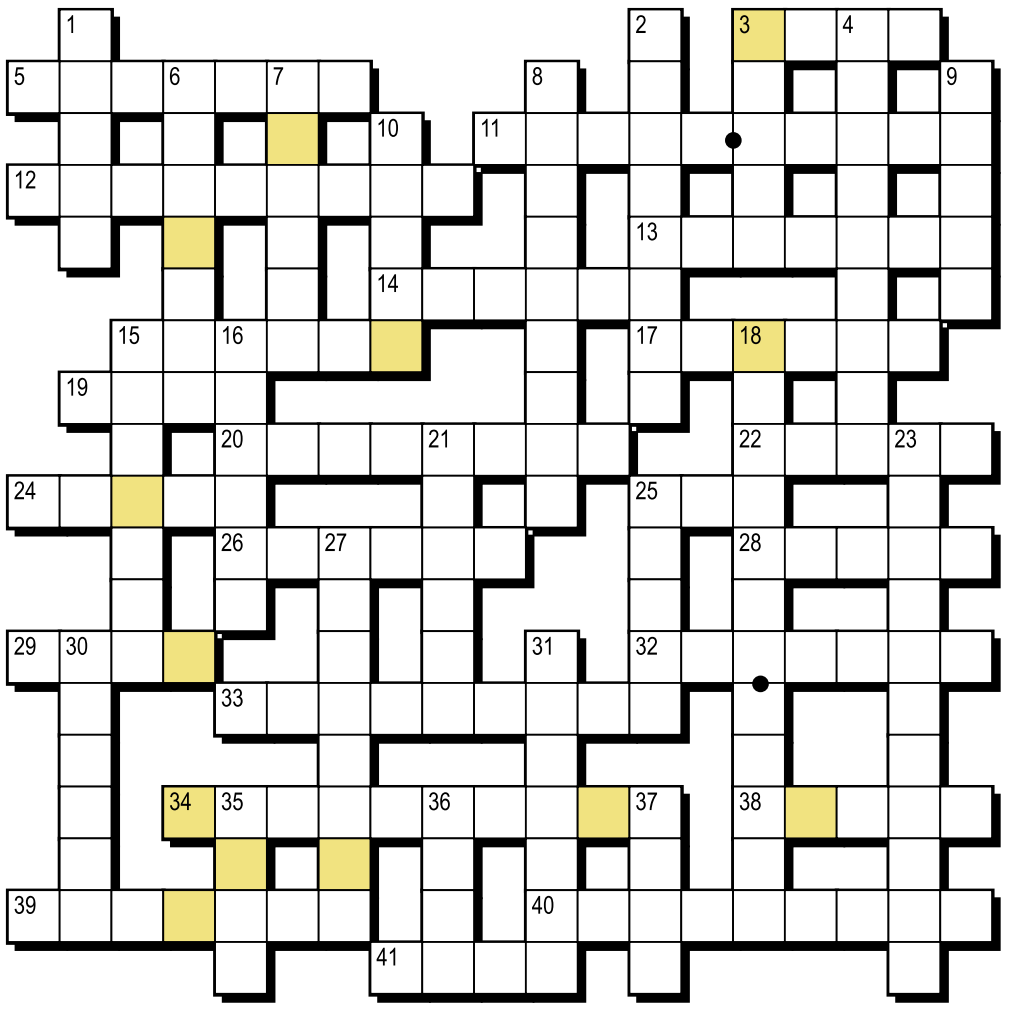

OWADY I PAJĘCZAKI
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) bywa, że trzeba je zabrać na odpchlenie
5) drobne owady, których samice żywią się krwią
11) zwany również świerszczem
12) stonka, biedronka lub skarabeusz
13) owady jak miesiące
14) drapieżne owady łapiące owady w locie za pomocą długich nóg
15) synonim 5 poziomo (wpisujemy w liczbie pojedynczej)
17) uczucie obrzydzenia, wstrętu, np. na widok karalucha lub chrabąszcza
19) zwalczane naftaliną
20) owadożerna roślina o liściach pokrytych włoskami
22) słodka ciecz zbierana przez pszczoły; rosa miodowa
24) dźwięki wydawane przez przelatującą muchę, pszczołę
25) szczuplejsza od szerszenia
26) kontynent, na którym żyją muchy tse-tse
28) ... garbatek, duży chrząszcz, szkodnik zbóż
29) owady takie jak gnojaki
32) motyl na mapie woj. lubelskiego
33) rusza się jak mucha w smole
34) ważki lub ćmy – mniejsze niż kurczaka
38) „... owadów, ... ludzi i krótka śmierć nad miodu kwiatem", w wierszu Zbigniewa Herberta „Prolog"
39) zespoły uli
40) owady takie jak pszczoły albo mrówki
41) może się złapie na sztuczną muchę?

PIONOWO:
1) Anna, aktorka („Panna Nikt")
2) smakosz korników
3) budowane przez termity
4) w niej można było obejrzeć „Pszczółkę Maję"
6) owad potocznie nazywany bąkiem
7) gatunek pajęczaka (z liter wyrazu „orszak")
8) jej samica po zapłodnieniu zwykle pożera swego partnera
9) ... kwiatowy, transportowany do ula
10) skaczący i kąsający pasożyt
15) „owad" szlifowany w basenie
16) „Włatcy móch", ... animowany
18) motyl z charakterystycznymi oczkami na końcach skrzydeł
21) duży owad, którego samce wydają donośne dźwięki; piewik
23) owady żywiące się innymi owadami
25) ... wodne, miejsca występowania ważek, jętek, pływaków
27) ... świętojańskie, czyli świetliki
30) entomolożka
31) postać z Trylogii kojarzona z cytatem: „Zdechnę ja i pchły moje!"
35) w menu pluskiew i wszy
36) drzewa, na których mogą bytować koziorogi
37) psujący się przyciąga wywilżny (drobniutkie muszki)

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 195 z 7.03:

Poziomo:
3) Po prostu bądź 8) Kurt Vonnegut 10) pasztet 11) listki 12) szpitale 13) tost 14) Presley 15) Manet 16) cyjanek potasu 19) świt 20) nabiał 23) papieros 25) płatki 26) niedziela 27) kofeina 28) cennik 30) spodek 31) treściwość

Pionowo:
1) kornfleksy 2) Auguste Renoir 3) Pytanie na śniadanie 4) prowiant 5) doba 6) Burczymucha 7) gazety 9) Seksmisja 10) Piasek 16) Capote 17) Jaś 18) Pan Tadeusz 21) bekon 22) łyżeczka 24) jabłko 25) Piotr 26) noc 29) koc

Hasło: PORANNY POSIŁEK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 8024f7c131

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

10 / Być rodzicem
Mediacje z nastolatkiem

14 / Emi Buchwald
Wartość życia w rodzeństwie

SANNA MARIN

Uratować świat

– rozmowa Joanny Wróżyńskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 11 (1382) SOBOTA – CZWARTEK, 14-19 MARCA 2026

eprasa.pl 8024f7c131

Podwójne standardy

JOANNA WRÓŻYŃSKA

Wiele kobiet doskonale wie, jak to jest, gdy nie ocenia się nas przez pryzmat tego, jak wykonujemy swoją pracę czy co robimy, lecz przez nasz wygląd i zachowanie" – mówiła mi Sanna Marin, była premierka Finlandii. I dodała: „Stałam na czele rządu tworzonego przez pięć partii, z których każda była kierowana przez kobietę. Wszystkie, przez cztery lata sprawowania władzy, otrzymywałyśmy nieustannie groźby przemocy – najczęściej o charakterze seksualnym, które publikowano w internecie".

W czasie, kiedy Sanna Marin kierowała pracami fińskiego rządu, jej kraj mierzył się z globalną pandemią COVID-19, a Rosja, z którą Finlandia bezpośrednio graniczy, zaatakowała zbrojnie Ukrainę, dając początek trwającej już cztery lata wojnie. Skutkiem tej agresji był bezprecedensowo szybki akces Finlandii do NATO. Podobnie jak wiele krajów na świecie, Finów dotknęły też skutki ogólnoświatowego kryzysu ekonomicznego związanego z wojną. Można by sądzić, że to wystarczająco dużo tematów, jak na trzy i pół roku kadencji, żeby zająć uwagę mediów i uczestników wszelkich forów dyskusyjnych. Tymczasem okazało się, że dla wielu równie ważne co sprawy narodowego bezpieczeństwa jest to, jak głęboki dekolt ma premierka na okładce magazynu, czy po pracy tańczy (i z kim) i kto płaci za śniadania w oficjalnej rezydencji premiera. Czy mnie to dziwi? Nie. Czy powinno? Wierzę, że tak.

Zarówno ja, jak i moje koleżanki dziennikarki, każdego dnia poddajemy swoją pracę ocenie innych. I nie ma dnia, żeby któraś z nas nie przeczytała o sobie jakiegoś nieprzyjemnego, hejterskiego komentarza dotyczącego naszego wyglądu, niesmacznego żartu z nazwiska, niewybrednej aluzji o życiu prywatnym. W skrajnych przypadkach zdarzają się też realne groźby, nawoływanie do przemocy, także seksualnej. Z każdym takim komentarzem przesuwa się też granica społecznej akceptacji i naszej obojętności. Przy którym wulgarnym komentarzu należy bowiem zareagować? Który z kolei będzie wystarczająco przekonujący dla organów ścigania, żeby zająć się sprawą? Który przekona prokuraturę, że werbalne ataki rozlewają się poza pozornie anonimową przestrzeń internetu?

W rozmowie, którą znajdziecie w tym numerze „Wysokich Obcasów", Sanna Marin wspomina o różnych miarach przykładanych do kobiet i mężczyzn. Jakże znamienne wydaje się w tym kontekście to, co dzieje się teraz np. wokół sprawy Jeffrey'a Epsteina. Choć w e-mailach skazanego za przestępstwa seksualne i oskarżonego o handel ludźmi finansisty roi się od nazwisk wpływowych mężczyzn, większość z nich unika odpowiedzialności, a przed komisją Izby Reprezentantów ds. nadzoru stanęła Hillary Clinton. I to pomimo że, jak twierdzi, Epsteina nigdy nie poznała. Kiedy amerykańscy hokeiści śmiali się z seksistowskiego żartu Donalda Trumpa, do odniesienia się do sprawy została zmuszona Hilary Knight, kapitanka żeńskiej reprezentacji hokeja, która z igrzysk przywiozła złoty medal. Knight wyraziła nadzieję, że do dobry punkt wyjścia do szerszej dyskusji o tym, jak mówi się i myśli o kobietach, zwłaszcza w sporcie. Podkreśliła jednak, że wolałaby skupiać się na sukcesach drużyny, nie kontrowersjach. I to rada, z której warto skorzystać. ▲

Joanna Wróżyńska – redaktorka prowadząca

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **TEMAT NUMERU:** Kultura wstydu. Skąd się bierze kobiecy brak akceptacji i jak się go pozbyć? ■ **NA OKŁADCE** Joanna Brodzik: Nie boję się odsłonić i pokazać swojego miękkiego brzucha. ■ **PSYCHOLOGIA:** Obrażanie się jest zgubną strategią. ■ **TWARZE:** Magdalena Steczkowska: Nie jestem numerem sześć. **„Wysokie Obcasy Extra"** już w sprzedaży z prezentem – skarpetkami złuszczającymi skórę lub maską w płacie.

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Joanna Wróżyńska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFOWA PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 13, 17, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 11 (1382)
NA OKŁADCE:
SANNA MARIN
DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 8024f7c131

e-mail: listy@wysokieobcasy.pl
adres: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
telefon: 22 555 43 26

LIST TYGODNIA

Wolność bywa ciężkim wyborem

Z dużą ciekawością przeczytałam tekst Emilii Dłużewskiej o współczesnym randkowaniu (Magazyn Książki 12.02.2026). Ja na szczęście okres godowy mam już za sobą – analogowy, bo jestem staroświecka jak przecinek – ale ze współczuciem patrzę na pokolenie mojej młodszej siostry. Owszem, wyzwolili się już chyba ze schematu komedii romantycznej, dumnie noszą swoje singielstwo i wszelkie odstępstwa od heteronormy.

Nie jestem jednak pewna, że im z tą swobodą tak dobrze. Nie chcę idealizować tego, jak to drzewiej bywało, bo skądinąd wiemy, że nie zawsze różowo, a wybrany przez rodziców absztyfikant mógł okazać się zarówno opoką, jak i oprawcą. Dobrze, że czasy swatek i matrymonialnego przymusu minęły. Zerwanie okowów tradycji i religii sprawia jednak, że jesteśmy skazani na całkowitą wolność. A ta bywa ciężkim wyrokiem.

Teraz, kiedy właściwie można wszystko (związki homo, bi i człowiek z robotem), wszędzie (Tinder ma globalną moc rażenia) i naraz (poliamoria), wybór jest niemal nieograniczony. Nie wiem, czy z korzyścią dla wybierającego.

W życiu, w pisaniu i projektowaniu (którym zajmuje się mój partner) zauważam bowiem następującą prawidłowość – jak wszystko można, zazwyczaj nic się nie dzieje. Ograniczenia bywają twórcze, bo napisanie tekstu na dowolny temat albo zaprojektowanie mieszkania dla osoby bez upodobań stawia nas przed paraliżującą mnogością możliwości. A, jak mówi nam psychologia, łatwiej wybrać spośród trzech dżemów niż trzydziestu. A o istnieniu pozostałych lepiej nie wiedzieć.

A że życie, że zacytuję wyświechtany frazes, to sztuka wyboru, trwanie w nieustannym klinczu albo, jeszcze gorzej, podjęcie decyzji, a potem nieustanne roztrząsanie alternatywnych scenariuszy, to przepis na pewną udrękę.

Oczywiście nie mam rozwiązania dla osób, które dziś szukają drugiej połówki, bo rady w stylu „zapisz się do kółka szachowego" uważam za wybitnie nieżyciowe. Z pozycji dziadersa w długoletnim „wystarczająco dobrym" związku mogę poradzić tylko tyle, żeby nie trwać w zawieszeniu, nie szukać ideału, tylko spróbować z kimś, kto dobrze rokuje. I nawet jeśli sypia w skarpetkach albo źle znosi przegraną w scrabble, warto dać człowiekowi szansę. Życie solo może być spełnione i bogate, ale moim zdaniem warto choć raz wybrać się na bieg długodystansowy. Mam wrażenie, że jakoś pogłębia to ludzkie doświadczenie. ▲ **Dorota**

Skróty pochodzą od redakcji

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw kosmetyków Sesderma Exoses – krem i elixir, oraz książkę „Po co ci złość? Rozmowa z trudną emocją" Oliwii Ziębińskiej, Wydawnictwo NEWHOMERS

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

OGŁOSZENIE

tołpa.® ideal age

aktywuj młodość swojej skóry

dzięki przełomowemu odkryciu t-EGF

-25%* zmarszczek

+38%* elastyczności

nowość

10% hialuron
0,3% HPR: retinoid III generacji

*badania in vivo, maksymalne wyniki po 8 tygodniach

Tylko tu! ROSSMANN Moja Drogeria i na tolpa.pl

ODKRYJ

eprasa.pl 8024f7c131

SANNA MARIN

– fińska polityczka, członkini Socjaldemokratycznej Partii Finlandii, premierka rządu Finlandii w latach 2019–2023. W momencie zaprzysiężenia była jedną z najmłodszych urzędujących szefowych rządów na świecie. W czasie swojej kadencji prowadziła kraj m.in. przez okres pandemii COVID-19 oraz wprowadziła Finlandię do NATO. Jest doradcą strategicznym w Instytucie Tony'ego Blaira

eprasa.pl 8024f7c131

SANNA MARIN

Kobiety mają prawo być sobą

Moja historia jest historią sukcesu nordyckiego modelu dobrobytu. Bez systemu zabezpieczeń społecznych naszego państwa nie miałabym żadnych szans.

eprasa.pl 8024f7c131

Z **SANNĄ MARIN**, BYŁĄ PREMIERKĄ FINLANDII,
ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**
ZDJĘCIA **DAWID ŻUCHOWICZ** / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z

Zanim dowiedziałam się, że wróciła pani właśnie z Ukrainy, miałyśmy rozmawiać o książce „Nadzieja. O odwadze w rządzeniu", która jest pani autobiografią, skupiającą się głównie na czasie, gdy stała pani na czele fińskiego rządu. Zanim jednak do niej przejdę – cytat: „Comme Marie sur la croix / Alors on ira danser (...) O Sanna / Sauve-toi oui sauve-toi / Ils ne te méritent pas (...) Surtout ne change pas". ["Jak Maria na krzyżu / więc pójdziemy tańczyć (...) O Sanno, uciekaj, tak, uciekaj / Oni na ciebie nie zasługują (...) / Przede wszystkim się nie zmieniaj".
– To piosenka francuskiego zespołu Indochine.

No właśnie. Wiedziała pani, że napisali o pani piosenkę?
– Nie miałam pojęcia. Na początku w ogóle o tym nie myślałam, ale ludzie zaczęli przesyłać mi nagrania z ogromnych koncertów, na których wyświetlano moje imię i twarz. Zaczęłam się zastanawiać, o co chodzi. Później skontaktował się ze mną zespół Indochine i zapytał, czy dołączyłabym do nich w teledysku, który kręcili w Helsinkach zeszłego lata. Oczywiście odpowiedziałam, że to dla mnie zaszczyt, że z przyjemnością ich poznam i wystąpię w niewielkiej roli w klipie. Wiem, że pisali piosenki poświęcone też innym osobom, więc może to ich taki znak rozpoznawczy.

Swoją książkę zadedykowała pani córce Emmie i „wszystkim dziewczynom, które zmieniają świat". Jak możemy im w tym pomóc?
– Tworząc bezpieczną przestrzeń, w której mogą działać. Kiedy patrzymy nie tylko na prawdziwy świat, ale przede wszystkim ten cyfrowy – platformy społecznościowe, różne strony internetowe czy fora dyskusyjne – widać przerażającą mizoginię, niezliczone ataki wymierzone w kobiety czy osoby należące do mniejszości. To nie tylko spontaniczne ataki, wiele z nich jest zorganizowanych i celowych. Ich celem jest uciszenie kobiet, zastraszenie ich, by nie angażowały się w politykę, nie brały udziału w debatach publicznych i nie mogły wyrażać swojego głosu. Musimy z tym walczyć i tworzyć dla dziewczynek, córek, sióstr i wszystkich kobiet warunki, żeby mogły bezpiecznie uczestniczyć w życiu publicznym. Bo jeśli nie będą miały takiej możliwości, to nigdy nie osiągniemy równości, nigdy nie zbudujemy społeczeństw, w których każdy będzie mógł wieść dobre, spełnione życie.

Pani też była w ten sposób atakowana. W książce poświęca pani cały rozdział tym tzw. skandalom, które nie miały nic wspólnego z pani pracą, a wiele wspólnego z tym, że jest pani kobietą i była najmłodszą premierką w historii fińskiego rządu.
– Skandale, czy raczej „incydenty", którymi nazwałam w książce podrozdziały, miały przede wszystkim charakter moralizatorski. I nie opowiadają historii tylko o mnie. Wiele kobiet doskonale wie, jak to jest, gdy nie ocenia się nas przez pryzmat tego, jak wykonujemy swoją pracę czy co robimy, lecz przez nasz wygląd i zachowanie. „Czy zachowuje się tak, jak powinna? Czy postępuje właściwie?".

To, czego doświadczyłam, jest czymś, z czym kobiety mierzą się na co dzień. Wiele razy i w różnych miejscach powtarzałam, że kobiety mają prawo być w stu procentach sobą i nie powinny w żaden sposób się umniejszać. Mogą być silne, mogą być liderkami, mogą realizować się zawodowo, a jednocześnie być matkami, córkami, dobrymi przyjaciółkami. Mają prawo się dobrze bawić, wychodzić z domu, tańczyć. I społeczeństwo nie powinno ich zmuszać do bycia kimkolwiek innym niż tym, kim są.

Moralizatorskie spojrzenie i oceniający wzrok z zewnątrz to pułapka. Pułapka dla kobiet, ponieważ nikt na świecie nie jest w stanie sprostać standardom narzucanym kobietom – mają być takie i takie, wyglądać w określony sposób i spełniać jeszcze jakieś oczekiwania. Musimy przeciwstawić się tym nierealistycznym wymaganiom.

Podejrzewam, że słowa wsparcia płynęły wtedy głównie od kobiet?
– To prawda. Kobiety okazały międzynarodową solidarność, w tym m.in. Hillary Clinton, Alexandria Ocasio-Cortez i wiele innych. Sądzę, że powód jest prosty: one wiedzą, jak to jest. Doświadczyły podobnej krytyki, znalazły się w podobnych sytuacjach, dlatego wsparcie ze strony kobiet było ogromne. Ale wsparcie okazali też niektórzy mężczyźni, nie wszyscy uznali, że zachowałam się oburzająco. Było wielu, którzy widzieli, że wszystko to było nieproporcjonalnie rozdmuchane. Jednocześnie jednak pojawiło się bardzo dużo mizoginii i nienawiści.

Stałam na czele rządu tworzonego przez pięć partii, z których każda była kierowana przez kobietę. Wszystkie, przez cztery lata sprawowania władzy, otrzymywałyśmy nieustannie groźby przemocy – najczęściej o charakterze seksualnym, które publikowano w internecie. Były przesiąknięte mizoginią, posługiwano się językiem, który miał nas poniżyć i zdyskredytować.

Myślę więc, że kobiety niestety funkcjonują w innej rzeczywistości. Widzimy dziś wyraźny regres w kwestii równości – kobiety i dziewczynki nie mają więcej praw niż wtedy, kiedy ja stałam na początku zawodowej drogi.

Nawet w Finlandii?
– Nawet w Finlandii. Wszędzie, także w zachodnich, demokratycznych społeczeństwach, obserwujemy pewien sprzeciw wobec równości praw kobiet. Musimy na to odpowiedzieć i stanowczo się temu przeciwstawić, bo w przeciwnym razie to, co wywalczyły dla nas nasze matki i babki, może zostać utracone. Nie wolno nam traktować tych zdobyczy jako czegoś oczywistego – musimy o nie walczyć, żeby mieć pewność, że nasze córki będą miały takie same prawa jak nasi synowie.

Czego chciałaby pani nauczyć własną córkę? Co zrobić, żeby ona i inne dziewczynki wyrastały na nieustraszone liderki?
– Najważniejsze, czego powinniśmy uczyć nasze córki, ale i synów, to żeby byli sobą. Że są w porządku tacy, jacy są.

eprasa.pl 8024f7c131

Utwierdzać dziewczynki w przekonaniu, że są zdolne, że potrafią działać. Że są podmiotem, a nie przedmiotem, osobami, które mogą kształtować własną przyszłość.

Dlatego tak ważne jest wspieranie dziewczynek i kobiet w taki sposób, żeby zrozumiały, że są sprawcze, mogą wziąć sprawy w swoje ręce i zmieniać rzeczywistość. Zawsze bardzo frustrowało mnie to, że kobiety postrzega się jako kogoś, kto powinien wyglądać albo zachowywać się w określony sposób, jakby społeczeństwo miało prawo decydować za nas. Kobiety muszą czuć, że mogą kształtować własną przyszłość. Powinny też działać wspólnie, dzięki temu społeczeństwa będą lepsze.

Dlaczego zdecydowała się pani zostać polityczką? Podobno pierwsze spotkanie Socjaldemokratycznej Partii Finlandii, na które pani poszła, było wielkim zawodem.
– Jestem typem osoby, która chce ratować świat. Radość i energię do życia czuję naprawdę wtedy, kiedy mam poczucie, że mogę na coś wpłynąć, coś zmienić. A widzę wokół siebie ogrom problemów: kwestie zmian klimatycznych, utratę bioróżnorodności, ataki na prawa człowieka oraz głębokie nierówności na świecie. Chcę dołożyć swoją cegiełkę i choćby w niewielkim stopniu, przyczynić się do ocalenia planety. Każdy z nas indywidualnie może zrobić niewiele, ale razem mamy prawdziwą siłę.

Jestem też niezwykle wdzięczna za nordycki model państwa dobrobytu, który umożliwił mi dobre życie. Pochodzę z ubogiej, nieuprzywilejowanej, tzw. tęczowej rodziny i kiedy dorastałam w latach 80. i 90., nie było to tak powszechne jak dziś. W ogóle się o tym nie rozmawiało. Istniejące struktury dyskryminowały ludzi ze względu na to, kogo kochają i kim są. Doskonale pamiętam i w pełni rozumiem, że bez systemu zabezpieczeń społecznych naszego państwa nie miałabym żadnych szans.

Dlatego uważam, że moja historia jest historią sukcesu nordyckiego modelu dobrobytu. Jestem ogromnie wdzięczna wszystkim pokoleniom, zwłaszcza kobietom, które były pionierkami i orędowniczkami postępowych inicjatyw oraz reform w edukacji, opiece społecznej i zdrowotnej, opiece nad osobami starszymi, w systemie urlopów rodzicielskich i w wielu innych obszarach, z których mogłam korzystać. Chciałam się za to odwdzięczyć i mieć pewność, że zrobię – i robię – swoją część pracy, aby świat stawał się lepszy, a nie gorszy.

Zachęcałaby pani aktywistów, by jednak próbowali zmieniać świat od wewnątrz, w ramach systemu, czyli przez politykę właśnie?
– Potrzebujemy różnorodnych form działania. Najważniejsze jest to, żeby ludzie się angażowali, nie pozostawali obojętni, tylko próbowali realnie wpływać na otaczający nas świat. Można wybrać ścieżkę polityczną: wstąpić do partii, głosować, działać w ramach struktur demokratycznych. Ale można też demonstrować, protestować, podejmować inne formy aktywności. Można tworzyć sztukę: malować, pisać, opowiadać historie, które poruszają. Nie ma jednej właściwej drogi. Najważniejsze jest to, by ludzie czuli, że mogą działać, i że to nie tylko ich prawo czy możliwość, lecz także odpowiedzialność.

Wspomniała pani, że stała na czele rządu tworzonego przez pięć partii, z których każda była kierowana przez kobietę. Na ile można o tym mówić w kategorii przypadku?
– Był to zbieg okoliczności o tyle, że nasze partie wybrały nas w tym samym czasie, czego następstwem był rząd w pełni kierowany przez kobiety. Nie był to jednak przypadek w tym znaczeniu, że nasze społeczeństwo przez dziesięciolecia dojrzewało do momentu, w którym taki rząd mógł w ogóle powstać. Finlandia była pierwszym krajem na świecie, który przyznał kobietom pełne prawa polityczne – nie tylko prawo do głosowania, ale także prawo do ubiegania się o urząd. Pierwszych dziewiętnaście posłanek rozpoczęło swoją pracę właśnie w Finlandii. Współpracowały ze sobą, by przeforsować postępowe reformy, które umożliwiły kolejnym kobietom wspinanie się po szczeblach władzy.

Wszędzie, także w zachodnich, demokratycznych społeczeństwach, *obserwujemy pewien sprzeciw wobec równości praw kobiet*

Polityka, zwłaszcza na szczeblu międzynarodowym, wciąż pozostaje jednak bardzo zmaskulinizowana. Inaczej pracuje się z kobietami? Co ich obecność wnosi do polityki?
– Kiedy pracuje się na szczeblu liderów, pojawia się określona dynamika wynikająca z samej pozycji, władzy i istniejących struktur. Nie sądzę jednak, by ta dynamika zależała od płci. Zauważyłam natomiast, że kobiety, które wspięły się na najwyższe szczeble władzy, są zazwyczaj niezwykle kompetentne, właśnie dlatego, że droga na szczyt była dla nich znacznie trudniejsza. Są często wyjątkowo pracowite, niezwykle zaangażowane i bardzo silne, bo musiały takie być. Są też niezwykle utalentowane i sprawcze. Dlatego uważam, że gdyby przy stołach decyzyjnych zasiadało więcej kobiet, wiele spraw posuwałoby się naprzód szybciej. Widziałam to zresztą na własne oczy.

Była pani premierem w wyjątkowo ciekawym czasie. Najpierw musiała pani poradzić sobie z globalną pandemią, później z kryzysem gospodarczym wywołanym wojną w Ukrainie i z wyjątkowo szybką akcesją do

eprasa.pl 8024f7c131

NATO. A wszystko to w czasie, kiedy miała pani jeszcze małe dziecko. Co było największym wyzwaniem?
– Z perspektywy osoby stojącej na czele rządu czy państwa pierwsze tygodnie pandemii COVID-19 były najtrudniejsze. Zagrożenie było nieznane, mieliśmy bardzo ograniczoną wiedzę, a jednocześnie musieliśmy podejmować bezprecedensowe decyzje, wszystko to w niezwykle szybkim tempie. To był wyjątkowo trudny czas.

Dla Europy ogromnym wyzwaniem jest także trwająca wojna. Sama sytuacja jest bardzo trudna, nie pomaga też fakt, że struktury bezpieczeństwa, na których opieraliśmy się przez lata, zostały zburzone. Budowana tak długo architektura bezpieczeństwa przestała istnieć i musimy tworzyć nową.

W książce przyznaje pani, że zdarza się, że nowe rzeczy panią przerażają, i że w młodości zmagała się pani z tremą przed publicznymi wystąpieniami. Dzięki polityce nabrała pani pewności siebie?
– Wiem z własnego doświadczenia, że to właśnie te chwile, które najbardziej nas przerażają, i sytuacje, w których czujemy się najbardziej niekomfortowo, są momentami, które najbardziej nas rozwijają. Każda trudna sytuacja, z którą się mierzyłam, czy to nagła, poważna choroba lidera naszej partii tuż przed wyborami parlamentarnymi, kiedy musiałam przejąć prowadzenie kampanii, czy fakt, że zaledwie sześć miesięcy po wyborach objęłam urząd premiera w wyniku kryzysu w rządzie, czy inne wymagające momenty w mojej karierze politycznej – uczyła mnie najwięcej i budowała moją pewność siebie. Kiedy zdasz sobie sprawę z tego, że pomimo strachu czy tego, że czujesz się nieprzygotowana, potrafisz podołać wyzwaniu – to doda ci siły.

Najlepszym sposobem nauki jest działanie. Nigdy niczego się nie nauczysz, tylko o tym czytając. Dlatego nie powinniśmy bać się robić różnych rzeczy, ale też popełniać błędów. To część ludzkiej natury. Nie jesteśmy doskonali, a jeżeli będziemy od siebie i innych wymagać perfekcji, skażemy się na porażkę.

Spotykamy się w czwartą rocznicę agresji Rosji na Ukrainę, wróciła pani dzisiaj rano z Kijowa. Z jakimi nastrojami się tam pani spotkała? Zima bardzo dała się Ukraińcom we znaki, CNN raportuje, że – co nie dziwi – są potwornie zmęczeni wojną i trudno im utrzymywać wysokie morale.
– Nie zauważyłam tego w czasie tej wizyty w Ukrainie. Ludzie oczywiście są zmęczeni. Zmęczeni wojną, której nigdy nie chcieli. Od samego początku, od 2014 roku, kiedy Rosja dokonała aneksji Krymu, a następnie rozpoczęła pełnoskalową inwazję w 2022 roku, to była wojna Putina i Rosji. Naturalne więc, że po czterech latach społeczeństwo jest wyczerpane. Widzę jednak Ukraińców zdeterminowanych i gotowych trwać na pierwszej linii frontu, która jest zarazem pierwszą linią obrony Europy

To my powinniśmy udzielić Ukrainie o wiele większego wsparcia, zwłaszcza finansowego, bo to wydaje się dziś najpilniejsze.

Musimy też zrozumieć, że pomoc nie działa wyłącznie w jedną stronę. Ukraina potrzebuje naszego wsparcia, lecz my również potrzebujemy Ukrainy, żeby się rozwijać, lepiej przygotować oraz zadbać o to, by nasze armie i systemy obronne były zdolne sprostać w przyszłości różnym wyzwaniom, jeśli – albo prawdopodobnie wtedy – kiedy Rosja zdecyduje się kontynuować swoją agresję.

Wspomniała pani o ważnej rzeczy. Pomoc, której udzielamy Ukrainie, nie jest, jak niektórym się wydaje, jednostronna. Ukraińcy dzielą się choćby wiedzą zdobytą na polu walki, udoskonalają drony, produkują własny sprzęt, na podstawie ich doświadczeń NATO szkoli swoich żołnierzy etc.
– Pomagają bronić Europy. Gdyby Ukraina nie zdołała utrzymać linii frontu, skutki rosyjskiej agresji, która mogłaby wkroczyć do kolejnych państw europejskich, byłyby znacznie bardziej kosztowne, dotkliwe i przerażające. Ukraińcy bronią także nas, żebyśmy mogli żyć w pokoju. Potrzebujemy ich wsparcia również w zakresie nowych technologii, które stają się kluczowe dla współczesnej obronności.

Niedawne ćwiczenia NATO przeprowadzone w Estonii pokazały, że nie jesteśmy przygotowani na zmasowane ataki dronów na Europę. Wystarczyło kilka ukraińskich dronów wykorzystanych podczas manewrów – przy wsparciu ukraińskich specjalistów, którzy pomogli żołnierzom NATO zrozumieć skalę zagrożenia – żeby błyskawicznie zrównać z ziemią siły Sojuszu. Nie jesteśmy więc przygotowani i musimy bardzo szybko rozbudować własne zdolności obronne, korzystając z doświadczeń Ukraińców, aby przygotować się na agresję, którą, jak sądzę, Rosja może chcieć rozszerzyć na całą Europę, a nie tylko na Ukrainę. Już teraz widzimy, że Rosja prowadzi różne formy wrogich działań na terytorium państw europejskich. Obejmują one m.in. incydenty związane z podmorskimi kablami, kampanie dezinformacyjne oraz cyberataki. W różnych częściach Europy dochodziło również do aktów fizycznej przemocy. Rosja prowokuje państwa europejskie, obserwuje nasze reakcje, bada słabości i ocenia możliwości. Musimy zrozumieć, że nie jesteśmy bezpieczni, zwłaszcza, jeśli Ukraina nie zdoła utrzymać linii obrony.

eprasa.pl 8024f7c131

Nie brzmi to optymistycznie.
– Brzmi realistycznie. Musimy jasno zrozumieć, z czym mamy do czynienia. Nadzieja rodzi się z naszych działań, z wiarygodnego odstraszania, ze wzmacniania zdolności obronnych oraz zwiększania nakładów na obronność. W państwach NATO uzgodniliśmy podniesienie wydatków obronnych do poziomu pięciu procent PKB. Jednak równie istotne jak sama wysokość tych środków jest to, w jaki sposób zostaną one wykorzystane. Jeśli będziemy inwestować wyłącznie w przestarzałe metody, nie będziemy mieli żadnych szans. Dlatego tak ważne jest, by wyciągać wnioski z tej wojny i uważnie analizować obecną sytuację, aby inwestować mądrze i nie marnować środków, zwłaszcza że cel pięciu procent to dla Europy ogromne wyzwanie.

Dwa lata temu, w czasie konferencji Impact w Poznaniu, mówiła pani, że NATO potrzebuje zmian. Jakie słabości Sojuszu obnażyła wojna w Ukrainie?
– Choćby to, jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani na rosyjskie ataki dronów. Zestrzeliwaliśmy je rakietami i systemami wartymi gigantyczne pieniądze, podczas gdy same drony są niezwykle tanie w produkcji. Ta dysproporcja pokazuje, że nie byliśmy gotowi ani na realia tej epoki, ani na zdolności, jakimi dysponuje Rosja.

Wojna ujawniła również nasze słabości ogólnie, jeśli chodzi o reakcję. Jednym z powodów, dla których moim zdaniem konflikt wciąż trwa, jest brak jasno określonej wizji tego, jaki cel chcemy osiągnąć, a co za tym idzie – brak spójnej strategii. Nie potrafiliśmy wspólnie zdecydować, że Ukraina ma wygrać, a Rosja przegrać, że Putina należy powstrzymać niezależnie od kosztów. To jedna z najpoważniejszych słabości, jakie zaobserwowaliśmy w ciągu ostatnich czterech lat. Widać, że nasza jedność i solidarność są kruche, nie tylko w ramach NATO, ale też Unii Europejskiej. Węgry są państwem, które niemal na każdym etapie sprawia trudności. To wielki wstyd nie tylko dla Europy, ale także dla Węgier. W porównaniu z Rosją, podobnie jak Polska czy Finlandia, są niewielkim krajem i jeśli każde państwo będzie chciało działać samotnie przeciwko wielkiemu wrogowi – wszyscy przegramy. Jeśli jednak połączymy siły, zachowamy jedność i będziemy razem silni, wspólnie możemy pokonać przeciwnika, zakończyć wojnę w Ukrainie i sprawić, że nie będzie nam już zagrażał żaden agresywny sąsiad.

Europa, ale i świat stoją w obliczu coraz to nowych wyzwań. Była pandemia, dosłownie za granicą Unii Europejskiej trwa wojna, mierzymy się z kryzysem klimatycznym. Co mogą zrobić kraje Unii, żebyśmy byli lepiej przygotowani do działania?
– Musimy być realistami. Wiele się jednak też nauczyliśmy. Przykładem jest globalna pandemia, która dotknęła wszystkie nasze państwa i społeczeństwa. Jako Europejczycy potrafiliśmy stworzyć wiarygodny i skuteczny program szczepień. Jednym z największych sukcesów tamtego czasu było właśnie wprowadzenie mechanizmu wspólnych zamówień publicznych.

Pokazaliśmy również, że potrafimy przekształcać i reformować nasze struktury oraz systemy energetyczne po rozpoczęciu wojny w Ukrainie. Choć wciąż wiele pozostaje do zrobienia, zdołaliśmy dostosować nasze rozwiązania do nowych realiów.

Mamy więc też wspólne sukcesy, mimo że wypracowanie kompromisu między 27 państwami bywa procesem powolnym i trudnym. Europa powinna stać się światowym liderem w obronie międzynarodowego ładu opartego na zasadach. Powinniśmy pokazywać siłę naszych wspólnych wartości: wolności, demokracji, praworządności oraz poszanowania międzynarodowego systemu wielostronnego. To my stanowimy dziś ostatnią gwarancję ochrony tych reguł. Tego rodzaju przywództwo jest dziś Europie potrzebne bardziej niż kiedykolwiek, zwłaszcza że Stany Zjednoczone obrały obecnie inny kierunek. ▲

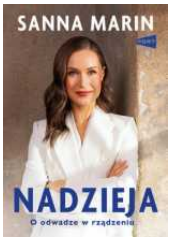

SANNA MARIN
„Nadzieja. O odwadze w rządzeniu"
tłum. Adriana Celińska
wyd. Port

OGŁOSZENIE

Automatyzacja benefitów i ZFŚS w jednej platformie? **TAK!**

Już teraz z abonamentem za

ZERO

do końca roku!

MOTIVIZER

Wejdź na stronę: www.gold.motivizer.pl

lub zeskanuj kod QR by poznać szczegóły akcji

Promocja ważna do 30.04.2026

eprasa.pl 8024f7c131

Strażnicy *komunikacji*

Mediacja to dialog, a nie monolog. Jeśli nie wpuścimy dziecka do tej rozmowy, to nic się nie uda

Z **MAŁGORZATĄ BOHOSIEWICZ-SUCHOŃ**
ROZMAWIA **MAGDALENA KELER**
RYSUNEK **BASIA POSPISCHIL**

Naprawdę możemy spisać umowę z dzieckiem? Na przykład z takim zapisem: „Punkt 1: nie wracasz do domu później niż o godz. 23”.
– Jak najbardziej. Jestem wielką zwolenniczką takiego rozwiązania. Z dorastającym dzieckiem warto umawiać się na konkret, nastolatki potrzebują jasno postawionych granic. Tworzymy więc sobie taką krótkoterminową umowę/porozumienie (na przykład trzymiesięczną) i tam ustalamy zasady: „Wracasz o 23, a jak masz się spóźnić, to prosimy nas o tym poinformować”.

Umowa/porozumienie może dotyczyć wszystkiego, także tego, z czym boryka się współcześnie wielu rodziców, czyli czasu spędzanego przed ekranem. I nie musimy zabierać telefonu czy komputera, po prostu spiszmy, ile czasu na dobę i do której godziny dziecko może spędzić przed ekranem. A po tych kilku miesiącach weryfikujemy efekty. Ponownie siadamy do stołu i dyskutujemy, co się udało, a co nie.

Taki dokument zadziała?
– Tak. To zdecydowanie lepsze rozwiązanie niż codzienne wchodzenie do pokoju dziecka i narzekanie: „A ty znowu w tym telefonie”.

Lepiej pomachać mu umową przed nosem?
– Tak, bo to przypomnienie, że się do czegoś zobowiązaliśmy – zarówno my, rodzice, i nasz nastolatek. Obie strony podpisują dokument dobrowolnie, ustalają wspólnie zasady, a dziecko ma dzięki temu poczucie sprawczości. Widzi, że jest traktowane poważnie, po partnersku. I wtedy chętniej przestrzega zasad. Przecież nikt nie lubi, jak mu się coś narzuca wbrew woli.

Ale już sam podpis złożony pod takim kontraktem bywa magiczny. Bo to jednak jest dokument.

Taką umowę możemy spisać przy wsparciu mediatora. Ale kiedy borykamy się z problemami z dorastającymi dziećmi, raczej szukamy pomocy u psychologa. Mediacje kojarzą nam się z procesem prawnym.
– Mediacje nie są zarezerwowane jedynie dla spraw procesowych. To narzędzie, którego używamy przecież w codziennym życiu. Nieustannie mediujemy – w domu, w pracy...

Z mężem o remont kuchni.
– Chociażby. Albo z dzieckiem, o której godzinie może wracać do domu.

W mojej już ponad 20-letniej karierze mediatorki zdarzyło mi się wielokrotnie prowadzić mediacje pomiędzy rodzicami i nastoletnimi dziećmi. Rodzice przychodzą do nas, mówiąc, że byli już u psychologa, ale to nie rozwiązało sprawy do końca.

Jakie są największe różnice pomiędzy tymi dwoma procesami?
– W przypadku psychologa rodzice najpierw sami udają się na spotkanie z terapeutą i omawiają problem. Mediator przeprowadza rozmowy indywidualne z każdą ze stron – czyli rodzicami i nastolatkiem – ale potem siada razem z nimi przy stole. Ten proces toczy się wspólnie dla całej rodziny, bo mediacja ma na celu udrożnić komunikację. A to się nie uda, jeśli będziemy spotykać się w podgrupach.

A z tą komunikacją współcześnie jest coraz gorzej.
– Tracimy umiejętność rozmawiania. I nie jest to tylko wynik przeciążenia obowiązkami i skutek pędu współczesnego świata. My – jako rodzice – ustawiamy się zawsze od razu z punktu osoby wszechwiedzącej: „Jestem doświadczona, mam swoje lata, wiem więcej”. Mamy nawet tendencję do zakładania, że lepiej wiemy, co dziecko chce powiedzieć, a nawet co myśli na dany temat.

To chyba pierwsza kwestia do wyrzucenia z głowy, zanim siądzie się przy stole do mediacji.
– Tak, bo kiedy siadamy przy tym okrągłym stole, to każdy uczestnik spotkania jest równorzędny. I każdy ma prawo wyrazić swoje zdanie. Jak on/ona widzi ten spór, jakość relacji. Ta osobista perspektywa musi być swobodnie wyrażona. Musimy tej drugiej osoby w skupieniu wysłuchać, trochę „wejść w jej skórę”, żeby zrozumieć jej punkt widzenia. Ale ważne jest też to, żeby nie były to komunikaty oskarżające, bo to nie jest tak, że prowadzimy jakieś śledztwo. Nie możemy też od razu stawiać tez.

Bo – znowu – rodzice często mają gotowe rozwiązanie w głowie.
– I wtedy od razu dochodzi napięcie. Dlatego w trakcie mediacji rozmawiamy bez pretensji, czyli zamiast: „Znowu nas nie słuchasz, ciągle się spóźniasz”, mówimy: „Umawialiśmy się inaczej, o 23 miałeś być w domu, martwiliśmy się”.

Mediacja to dialog, a nie monolog. Jeśli nie wpuścimy dziecka do tej rozmowy, to nic się nie uda. Rozmowa pozwoli nam drążyć, dojść do sedna problemu, ale z punktem widzenia i odczuć obu stron. Nastolatki dzięki mediacjom dostają sprawczość. I to jest bardzo ważne, bo widzą, że też coś znaczą, że ich głos się liczy, że mogą współdecydować.

Oczywiście może się zdarzyć, że jednak się na tych swoich stanowiskach okopiemy.

I co wtedy?
– Trudno na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Zdarza się czasem, że na drugim czy trzecim spotkaniu widzimy, że to się nie uda. Komunikuję wtedy jasno, że stoimy w miejscu, i proponuję na przykład terapię rodzinną. I potem znowu możemy do mediacji wrócić.

Czasem też zdarza się, że się rozchodzimy, ale rodzice w domu jednak analizują to, co się wydarzyło na mediacji, przerabiają to sobie i wracają potem do

eprasa.pl 8024f7c131

eprasa.pl 8024f7c131

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

nas z wnioskiem, że może jednak warto spróbować dalej albo że już sami doszli do porozumienia.

Kiedy rodzice powinni rozważyć mediacje? Trzaskanie drzwiami i przewracanie oczami to przecież „norma" w przypadku nastolatka.
– To dość indywidualna sprawa, ale na pewno wtedy, kiedy widzimy, że te relacje całkowicie leżą. I że nie ma już szans na porozumienie. Istotne jest to, żeby być czujnym i zauważyć moment, kiedy konflikt niebezpiecznie narasta. Że jest głucho po drugiej stronie, że odbijamy się od ściany.

A spotkanie na neutralnym gruncie często jest prostsze niż w domu. Obecność osoby bezstronnej, mediatora, sprawia, że paradoksalnie rozmawia się łatwiej. Ważne, abyśmy nie wstydzili się prosić o pomoc.

To trudne, bo traktujemy rodzicielstwo ambicjonalnie. Jak przychodzą problemy, szukamy winy w sobie.
– Po to są różni specjaliści, aby korzystać z ich pomocy. Jako rodzice – i mówię to też jako mama i już babcia – jesteśmy w takie sytuacje zaangażowani emocjonalnie. Nie jesteśmy w tych konfliktach obiektywni. Dlatego pomoc z zewnątrz bywa jedynym wyjściem.

Czasy na szczęście się zmieniają. Kiedyś uważano, że wszystkie rodzinne problemy powinny zostać w czterech ścianach. Dziś ludzie są bardziej świadomi. Nie wstydzą się już tak jak starsze pokolenia.

Ale wciąż zdarza się, że jeden z rodziców neguje konieczność pomocy. Co wtedy? Mediacja bez niego ma szanse na powodzenie?
– Niestety wciąż znaczenie ma tu płeć. To ojcowie częściej wolą zostawić „brudy" w domu. Często te mediacje inicjuje mama i na nasze pytanie: „A gdzie jest tata?", słyszymy: „Mąż nie chce przyjść, nie chce o problemach rozmawiać z obcą osobą".

Mediacje to proces dobrowolny, nie możemy nikogo do nich zmusić. Dajemy więc temu ojcu czas i często zdarza się, że on jednak na któreś z kolei spotkanie przychodzi. Ale musi na pewno wyrazić zgodę, aby w ogóle do nich doszło.

Mediator nie jest sędzią ani prokuratorem, nie chodzi o to, aby z butami wszedł w czyjeś życie. Jesteśmy strażnikami komunikacji, naszą rolą jest pomoc w zburzeniu muru między stronami konfliktu.

Pamiętajmy też, że cały proces mediacji jest poufny, ale umówmy się – w rodzinie

MAŁGORZATA BOHOSIEWICZ-SUCHOŃ

– mediatorka z ponad 20-letnim doświadczeniem. Stała mediatorka przy czterech sądach okręgowych w Polsce. Specjalistka ds. przeciwdziałania przemocy w rodzinie. Współpracowniczka Komitetu Ochrony Praw Dziecka w Warszawie oraz Fundacji ITAKA

i tak się rozmawia, więc jeśli jeden rodzic opowie w domu, jak to działa, to ten drugi może się do tego procesu przekonać. Szczególnie kiedy widać pozytywne skutki mediacji. Czasem też na prośbę jednego z rodziców dzwonimy do drugiego i zapraszamy na mediacje, tłumacząc, na czym ten cały proces polega, że jednak warto spróbować.

Bo – o czym wcześniej nie wspomniałam – w każdym spotkaniu bierze udział dwójka mediatorów i staramy się, żeby zawsze to była kobieta i mężczyzna. To ważne, bo możemy wtedy dopasować się do natury sporu – są kwestie, które chętniej poruszy się z mężczyzną, a są takie, które prędzej zrozumie kobieta.

Zdarza się, że to dzieci same inicjują mediacje?
– Oczywiście. Chcą być zauważone. Przychodzą, bo ciągle słyszą, że „to nie twój problem", że „mają się nie wtrącać".

Nie rozumieją, dlaczego są na tyle dojrzali, żeby odebrać siostrę z przedszkola albo pojechać na drugi koniec miasta, a nie mogą wyjechać sami pod namiot. Mierzą się więc z brakiem zaufania.

Bo jak pojadą, to na pewno będzie seks.
– No i tego właśnie nie rozumieją! Bo skoro rodziców całymi dniami nie ma w domu, to przecież ten seks mogą swobodnie w tym domu uprawiać. W ich pojęciu niczym to się nie różni od wyjazdu z paczką przyjaciół.

Mediacje pomogą im zrozumieć, że tu chodzi o troskę. Że mogą sobie dłużej posiedzieć ze znajomymi wieczorem, ale niech będą świadomi zagrożeń i tego, jak zapewnić sobie bezpieczeństwo. Że jeśli zaopiekują nasz podstawowy rodzicielski lęk – czy moje dziecko jest całe i zdrowe – to nam, rodzicom, wystarczy.

Bo my też musimy nauczyć się odpuszczać, nie możemy być ciągle śledczymi, którzy wypytują o każdy szczegół. My mamy to dziecko wychować tak, aby potem było samodzielne.

W szkołach pojawiają się mediacje rówieśnicze. To dobry pomysł?
– Bardzo. Dzieci muszą się nauczyć same rozwiązywać konflikty, a takie mediacje są świetnym ćwiczeniem: czy jestem w stanie usiąść do stołu i być tą bezstronną, neutralną stroną, która przeprowadzi rozmowę? U nas nie ma kultury rozwiązywania sporów. Dlatego im wcześniej zaczniemy pracować z najmłodszym pokoleniem, tym lepiej.

Ministerstwo Sprawiedliwości, ale też fundacje i organizacje społeczne, w ramach Tygodnia Mediacji ogłaszają różne inicjatywy i warto, aby szkoły się w to angażowały.

A są w Polsce fundacje, do których można się na mediacje rodzinne zgłosić? Czy jest to opcja tylko płatna?
– Są fundacje i stowarzyszenia, które takie mediacje oferują. Choć niestety dotyczy to raczej mediacji sądowych. Te – nazwijmy je „z ulicy" – gdzie rodzice bądź dziecko zgłaszają się sami, bez toczącej się sprawy w sądzie – raczej są płatne. Ale zawsze warto pytać, bo zdarza się, że takie działania są prowadzone w ramach funduszy europejskich. Ośrodków oferujących pomoc jest już w Polsce dużo, choć na pewno nie w każdej miejscowości. W tych większych są one szeroko dostępne.

Ile trwa średnio proces mediacyjny?
– Zwykle są to trzy, cztery spotkania. Ale, tak jak wspominałam, doświadczony mediator już na drugim spotkaniu jest w stanie ocenić, czy dwie strony się słyszą i czy jest wola porozumienia. Już sam stół sprawia, że rozmowy idą jakoś lepiej. To, że siadamy przy okrągłym stole, w spokoju, skupieniu, widzimy się. To działa.

Sama, jak byłam mała, nie mogłam doczekać się, aż wszyscy wrócą do domu i usiądziemy do stołu. Czekałam na ten wspólny posiłek, rozmowy. Intuicyjnie czułam, że to ważna chwila. Odziedziczył to po mnie mój wnuk. Chyba te mediacje mamy w genach. ▲

eprasa.pl 8024f7c131

W SPRZEDAŻY, RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU

- Paweł Sołtys: Dlaczego Warszawa jest dla Niego ważna?
- Randka, czyli fiasko. A może rzucić wszystko i zostać swatką? Bo Tinder nie daje rady
- Dlaczego Agatha Christie jest ciągle w modzie – wyjaśnia Sophie Hannah, która dopisuje kolejne śledztwa do kolekcji Herkulesa Poirot
- Najlepsze książkowe nowości przed wiosną

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl** Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

eprasa.pl 8024f7c131

Ludzie są *skomplikowani*

Opowiedzieliśmy już naprawdę sporo o rodzicach. Może jesteśmy w momencie, gdy zauważamy wartość życia w rodzeństwie.

eprasa.pl 8024f7c131

Z **EMI BUCHWALD,** REŻYSERKĄ, ROZMAWIA **JUSTYNA GROCHAL**

Każdy film to mieszanka inspiracji, pomysłów i przemyśleń. Z jakiego impulsu wyrósł „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"?
– Pomysły na film same do mnie przychodzą. Tutaj iskrą były relacje z moim rodzeństwem i nasze wspólne doświadczenie zaangażowania się w przeżycia jednego z nas. Punkt wyjścia scenariusza jest bardzo blisko naszego życia: sytuacja, kiedy jedna osoba wpada w tarapaty, a reszta próbuje ją uratować. Kolejne elementy zaczęły układać się błyskawicznie. Scenariusz powstał bardzo szybko. Z Karolem Marczakiem, współscenarzystą, pracowaliśmy nad innym tekstem, w międzyczasie napisaliśmy krótki metraż „Piękna łąka kwietna", a potem z rozpędu „Nie ma duchów...". Pamiętam, jak zapisaliśmy zdanie: „To będzie film o rodzeństwie w rozdziałach". Taki był początek.

Wszyscy cię pytają o te duchy, a ja bym chciała wiedzieć, dlaczego ulica Dobra?
– Wynika z życia, bo faktycznie moi bracia mieszkali na Dobrej w momencie, do którego nawiązuję. Wychodzę z założenia, że opowiadam o dobrych ludziach, którzy mają dobre intencje. W tym przypadku ratują kogoś dla siebie ważnego. Nie zawsze wiedzą, jak to robić, nie mają narzędzi, ale działają z dobrych pobudek. Poza tym nie mam poczucia, że rodzina to tylko źródło zła. Nie musi tak być, a do tego trochę przywykliśmy w sztuce, kinie, literaturze. Opieramy się głównie na traumach. W naszym filmie jest oczywiście sporo pęknięć, ale jednak początkiem wszystkiego jest światełko, które migocze na ścianie mieszkania. Jest tam zalążek dobra, wspólnotowości, która spowodowała, że bohaterowie są tak blisko siebie.

Czym dla ciebie jest duchowość?
– Ważnym elementem w byciu człowiekiem. Chciałam przełożyć to na moich bohaterów. Opowiedzieć o młodych ludziach, którzy niekoniecznie żyją tylko seksem, dragami i alkoholem, jak zwykło się to opisywać w kinie. Wydaje mi się, że młodzi są dziś trochę rozbici, bo nie mają jednej, prostej drogi. Potrzebujemy sfery pozawerbalnej, wewnętrznej. Nasi bohaterowie wiele opisują. Używają różnych sformułowań z psychologii, mówią o stylach przywiązania, tłumaczą sobie, co się z nimi dzieje. W ramach kontrastu chciałam zwrócić uwagę na obszar, który jest niewytłumaczalny. Chodzi o intuicję, której dotyka na przykład Kieślowski. Jego kino może trochę się zestarzało, ale ten element jest mi wciąż bliski. Sferą duchową w kontekście filmu jest dla mnie to przyciąganie się nawzajem myślami, dostrzeganie piękna i symboli, zauważanie znaków, które później można wykorzystać albo nie.

Wychowałam się na historiach o moich przodkach, szczególnie przodkiniach, które odczuwały takie połączenie ze światem pozaziemskim. Ono nie ma nic wspólnego z wiedźmami i czarownicami. Jestem też daleka od myślenia w ten sposób o byciu reżyserką. Mam warsztat, skończyłam szkołę filmową, zdobywam wiedzę i mam wyobraźnię oraz wrażliwość. Z tego czerpię. Patrzę na świat intuicyjnie, a nie tylko intelektualnie, i z tej potrzeby wprowadziłam do filmu takie elementy.

W psychologii żałoby istnieje koncepcja „continuing bond", która mówi o tym, że nie chodzi o odcięcie się od zmarłych, ale o przearanżowanie relacji z nimi. Wpasowuje się w doświadczenia twoich bohaterów, którzy w obliczu zmian muszą przemeblować swoje relacje.
– Od razu pomyślałam o Benku, który nie może się pogodzić z tym, że jego brat znika i ma silną potrzebę odcięcia się. Jest najmłodszy, nie ma ułożonego samodzielnego dorosłego życia. Moi bohaterowie ciągle zmieniają miejsca – raz nocują u jednej siostry, raz u drugiej. Porzucają rodzinne mieszkanie na Dobrej. Nie są jeszcze w momencie, kiedy świadomie byliby w stanie wypełnić schemat, o którym mówisz. Podświadomie starają się zachować dawne relacje.

Każdy z nich musi przejść ten proces osobno, a my przechodzimy go razem z nimi. Nie uważam, że skupianie się w dzisiejszych czasach głównie na indywidualizmie jest dobre. Myślę, że wspólnotowość to coś, co pomaga nam przetrwać. Jednak dla naszych bohaterów skupienie się na sobie jest w tym momencie życia niezbędne. Do tej pory żyli tylko wspólnotowością, a teraz muszą poznać samych siebie.

Ciekawi mnie architektura jako metafora relacji: fundamenty, które je podtrzymują, pęknięcia, napięcia w konstrukcji, a czasem konieczność remontu. Traktowałaś przestrzeń jak równorzędnego bohatera, który współtworzy relacje?
– Miejsca są tu kluczowe. W mieszkaniu na Dobrej są pęknięcia, czuć w nim dawne życie i teraźniejsze perturbacje. Powraca w różnych momentach w nowych odsłonach, zmienia się.

Z drugiej strony wychodzimy szerzej – jest miasto, o którym Nastka mówi, że jest „w ciągłym rozpierdolu". Szukaliśmy miejsc w remoncie, w których bohaterowie będą musieli się odnaleźć. Myślę, że Warszawa bardzo pasuje do grania z wnętrzem bohaterów. To miasto jest zarówno stare, jak i młode. Nosi w sobie traumę pokoleniową, ale jest też w ciągłym procesie zmian. Jest miastem duchów, całe jest cmentarzem.

Eksplorowanie przestrzeni jest dla mnie istotne, dlatego ważnym kontekstowo filmem było „Ghost Story" Davida Lowery'ego. Opowieść zaczyna się od pary mieszkającej w domu, który dla siebie znalazła, ale w pewnym momencie kompletnie odchodzi od tej relacji i skupia się na przeżyciach domu w czasie. Zachwyciło mnie, że można opowiadać, jak miejsce żyje i wpływa na bohaterów. Mieszkanie na Dobrej też działa na rodzeństwo. I żyje, nawet jak ich tam nie ma. Pierwszy rozdział filmu jest zresztą bardziej o tym mieszkaniu niż o rodzinie.

Stawiasz w centrum rodzeństwo, a rodziców trzymasz poza kadrem. W filmie są wspomniani właściwie w jednym momencie. Dlaczego zdecydowałaś się na odseparowanie tego kontekstu?
– Bo mam poczucie, że kiedy pojawiają się rodzice, to zgarniają całą uwagę. Nagle nie myślisz już o tym, co się wydarza między rodzeństwem, a zaczynasz myśleć, z czego to wynika.

Opowiedzieliśmy już dużo historii o rodzicach. Szczególnie w ostatnim czasie, kiedy w nasze życie mocno wkroczyła terapia. Jest dużo filmów postterapeutycznych, w których obecność rodziców definiuje relacje dzieci. Dlatego czułam, że nie chcę mieć ich w centrum. To ograniczenie spowodowało, że byliśmy bardziej kreatywni.

Scena powrotu od rodziców, w której pada właściwie jedno zdanie, to jedna z najważniejszych dla mnie scen. Na początku miała sześć stron. Bohaterowie opowiedzieli sobie wszystko – jacy byli dla siebie rodzice, co działo się w domu. Potem wróciliśmy do tej sceny, wycięliśmy ją całą i zostawiliśmy przestrzeń na jedno zdanie. Długo go szukaliśmy. Chcieliśmy, żeby było sugestywne, ale nie opowiedziało za dużo. I żeby nie było przesadnie diagnozujące.

FOT. JANUSZ SZYMAŃSKI, STUDIO MUNKA

eprasa.pl 8024f7c131

„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" w kinach od 13 marca

Podoba mi się, jak pracujesz kadrami i przestrzenią. Scena wprowadzająca postacie jest ciekawa, bo pokazuje, jak wiele można powiedzieć o bohaterach poprzez ich rozmieszczenie w przestrzeni. O poetyce obrazu też myślisz jak o kolejnym narratorze filmu?
– Tak, zdecydowanie. Założenia wizualne nadają kolejne sensy. Na przykład scena otwierająca, czyli długie przejście kamery po pustym domu. Wymyśliliśmy z Tomkiem Gajewskim, operatorem, że kamera nie będzie szła do przodu, tylko będzie się wycofywała z pomieszczeń: od przeszłości do teraźniejszości.

Uważam, że każdy element filmu powinien opowiadać. Bardzo mnie cieszy, że zwróciłaś uwagę i na kadry, i na inscenizację, czyli obecność aktorów względem kamery. To podstawa pracy reżyserskiej. Tymi ustawieniami opowiadamy o tym, jacy ci ludzie są, czy są blisko, czy daleko, czy są wolni czy zamknięci. To, co widzimy, nie dzieje się przypadkiem, każdy ruch planujemy, żeby widz rozumiał pozawerbalnie, o czym to jest.

Twój film i „Wartość sentymentalna" Joachima Triera mają pewną wspólnotę tematów: relacja rodzeństwa, dom jako archiwum emocji, przestrzeń jako zapis pokoleniowych napięć. Mam wrażenie, że te filmy – choć powstawały niezależnie – rozmawiają ze sobą. Jak ty rozumiesz tę zbieżność? Znak czasu czy tylko wspólnej wrażliwości twórczej?
– To, co mówi Trier w swoim filmie, jest mi bliskie i też się nad tym zastanawiałam: jak to jest, że na kogoś z rodzeństwa przeszły wszystkie traumy pokoleniowe, a kogoś to ominęło? I jak to jest, że osoby z jednej rodziny tak kompletnie inaczej odczuwają to, co działo się w domu. U Triera młodsza siostra znalazła spokój, a starsza jest w stanie – używając języka naszego filmu – „przygnęby", czyli cierpienia, tutaj pokoleniowego. Podobnie jest między siostrami w naszym filmie, tylko my nie odwołujemy się do pokoleniowości. O tym bardziej myślę w kontekście kolejnego filmu.

Obejrzałam „Wartość sentymentalną" zaraz obok „Father Mother Sister Brother" Jima Jarmuscha. To też historie o rodzeństwach. Jarmusch, tak jak Trier, nie jest z mojego pokolenia, ale jego filmy są ponadczasowe. Na pewno jest tak, że w różnych miejscach na świecie są ludzie, którzy mają podobne wrażliwości, stąd te zbiegi okoliczności. Ale z drugiej strony myślę znowu o tym, że opowiedzieliśmy już naprawdę sporo o rodzicach. Może jesteśmy w momencie, gdy zauważamy wartość życia w rodzeństwie. Z ludźmi, z którymi się wychowywaliśmy. Widzimy, jak te relacje się zmieniają i nas kształtują.

Recenzenci, pisząc o twoim filmie, podkreślają czułość narracyjną. Jak przekładasz to pojęcie na praktykę na planie – od podejścia do ujęć po pracę z aktorami?
– Przede wszystkim nie wychodzę od problemów, tylko od ludzi. A ludzie są skomplikowani, więc nie chcę ich oceniać. Wydaje mi się, że to podstawa, żeby opowiedzieć o świecie z czułością. Jeżeli zaczynasz obśmiewać albo oceniać bohaterów, nie jesteś w stanie wejść w ten świat i zbudować pełnokrwistych postaci. Robisz wtedy jakąś narrację na ich temat ze swojej perspektywy – osoby, która wie lepiej. Mam wrażenie, że żyjemy w świecie, w którym wszyscy wszystko wiedzą. Kiedy wybucha wojna, ludzie nagle stają się ekspertami od sytuacji geopolitycznej. Kiedy wybucha pandemia, każdy jest specjalistą od szczepionek. Nie chcę być tą osobą, nie mam potrzeby wypowiadania się na każdy temat, wolę próbować zrozumieć.

Podczas pracy nad filmem podążam za bohaterami i ich decyzjami. To samo robimy z aktorami. Nie komentujemy zachowań postaci, tylko opowiadamy sobie na próbach własne historie. Obudowujemy sceny w osobiste doświadczenia i w ten sposób znajdujemy połączenie z postaciami. To sprawia, że scenariusz zaczyna się rozrastać, a bohaterowie stają się bliscy aktorom.

Staram się, żeby mój film stał się dla każdego, kto ze mną pracuje, również jego filmem. To jest ważne: zaprosić wszystkich do swojego świata i ich wysłuchać. Oczywiście mam nad tym kontrolę i nie jestem osobą, która potrafi ją szybko odpuścić, ale wydaje mi się istotne, aby wszyscy poczuli, że dodają swoją część. Otaczam się wieloma wspaniałymi twórczyniami i twórcami, takimi jak Ola Landsmann, reżyserka dźwięku, Kasia Gawlik, współautorka muzyki, czy kostiumografka Hanka Podraza i wieloma innymi.

Twój film, zanim wszedł do kin, został obsypany nagrodami i pozytywnymi recenzjami. Co ci to dało?
– Mogłam w ostatnich latach skupić się na przykład na robieniu reklam albo seriali. Miałabym dużo lepszą sytuację finansową. Ale postanowiłam, że chcę robić kino, o jakim marzyłam, od kiedy skończyłam 16 lat. Zdecydowałam wtedy, że będę robiła kino autorskie i że się nie poddam.

Stworzyłam już trochę rzeczy, które pokazują, że wiem, o co w tym chodzi. Nie chodzi o to, że chcę teraz robić filmy za wielkie pieniądze. Chciałabym, żeby ich robienie nie było moim drogim hobby, tylko pracą. Bo skończyłam szkołę filmową, która jest też szkołą zawodową, mam przygotowanie. Mam nadzieję, że lata, które na to poświęciłam, przyczynią się do tego, że będę mogła działać w zgodzie ze sobą, będąc za to uczciwie wynagradzaną. To byłby dla mnie prawdziwy sukces. ▲

EMI BUCHWALD

– (ur. 1991), polska reżyserka i scenarzystka filmowa. Absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi. Za swój pełnometrażowy debiut „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" otrzymała wiele nagród, w tym za reżyserię na 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni

eprasa.pl 8024f7c131

ODKRYJ SMAK WIEPRZOWINY

- zdrowe posiłki pełne energii!

SAM WYBIERASZ NA CO MASZ OCHOTĘ

Wieprzowina jest mięsem zróżnicowanym kalorycznie, ponieważ każda część tuszy wieprzowej zawiera inny udział tkanki tłuszczowej. Której części byśmy nie wybrali, jedząc mięso wieprzowe dostarczamy organizmowi, niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania, aminokwasów oraz białko, które wspomaga procesy zachodzące w ciele człowieka, np. trawienie, regeneracja komórek, czy też prawidłowy przepływ krwi.

ZWIĄZEK ZAWODOWY ROLNIKÓW

MIĘSO IDEALNE NA POSIŁKI DO PRACY

Nie każde mięso nadaje się do odgrzania, np. w pracy. Mięso wieprzowe jednak jest do tego idealne. Przygotowane wcześniej gulasze czy sosy mięsne dużo lepiej smakują na drugi dzień, kiedy mięso skruszeje i nabierze pełni smaku. Dzięki temu podczas ciężkiego dnia w pracy, możemy się cieszyć fantastycznie skomponowanym obiadem.

STRACH PRZED NIEZNANYM

Z mięsa wieprzowego często rezygnujemy w związku ze strachem przez możliwymi niestrawnościami. Nie wynikają one jednak z samego jedzenia mięsa, a ze sposobu jego przygotowania. Mięso wieprzowe przygotowane w odpowiedni sposób, będzie kruche i lekkostrawne. Najzdrowszym sposobem przygotowywania wieprzowiny jest obróbka cieplna, bez użycia dodatkowych tłuszczów. Dzięki temu mięso nie straci swoich właściwości, a jednocześnie będzie smaczne i zdrowe.

WIĘCEJ INFORMACJI NA NASZEJ STRONIE:

WWW.SMAKWIEPRZOWINY.PL

eprasa.pl 8024f7c131

Film „NAJBOGATSZA KOBIETA ŚWIATA" w reż. Thierry'ego Klify, w kinach od 13 marca

FOT. GALAPAGOS FILMS

FILM

Bunt miliarderki

Od satyrycznego „W trójkącie", przez prześmiewczą analizę rodzinnej walki o fotel prezesa w „Sukcesji", po kąśliwy portret uprzywilejowanych gości hotelowych w „Białym Lotosie" – świat wielkich fortun coraz częściej interesuje filmowców. Tym razem życie francuskich bogaczy bierze pod lupę Thierry Klifa. Jego „Najbogatsza kobieta świata" łączy dramat psychologiczny z opowieścią o władzy i podatności na manipulację.

Reżyser luźno nawiązuje tu do głośnej afery wokół Liliane Bettencourt, spadkobierczyni fortuny koncernu L'Oréal, oraz jej relacji z artystą oskarżanym o wykorzystywanie jej zaufania. Główna bohaterka filmu to Marianne Farrère – dziedziczka imperium kosmetycznego i kobieta nieprzyzwoicie bogata. To osoba przywykła do kontroli, otoczona wianuszkiem doradców, prawników i służby, ale jednocześnie samotna i spragniona autentycznych emocji.

Podczas sesji zdjęciowej do wywiadu, którego udzieliła, żeby „ocieplić wizerunek", poznaje dużo młodszego, ekscentrycznego fotografa Pierre-Alaina Fantina. Jego artystyczny temperament, bezpośredniość, a wręcz arogancja, fascynują Marianne. Między tą dwójką rodzi się intensywna relacja, początkowo pełna ekscytacji i wzajemnej inspiracji. – To bardzo wpływowa kobieta, która zarządza firmą. Jest silna. Nie jest ani ofiarą, ani biedną, nudną żoną – mówi mi Isabelle Huppert, odtwórczyni roli Marianne. – To sprawia, że spotkanie z Fantinem jest jeszcze ciekawsze. Dzięki niemu zyskała dostęp do innego świata, do części siebie, do której nie miała dostępu. Do swojej zabawnej części. Być może dzięki niemu odkryła w sobie artystyczną ekspresję, o której nigdy nie sądziła, że będzie mogła ją wyrazić.

Marianne zaczyna finansować projekty Fantina, kupuje mu drogie obrazy i zaprasza na salony. On zaś ochoczo korzysta z hojności miliarderki, wprowadzając coraz większy zamęt w jej otoczeniu. Ich więź zaczyna wzbudzać niepokój zwłaszcza u córki Marianne, która przypisuje Pierre-Alainowi jak najgorsze intencje. Uważa go za podstępnego manipulanta liczącego na zysk. To sprawia, że Marianne oddala się od rodziny i współpracowników. Konflikt między nią i córką przybiera na sile, aż w końcu sprawa trafia do sądu. Zaczyna się festiwal oskarżeń o wykorzystywanie osoby starszej i nadużycia finansowe. Publiczny skandal obnaża słabości rodziny i pokazuje, jak krucha może być pozycja nawet najbogatszej osoby na świecie.

Huppert w zachowaniu swojej bohaterki widzi raczej bunt wobec logiki systemu, w którym dorastała. – Funkcjonuje w świecie, w którym trzeba być produktywnym, ciągle pomnażać majątek. Pieniądze w gruncie rzeczy nic dla niej nie znaczą. Może dać milion euro wnukowi i dla niej to jak kupienie pary butów. Ale robiąc to, jakby mówiła: „Nie, choć raz w życiu pieniądz nie będzie znaczył tego, co »powinien« znaczyć". Źródłem skandalu staje się to odejście od zasad kapitalistycznej produktywności – tłumaczy aktorka.

Klifa bardziej niż na rekonstrukcji skandalu sprzed lat skupia się na studium władzy, starości i potrzeby bliskości. Stawia pytania o granicę między szczerym uczuciem a interesownością oraz o to, jak wielkie pieniądze wpływają na równowagę w relacjach. Pobrzmiewa tu również temat kobiecej autonomii – czy Marianne ma prawo do własnych wyborów, nawet jeśli wydają się nierozsądne? ▲ **(Justyna Grochal)**

eprasa.pl 8024f7c131

TEATR

Love To Die

XIX wiek, północna Anglia. Zamożny farmer Earnshaw, właściciel posiadłości Wichrowe Wzgórza, przygarnia bezdomnego młodego Heathcliffa. Między jego córką a nastolatkiem nawiązuje się uczucie, co wprawia w wielkie niezadowolenie starszego brata Cathy Hindleya, który po śmierci ojca przejmuje zarządzanie gospodarstwem i traktuje Heathcliffa jak służącego. Uczucie nie ma szans na spełnienie. Po latach Heathcliff wraca odmieniony i bogaty. Wciąż kocha Katarzynę, ale kieruje nim też pragnienie zemsty za dawne upokorzenia.
Siła powieści Emily Brontë pozostaje niezmienna, dlatego kolejni twórcy postanawiają zmierzyć się z adaptacją „Wichrowych Wzgórz". Teraz na deskach Teatru Polskiego w Bydgoszczy obejrzymy spektakl, który jest eksperymentalnym projektem inspirowanym powieścią Emily Brontë. To połączenie światów. XIX-wiecznej Anglii znanej z „Wichrowych Wzgórz" z historią Ireny Wójciak z Brodnicy, miłośniczki powieści, a prywatnie babci reżyserki, oraz osobistych doświadczeń członków zespołu. Spektakl jest opowieścią, w której korespondują ze sobą historie kobiet i mężczyzn z różnych epok. To teatralna refleksja nad decyzjami, które nigdy nie pozostają bez konsekwencji. Za reżyserię i tekst odpowiada Klaudia Hartung-Wójciak, jedna z najciekawszych reżyserek młodego pokolenia. Kostiumy stworzyła Hanka Podraza, kostiumografka m.in. nagradzanego ostatnio filmu Emi Buchwald „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej". ▲ **(Sandra Zakrzewska)**
Rozmowa z twórczyniami do przeczytania na wysokieobcasy.pl.
„WICHROWE WZGÓRZA. LOVE TO DIE" reż. Klaudia Hartung-Wójciak. Premiera 13 marca, Teatr Polski w Bydgoszczy

KSIĄŻKA

Gdzie się podziały kobiety

Bibliografia tej książki jest bardzo obszerna – zajmuje kilkadziesiąt stron – bo autorka, aby napisać drugą część „Brakującej połowy dziejów", przewertowała setki książek, artykułów i przeprowadziła wiele rozmów. Kiedy Anna Kowalczyk wydała pierwszą część „Brakującej połowy dziejów", nie spodziewała się, że książka stanie się aż taką sensacją. Pisze o tym we wstępie do drugiej części, że na szczęście jej ówczesne poczucie, że czegoś, a właściwie kogoś bardzo w historii brakuje, podzielają tysiące osób. „Od dnia premiery do dziś, online i w realu, w miastach, miasteczkach i wsiach, w bibliotekach, muzeach i na festynach od Ostrzeszowa do Chicago, spotkałam mnóstwo osób złaknionych opowieści o kobietach. Niemal wszystkie, przeczytawszy »Brakującą połowę dziejów«, mówiły mi to samo: jak to możliwe, że nic o tym nie wiedziałam? Dlaczego nie uczono mnie tego w szkole? Nareszcie rozumiem, czemu nie lubiłam historii: bo nic tam nie było o ludziach takich jak ja, jak moja matka, jak moja babcia" – pisze.
Od wydania tamtej książki Kowalczyk prowadzi audycję „Brakująca połowa dziejów" na antenie Programu Trzeciego Polskiego Radia.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Patrzyłam na twoje zdjęcie

a teraz
sobie leżymy
jemy ligole
całujemy się
i palimy
i całujemy się
i jemy jabłka
i całujemy się
i całujemy jabłka

JOANNA BOCIĄG – jest poetką i animatorką kultury. Wiersz pochodzi z tomu „Malta" (wyd. Warstwy)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

MARTA FREJ RYSUJE

A teraz daje nam drugą część, która sięga po tematy takie jak ciało, macierzyństwo, uroda i moda, miłość, ruch i sport, dom, przemoc. A więc tym razem Kowalczyk analizuje prywatność kobiet, domowość, seksualność i to, jak przez lata zmieniało się podejście do tych tematów. Zagląda w „babskie zaplecze" dziejów: do kuchni, kołyski, alkowy i garderoby. Nie zatrzymuje się na przywoływaniu faktów, lecz analizuje, jakie znaczenie miały one dla kobiet, dla zmiany społecznej, dla przewalczania stereotypów, dla przyszłych pokoleń.
Autorka przywołuje mnóstwo książek badaczek feministycznych i pisarek – tym samym książka staje się swoistym kompendium stanu badań nad życiem kobiet. To spis idei na temat egzystencji kobiet, ale nie brakuje tu też soczystych sylwetek – każdy temat wzbogacony jest opowieściami o kobietach z kręgów literatury, sztuki, polityki, medycyny. Bohaterkami są tu m.in. Irena Krzywicka, Barbara Brukalska, Irena Gumowska, Jadwiga Stańczakowa, Justyna Budzińska-Tylicka, Gabriela Zapolska. O każdej z nich dowiemy się czegoś, co wykracza poza tradycyjną narrację historyczną. Książkę, ponownie jak pierwszą część, zilustrowała Marta Frej. ▲ **(Paulina Reiter)**
ANNA KOWALCZYK „Brakująca połowa dziejów 2. Nowa historia kobiet na ziemiach polskich", wyd. Muza

PLAKAT DO SPEKTAKLU „WICHROWE WZGÓRZA. LOVE TO DIE" Z WYKORZYSTANIEM OBRAZU MARTYNY BARANOWICZ PT. „TWOJA DŁOŃ NA MOIM UDZIE JEST TAK HOT, ŻE AŻ PARZY"

eprasa.pl 8024f7c131

Chciałabym czuć *odwagę*

Ludzie nie ufają kobietom tak, jak ufają mężczyznom. Statystyka to potwierdza. Pod tym względem mamy jeszcze dużo pracy do wykonania.

Z **AMANDĄ SEYFRIED**, AKTORKĄ, ROZMAWIA **ARTUR ZABORSKI**

FOT. DISNEY+

Ann Lee, angielska reformatorka religijna, założycielka wspólnoty religijnej szejkersów, którą grasz w filmie „Testament Ann Lee" Mony Fastvold, budziła we mnie nie tylko pozytywne uczucia. Imponujące, jaką była oddaną wojowniczką o prawa kobiet, ale jej radykalizm przerażał mnie tak samo mocno jak radykałów mężczyzn.

– Ann Lee przeraża wielu ludzi, choć mnie akurat nie. Nie zawsze się z nią zgadzam, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie narzucanego przez nią celibatu, ale rozumiem, w jaki sposób doszło do tego, że chciała odrzucić seks jako coś nieczystego. Potrafię też wytłumaczyć sobie, dlaczego po tym, co przeżyła, chciała wycofać się z życia seksualnego, ale nie ma we mnie zgody na narzucanie takiego podejścia innym. Ale to, że nie zgadzamy się w pewnych aspektach, to za mało, żebym się jej bała. W wielu aspektach podziwiam jej odwagę, przekonania, siłę i radykalne idee. Kiedy zapoznawałam się z jej historią, nie mogłam uwierzyć, że jeśli chodzi o głoszone przez nią poglądy na temat równości kobiet i mężczyzn, zwłaszcza w aspekcie posługi religijnej, wciąż niektórymi z nich jesteśmy tak samo zszokowani jak w czasach, kiedy Ann Lee żyła.

W filmie opowiadacie jej historię w estetyce musicalu. Pani jako Ann wyśpiewuje jej modlitwy chwalące Pana, ale to zupełnie inny śpiew niż chociażby w „Nędznikach", za który dostała pani nominację do Oscara.

– Musieliśmy odejść od tradycyjnego pojęcia musicalu i przekształcić piosenki w niemal rytualny język. Szejkerzy, do których należała Ann Lee, oddawali cześć Bogu poprzez ekstatyczny śpiew i taniec. Gdybyśmy zrobili z tego klasyczne numery musicalowe, nie byłoby to wierne historii. Musieliśmy pokazać poszczególne utwory nie jako przerywniki muzyczne filmu, tylko chwile modlitwy. Tradycyjne hymny, które wprowadziliśmy do filmu, mają charakter mantry – modlący się powtarzają w nich te same słowa w kółko, co jest typowe dla formy modlitwy. Tę strukturę przenieśliśmy również do piosenek skomponowanych specjalnie do filmu. Wszystkie są inspirowane muzyczną tradycją szejkerów. To było niezwykle ekscytujące, bo musieliśmy rozwijać ten język, a momentami łamać jego zasady.

Ann Lee była przywódczynią w zdominowanym przez mężczyzn świecie. Przemysł filmowy też jest zmaskulinizowany, dlatego zastanawiam się, czy ten aspekt jej historii jakoś z panią rezonował.

– Oczywiście. Kobiecie w tej branży jest znacznie trudniej cokolwiek osiągnąć. Ale tak jest nie tylko w filmie, wystarczy przecież spojrzeć na to, jak wygląda amerykański rząd. Ludzie nie ufają kobietom tak, jak ufają mężczyznom. Statystyka to potwierdza. Pod tym względem mamy jeszcze dużo pracy do wykonania. Wciąż istnieje wiele nierówności, których sama doświadczyłam. Noszę w sobie wiele frustracji i każdą z nich mogłam wykorzystać, grając Ann Lee. Myślę, że dlatego od początku tak bardzo ją pokochałam. Przede wszystkim za to, że nie obchodziły jej granice. Przekraczała je każdego dnia. Poświęciła się całkowicie, żeby móc dalej budować tę niezwykłą utopię, którą stworzyła. To, że była kobietą, nie miało dla niej znaczenia. Chciałabym czuć taką samą odwagę.

Nie czuje się pani odważna?

– Czasem tak, czasem nie. Są dni, kiedy wiem, jak bardzo jestem jako kobieta delikatna. Ale projekty, które dają mi możliwość wcielenia się w osobę tak odważną, opowiedzenia jej historii, przedstawienia tego, co zrobiła, czyli projekty takie jak ten, wystarczają, żebym poczuła się trochę odważniejsza.

Czy pani zdaniem w 2026 roku możemy się czegoś nauczyć od Ann Lee i społeczności szejkerów? W Polsce oni nie są zbyt znani.

– Historia szejkerów nie jest zbyt dobrze znana nawet w Ameryce. Jedyne, z czym są kojarzeni, to ich niesamowite umiejętności projektowania mebli, pudełek i wynalazków, które stworzyli. Byli twórcami obieraczki do ziemniaków, płaskiej miotły, piły tarczowej i wielu innych rzeczy. Projektowali niesamowite kosze. Poza tym niewiele osób zna też historię Ann Lee. Myślę, że zwłaszcza teraz, kiedy dzieje się to, co się dzieje na świecie, a szczególnie w Ameryce, ważne jest, żeby nie wymazywać silnych kobiecych postaci z historii. Musimy o nich przypominać. Pod koniec XVIII wieku żyła młoda kobieta, która przepłynęła Atlantyk z garstką wyznawców i stworzyła jedną z największych wspólnot utopijnych w historii Ameryki. Oczywiście ta utopia miała wiele wad. Zorganizowana religia jest w ogóle skomplikowana.

Wychowałam się w świeckim domu, nie jestem szejkerką, nie wyznaję ich religii, ale uważam, że w tamtym czasie taka wspólnota dawała ludziom poczucie bezpieczeństwa i komfortu. Było to społeczeństwo oparte na pełnej równości – płci, równości rasowej i klasowej. A to coś, z czym nadal się zmagamy. Dlatego warto o niej pamiętać, bo – jak by nie było – budujemy współczesny świat na jej fundamentach. Chcę pokazywać młodym kobietom i mężczyznom, że to też jest część naszej historii. Że nasza przeszłość nie ogranicza się do grupy mężczyzn, którzy zrobili też wiele złych rzeczy. A z historii Ann Lee przebija światło i pada także na historię Ameryki.

Interesująco pokazujecie na ekranie obrządki liturgiczne szejkerów, którzy nie musieli chodzić do kościołów, żeby oddawać cześć Bogu. Znajdywali go wszędzie, co tradycyjnemu Kościołowi czerpiącemu datki z tac się nie podobało.

– Rzeczywiście, na początku szejkerzy oddawali cześć Bogu chociażby w lasach. Tak to funkcjonowało podczas ich pierwszych lat pobytu w Ameryce. Na samym począt-

eprasa.pl 8024f7c131

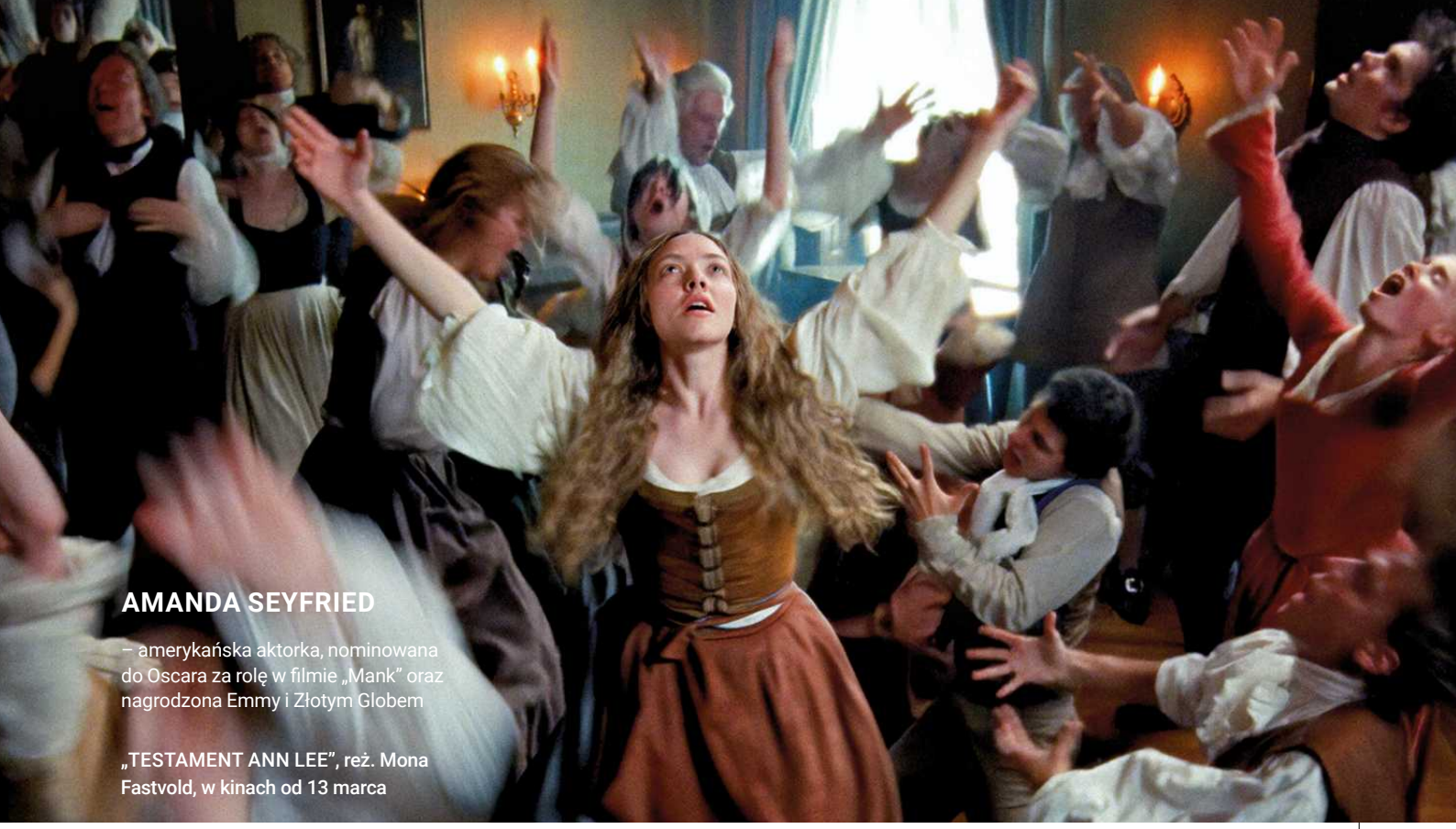

AMANDA SEYFRIED

– amerykańska aktorka, nominowana do Oscara za rolę w filmie „Mank" oraz nagrodzona Emmy i Złotym Globem

„TESTAMENT ANN LEE", reż. Mona Fastvold, w kinach od 13 marca

ku mieli wręcz taką „wyobrażoną katedrę", tworzoną przez samo wspólne gromadzenie się. Dla reżyserki było bardzo ważne, żeby każdy aktor był w pełni oddany idei, że ruch, śpiew, wokalizacja – to wszystko jest modlitwą. To nie mógł być występ ani tym bardziej rozrywka. Mona poświęciła dużo czasu na reżyserowanie nie tylko głównej obsady, ale także każdego statysty. Wszyscy musieli być z nami w pełnej zgodzie co do sensu sceny. Bo jeśli nie mielibyśmy wszystkich 150 wykonawców oddychających, poruszających się i świadomych tego, co robią i co chcą osiągnąć, wszystko by się rozpadło. To właśnie ten wspólny wysiłek stworzył i umocnił intencję tych sekwencji.

Czy dostrzega pani jakieś podobieństwa między sobą a Ann Lee?

– Mamy wiele podobieństw. Myślę zresztą, że wiele osób ma z nią coś wspólnego. To, co czyni ją tak niezwykłą, to właśnie jej ludzkie oblicze. To ono sprawia, że tak łatwo można się z nią utożsamić. Kierowała się dobrocią i współczuciem, chciała troszczyć się o ludzi, być dla nich kimś w rodzaju matki. Chciała pomagać. Doszła do tego, pokonując ogromny ból, traumę i cierpienie. Gdy przechodzi się w życiu przez piekło, naprawdę zmienia się perspektywa. Inne rzeczy stają się dla nas ważne. Ann Lee ból doprowadził do tego, że stała się bardzo szlachetna. Ja też czuję w sobie potrzebę pomagania, tworzenia bezpiecznych przestrzeni dla ludzi. To ma dla mnie ogromne znaczenie. Ona stworzyła wspólnotę, w której ludzie czuli się całkowicie bezpiecznie, wierzyła w równość wszystkich. Tysiące osób do niej dołączyły, bo też chcieli budować coś wspólnie, dla dobra ogółu. Tak jak mówiłam, nie zgadzam się ze wszystkim, co robiła. Ale zgadzam się ze sposobem, w jaki funkcjonowała w życiu – jak przyciągała ludzi, jak budowała więzi. Była bardzo ludzka, a jednocześnie w tym wszystkim była też trochę szalona, co było dla mnie niezwykle wyzwalające – mogłam wydawać dowolne dźwięki, wykonywać dowolne ruchy, i to było akceptowalne, bo to była ekstaza, modlitwa wyrażana poprzez ekstatyczny śpiew i taniec. Granie jej sprawiło, że czułam ogromną wolność ciała, duszy i głosu. Rzadko mam okazję być aż tak wolna na planie. A tym razem musiałam taka być, bo ona była całkowicie oddana – zawsze zwrócona ku światłu. Sama taka nie jestem, ale Ann bardzo mnie zainspirowała i od czasu spotkania z nią staram się jak najczęściej patrzeć w stronę światła.

Wcielając się w Ann Lee, musiała pani nie tylko zbudować psychologię tej postaci i ją dla widzów uwiarygodnić, ale też grać ją w fizycznie trudnych warunkach. Scena na statku, który przewozi szejkerów z Europy do Ameryki, gdy w kompletnej ulewie wznosicie pieśni ku niebu, wygląda spektakularnie.

– Ta scena była potwornie trudna. Nakręciliśmy ją na małej przestrzeni, w prawdziwej łodzi. Do tego Mona dorzuciła nam jeszcze deszcz, wiatr, mgłę i śnieg – wszystkie żywioły w jednym momencie. Suknie i gorsety momentalnie nasiąkały wodą i stawały się coraz cięższe. Pod koniec taniec wyglądał dokładnie tak, jakbyśmy byli poddani grawitacji polarnej. Nasza choreografka Celia Rowlson-Hall powtarzała: „Punkt ciężkości jest nisko, ciągnie was w dół. Jesteście na łodzi, potrzebujecie morskich nóg". Wszyscy ciągle podskakiwali, dopóki nie byliśmy kompletnie wyczerpani. Chórem mówiliśmy: „Nie wytrzymam już". Byliśmy totalnie wykończeni, ale to było wspaniałe. Najtrudniejsza była jednak scena pożaru. Baza była na wzgórzu, padało, była mgła. Setka statystów, konie, a my paliliśmy dom w czasie rzeczywistym. To było ekstremalnie trudne doświadczenie, ale jednocześnie ogromnie satysfakcjonujące. Zwłaszcza że Mona kręci tak, że czasami nie wiedziałem nawet, skąd patrzy na mnie kamera. Za każdym razem, gdy myślałam, że jestem poza kadrem i mogę odetchnąć, nagle widziałam kolejną kamerę na dźwigu. Było tyle ryzykownych elementów, że po prostu kręciła wszystko bez przerwy. Do zrealizowania takiego podejścia reżyserka potrzebuje aktorki, której naprawdę ufa. Dlatego czuję się przez Monę nie tylko dostrzeżona, ale też niezwykle doceniona. ▲

eprasa.pl 8024f7c131

Koncept *story*

Notesy okazały się przestrzenią porządkowania. Dosłownie, bo pozwalają ułożyć myśli, i metaforycznie – przestawiły życiowe priorytety.

TEKST: **ALEKSANDRA BOĆKOWSKA**

Joanna Dobkowska

FOT. ALDONA KARCZMARCZYK; I BELIEVE IN PAPER

W drodze na nasze spotkanie Joanna Dobkowska, założycielka marki I Believe In Paper, napisała do córek. W SMS-ach spytała o relację z papierem i o to, czy używają notesów.

Najstarsza, trzydziestoletnia: „Mam kilka i każdy jest do czego innego. Jeden do przemyśleń, drugi firmowy, trzeci do spraw do załatwienia. Zawsze notuję ręcznie, bo wtedy łatwiej zapamiętuję zadania. Zapisywanie pomaga mi skupić się podczas długich spotkań. Jak mam ładny notes, to lubię na niego patrzeć. Nawet jeśli w nim nie notuję, to jest miłym, niedigitalowym akcentem dla oka".

Najmłodsza, jedenastoletnia, rozdała notesy koleżankom z klasy. Wszystkie używają, zapisują ważne rzeczy.

Średnia, trzynastolatka, jest wkręcona w street art, projektuje fonty i robi z nich szkice do graffiti. Z papierem czuje się megazwiązana.

– Widzisz, uwielbienie papieru jest powszechne. Nie trzeba specjalnie szukać ludzi, oni po prostu są wszędzie – śmieje się Joanna.

WIARA W PAPIER

Sama nie rozstała się z papierem nigdy. Notowała, odkąd pamięta. Na studiach (warszawska Akademia Sztuk Pięknych) kupowała w księgarni w Zachęcie wściekle drogie kalendarze Taschena z reprodukcjami dzieł sztuki. Potem używała różnych. Zapisywała sprawy do zrobienia i do przemyślenia, zasłyszane zdania – wszystko, co warto zapamiętać.

Próbowała oczywiście notować w telefonie. Bez przyjemności, bo przyzwyczajona do papieru, na ekranie źle widziała, a więc gorzej planowała. Aż przy okazji przelogowywania skrzynki mailowej straciła najważniejsze notatki. Po prostu skasowały się. – Od tej pory nie wierzę w telefon – mówi.

Wierzy w papier, bo wszystkie zapisane notesy gdzieś są. W piwnicy, u mamy, w nierozpakowanych od lat kartonach, niektóre prawdopodobnie podeszły wilgocią, ale istnieją. Jeśli zechce sprawdzić, o czym myślała w 1998 roku, dokopie się do źródła.

ZMIANA FONTU

W 1998 roku studiowała grafikę. Lubiła zajęcia w zecerni – to miejsce, w którym w czasach przedkomputerowych szykowano do druku strony gazet i książek. Poznała analogowe techniki i nawciągała się drukarskich chemikaliów tak dużo, że kręcą ją do tej pory. Pamięta z tamtego czasu przekonanie, że może zrobić w życiu wszystko, o czym zamarzy. Ten i ów ze starszego pokolenia podcinał skrzydła, na porządku dziennym było sprowadzanie aspiracji dziewczyn do wychowywania dzieci, ale ona leciała w świat jak po swoje. Zresztą z dzieckiem u boku.

Pracowała w wywrotowych magazynach, projektowała szatę graficzną dużego dziennika, była dyrektorką artystyczną magazynu o modzie. Spotkała w pracy Neville'a Brody'ego – brytyjskiego grafika znanego m.in. ze stworzenia „The Face" i odmłodzenia „The Times". Kochała papierowe gazety.

Jednak świat się zmienił. Utrzymanie się, zwłaszcza z rodziną, z pracy w papierowym magazynie stało się trudne. Zaczęła więc współpracować z komercyjnymi markami – czasem na stałe, czasem przy projektach. – Straciłam sprawczość – opowiada. – Jeśli pracujesz dla klienta, to on decyduje, że coś ma być czerwone albo zielone, że trzeba przesunąć ramkę o pięć milimetrów w prawo albo w górę, w ostatniej chwili może zażądać zmiany fontu. Dostawałam dziesiątki korekt i w którymś momencie poczułam, że już nie mogę. Okazało się, że byłam do cna wypalona.

eprasa.pl 8024f7c131

Pracowała dalej, ale wypalenie zawodowe nie pozwalało jej się cieszyć z projektów, blokowało też złość. – Projektowanie, które uważałam za część mojej tożsamości, przestało mnie obchodzić. Nie czułam smutku ani złości, tylko bezgraniczną obojętność – wspomina. – Siedziałam nad zleceniami i zastanawiałam się, po co ja to w ogóle robię.

Straciła sprawczość, ale nie wiarę w papier.

MOCNIEJSZE NIŻ MIŁOŚĆ

Nagle nadeszło zlecenie, przy którym nie zastanawiała się, po co je robi, tylko jak zrobić je najlepiej. W firmie, z którą współpracowała, potrzebne były kalendarze. Dostała wolną rękę i udało się bezbłędnie. A to sztuka, bo – jak podkreśla – papier nie wybacza błędów: wystarczy drobne niedopatrzenie, żeby notesy wypaczały się albo nie domykały.

– Praca z wzornikami papierów: dotykanie, macanie, wybieranie kolorów, faktur i gramatur sprawiła mi taką przyjemność, że postanowiłam zrobić notesy dla siebie – opowiada Joanna. – Wkrótce pojawiła się możliwość. Zaprojektowałam notesy dla kolegi i przy okazji wydrukowałam pierwszy nakład własnych.

Tak zaczęła się historia marki I Believe in Paper. W ciągu trzech lat wymyślone przez Joannę Dobkowską notesy wystąpiły pod kilkoma dobrymi szyldami, m.in. warszawskiego MSN i gdańskiej Opery Bałtyckiej, Opery Narodowej, doczekały się kilku wersji, a w 2025 zdobyły tytuł MUST HAVE – wyróżnienie przyznawane podczas Łódź Design Festival.

– Powtarzam, że to notesy ratujące życie. Jest w tym emfaza, ale bez wątpienia uratowały moją psychikę – mówi Joanna. – Odzyskałam przyjemność z pracy, a przede wszystkim sprawczość. Mogę o wszystkim decydować od początku do końca, a w dyskusjach mieć ostatnie słowo.

Dyskusje zdarzają się od czasu, gdy notesy były w fazie pomysłu. Najpierw szło o nazwę. Znajomi podpowiadali: „I Love Paper". Joanna wahała się, aż uznała, że chce czegoś mocniejszego niż miłość. Wiara wydała się trafna: w końcu przez dekady pielęgnowała przekonanie, że praca z papierem to jej przeznaczenie. W kwestii papieru też musiała postawić na swoim. Introligatorzy przekonywali do 100 gram – miał się lepiej układać, ktoś inny, że musi być biały jak świeży śnieg. Wiedziała, że chce papier o grubości 120 gram w odcieniu ciepłej bieli.

O pomarańczową kartkę w jednej trzeciej notesu nikt nawet nie zagadnął. Powód jej umieszczenia był prosty: pomarańczowy to wspaniały, energetyczny kolor, szkoda nie skorzystać. Po latach cichną odcienie okładek, może być różnie z layoutem, ale pomarańczowe kartka i wstążeczka – zakładka zostaną.

PRZESTRZEŃ NA PRZYSZŁOŚĆ

To, co robi nazywa konceptem. „Marka" wydaje jej się zbyt komercyjna, niesie skojarzenia z tym, od czego uciekła. W „koncepcie" czuje się bezpiecznie, bo to pojemne słowo: mieści notesy wraz z ich wymyślaniem i produkowaniem, cykliczne wybryki, jak kalendarze filmowe, współprace z instytucjami i przestrzeń na przyszłość.

Pytam, jak wygląda dzień osoby, która żyje z marzeń. Okazuje się, że podobnie jak wielu matek: dużo w nim powtarzalności, organizowania, logistyki. – Nie oddzielam roli matki od roli projektantki. Jedna karmi drugą. Uważność, której uczę się w domu, wraca w pracy. A praca, wymagająca cierpliwości i ciszy, pomaga mi być bardziej obecną w życiu – mówi Joanna. W ostatnim czasie wnikliwie przygląda się swoim wyborom: bez pośpiechu sprawdza, co naprawdę ją podtrzymuje, a co jest tylko przyzwyczajeniem.

– W tym procesie pomagają mi notesy, okazują się przestrzenią porządkowania sensów. W jednym zapisuję myśli do omówienia na psychoterapii – Joanna ma go akurat przy sobie, jest różowy i napęczniał od notatek.

Marzy, że kiedyś sprzedaż detaliczna pozwoli jej się utrzymać. Na razie, żeby płacić rachunki, wciąż przyjmuje zlecenia. Istotnym zastrzykiem – pieniędzy i energii – są współprace z instytucjami kultury. No i plany. Tych ma sporo. Siedem czy osiem projektów czeka na realizację. Zrobi je prędzej niż później, raczej nie prędzej niż trzeba. Bo w koncepcie chodzi też o przestrzeń.

Kiedy, wypalona, odhaczała zlecenie za zleceniem, żałowała, że nie jest bogata. Dziś, niesiona pasją, już tego nie oczekuje. Chce być, to jasne, bezpieczna, ale nie sądzi, że istnieje większa satysfakcja niż robienie rzeczy w zgodzie ze sobą. – Każdego dnia jestem wdzięczna losowi, że trafiłam na coś, co jest rozwinięciem mojego zawodu. Robiąc notesy, korzystam przecież ze zdobywanych przez lata umiejętności zawodowych: wybieram papier, projektuję, negocjuję, drukuję, handluję. I jak tu nie wierzyć w papier? ▲

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 8024f7c131

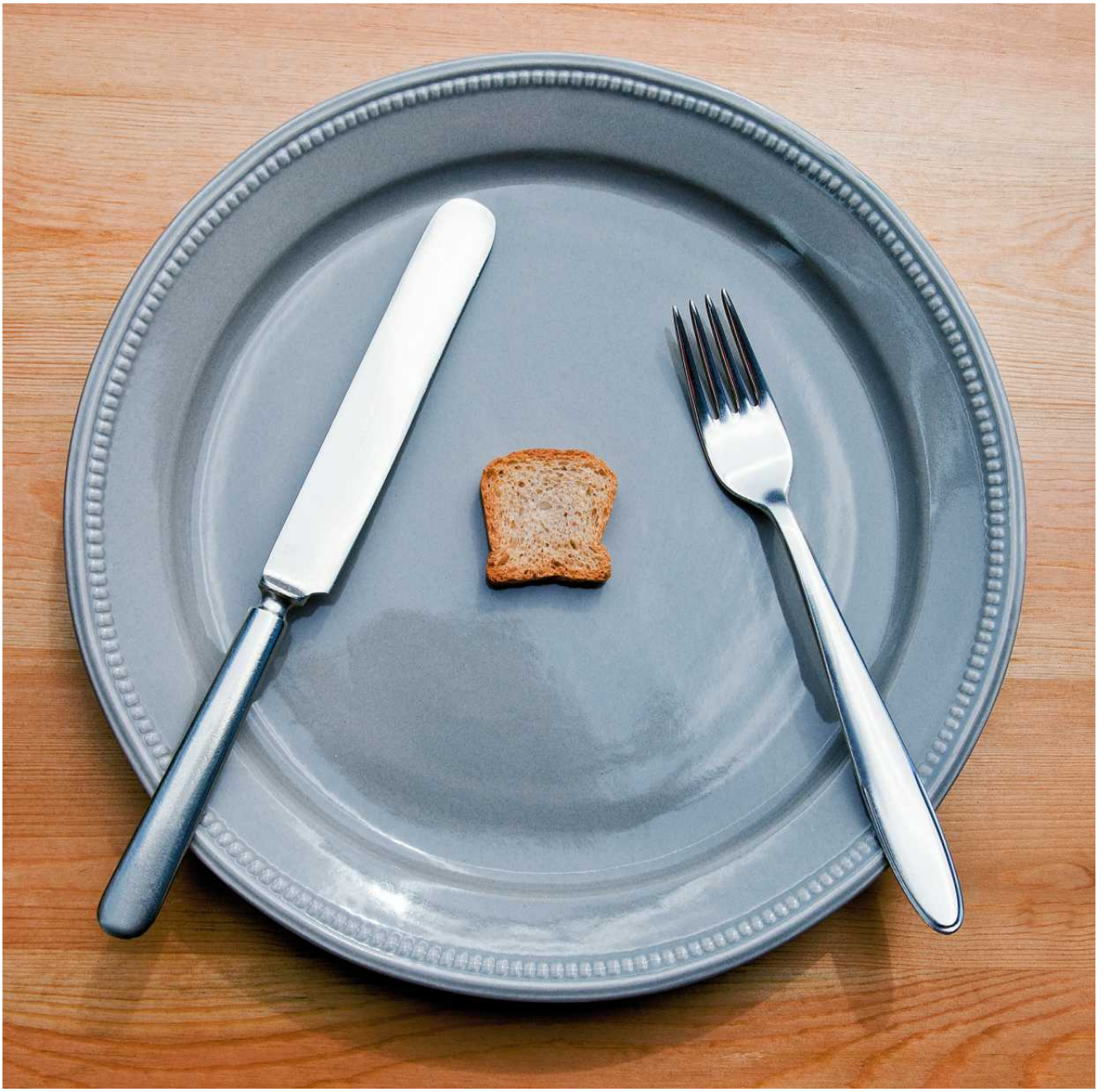

FOT. BILL BOCH/GETTY IMAGES

Leki na odchudzanie zmieniają rynek i *nawyki*

Nie musisz brać leków na otyłość, żeby odczuć ich działanie. Wszyscy zobaczymy, że mniejszy apetyt zmienia nie tylko rozmiar ubrań.

eprasa.pl 8024f7c131

TEKST **KATARZYNA STASZAK**

Coraz więcej z nas sięga po terapie, które zrewolucjonizowały leczenie otyłości. Analogi GLP-1 dostarczają organizmowi odpowiednik naszego naturalnego hormonu – peptydu glukagonopodobnego 1. Jest naturalnie wydzielany w naszym jelicie po posiłku. Jak działa?

– Daje trzy ważne sygnały. Pierwszy do trzustki: wydzielaj insulinę adekwatnie do stężenia cukru we krwi. Drugi sygnał idzie do głowy: jadłeś, nie musisz jeść więcej. Ośrodek sytości jest pobudzony. Trzeci sygnał idzie do żołądka: pracuj wolniej, ciesz się tym posiłkiem, będziesz dłużej syty. U chorych na otyłość te sygnały nie są przekazywane prawidłowo – tłumaczy prof. Alina Kuryłowicz, diabetolożka i endokrynolożka, która pracuje w Poradni Leczenia Otyłości Szpitala im. Orłowskiego w Warszawie, a w PAN prowadzi badania dotyczące zaburzeń w funkcjonowaniu tkanki tłuszczowej.

Leki sprawiają, że sygnały z jelit docierają we właściwe miejsca z całą mocą. A to chroni przed ciągłą potrzebą podjadania. Gdy apetyt maleje, waga spada.

Do wyboru jest kilka leków z grupy analogów GLP-1, a od dwóch lat na rynku jest również preparat łączący w sobie siłę dwóch hormonów – GLP-1 i GIP, czyli glukozależnego polipeptydu insulinotropowego.

Najniższa miesięczna dawka leku z grupy GLP-1 bez refundacji kosztuje ok. 400 zł. Za najnowszy lek trzeba zapłacić od 800 zł do 2 tys. zł miesięcznie. Wielu Polaków cena nie odstrasza. W zeszłym roku na analogi GLP-1 Polacy wydali aż 3,4 mld zł – podaje firma analityczna PEX. Ten rok przyniesie zapewne kolejny wzrost zainteresowania. Dla porównania – cały polski rynek suplementów wart jest blisko 8 mld zł. W Polsce choruje na otyłość około 9 mln osób. A polskie dzieci tyją najszybciej w Europie.

ZAPACH ZAMIAST TORTU I MNIEJ ALKOHOLU

Rosnąca popularność analogów GLP-1 zmienia rynek spożywczy i zwyczaje zakupowe. To jeden z najsilniejszych trendów opisanych w raporcie banku BNP Paribas. Tytuł raportu brzmi: „Na co nam rośnie apetyt. 12 trendów na 12 miesięcy". Choć akurat w przypadku analogów GLP-1 znaczenie dla rynku ma też to, na co apetyt po lekach maleje. Najbardziej zmiany rynkowe i społeczne widać w USA, bo tam analogi GLP-1 stosuje już 12,4 proc. mieszkańców – wynika z danych Gallupa. Dzięki lekom wskaźnik otyłości w kraju spadł z prawie 40 proc. w 2022 r. do 37 proc. w 2025 r.

Przekłada się to na decyzje producentów żywności, właścicieli restauracji, a nawet inwestycje w hotelach – siłownie to teraz ważna część oferty. Jak konkretnie analogi GLP-1 zmieniają rynek i życie ludzi?

■ **Mniejsze wydatki w sklepach spożywczych.** Gospodarstwa domowe w USA z co najmniej jednym użytkownikiem GLP-1 zmniejszyły wydatki na artykuły spożywcze o około 6 proc. Wśród osób z wyższymi dochodami ta obniżka wydatków sięgnęła prawie 9 proc. – wynika z raportu firmy McKinsey, która zajmuje się doradztwem strategicznym.

Mniejsze wydatki na zakupy spożywcze związane są przede wszystkim z rezygnacją z wysokokalorycznej żywności przetworzonej. O mniejszych zarobkach producentów przekąsek donosi też firma konsultingowa EY-Parthenon. Radzi producentom, żeby przejrzeli swoje produkty, przemyśleli ich skład i etykiety. Powinny być dostosowane do „zmieniających się wzorców" konsumpcji. Osoby na lekach GLP-1 jedzą mniejsze porcje i wybierają zdrowsze produkty.

„Rozwój biotechnologii może pozwolić na tworzenie nowych produktów, które będą smakować np. jak przekąski ziemniaczane, jednak ich skład będzie pozwalał na unikanie konsekwencji związanych z nadmierną konsumpcją" – przewidują analitycy z banku BNP Paribas.

EY-Parthenon szacuje, że przez leki GLP-1 rynek słodyczy i słonych przekąsek skurczy się o 3 proc. W ostatnich latach rynek przekąsek i słodyczy rósł o 3-4 proc. rocznie. Rosną za to nasze wydatki na warzywa i owoce. W Polsce w zeszłym roku biliśmy rekordy spożycia tego, co wyrosło w ziemi i na drzewach.

■ **Więcej białka. We wszystkim.** Badacze sprawdzili, jak zmieniły się nawyki żywieniowe osób stosujących te leki. Respondenci odpowiedzieli, że zmniejszyli spożycie przekąsek o 40-60 proc., za to zjadają o 50 proc. więcej żywności zdrowej. W ich diecie jest o 65 proc. więcej białka w porównaniu z czasem sprzed terapii – podaje EY-Parthenon.

Na półkach sklepowych niemal w każdym dziale znajdziemy produkty w wersji wysokobiałkowej. To już nie tylko nabiał, ale też pieczywo i przekąski.

– Osoby stosujące leki GLP-1 dostają porady dietetyczne. Uczą się dbać o większą ilość białka na talerzu. Białko ma chronić organizm przed utratą masy mięśniowej – mówi prof. Kuryłowicz. Większa ilość białka zalecana jest też kobietom w okresie okołomenopauzalnym i osobom, które chcą zwiększyć masę mięśniową. Białko pozwala też lepiej kontrolować apetyt – daje uczucie sytości na dłużej, a jego trawienie wymaga od organizmu większej pracy niż trawienie węglowodanów.

„Wzrost popularności i ilości produktów wysokobiałkowych będzie prowokował publiczną dyskusję na temat jakości i źródeł zawartego w nich białka, a także stopnia ich przetworzenia. Możliwe zarzuty o tzw. protein-washing zwiększą presję na producentach, by upraszczać składy produktów. Na rynku pojawi się bardziej precyzyjna komunikacja odnośnie źródeł białka, dostarczająca konsumentom odpowiedzi na pytania o to, czy białko jest roślinne, czy zwierzęce, jakiej obróbce technologicznej zostało poddane, czy jest polskie, czy pochodzi z importu itp. Zyskają produkty o naturalnie wysokiej zawartości białka, które bez dodatkowej interwencji ze strony producentów oferują prosty skład i proteiny znanego pochodzenia, a co więcej – często są atrakcyjniejsze cenowo" – prognozują analitycy BNP Paribas.

Zamiast proteinowego batonika warto zjeść np. rośliny strączkowe czy rybę.

■ **Wiem, co jem, czyli czytamy etykiety.** Osoby stosujące leki GLP-1 twierdzą, że zaczęły czytać informacje na opakowaniach – sprawdzają liczbę kalorii i skład produktów. Za to mniejsze znaczenie ma dla nich nazwa marki i jej popularność – wynika z danych EY-Parthenon. Zobaczymy całe nowe linie produktów skierowanych do osób przyjmujących analogi GLP-1.

W USA firmy spożywcze już umieszczają oznaczenie „GLP-1 friendly" (przyjazne GLP-1), np. na mrożonych daniach.

■ **Mniej alkoholu, więcej napojów bez cukru.** – Badania pokazują, że leki GLP-1 mogą tłumić chęć sięgnięcia po alkohol, szczególnie przez osoby pijące regularnie – mówi prof. Kuryłowicz.

Osoby, które stosują analogi GLP-1, wydają mniej pieniędzy na alkohol, za to rosną ich wydatki na bezalkoholowe wina i piwa – odpowiednio o 1158 i 935 proc. To dane dotyczące USA zebrane przez firmę NIQ. Rośnie też sprzedaż napojów wysokobiałkowych i probiotycznych, które mają wspomagać zdrowie jelit.

eprasa.pl 8024f7c131

■ **Zapach ciasta zamiast deseru.** Popularność analogów GLP-1 zmienia też branżę perfumeryjną. Perfumy inspirowane jedzeniem, o zapachu np. wanilii, kawy i karmelu, określane w branży jako perfumy „gourmand" (z języka francuskiego „smakosz"), zyskały na popularności w ciągu ostatnich trzech lat – podaje firma Mintel, która analizuje trendy. – Marki perfumeryjne wykorzystują takie nuty zapachowe, aby dać osobom stosującym leki wspomagające odchudzanie poczucie, że zjadły deser – mówi Clotilde Drapé, globalna analityczka ds. urody w firmie Mintel.

■ **Na skutki uboczne leków.** Terapia lekami na otyłość może wiązać się z nudnościami. W USA na skutkach ubocznych stosowania GLP-1 zyskały suplementy elektrolitowe i leki przeciwwymiotne. Jeśli ktoś zjada mniej, a to, co kładzie na talerzu, jest ubogie w składniki odżywcze, może zaobserwować gorszą kondycję włosów. Analitycy rynku łączą z tym zjawiskiem wzrost sprzedaży produktów na porost włosów.

■ **W pizzerii więcej sałatek.** Osoby stosujące analogi GLP-1 częściej gotują w domu, a jeśli idą do restauracji, szukają zdrowych dań. To oznacza, że pizzerie powinny oferować sałatki z białkowym składnikiem. Wydatki na jedzenie w barach i restauracjach maleją średnio o 8,6 proc. po rozpoczęciu terapii GLP-1 – wynika z danych firmy analitycznej Numerator i Uniwersytetu Cornella. Analitycy zaznaczają, że nie wiadomo, jak duży będzie wpływ leków na otyłość na branżę gastronomiczną. Radzą jednak restauratorom wprowadzać do menu dania z wysoką zawartością białka, promować zdrowsze opcje w menu i mniejsze porcje w niższej cenie.

■ **Czy macie siłownię?.** Utrata masy ciała oznacza ryzyko utraty masy mięśniowej. A tego powinniśmy się bać. Według lekarzy mięśnie to organ długowieczności – im są silniejsze, tym większe mamy szanse na dłuższe życie w dobrym zdrowiu. Osoby stosujące GLP-1 są przez lekarzy namawiane do treningów siłowych. Zapisują się do klubów sportowych, korzystają z siłowni na wakacjach, wydają też pieniądze na produkty związane z aktywnym stylem życia. Wydatki na zegarki, bransoletki czy elektroniczne obrączki wzrosły w grupie osób na lekach o 29 proc. W pół roku – podaje Consumer Edge.

■ **Więcej ubrań w mniejszych rozmiarach.** Według badania Impact Analytics sprzedaż odzieży damskiej i męskiej w mniejszych rozmiarach rośnie. Popyt na bluzki damskie w rozmiarach XS i S wzrósł o dwa punkty procentowe w latach 2022-2024, a w przypadku rozmiarów L i XL o tyle samo spadł. Według badaczy trendów w sklepach stacjonarnych coraz trudniej będzie kupić większe rozmiary.

CZY WSZYSCY OTYLI BĘDĄ BRAĆ LEKI NA OTYŁOŚĆ?

Z otyłością na całym świecie zmaga się prawie 900 mln dorosłych. Dla większości osób leki są dziś trudno dostępne lub zbyt drogie. Sytuacja może się powoli zmieniać. Jak podaje firma Mckinsey, do 2030 r. na rynek wprowadzonych ma być 19 kolejnych leków GLP-1.

Analitycy McKinsey wyliczyli, co społeczeństwo zyska dzięki lekom, a co dzięki realizowaniu polityki, która stawia na profilaktykę chorób i zapewnienie zdrowia metabolicznego. Wpływ tej drugiej ścieżki mógłby być trzy do czterech razy większy niż pierwszej i doprowadzić na świecie do wzrostu PKB o 5,65 biliona dolarów rocznie. Osiągnięcie zdrowia metabolicznego dla wszystkich wymaga pięciu głównych zmian: pogłębienia wiedzy naukowej; lepszego monitorowania zdrowia; wykorzystania technologii do spersonalizowanych interwencji; zachęt ekonomicznych, żeby zwiększyć atrakcyjność inwestycji w zdrowie metaboliczne, co przełożyłoby się na łatwo dostępne i tańsze oferty wspierające nasze zdrowie; stymulowania zmian społecznych poprzez edukację i zaangażowanie społeczności.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) szacuje, że nawet przy szybkim wzroście produkcji analogów GLP-1 terapie te dotrą do 2030 r. do mniej niż 10 proc. osób, które mogłyby z nich skorzystać. WHO wzywa osoby odpowiedzialne globalnie za politykę zdrowotną do rozważenia strategii, które mogłyby zwiększyć dostęp do tych leków. Poszczególne kraje mogłyby robić wspólne zamówienia, leki starszej generacji mogłyby być mieć niższe ceny, a lokalni producenci mogliby uzyskiwać licencje od światowych koncernów.

Przede wszystkim jednak WHO podkreśla, że nie rozwiążemy problemu otyłości, jeśli nie zadbamy o otoczenie, które sprzyja zdrowiu. ▲

OGŁOSZENIE

Kama Wojtkiewicz pyta, gdzie terapia pomaga, a gdzie zaczyna oddzielać nas od życia i relacji z innymi ludźmi. Kultura terapii stała się naszą codziennością, warto jest się jej przyjrzeć nieco bardziej krytycznie.

ANNA DZIEWIT-MELLER

JAKĄ CENĘ PŁACIMY ZA NIEUSTANNĄ PRACĘ NAD SOBĄ?

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL **WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI?** ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

www.wydawnictwoagora.pl

eprasa.pl 8024f7c131

NASZE PRAGNIENIA W JEDNEJ TUBCE

Przebarwienia to druga najczęściej wskazywana przez kobiety obawa tuż po utracie jędrności. Do tego połowa kobiet w Europie wybiera dziś tylko jeden produkt do codziennej pielęgnacji. Lubimy wielozadaniowe kosmetyki. Dlatego powstał Nuxuriance Ultra, krem przeciwstarzeniowy na przebarwienia SPF30, łączący działanie redukujące przebarwienia z pielęgnacją anti-aging (technologia ALFA [3R] i niacynamid). ***(248 zł/50 ml)***

KOLAGENOWY SZOT

Kolagen to białko, które odgrywa kluczową rolę w utrzymaniu elastyczności i jędrności skóry. Ale po 20 r.ż. jego produkcja zaczyna spadać. Nowością marki Lancôme, na którą składa się 35 lat badań, jest krem Rénergie Collagen Lift-Xtend, który uzupełnia jego braki, gdyż zawiera peptydy kolagenowe, tripeptyd miedziowy i nici kolagenowe. To cząsteczki na tyle małe, że przenikają przez barierę skórną i działają na ujędrnienie i zmarszczki. ***(469 zł/50 ml)***

ZAPACH ANEMONÓW

Zawilce albo inaczej anemony to kwiaty, które nie pachną. Kompozycja Âme de Fleur to interpretacja zapachu tych pięknych kwiatów stworzona dla marki Liquides Imaginaires. Zapach jest orientalno-kwiatowy. Nutami głowy są gruszka, heliotrop, róża; nutami serca – tuberoza, jaśmin; nutami bazy – ambrox® Super, Z11™, drzewo kaszmirowe. ***(945 zł/100 ml)***

KOSMICZNA KOLEKCJA

Marka Sorvella Perfume stworzyła kolekcję zapachów Galaxy inspirowaną kosmosem i archetypami emocji w pięknych flakonach. Powstało sześć kompozycji dla kobiet: gourmand – orientalna Andromeda, świeża Tucana, kwiatowa Abell, gourmandowa Milky Way, ciepła Merger i świeżo-kwiatowa Leonis. ***(119 zł/50 ml)***

NA DZIEŃ I PRZECIWSŁONECZNIE

Przednówek to idealny moment na premierę kremu z ochroną UV. Polska marka Kloo właśnie wystartowała z dziennym kremem nawilżającym, zawierającym kwas hialuronowy, postbiotyk, który wzmacnia barierę ochronną skóry oraz kompleks filtrów fizycznych i chemicznych SPF50, chroniący przed UVA i UVB, HEV. ***(149 zł/50 ml, online i Rossmann)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (10); OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 8024f7c131

eprasa.pl 8024f7c131